CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK DRUGI.

Tom VI – Zeszyt 17.

Maj.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU“.



Maj — 1857.

IGNACEGO DOMEJKI

CZTEROMIESIĘCZNA PODRÓŻ

z Paryża do Chili w roku 1838.

Część Druga.

PODRÓŻ LĄDOWA.

(Pampa i Kordyliery).

II.

Kordyliery.

13 maja. — Główny trakt komunikacyjny z Buenos Ayres do Sant Jago stolicy rzpltéj Chilijskiéj przechodzi przez Mendozę i Uspallatę i Sta Rosa; tędy właśnie przeszedł ze swém wojskiem ostatniéj wojny o niepodległość San Martin, niosąc posiłki Chilijczykom wybi-

---

Patrz zeszyt kwietniowy.

jającym się na wolność. Na téj drodze są urządzone poczty aż do Sant Jago w takiż prawie sposób co między Mendozą i Buenos Ayres; ale te poczty w górach tak są oddalone jedne od drugich, źle utrzymane, i droga tak niedobra, że się taniéj i prędzéj podróżuje najętemi końmi, a poczty służą tylko dla kuryerów przewożących listy. Na nasze szczęście znaleźliśmy w Mendoza powracającego do S. Jago *ariero:* tak nazywają w tym kraju ludzi najmujących konie i muły dla podróżnych. Człowiek ten obowiązał się nas przewieźć przez Kordyliery aż do Sta Rosa, piérwszego po tamtéj stronie miasta za 21 piastrów (105 fr.); miał 10 mułów i jedną klacz, i przyrzekł przyjąć nam do posługi pomocnika, z przyczyny żeśmy naszego służącego musieli na powrót odprawić do Buenos Ayres.

Ariero był człowiek staranny, trochę grubijanin, lubiący się napijać, wielki kłamca, ale strzegący wiernie rzeczy naszych. Wyjechaliśmy nad wieczór; rzeczy nasze na dwa rozdzielono muły i my sami przesiedliśmy się na muły, a odtąd jedziemy powoli, stępo, lub powolnym truchtem.

Noc zapadła nim do piérwszego wzgórza Cerillo dojechaliśmy. Tu jak nam mówiono, mieszkańcy dobywają wiele wapienia na budowlę i prawdziwie straszny grzech geologiczny popełniłem: wjeżdżać w te góry nocą, nie widzieć położenia skał warstwowanych, nie przypatrzyć się zetknięciu płaszczyzny z pasmem gór tak sławnych, słowem minąć tak ważne w utworze gór miejsce bez najmniejszéj obserwacyi. Przyczyną tego był mój towarzysz, śpieszący do familii swojéj i śniegi które na nas czekały na górze a nieprzestawały powiększać się jak nam w Mendozie powiedziano.

O północy spotkała nas ciężka mgła i wkrótce deszcz, pierwszy jaki w podróży naszéj lądowéj obaczyliśmy. Ciemność była jak w Miltonowém chaos, pięliśmy się

na góry prawie omackiem, spuściwszy się na roztropność mułów idących za klaczą ze dzwonkiem, prawdziwą przewodniczką naszą.

O drugiéj z rana zaszczekały psy, i znaleźliśmy się w Villa Vicencia.

14 maja.—Tu parę chałup z kamienia, trzciną przykrytych, służy za schronienie ubogim pastuchom, dozierającym kóz i owiec i polującym na guanaki. Zmoczeni zasnęliśmy w jednéj z tych chałup, a potém skoro rozwidniało, w dalszą puścíliśmy się drogę.

Niedaleko Villa Vicencia są mineralne wody ciepłe, do których chorzy, jak mi mówiono, przyjeżdżają w czas letni. Cały *pokład* gór w tém miejscu składa się z ciemnéj, zielonawéj skały łupkowéj, podobnéj do *przechodowego* łupku (schiste de transition); nie znalazłem w niéj najmniejszego śladu istot organicznych; przeciwnie, niedaleko od Villa Vicencia na drodze do Uspallata widać wyraźne przejście téj skały do porfiru i innych skał ogniowych. Jéj istotne czy pozorne *ławice* (warstwy) biegą w kierunku NNE — SSO; ale po większéj części skała ta łupie się we trzy kierunki, z których ów NNE, najłatwiejszy, nadaje jéj wejrzenie pokładu bardzo ukośnie pod łańcuch gór czyli w zachodnią stronę zapadającego; dwa inne czynią, że skała ta łatwo bardzo dzieli się na graniastosłupy romboidalne i częstokroć w bardzo drobne szmaty rozpada.

Wegetacya tu (o 15 mil od Mendozy) jeszcze jest bogata w rozmaite krzewy i klima łagodne, bo widziałem niemało takichże samych papug które się uprzykrzają właścicielom winnic w Mendoza. Mają tu one gniazda swoje w urwiskach między skałami i zlatują na dolinę w czasie dojrzéwania winogron.

Ledwośmy wyjechali z Villa Vicencia, rozpogodziło się niebo i pierwszy wąwóz w któryśmy wjechali, była to piękna Quebrada de la Villa Vicencia, urwiska pra-

wie prostopadłe, nagie, między które zachodzi wązka droga nakształt kamiennych schodów, jakby od umysłu wykutych. Ze szczelin między temi skałami wychodzą miejscami grube, zielone kolumny jakiegoś gatunku kaktusów, na kilka stóp wysokie, walcowate, bez żadnych rozgałęzień.

Blisko tego wąwozu znalazłem naprzód ułamki runione, a wkrótce i same massy trachytów: skałę czarniawą, miejscami pełną białych ziaren gipsowych, i tworzącą niewysokie ostrokręgi po nad ogólnym pokładem łupków porfirowych, przechodzących, już to w zwyczajny porfir zielony o białym felspacie, już to w *agregat* jakiś wulkaniczny i *bresze.*

Na mil cztery od Villa Vicencia wyjeżdża się na wyniosłość płaską (plateau) prawie zupełnie nagą.

Dalej o mil 5 do 6ciu od Uspallata pokazuje się massa kwarcowatego porfiru (porphyr cuazzifer) której utwór w bezpośrednim zapewne związku zostaje z metalicznemi żyłami które koło niéj przechodzą i w których leżą miny srebrne, znane u wojażerów pod nazwiskiem min Uspallata.

Porfir ten kwarcowaty różni się od tego rodzaju skał europejskich; z wiérzchu i po rozpadlinach jest czarny, a w odłamie ciemno zielonego koloru o ziarnach szklistego kwarcu.

Nad wieczór począł śnieg padać i spotkaliśmy podróżnych którzy dwa dni temu przeszli przez Kordyliery z wielką trudnością i nam bardzo niedobre dali wiadomości, uręczając, że przejście prawie niepodobne.

O zmroku przybyliśmy do Uspallata, ostatniego po téj stronie gór zamieszkałego miejsca, o 30 mil od Mendoza.

15 maja.—Uspallata leży na szerokiéj dolinie w koło otoczonéj górami. Dwie piękne rzeki Rio de las Vacas i Rio de Uspallata łączą się tu i tworzą Vio de Mendoza. Góry od wschodu nie wysokie ale dziwnie rozmai-

tych kolorów, czerwone, czarno żółtawe, w niezliczone żyły, warstwy i rozpadliny porysowane, mają wejrzenie jakby niedawno pogasłych wulkanów. Od zachodu tuż nad doliną, ogromna góra Condoro już do połowy śniegiem była przysypana. Niedaleko od téj góry poczyna się wąwóz z którego Vio de las Vacas spada, i w głębi tego wąwozu widać śnieżną Kordylierę. Smutne są i zupełnie nagie skały w koło doliny, a zieloność tylko na dnie przy rzekach, i między tą zielonością widać dom pocztowy Uspallata, załogę czyli straż pograniczną (guardia), ogród, pasące się konie i bydło. Zimno tu już bardzo, żadne owoce niedojrzewają, często śnieg pada i tu po raz pierwszy obaczyłem największe ze wszystkich ptaków, kondory, sławne z siły i drapieztwa swego, prawdziwe olbrzymy między powietrznem stworzeniem.

Z przyczyny że była to już ostatnia gospoda po téj stronie Kordylierów, a przejście przez góry, jak z opowiadania podróżnych wnosić można było, rokowało nam niemało trudności i ciężką przeprawę, opatrzyliśmy się tu we wszelki zapas żywności i trunków jakoby na 10 dni drogi. Kupiliśmy barana, czarki (mięso wędzone) baryłkę wina Mendozyjskiego, i wiele *aji* (pieprzu czerwonego) cebuli i innych przypraw które nam ariero, jako podróżny kuchmistrz poradził kupić i starannie wszystko upakował; przyjął też do posługi trzech ludzi, z których dwaj powracali do domu z górniczych robót.

Przez cały ten dzień jechaliśmy doliną rzeki de las Vacas.

Dolina ta idzie w kierunku południowo - zachodnim; skały po obu stronach prawie jednostajnéj wysokości; z prawego brzegu nieco bardziéj strome niż z lewego. Rzecz godna uwagi i szczególnego zastanowienia, że w utworze téj doliny i napływowym pokładzie który ją usypał, dwa wyraźne piętra, czyli podwójną dolinę wi-

dzimy. Jedna starożytniejsza, spoczywa na samychże skałach i odpowiada wyższemu piętru, cała zaś prawie składa się z *pudyngu*, miejscami dosyć trwale zlepionego czerwoną gliniastą ziemią. W téj dawnéj dolinie późniejsze wody wyryły drugą która się wije niezależnie od skrętów poprzedniéj, i na któréj dnie, dzisiejsza rzeka ryje trzecią dolinę na późniejsze czasy. Brzegi téj drugiej doliny są prostopadle ucięte w zakrętach, i uważałem, że po wielu miejscach leży w pokładzie napływowym dawnéj doliny tuż blisko powierzchni, rzęd większych kamieni; jak gdyby na znak, że owa epoka, w któréj się dawna dolina przestała tworzyć, poprzedzoną była łamaniem się gwałtownem skał i wielkiem wstrząśnieniem:—co też wyraźnie mówi raczéj za poruszeniem się całéj skorupy gór jako przyczyną zmiany poziomu wód, niżli za przerwaniem jezior i wielkich *rezerwoarów* wody jak sobie w podobnych razach geologowie zwykli tłumaczyć. Między temi większemi kamieniami widziałem urwiska runione do kilkadziesiąt stóp kubicznych mające, a złożone z granitowéj skały, porfirycznéj, o dużych kryształach felspatu, jakiéj to skały nigdzie wyżéj nie znalazłem na miejscu.

Tyle tylko o geologicznym utworze tej doliny i jéj napływowym pokładzie mam do powiedzenia. Co zaś do saméj massy gór, nie widać tu innych skał prócz porfirycznych; a między wielką rozmaitością porfiru, znajdują się w większéj ilości i na szczególniejszą uwagę zasługują:

porfir zielony o białych kryształach felspatu; podobny do *verdo antico*, najobfitszy w téj części Kordylierów;
porfir kwarcowy czerwony (porphyr cuarzifer rouge);
porfir ciemno czerwony (thonporphyr);
porfir amfiboliczny o dużych kryształach hornblendy;
euryt zielony zbity;

Bresze (breches) eurytowe i porfiryczne, leżące na wierzchach gór i jakby ich skorupę tworzące.

W ogólności, im bardziéj zbliżamy się do środkowéj części łańcucha Kordylierów, tém częstsze są i powszechniejsze skały eurytowe o zbitym jednostajnym odłamie i tém częściéj towarzyszą im *bresze,* z pokruszenia się tych skał i zalania okruchów takąż samą eurytyczną materyą powstałe.

Podróż na téj dolinie de las Vacas przyjemna, bezpieczna i nie utrudzająca. Droga idzie brzegiem wyższego poziomu, to jest brzegiem dawniejszéj doliny, od strony z której zwaliska skał usypały powolniejszy spadek ku rzéce Spadek ten najczęściéj łagodny jest i droga tak szeroka, że muły truchtem biedz mogą; ale miejscami droga ta zawalona świeżo runionemi kamieniami zwęża się, a wtenczas ostrożne muły przełażą powoli ze zwaliska na zwaliska jakoby probując czy dobrze są osadzone kamienie. W niektórych miejscach, droga ta w zakręcie rzeki lub też przy połączeniu się strumieni, zwęża się nagle i idzie po za samą skałę stromo podniesioną, po nad urwistym brzegiem; wtenczas to tworzy owe slawne *laderas* (spadzistości) któremi wojażerowie lubią straszyć swoich czytelników, jakoby rzeczą bardzo niebezpieczną Może być że dawniéj te *laderas* były cięższe do przebycia; zdarzało się że muły obładowane ciężarami nie mogąc się przecisnąć przez wązką ścieżkę która idzie spadzistością stromej góry, po nad przepaścią, spadały do rzeki; ale teraz drogi te miejscami rozszerzone i wykute w skałach nie są niebezpieczne. Osoby pierwszy raz podróżujące w górach schodzą zazwyczaj piechotą w miejscach gdzie się owe laderas zwężają; mówią jednak tutejsi ludzie, że daleko jest bezpieczniej zaufać mułom i spuścić się zupełnie na ich instynkt.

Tego dnia spotykamy jeszcze dwóch podróżnych którzy nas upewniają że dwa dni temu góry już były ciężkie do przebycia, śniegu po uszy koniom i droga nieznaczna.

Przenocowaliśmy niedaleko od *La punta de las Vacas*, w miejscu zwanem *las Polvaderas*, gdzie pod potężnem zwaliskiem euritu, a czystem zimnem niebem, rozłożono ogień, rozpłatano barana i mieliśmy ucztę wyborną.

16 maja. — Ranek był mroźny, woda ścięła się po strumieniach i silny wiatr szumiał od zachodu. Jeszcze kilka stromych *laderas* przebyliśmy, a o parę mil wyjechaliśmy na równiejszą dolinę gdzie już prawie nieznaczną była różnica między dwiema dolinami, dawniejszą a nową.

O południu weszliśmy między skały które po jednéj i drugiéj stronie doliny śniegiem były okryte prawie od samego dołu; a na dolinie było ciepło i słońce jakoby ogniem smaliło. Po nad strumieniem było cokolwiek trawy i gdzieniegdzie niskie, ubogie krzaki jakiegoś krzewu z rodzaju valeriana (?). Nie widziałem tu żadnego ptastwa; zdechłe konie leżały wyschłe przy drodze, nietknięte od żadnego żarłocznego zwierza; widać tylko po górach wąskie, wydeptane ścieżki po których przeciągają gwanaki. Bystre oko górników ciekawie szukało tych zwierząt między skałami i dostrzegało je z dziwną łatwością na górach o parę tysięcy stóp i wyżéj nad doliną. Równaliśmy się z la Punta de las Vacas, kiedy niezwyczajna ochota i okrzyk naszego ariero i przewodników zwróciły naszą uwagę ku jednéj górze na lewo, na którą szło powoli trzynaście gwanaków sznurkiem, jeden za drugim, oglądając się na nas i bynajmniéj nie lękając się krzyku którym usiłowali je płoszyć ludzie, jako u nas chłopaki płoszą zająca gdy go na polu zoczą między zbożem. Ma być bardzo przyjemne i mordujące polowanie na gwanaki; strzelce ze psa-

mi zmuszeni są piąć się na najwyższe cyple i zachodzić drogę tym zwierzętom od góry; bo pod górę tak chyżo i bezpiecznie śmigają po najstromszych ścieżkach, że żadna moc nie jest w stanie ich dogonić. Widząc to zwierze z bliska, do niepojęcia jest jakim sposobem tak lekko i z taką pewnością może drapać się po niedostępnych urwiskach. Zwierzę to bowiem z wejrzenia zdaje się być poważne, łagodne, głowa wielbłądzia na cienkiéj wysmukłéj szyi, u nóg racice, nogi cienkie, kolor szerści żółtawy a cały kadłub do sarniego podobny.

Od Punta de las Vacas, poczyna się strefa trwałych przez zimę śniegów i miejsca trudne, częstokroć niepodobne do przebycia. Trudność ta i niebezpieczeństwo pochodzą ztąd, że za nadejściem zimy, ciągły i przez długi czas bez przestanku padający śnieg zasypuje drogę i przepaści, pokrywa laderas i tak jest sypki, że muły i ludzie zapadają, a nie widać drogi ni ratunku zniskąd. Na całą bowiem odległość od Uspallata, aż do Guardia del Resguardo, przez 36 mil nacięższej i najbardziej utrudzającej drogi, nie widać ani żywej duszy, niemasz i jednej chaty zamieszkałej. Czas najstraszniejszy do podróży jest na początku zimy, przez cały czerwiec i początek lipca; zdarzało się, że niejeden zuchwały wędrownik zachwycony w górach przez śnieg, stracił drogę i albo zginał w rozpadlinie, lub też z głodu i zimna upadły na siłach zagrzebany został. Pod koniec lipca i w sierpniu wierzchni śnieg twardnieje i tworzy skorupę tak mocną, że podróżni dosyć bezpiecznie przechodzą pieszo przez góry bez żadnego przypadku. Po tem, gdy ta skorupa topnieć pocznie Kordyliery znowu są do nieprzebycia, aż śnieg stopnieje i strumienie spadną na dolinę.

Dla bespieczeństwa podróżnych i dobra prowincyi, pobudowano tu za hiszpańskiego rządu małe domki przy drodze, zwane od tutejszych ludzi *casuchas* (kasuczas).

Domki te na kilkanaście stóp wysokie, pomurowane są z dobrze wypalonej cegły i sklepione; wejście do nich jedno tylko, od wschodu, a drzwi wysoko podniesione, aby w razie głębokich śniegów wejście zawsze było wolne i przystępne. Do tych domków ucieka podróżny od burzy i zawiej a czeka z utęsknieniem pogody jako wybawienia swego. Mówiono mi, że nieraz tak nagle i gwałtownie spadają śniegi w tych górach, że cała casucha zasypana, pokrywa się lodem i w niej zachwycona familija, cierpi długie więzienie, we łzach pożywa szczupły zapas żywności jaki przyniosła z sobą i z głodu umiera.

Dwie takie *kasucze* minęliśmy dnia tego i dochodziliśmy do trzeciej zwanej Paramillo, położonej u stóp samego wierzchu Kordylierów, kiedy zdaleka postrzegł nasz ariero dwóch ludzi i pięć obładowanych mułów, spuszczających się z góry powoli i jakoby upadających od zmordowania. Ludzie ci przebyli tego dnia najwyższą górę Cumbre z wielką trudnością i powiedzieli nam że po drugiej stronie, daleko większe śniegi ciągną się aż do Guardia Vieja. — Mieliśmy więc przed sobą więcej dziesięciu mil drogi ciężkiej do przebycia, zasypanéj śniegiem; że zaś słońce było już ku zachodowi i gęsty śnieg począł padać z silnym od zachodu wiatrem odradzili nam podróżni zapuszczać się dalej w górę.

Schroniliśmy się więc do kasuczy Paramillo. Ariero i słudzy poszli szukać drzewa na dolinę i poprowadzili muły nad strumień, gdzie się jeszcze trochę jesiennéj trawy zieleniło. W godzinę wrócili z brzemieniem suchych łodyg owego krzewu valeriana i na środku kasuczy rozłożyli ogień. Z razu gęsty i gryzący oczy dym napełnił chatę, ale wkrótce płomień ogarnął drzewo i oświecił ściany popisane imionami podróżnych najwięcej cudzoziemców Europejczyków.

Nie była pora ni siły po temu czynić obserwacye fizyczne czy geologiczne tu niedaleko wierzchu Kordylierów, obserwacye, które częstokroć niedają pokoju ni wypoczynku wojażerom. Narzędzia moje fizyczne morzem płynęły, ja nieodetchnąłem był jeszcze po galopie na stepach, i wiatr zimowy straszliwie wył po górach, miecąc potężne kłęby śniegu.

Cisnęliśmy się do ognia jakoby do domowego komina, kiedy zaszumi wiatr zimowy i nadejdą zamiecie, że ani psa za drzwi niewygonisz. — Ale jakże odmienna była godzina od tej, która upływa przy domowem ognisku między rodziną i przyjaciołmi, — jakże daleko od nich jestem; czy kiedy Bóg dozwoli wrócić do nich? jakżeby to przyjemnie było wypocząć sercem między swoimi i nie troszczyć się o przyszłość — Bogu wiadomo co mię po tamtéj stronie gór czeka; czy kiedy przejdę na tę stronę? Czy kiedy obaczę piękne zboża, łąki i gaje nasze.

Te i tym podobne myśli zajmowały mię, kiedy znużeni ludzie przy gasnącym ogniu opowiadali sobie własne swoje dzieje. Jeden najmłodszy rozpowiadał co się mu zdarzyło w kopalniach srebra, jak go krzywdzili starsi, jak mu kręcono zapłatę i jak sobie doradzał wet za wet. Drugi mówił o polowaniu na gwanaki i o dziewczętach. — Ariero przyrządzał wieczerzę, był smutny, milczący.

O północy zgasł ogień, a wiatr coraz się natężał.

17 maja. — Nie było snu biednemu Ariero, ojcu familii, mającemu dzieci i kochaną żonę', po drugiej stronie. Doświadczony ten człowiek, wiedział co znaczy ów wiatr silny od zachodu, przynoszący zawsze wiele śniegu w tym czasie i nie na krótko wiejący. Poznał on z opowiadania wczorajszych podróżnych całe niebespieczeństwo przeprawy; — kilkakrotnie wstawał, wy-

chodził patrzeć, czy się nie rozpogadza; ale wiatr coraz straszliwiej szumiał i śnieg coraz był obfitszy.

O świcie stały już obładowane i osiodłane muły, a przewodnicy okręcali sobie nogi grubemi płachtami i skórą, twarze zaś chustkami poobwiązywali tak, że ledwo oczy im widne były. Nie rozwidniało jeszcze, kiedyśmy poczęli piąć się na górę krętym szlakiem. Na przodzie jechał jeden górnik, dobrze świadomy miejsca i prowadził klacz ze dzwonkiem za którą nawykły iść muły; za tym górnikiem jechał drugi do porady, za nimi szły muły luźne, potém duże mulice ojuczone, które trzeci służący popędzał. — Ariero był jak dobry wódz, wszędzie, a w najtrudniejszych miejscach sam prowadził karawanę. Na jej końcu jechaliśmy z moim kolegą po ścieżce nieźle udeptanej. Co chwilę tracono drogę i nieraz stromo pięły się muły po skałach z kamieni na kamienie i po szyję zapadały w śniegu. Żeby utrzymać porządek, przewodnicy i Ariero hukali zwyczajem swoim, o yegua! o yegua vieja! o macho! macho! o mula vieja! (o klacz! ty stara klacz! o samcze, samcze, o mulico, stara mulico!) i jakby znały głos ludzki, trzymały się szlaku zmyślne a powolne muły. Bez echa i jakiś dziki, przytłumiony był głos tych ludzi w rozrzedzoném powietrzu, wpośród zamieci. — Mroźny wiatr sypał nam w oczy zlodowaciałym śniegiem, siły i cierpliwość ustawały, kiedy koło dziesiątej rano zawołał górnik na przodzie la cima! (na wierzchu jesteśmy!) — Silną myśl obudziło to słowo, silniejszą od strasznego wichru i szalonego chaos, które znaleźliśmy na tym grzbiecie Kordylierów. Żadna burza ni nasze zimowe zamiecie, nie mogą iść w porównanie z tutejszą niepogodą; a jednak ta myśl, że się przechodzi przez największy i może najmłodszy łańcuch gór na świecie, pokonała wielki trud i prawie bawiła się z zawichrzonemi żywiołami.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przy kasuczy Cumbre na wierzchu Cumbre. Nikt z naszej gromady nie doświadczył słabości *puma* pochodzącej ze zbytecznego rozrzedzenia atmosfery. Co do mnie, nieczułem nawet różnicy żadnej w oddechu i żadnych dolegliwości o jakich wojażerowie piszą.

Ledwośmy odeszli od kasuczy i poczęli spuszczać się na drugą stronę, straciliśmy drogę i muły zapadać poczęły w śniegu, który tu w daleko większéj obfitości leżał, niżeli na wschodniej spadzistości. Podjechał Ariero naprzód, rozpatrzył się w skałach, i całą karawanę w prawo skierował. Tu było miejsce najtrudniejsze do przebycia. Pierwszy Ariero zlazł z muła a za nim służący i my pozsiadać musieliśmy i szliśmy prowadząc muły w ręku, i głęboko zapadając. Śnieg poczynał wilgotnieć, lgnął do odzienia, i znowu marznął a nas jakoby skorupą lodu okrywał. Wpadliśmy na jakiś głęboki wąwoz i zwalisko runionych kamieni, przez które kiedyśmy się z wielką męką przeprawiali, jedna piękna mulica pośliznęła się, zapadła po szyję, i złamała nogę: co wiele żalu przyczyniło naszemu gospodarzowi. Nie wiem nawet jakbyśmy wyszli z tęj niebezpiecznej toni, gdyby około południa wiatr się niezmienił, i nie rozwidniało nieco na chwilę. Spostrzegliśmy daleko kasuczę a jak ona mile ku nam kąpiącym się w śniegu wyglądała, to tylko wiadomo podróżnym, prawie tracącym nadzieję. By do tej kasuczy dostać się, potrzeba było zleźć z ogromnej góry, na którą niewiedzieć po co weszliśmy i wdrapać się na drugą, wyższą, po któréj szła *ladera*. Złażąc, my i każdy z naszych towarzyszy po kilkadziesiąt razy upadł na mięki śnieg lub na ukryte pod nim kamienie, a w tymże czasie, zamiast śniegu, ulewny deszcz począł padać.

Dobiliśmy się w końcu do kasuczy *Calabera,* zkąd wyraźniejszym szlakiem i bez przypadku przybyliśmy

do drugiej *Laguna del Iuga* a ztamtąd nad wieczór do trzeciej *Ojo de Agua*.

Było jeszcze pięć mil do pierwszego domu Guardia vieja; przemoczeni do nitki, zziębli i zmęczeni zmuszeni byliśmy zatrzymać się w kasuczy Ojo de Agua i tu pierwszą noc przebyłem na territorium Chilijskiém. Granicę państwa niespostrzeżoną przebyliśmy, bo pograniczna straż zaledwo o 10 mil ztąd niżéj znajduje się.

Nie mam potrzeby uwiadomić czytelnika, że nie był to dzień do geologicznej exkursyi, a tém mniej do herboryzacyi. Śnieg tylko widziałem, a o kamieniach tyle tylko wiem że twarde: bo ich nie dobre skutki czułem jeszcze przez kilka dni następnych.

Znaleźliśmy tu już podostatkiem krzewów, chociaż świeżo przysypanych śniegiem; muły też nasze miały się czém posilić, wygrzebując z pod miękkiego śniegu trawę.

Rozłożono wielki ogień w kasuczy i natychmiast ciężki mię sen zmorzył.

18. Przez całą noc padał deszcz ze śniegiem i o świcie deszcz nie ustawał, co znacznie umniejszyło śniegu a wezbrało strumienie. O milę ztąd znaleźliśmy już zieloną dolinę piękną i bogatą w drzewa. Dolina ta a raczej wąwoz spuszcza się w kierunku południowo-zachodnim (OSO) między takiemiż porfirowemi skałami, jakie po drugiej stronie widziałem; ale skały tu stromsze, dolina ciaśniejsza, spadek wod chyższy niżli na wschodniej spadzistości. Miejscami, prawie pionowo sterczą po obu stronach wąwozu eurytyczne massy; pozorne czy rzeczywiste ich warstwowanie się czyni, że na jednej ścianie widzimy dalszy ciąg tychże pokładów jakie są na drugiej. Poprzerywane massy odpowiadają sobie, sam zaś wąwoz wyraźnie powstał ze szczepania się skał czasu wielkich wstrząśnień i rewolucyi, które już nastąpiły w epoce późniejszej, niżli sama formacya

pokładów stanowiących Kordyliery. Massy te albowiem poprzerzynane widzimy żyłami, które aż do samego wierzchu dochodzą i w rozmaitych kierunkach krzyżują się; a przedziały rysy i szczeliny między skałami, czy je za rzeczywiste warstwowanie się weźmiemy (co zdaje mi się być bezzasadnem) czy raczej za przedziały ze stygnienia mass pochodzące (jako w bazaltach), przedziały te mówię zawsze bardzo stromo zapadają.

Pięknie od tych rozwalin i monumentów rewolucyi globu odbijały na dnie wąwozu, nad czystem strumieniem laurowe i mirtowe drzewa jakiemiś pasożytnemi roślinami, pąsowo kwitnącemi przybrane. Błękitne kaskady ze świeżo topniejących śniegów i nocnej nawałnicy urosłe, spadały po urwiskach z dziwnym przepychem, szumem i okazałością. W powietrzu była wiosna, a zamiast skowronków słyszałem nieznajomy dla mnie głos ptaszków jakoby gamy wyśpiewujących.

Ale nie długo się pocieszać mogłem tą nagłą wiosną; nadeszła ulewa i musieliśmy się schronić do Guardia Vieja, gdzie nowy dom przygotowany znaleźliśmy na komorę. Ni żywej duszy nie było w tym domu; deszcz padał do wieczora i ledwo nazajutrz w dalszą puściliśmy się podróż: ludzie bowiem tutejsi bardzo lękają się deszczu i za nic podróżować niechcą w czas słotny.

19 maja. O parę godzin od noclegu pierwszego człowieka spotkaliśmy w Chili; dał nam chleba, jabłek i świeżych orzechów a nieprzyjął zapłaty.

W godzinę potém, zeszliśmy na rozkoszną, ciepłą dolinę, między pasące się trzody i chaty pastusze, winogradem, brzoskwiniami, orzechami i figowemi drzewami ocienione. Tu Rio Colorado łączy swoje wody ze strumieniem, którego brzegiem od *Laguna de Inga* i *Ojo de Agua* jechaliśmy, i temu strumieniowi swoje nazwisko daje. Piękniejsza zieloność podnosi się na pochyłości skał ku południowéj stronie obróconych; ku

północy zaś obrócone ściany porosłe są wysokiemi kaktusami, które że użyję trafnego porównania p. Humboldt nakształt kandela'rów rozgałęziają się, najeżone długiemi i ostremi kolcami. Mnóstwo wszelkiego ptastwa i stada zielonych papug widziałem na tej dolinie, a jéj widok miły był po niedawnej tuż nad nami zimie i śniegach i straszliwej zamieci.

O parę mil daléj zatrzymano nas przy komorze celnéj; nieznaleźliśmy komendanta, a grzeczny jego zastępca nie bardzo piśmienny człowiek, z ochotą podpisał *wizy*, które się podobało na pasportach napisać mojemu koledze, i puścił nas z Panem Bogiem.

Tegoż dnia o zachodzie słońca spuściliśmy się na żyzną i bogatą dolinę Aconcagua i zajechaliśmy do domu naszego arriero we wsi Sta Rosa (villa de Sta Rosa). Wysypała się z domu gromada kobiet i dzieci najczuléj witających gospodarza. Bardzo niespokojną była o niego żona; „co dzień, rzekła paliłam u ołtarza Najświętszéj Matki na twoją intencyą świéce, żeby cię Bóg szczęśliwie przez Kordyliery przeprowadził.“ Przyszły téż wkrótce sąsiadki i żona jednego z naszych przewodników, która téż czyniła ofiary Bogu na szczęśliwy powrót męża. Na to im odpowiadali mężczyzni „le estimo mucho“ bardzo dziękuję.

20. Najęliśmy konie do Quillota, zkąd pan Lambert miał pojechać na parę dni do Valparaiso a ja czekać na niego.

Była to niedziela, czas pogodny; stępo przejechaliśmy przez miasteczko Santa Rosa i piękną dolinę Aconcagua, wpośród bawiącego się ludu. Dolina ta wydaje się bydź okrągłą; góry które ją otaczają były przykryte śniegiem, boki nagie, rozmaicie kolorowane, a na dole ciepło tak wielkie jak u nas w lipcu, i obfitość pomarańczowych drzew, suty winograd i ogromne drzewa figowe. Zasta-

nawiało mię że ów śnieg na górach wydawał mi się być tuż nad nami, kiedy na dole był nieznośny upał.

21 maja. Przenocowaliśmy pod gołem niebem w Heroica niedaleko miasteczka San-Felipe. W miasteczku było wiele żołnierzy, bębniono, bawiono się i strzelano. Po drodze do Quillota kraj czy téż dolina (bo tylko po dolinach tu ludzie żyją) zamożna. Widać piękne folwarki, wiele ogrodów i wszędzie jesienny dostatek: przed domami suszono na rozpiętych obrusach czerwony pieprz (aji) kukurudzę, fazole; na ścianach wisiały świeżo zebrane grona, a weseli ludzie zapijali *czyczę* czyli świeżo wyciśnięty sok z winogron i brząkały w gitary dziewczęta, śpiewały, bawiły się.

Liczne téż karawany mułów wolnych i obładowanych spotykamy i napędzamy po drodze. Tędy albowiem idzie wielki trakt handlowy do portu Valparaiso z prowincyi Aconcagua.

W skałach niedostrzegłem żadnych nowych gatunków nad te jakie po tamtéj stronie Kordylierów leżą. — Dojeżdżając do Portesuelo widać metaliczne żyły (guleny, i żelaza) między zielonym porfirem.

Byliśmy niedaleko Ocoa kiedy gęsta mgła podniosła się z zachodu i spoczęła na poprzecznych łańcuchach skał które od wyższego pasma Kordylierów schodzą. Powitaliśmy tę mgłę jako posłanniczkę Oceanu do przyjęcia nowych przychodniów.

Przenocowaliśmy w Ocoa, w ubogiéj chacie, gdzie nam dano na wieczerzę *czoklos* (choclos) to jest młodą kukurudzę przyprawioną z tłustością, cybulą &c.

22. W drodze do Quillota napędza nas pułk jazdy, wojsko ciągnące na wojnę przeciw Peru: ułani w kirysach, i karabiniery niewiedzieć jakich broni i ubrania — Półk ten miał raczéj wejrzenie świeżo zebranych powstańców, a liczba kobiet i dzieci na przedzie i z tyłu wojska wyròwnywała prawie liczbie żołnierzy.

Przybyliśmy do Quillota o południu.

23 — 26. Znalazłem tu do czterech tysięcy wojska zebranego na wyprawę przeciw Peru i Boliwii; od rana do wieczora musztrowano żołnierzy, trąbiono, bębniono, strzelano. Całe prawie wojsko w płóciennem ubraniu; w żołnierzach nie widać tego wigoru i siły co u nas na północy. Muzyka wojskowa powolna, nieco smutna, marsze tak powolne że nasz żołnierz zasnąłby na musztrach i w całem obejściu się i ruchu tego wojska coś tak monotonnego, spokojnego jak powietrze i pogoda tutejsza. Żołnierze też trzeźwi, cisi, oficerowie wolni od junactwa naszych ułanów i huzarów. W jednym *Waldywijskim* pułku widzieć można było nieco militarnéj postawy i męzkości; pułk ten przez wiele lat wojował przeciw sławnym z męztwa i zaciętości swojéj Araukanom i teraz zostawił granicę bezbronną od tych Indyan.

Wojna nie zdaje się tu mieć tego interesu co nasze. Była to już druga wyprawa, do któréj się gotowano; a pierwsza na niczem zeszła. Mówiono o przeszłéj wyprawie z obojętnością, o przeszłéj bez zapału, ni wielkiéj obawy.

Tworzyłem już sobie dobre wyobrażenie o powolności, posłuszeństwie, cierpliwości tutejszych ludzi, i tego cichego wojska, kiedy się dowiedziałem, że niedawno jeszcze, w témże samem miasteczku Quillota, toż samo wojsko gotując się do wyprawy, zbuntowało się, zabiło ministra Portales i rzuciło się na Walparajzo, gdzie pokonane od milicyi, wróciło do posłuszeństwa a kilkunastu oficerów rozstrzelano.

Niemasz tu za górami, pomyśliłem sobie więcéj pokoju i spokojności co u nas na dawnym lądzie.

Quillota jest piękne i jedno z najdawniejszych miasteczek w Chili; składa się z jednéj ulicy, calle larga więcej niż na milę rozciągniętej, a cała piękność pocho-

dzi od wielkiéj liczby ogrodów, które całą ludność portową w Valparaiso opatrują w owoce. Nigdzie tak wysokich pomarańczowych drzew niewidziałem jak tu; wyborne jabłka są tegoż samego gatunku co nasze zimowe, w tymże samym czasie tu dojrzewają, w którym u nas kwitną; winogrona tak dobre jak w Mendoza; a oprócz tego widać tu krajowe drzewa *lukumy* (lucumas) czyrymoje (cheremoyas), piękne palmy chilijskie o małych kokosowych orzechach.

Po szerokiéj, podługowatéj dolinie szumi w wielokrotnych odnogach i zakrętach rzéka, ta sama, która od ujścia Vio Colorado bierze nazwisko Rio Colorado, i to nazwisko, od doliny Aconcagua zmienia na inne Vio Aconcagua, a od Quillota aż do morza nazywa się Vio de Quillota.

Tu pierwszy raz na pokładzie Kordylierów obaczyłem prawdziwy granit z miki felspatu i kwarcu złożony; w zetknięciu się tego granitu z porfirowemi massami, leżą tutejsze kopalnie złota i miedzi. — Na środku doliny w samém prawie miasteczku podnosi się granitowe wzgórze poprzerzynane żyłami z takichże samych porfirów jakie do składu głównego pasma Kordylierów należą. Godna jest uwagi, że w tych żyłach porfir i eurytowa skała w podobny sposób na tablice i graniastosłupy dzieli się, jak owe wielkie pokłady porfiru w górach podzielone widzimy na pozorne warstwy i ławice. Zkąd wypada wnosić — 1° że porfir tutejszy jest skałą późniejszéj formacyi od granitu i z pod granitu podnosi się — 2° że wiele skał na pozór warstwowanych tegoż samego utworu jest i takiż sam miało początek co owe żyły w granicie — 3° że w zetknięciu się granitów z porfirami potworzyły się metaliczne żyły takąż zapewne *drogą* jak się potworzyły metaliczne żyły po wielu miejscach dawnego lądu w zetknięciu się *późniejszych* i *przechodowych* pokładów ze skałami ogniowego utworu.

26. Po trzy dniowym odpoczynku ruszyłem daléj do Coquimbo. Z trudnością dostaliśmy tu parę koni i mulicę pod bagaże do pierwszego miasteczka. Ludzie albowiem tutejsi nawykli tylko jeździć do Valparajzo, i żadnych nie mają stósunków z Coquimbo, dokąd jeszcze więcéj sta mil mieliśmy drogi.

Jedziemy naprzód na północ doliną Quillota, z któréj weszliśmy na dolinę Purutu całą prawie należącą do jakiejś bogatéj właścicielki mającéj kilka tysięcy koni i bydła. Znalazłem tu lasy z drzew tak wysokich jako dęby i lipy nasze. Ogromne drzewa *peumo* były okryte czerwonemi owocami wielkości jakoby żołędzi, a te owoce prz egotowane w wodzie służą mieszkańcom za żywność ich smak niedobry i mało pożywienia dają.

W Purutu na noclegu, miałem czas rozpatrzyć się w jednym pokładzie jakoby porfirycznego *tufu* czy agregatu, który na pierwsze wejrzenie zdaje się być piaskowcem, ale blisko ztąd przechodzi w brzesze porfiryczne, takież same jakie na wysokich cyplach gór z obu stron Kordylierów napotykamy. Przy tym pokładzie leży massa szczególniejszego porfiru, który zamiast w tablice i graniastosłupy dzieli się w okrągławe buły i ziarna, w podobny sposób jak się dzielą naturalnie bazaltowe i trachytowe skały na Maderze, w Owernii i innych krajach.

27. W Purutu zmuszeni byliśmy wziąść pocztę, albowiem nieznaleźliśmy ktoby nam najął konie aż na miejsce. Płaci się tu po realu na milę za konie pocztmistrzom, ale z przyczyny że każdy prawie jeździ swojemi końmi rzadko gdzie można znaleźć koni na poczcie.

Jakoż mieliśmy już ambaras w Ligua gdzie nam z trudnością odmieniono konie. Większy jeszcze ambaras mieliśmy z pieniędzmi. Nikt bowiem niechciał odmienić nam *uncyi*, którym rząd tutejszy naznaczył cenę 17 piastów i 2 reale, wyższą nad ich wewnętrzną wartość.

Po długich zabiegach i niemałéj stracie odmieniono nam w Ligua 3 uncye, ale niedobrzy ludzie dali nam w zamianę kolombijskie szkudy (esendos) które tutejszy rząd właśnie był zabronił przyjmować.

W przejściu z doliny Purutu na dolinę Ligua widać wysokie lasy, poplątane ową pasożytną rośliną *Diana* która w kształcie powrozów czepia się z drzew na drzewa.

Wyjechawszy z Ligua o parę mil obaczyłem z wierzchołka jednéj wyniosłéj góry, o godzinie czwartéj nad wieczór Ocean Spokojny, ostatni kres mojéj podróży na zachód, i ostatnie wielkie zjawisko.

28. Przenocowaliśmy na brzegu Oceanu w la Punta de la Balena przy szumie rozbijającej się fali.

Droga ztąd idzie po nad samym brzegiem, porosłym aloesami i wyschłym od całorocznéj suszy. O milę od noclegu znaleźliśmy szkielet wielorybi a w koło niego mnóstwo sępów czarnych i kondorów.

Daléj nieco pokład czarniawéj, zbitéj skały, podobnéj do *przechodowego* łupku schodzi aż do morza i na samym brzegu mina złota, od niedawnego czasu zalana. Ze zwaliska gruzów które z téj miny pochodzą wnoszę, że sama mina leży w granicie pod ową skałą łupkową. Czem jest właściwie mówiąc ta skała, warstwowanym pokładem formacyi wodnéj, czy też takiéj saméj natury co porfirowe i eurytyczne pokłady, tylko bardziéj zbita, drobniejszego i jednostajnego ziarna, jakoby dla tego, że daléj od Kordylierów i w stanie bardziéj płynnym wyrzuconą została, — na to chyba po dłuższéj rozwadze, i długim pobycie w tym kraju odpowiedzieć przyjdzie.

Dojechaliśmy tego dnia do Quebrada Negra, krajem suchym, ubogim, do żadnego kraju niepodobnym. Czarne i szarawe skały od wschodu, błękitny od zachodu Ocean, a środkiem brzeg piaszczysty, na którym i dźbła trawy nie widać. Na tym brzegu rosną miejscami potężne aloe-

sowe krzaki z pokręconym liściem i poschłemi wiechami, rozmaite gatunki kaktusów i gdzie niegdzie niska mimo za i jakiś krzew sączący żółtą pachnącą żywicę, która się zbiera na kadzidło do kościołów. Niskie, ubogie chaty czernią się na gorącym piasku, a ludzie tutejsi myją złoto, pasą kozy i łowią ryby, są razem górnikami, pasterzami i rybakami i ten potrójny przemysł zaledwo im wystarcza na życie — Za to pod pięknėm niebem żyją, nieznają zimna ni złych sąsiadów, a w każdéj chacie słychać gitarę i śpiew czarnowłosych dziewcząt.

29. O parę mil od Quebrada Negra rzucamy brzeg morski a bierzemy się w górę dla poczt które po większych tylko gościńcach z miasteczka do miasteczka idą. Jedziemy doliną de las Vacas, na któréj widać jak ów granit ciągnący się po zabrzegi Oceanu wzębia się między wyższe porfirowe ciągi. Granit ten w zetknięciu się z porfirem, kruchy jest, rozpadający się na żerstwę i miejscami zamyka w sobie żyły złota, na dolinie zaś w łożyskach strumieni widać tu i owdzie granit trwalszy, twardy, z białego felspatu, kwarcu, czarnéj miki i amfibolu złożony. Piasek pochodzący z rozpadania się granitów na téj dolinie i w jéj zakrętach na morzu ma być prawie wszędzie przemieszany złotem, i dla tego wiele tu jest płuczkarni (lavaderas) złota, a lud ubogi. — Za temi kopalniami złota wyżéj nieco leżą kopalnie miedzi, już w porfirze, przynoszące stokroć więcéj od kopalni złota i stanowiące prawdziwą zamożność górników.

Przenocowaliśmy w Pinta Cura u jednego gospodarza rolnika, właściciela min złotych, kupca na wino, chleb &c. najemnika mułów i pocztmistrza; a przytém liberalistę, żyjącego tak ubogo jako nasi wieśniacy, starego kawalera i nieco filozofa.

30. U niego najęliśmy konie za cenę pocztową aż do Cogoti o 30 mil od noclegu.

Po drodze do Illa Pel widać niewysokie, przypłaszczone wzgórza z miękkiego, rozpadającego się na żwir granitu, wpośród którego sterczą twardsze żyły porfiryczne lub téż kwarcowe zbite, z ziarnami felspatu i drobnéj miki. Żyły te działaniem powietrza, i zapewne od własnego ciężaru i trzęsienia ziemi pękają, rozpadają na rozmaitéj wielkości kamienie, które, rzecz dziwna, przez samo działanie powietrza rozpadają, rozkładają się i cienkiemi warstwami (porcouches concentriques), zaokrąglając się jakoby kamienie otarte od płynących wód w potoku. Stosy takowych kamieni na wzgórzach wpośród żwiru i piasku, nadają im wejrzenie gór napływowych, naniesionych przez wodę; kiedy tym czasem pokład ten utworzył się na miejscu drogą raczéj *powietrzną* że tak powiem niż wodną.

Pod Illa Pel kopalnie żywego srebra, ubogie, mało przynoszące — miasteczko pięknie położone nad strumieniem, porządniejsze i prawie tak wielkie jak Quillota.

Jedziemy ztąd *podłużną* doliną de los Hornoz ciągnącą się w kierunku NNE aż do Iglesia. Nie było i kropli wody w strumieniu, kraj suchy, bezludny, gdzie niegdzie tylko widać kozy po skałach i miejscami, małe, jakoby wysepki zielone kędy się nieco pożywnéj wilgoci sączy między rozpadliną. Jadąc w górę, widzimy po lewéj stronie przypłaszczone góry, po prawéj zaś od Kordylierów, skały stromsze porfirowe, na których błyszczą wpośród pustyni malakitowe i żółte, pirytowe, jakoby złotem natykane żyły. — Nie napotkasz tu nikogo prócz górników, którzy zamiast pończy ostrogów i żółtego kapelusza, mają czerwone płaskie czapeczki, czarne nakształt habitów koszule, otwarte piersi i na nich krzyże i różańce.

Ciemna noc zastała nas między górami. Zbłąkani, obaczyliśmy wysoko nad nami migające światło, do którego z wielką męką po zwaliskach skał dostaliśmy się. Było to nie wielkie *rańczo* (chata górnicza) w którém kilkadziesiąt górników obchodziło jakąś uroczystość, a wszyscy podchmieleni skakali i śpiewali przy akordach nienastrojonéj gitary. Opodal było drugie rańczo, mieszkanię dozorcy min, czy jak tu zowią *Majordomo*, który nas uprzejmie przyjął, dał wieczerzę i pozwolił przenocować.

Były to kopalnie miedzi *de los Hornos*: położone już tak wysoko, że w tém miejscu często śnieg pada w miesiącach zimowych lipcu i sierpniu. Żyły miedzi jak z opowiadania dozorcy i ciągu górniczych robót wnoszę mają kierunek N — S odpowiedni kierunkowi głównego pasma Kordilierów, i prawie prostopadle zapadają.

31. Tego dnia dojechaliśmy do Cogoti nieodmieniając koni, krajem bezwodnym, i nigdzieśmy niedostali ani odrobiny paszy dla koni, które przez dwa dni były bez obroku a niezdawały się być zmęczone.

Zajechaliśmy po drodze do jednego obywatela, człowieka bogatego właściciela min, winnic i razem kramarza. Miał trzy córki panny na wydaniu, a sam przyjaciel bezżeństwa, bardzo powstawał na śluby tegoczesne; miał dobre wino, biały chleb, wyborną kuchnię.

Niemasz w tym kraju karczem, ni oberży, ni gościnnych domów; za to ludzie są gościnniejsi, niżli po wspaniałych traktach we Francyi. Zatrzymaliśmy się na noc w jednym folwarku niedaleko Cogoti u ludzi dostatnich. Zaproszono nas do pokoju; znaleźliśmy gości i niemałą kompanią domową. Mężczyzni grali w karty, kobiety siedziały na ziemi na rozesłanym kobiercu, dzieci i ksiądz kapelan dominikan bawili się na stronie. Dano naprzód herbatę i rozmowa toczyła się o górnictwie w takiż

sposób jak u nas o gospodarstwie: jaka cena miedzi w porcie, jaka cena w Europie, po czemu Pan N. przedał miedź swoją, dla czego cena spadła. Wiele kruszcu daje kopalnia Pana N., co się zdarzyło w kopalni tutejszej, jaki piec jest lepszy i t. p. Po czem, najstarszy gość, rządca (gobernador) z pobliskiego miasta Combarvala odjechał, ksiądz dominikan udał się do spoczynku, a nas poproszono na wieczerzę. — Półmiski i talerze były ze srebra niezgrabnéj roboty, potrawy mało się różniły od naszych i całe przyjęcie było jak u nas, wyjąwszy, że kobiety przez cały prawie czas siedziały na ziemi, jejmość paliła cygaro, a u stołu wszyscy piliśmy z jednej szklanki.

Po wieczerzy odprowadził nas gospodarz do sypialnej izby, położonej w pobliskiem budynku mającym formę jakoby naszych szpichlerzy; nazajutrz zaś po kawie i po śniadaniu, widząc, że p. Lambert śpieszył do swojej familii, dali nam uprzejmi gospodarze trzy konie i mulicę, darmo, bez najmniejszej nagrody, do dojechania czem prędzej do Coquimbo.

1 czerwca. Spuściliśmy się doliną Cogoti, i mieliśmy nocleg w jednej ubogiej chacie u Górników o 30 mil od Coquimbo.

2 czerwca. Przejechaliśmy przez miasteczko powiatowe Tuki. Zastanowiła mię forma tutejszej doliny, podobneż piętra w swoim utworze zachowująca jakie widzieliśmy na owej dolinie po tamtej stronie Kordylierów między Uspalata i las Vacas: z tą różnicą, że dolina Tuki (Tuqui) jest szersza; najwyższe piętro czyli poziom dawniejszéj doliny rozległy, w kształcie wyniosłej płaszczyzny (plateau) a od tej płaszczyzny ku dzisiejszemu korytu dają się wyraźnie odznaczać dwa a może trzy spadki czyli gradusy, odpowiadające zapewne tyluż epokom wielkich wstrząśnień i odmian w historyi Kordylierów.

3 czerwca. — Przybyłem do Coquimbo w dzień Zielonych Świąt o godzinie 4téj po południu. Nazajutrz o tejże porze było wielkie trzęsienie ziemi, i zapadł kościół w Recoleta o 20 mil od Coquimbo.

Koszta podróży z Mendozy, przez Kordyliery do Coquimbo.

(Na dwóch).

	Piast.	Reale
Mendoza. Za wizowanie paszportów	3	—
Właścicielowi mułów (ariero) za przeprawę, przez góry aż do Sta Rosa (mil 94)	21	—
Za obiad, wieczerzę i nocleg w Mendoza	2	—
Mięso suszone, chleb, beczułka wina &c. na drogę	3	4
Uspallata. Wieczerza, nocleg, — i za barana, cybulę, achi &c. na drogę. . . .	2	—
Sta Rosa (po drugiej stronie Cordilierów). Wieczerza, nocleg, obiad	1	7
Za najęcie koni z Sta Rosa do Quillota (mil 17 do 20)	10	—
W drodze do Quillota, dwa noclegi, owoce, mleko obiad	1	5½
Quillota. Trzy doby w oberży, jako też cukier, chleb na drogę	6	6
Opranie bielizny	1	—
z Quillota do Purrutun mil 8 za najęcie 3 koni	4	—
wieczerza	—	5½

			Piast.	Reale
z Purrutun do Ligua	„ 6	za 4 konie poczt.	3	—
		straciliśmy na przemianie uncyj . .	1	4
z Ligua do Punta de la Balena	„ 8	za 3 konie poczt.	3	—
		wieczerza, wino, chleb	—	6½
z Punta de la Balena do Kilimary . . .	mil 6	za 4 konie poczt.	3	—
z Kilimary do Quebrada-Negra . .	mil 5	za 3 konie poczt.	1	7
		wieczerza, nocleg	1	1½
z Quebra-Negra do Pinta-Cura . .	mil 12	za 4 konie poczt.	8	4
		wieczerza, wino, &c.	2	1
z Pinta-Cura do Los Hornos . . .	mil 18	za 4 konie poczt.	9	—
z Los Hornos do Cogoti	„ 12	za 4 konie poczt.	6	—
z Cogoti do Coquimbo	„ 50	w drodze na popasach	1	5½
W ogóle podróż z Mendozy przez Cordiliery do Coqimbo . . .	mil 229	koszta podróży .	96	1½
Dodane do tego koszta podróży z Buenos Ayres do Mendozy . . .	mil 315	koszta na dwóch	180	7
podróż lądowa	mil 544	koszta na dwóch	277	½
		na każdego z osobna..	138	4

Koszta podróży z Paryża do Coquimbo.

(Na jednego).

	fr.	sot.	liv.	shi.	pen.	pia.	real.
Podróż z Paryża do Boulogne.	91	10	—	—	—	—	—
Boulogne do Londynu . . .	—	—	3	2	—	—	—
Pięć dni w Londynie	—	—	2	5	3	—	—
Droga z Londynu do Falmouth	—	—	9	10	6	—	—
z Falmouth do Rio-Janeiro . .	—	—	53	10	—	—	—
z Rio-Janeiro do Buenos-Ayres	—	—	21	—	—	—	—
Wydatki po oberżach na Maderze, w Rio-Janerio, w Monte Video i Buenos-Ayres . . .	—	—	—	—	—	11	4
z Buenos-Ayres do Mendozy. .	—	—	—	—	—	90	3½
z Mendozy przez Cordyliery do Coquimbo	—	—	—	—	—	48	½
w ogóle . . .	91	10	89	7	9	150	

Redukując funty sterlingi i piastry hiszpańskie na franki podług ówczasowego kursu, to jest 25 fr. 10 sol. za funt sterling 5 fr. za piastr.

Wynoszą koszta podróży z Paryża do Coquimbo franków 3076 co uczyni około 5125 złotych polskich.

KONIEC *).

*) Tutaj się kończy rękopism dziennika podróży z Paryża do Chili p. Ignacego Domejki przesłany ś. p. Adamowi Mickiewiczowi. Sądzimy, że sprawimy przyjemność czytelnikom naszym, gdy ciekawy ten opis dopełniamy wyjątkami z późniejszej jego korespondencyi znalezionéj w papierach pozostałych po nieodżałowanym naszym poecie. (*Przypisek Redakcyi*).

WYJĄTKI Z LISTÓW

Ignacego Domejki do Adama Mickiewicza.

Coquimbo, 25 lipca 1838.

Masz oto list i z Chili. Przybyłem tu w dzień Zielonych świątek a nazajutrz było wielkie trzęsienie ziemi. Życia mojego nie wystarczy na podziękowanie Bogu że mię zdrowego zachował i w owéj długiéj żegludze na Oceanie i w prędkim przelocie przez pustynie Pampa między Indyan i Gauczów, i w przejściu przez zasypane śniegiem Kordyliery..... Nakoniec dojechałem do Coquimbo. Wieść o przybyciu chemika rozbiegła się po mieście. Gubernator czyli intendent prowincyi i najpierwsi panowie przyjęli mię z dziwną grzecznością i uszanowaniem, a nie było człowieka któryby o czém inném mówił jak o minach, o kopalniach, a mianowicie o jednym kruszcu który tu wszystkim zawraca głowę: albowiem mają go wiele, błyszczy jak srebro, a nie wiedzą jak z niego srebro wytopić. Kruszec ten, zwyczajna nasza *galena*, uchodzi tu pod nazwaniem *sorocze*. Za wielką obfitością bogatych kopalni nie dawano nań uwagi i niemasz dwóch lat jak widząc p. L. kopiącego to sorocze, rzuciło się wielu górników do naśladowania go; jeden przed drugim szedł na wyścigi, i poniesiono niemało kosztów, nakopano wiele sorocza a nikt nie wiedział co z tém począć. Wiedzieć potrzeba że pospolicie brano tu chemią za sztukę wytapiania srebra, złota i miedzi, a chemik (quimista) u ludzi tego kraju był coś wyższego niżli u nas najmędrszy człowiek. Nie było

zatém trudno panu L. którego tu mają prawie za chemika, namówić tutejszych rządców do sprowadzenia chemika i mineralogisty — to ostatnie słowo podwyższa o całą oktawę ton poprzedniego. Postanowiono założyć wielkie laboratoryum w kollegium, dano 3000 piastrów na sprowadzenie mnie i takiego laboratoryum. Niecierpliwie tedy czekano naszego przybycia, a za przyjazdem powitano mię jak nadzwyczajnego człowieka. Na nieszczęście nie wiedziałem co to wszystko znaczy. Każdy mię pytał o sorocze, o wielkiéj reformie i rewolucyi jaka ztąd wyniknie, o korzyściach dla ludzkości, o nadziejach jakie we mnie kraj pokłada. Pytano mnie kiedy zacznę piece stawiać i jak prędko wezmę się do roboty; a kiedym przekładał potrzebę i ważność nauki, jéj wyższe przeznaczenie i jéj godność, mnie się zdaje że mnie nie rozumiano a język mój wzięto za język figuryczny, najświeższéj europejskiéj cywilizacyi. Spostrzegłszy po niejakim czasie że tu nie tyle o naukę, o oświatę, jako raczéj o srebro, o robienie srebra chodzi, zacząłem tłumaczyć co to chemia, mineralogia, jak ich się uczyć, a na przekorę im mniéj im przyrzekałem pieniędzy, srebra, tém zdaje się więcéj jeszcze liczono; albowiem ciżba spekulantów i szarlatanów, którzy ten kraj od dawna nawiedzają, tak nazwyczaili byli tutejszych mieszkańców do wielkich przyrzeczeń nigdy niedotrzymywanych, że im mniéj przyrzekałem tém coś mędrszego widziano w moich planach i zamiarach. Nie łatwo było wybrnąć z tego nieporozumienia. Żeby powoli przygotować umysły małych i starszych do tego co mam robić, uprzedziłem intendenta i przedniejszych obywateli że do zrozumienia chemii potrzeba pierwéj umieć fizykę i że od fizyki zacząć muszę; że zaś o fizyce mniéj tu mówiono niż o chemii i nazwanie nauki wcale niepospolite, publiczność została w niepewności i oczekiwaniu; wyglądaliśmy tylko okrętu na którym machiny i narzędzia

przybyć miały potrzebne do rozpoczęcia kursu, kiedy tymczasem wyprawa wojenna do Peru odwróciła na chwilę uwagę w inną stronę. Dwadzieścia okrętów naładowanych wojskiem przybyło tu z Valparaiso i czekają na więcéj niż drugie tyle żeby się razem rzucić na Santa Cruza naczelnika dwóch Peru i Boliwii. Polityka zagłuszyła na czas exploatorów sorocze, dała pokój chemii, a ja przedstawiłem intendentowi mój plan do postawienia laboratorium, gabinetów i szkoły, bo na to miejsca nie znalazłem w tutejszém kollegium. Wyglądam niecierpliwie okrętu na którym nasze rzeczy i laboratorium, jestem bez książek i narzędzi, ale mam już konia i zwiedzam kopalnie, poznaję się ze skałami tutejszemi i przygotowywam mój kurs po hiszpańsku. Klima tutejsze jakkolwiek pogodne nie jest zdrowe, powietrze wilgotne, mgły od morza dość chłodne i wszyscy tu chodzą w płaszczach i w płaszczach oddają wizyty. W dzień jednak ciepło jak u nas o téj porze, chociaż jesteśmy tu w połowie zimy. Dwa razy już od mego przybycia deszcz padał i wkrótce ma nastąpić najpiękniejsza pora roku, w któréj wszystkie doliny i wzgórza kwiatami mają być okryte. Piękny krzak róży przed memi oknami kwitnie przez całą zimę, heliotropy, hiacynty i rozmaitéj barwy krzewy po parowach i nad brzegami morza już rozkwitły, pomarańcze wkrótce dojrzeją, europejskie tylko drzewa, nasze jabłonie i topole bez liści... Dziennik podróży mojéj z Paryża do Coquimbo dosyć obszerny prześlę tobie jak mi się zdarzy pewna okazya.

1 listopada 1838 **Coquimbo.**

...Już dom postawiony i za tygodni cztery spodziewam się mieć laboratoryum ukończone. Rozpocząłem

kurs fizyki, mam dwadzieścia górą uczniów a wszyscy bardzo pilnie słuchają a lada doświadczenie tak ich bawi że się nie posiadają z radości. Trzy razy na tydzień o południu poczynam lekcyą a przez drugie trzy dni uczniowie piszą i powtarzają. Największa trudność z językiem prawie przezwyciężona. Dotąd nie mam powodu skarżyć się na tutejszych ludzi, chociaż europejczycy tu ich prześladują i niemi poniewierają. Miasto nudne, mieszkańcy ani gościnni ani towarzyscy ale niezłośliwi, nieuprzykrzający się, niekłótliwi, i w istocie można tu żyć spokojnie, a jeżeli kiedy sobie przykrzę w Coquimbo to raczéj z zupełnego braku wszelkiéj przyjemności towarzyskiéj

Coquimbo 19 marca 1839.

...Zwiedziłem tego lata Kordyliery i kilka znaczniejszych kopalni; więcéj sta mil wyjeździłem po skałach i pustyni; znalazłem morskie konchy wyżéj niż na 8000 stóp nad poziomem morza i widziałem śród najdawniejszych kopalni złota, cudowny kościół N. Panny Audacollo do którego jak u nas do Żurowic ciągną ze wszystkich stron górnicy na odpust. Murowany kościół i nie wielka przy nim mieścina jest ze *złotego piasku,* to jest ze ziemi i piasku, po którym złoto w drobnych cząsteczkach i ziarnkach tak skrzętnie i sztucznie jest rozsiane że na nie żaden bogacz ni spekulant niepołakomił się, a tylko ubogie familie górników z niego żyją, myjąc ten piasek i z niego codziennie wydobywając tyle tylko czystego metalu, ile im potrzeba na skromne a przystojne utrzymanie się. Ztąd cała płaszczyzna i okoliczne góry w koło tego kościoła, poryte są i pokopane, i jak wieść niesie, kopalnie te były już znajome Indyanom przed odkryciem Ameryki. Owóż jakoby w sto lat po jej odkryciu, wybudowano tu kaplicę, a potém

niewiadomo zkąd przyniesiono statuę P. Maryi; kaplica zgorzała, a na jéj miejscu wybudowano kościół, naprzód niewielki, potém większy o dwóch wysokich wieżach. Święto tutejsze przypada na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Wtenczas gromadzą się tu górnicy zewsząd i nieraz bywa ich do 10,000 a ofiary z dobrowolnych ofiar złożonych na ołtarzu dochodzą 40,000 franków. Odpust bardzo podobny do naszych: gromady ludzi, ogniska w koło kościołka, przy nich uwiązane konie, tłomoki; mnóstwo księży, panowie i damy wystrojone. Tylko kupiectwa mniéj i między pospólstwem mniéj pijatyki. Byłem na takim obchodzie święta. Z wieczora był fajerwerk i bal u promotora bractwa różańcowego. Nazajutrz celebrował mszę biskup tutejszy, a o południu wielka processya. Słońce było u zenitu i pionowemi promieniami rozrzucało niewypowiedzianą jasność po złotym piasku i okolicznych skałach, kiedy ukazała się we drzwiach kościoła cudowna statua N. Panny cała jaśniejąca od brylantów i złota. Dziwny ruch, radość i życie obudziły się w pospólstwie napełniającém duży plac po którym szła procesya. Daly się widzieć gromady ludzi, fantastycznie ustrojonych, którzy poczęli tańczyć przed obrazem i brząkać w gitary, bębny, grzechotki i grać na piszczalkach. Każda gromada miała swego naczelnika który tańczył z chorągwią lub też z szablą, a drudzy za nim parami podskakiwali i trzepali w takt, z taką powagą, pobożnością i w porządku, iż rzekłbyś że do spowiedzi idą. Ich ubiór niewiedzieć zkąd wymyślony: na głowach mieli ostrokrężne wysokie turbany, złotem i błyskotkami upstrzone z których wierzchołka, tysiące różnokolorowych wstążek rozlatywało się po nich, a z pod turbanów, spadały długie atłasowe, lub białe muślinowe szale, które im część twarzy okrywały i po ramionach spadały i dochodziły prawie do ziemi; reszta ubioru biała i białe trzewiki, tylko na

piersiach i u pasów mieli różowe lub amarantowe szarfy, a w rękach grzechotki lub instrumenta do grania. Między temi bogato ubranemi gromadami, snuły się i tańczyły inne, daleko ciekawsze. Byli to biedni, ubodzy indyanie, miedzianéj twarzy, grubego, stérczącego włosa w czarnych płaszczach... *(dalszy ciąg listu zatracony)*.

Coquimbo 7 czerwca 1839.

...Nie widziałem tu ani jednego polaka, gazety niedochodzą, obłoki nawet które od waszéj strony ciągną przez pustynie Pampas, nie mogą przejść przez Kordyliery, zatrzymane u wiérzchu gór przez tameczne zimno i burze. Nawykło już ucho moje do oceanowego szumu, patrzę spokojnie na palmy, kaktusy, lukumy, na przelatujące kondory i papugi; mieszkaniem mojem laboratoryum, gdzie niejedna północ zastaje mnie przy tyglu lub retorcie smażącego dziwnie ciekawe kruszce tutejsze. Jakże odmienny tu czas i życie od całéj mojéj przeszłości. Otacza mię jednostajność, cichość a może prozaiczność jak wy tam nazywacie. Nie widać tu nigdy naszych chmur czarnych, ni błyskawic, ni tęczy; nikt w życiu swojém nie słyszał grzmotu; przez jedenaście miesięcy jesteśmy bez deszczu; rankami tylko niebo ociągnięte mgłą nadmorską, potém się rozpogadza, a od czasu do czasu trzęsienie ziemi i huk przytłumiony w Kordylierach ostrzegają ludzi o jakiemś piekle podziemném. Wyborne to miejsce dla wypoczynku, gdyby człowiek był panem swojéj spokojności, ale nieraz kiedy się najmniéj spodziewa zachmurzy się dusza i jakaś tęsknota uchwyci za serce, że prawie do niewytrzymania życie. Może też dla tego czasem zły czy dobry duch odprowadzi człowieka daleko od swoich, żeby go na coraz cięższe próby narazić. Najgorsza że nie masz przyja-

ciela, nie masz z kim w złéj czy dobréj doli pomówić, poskarżyć się lub pocieszyć. Najmilsza godzina, jedyna w któréj znowu nabieram siły i humoru, i zdaje się bliżéj was jestem, przypada zazwyczaj w święta, kiedy te same co u nas obrządki kościelne, odnawiają w pamięci kraj i dom mój kochany. Od czasów szkolnych moich, nie odbyłem wielkiego tygodnia tak uroczyście jako to ostatni raz z uczniami, z dziećmi i nie zapomnę nigdy wrażenia jakiego doznałem kiedy w wielkopiątkowe nabożeństwo, wieczorem, lud był zebrany na ulicy i słuchał kazania o Męce Pańskiéj, gdy nagle księżyc powlókł się obłokiem, ciemno się zrobiło i tegoż momentu mocne trzęsienie ziemi przypadło, jakiego od dawnych lat nie pamiętają. Płacz powstał okropny, ludzie padali krzyżem na ziemię i bili się w piersi wołając: miłosierdzia! miłosierdzia!—W tych dniach była processya Bożego Ciała tak uroczysta i poważna jako nasze wileńskie, z tą tylko różnicą że zamiast Wilii i Zamkowej góry połowa horyzontu leżała na Oceanie spokojnym a druga była opasana Kordylierami i brakło naszych poczciwych cechmistrzów, którzy w kontuszach i żupanach z chorągwiami idą na przodzie.

Coquimbo 20 kwietnia 1840.

Drugiego dnia po napisaniu ostatniego listu (27 stycznia) byłem już na pustyni. W dużym z gajakwilskiéj słomy kapeluszu, w białém czerwonemi pręgami natykaném *pończo* (płaszczu), przy kolczastych brzęczących ostrogach, ciągnąłem na północ po nadbrzeżu Oceanowém, odwracając oczy od pieczącego piasku to ku błękitnemu morzu, to ku szarawym w tysiączne kolory mieniącym się Kordylierom. Za mną jechał mój *moso*

(służący) w ponsowym płaszczu, miedzianéj twarzy, popędzał ujuczoną mulicę i dwa na odmianę konie.

Wiedzieć potrzeba, że na całéj przestrzeni, więcéj sta mil franc. ztąd do Copiapo, jedna tylko dolina Huasco leży zaludniona, a reszta kraju sucha, skamieniała, prawie zupełnie z wegetacyi odarta. Dwie drogi a raczéj ścieżki udeptane kopytami koni i mułów idą tym szlakiem; jedna nadbrzeżna, nieco weselsza; co kilka lub kilkanaście mil widać zdrój brudnéj słonawej wody, ubogą chatę i kilka drzew — druga idzie górami suchsza i zupełnie odludna. By za jednym zachodem obejrzeć całą prowincyą północną Chili, pojechałem drogą nadbrzeżną a wróciłem górami.

Nie łatwo ci opisać, co to jest ta pustynia amerykańska, która po nadbrzeżu tutejszém ciągnie się prawie nieprzerwana, przechodzi przez owo sławne z suchości swojéj Atukama i opiera się o Peru i Boliwią. Bardzo się ona różni od owych pustyni afrykańskich i azyatyckich na płaszczyznach okiem nieprzejrzanych rozwalonych. Tu widać same góry, skały, parowy suche, czarne, i gdzie niegdzie krzew posechły, jakoby wysmolony od niedawnego pożaru. Nie ujrzysz żadnych ptasząt, ni motylów, ni owadów; niekiedy tylko czarne sępy z ponsowemi jakoby we krwi powalanemi głowami napotkasz przy ścierwie, opasłe i ledwie dyszące od żeru. Zlatują one z dalekich gór nęcone węchem zdechłych w podróży bydląt i niedługo tu popasają. Czasem na górze między kolczastemi kaktusami i aloesem, dojrzysz wyniosłą szyję guanaka, nieporuszoną, jakby skamieniałą, takiegoż koloru co skała. Poważne to zwierzę, ciche, piękne, zdaje się dziwić ludziom i nie jest lękliwe; a kiedy znęcone głosem podróżnego idzie powoli w stronę, podnosi od czasu do czasu swoję małą główkę, obziera się i zdaje się być bezpieczne w swoim własnym domu. Jestto wielbłąd tutejszéj pustyni, po-

dobny do niego z kształtu i natury swojéj i jeśli się nie mylę spokrewniony z nim u zoologów, téjże saméj familii co lama, vigonia i alpaca.

Rzecz jednak dziwna, jak w pośród posuchy i całéj skamieniałości obrazu, urozmaiconą widzisz naturę w dziwactwie form i kolorów swoich: rzekłbyś że on wielki budowniczy stworzył umyślnie tę krainę na pokazanie, że i bez roślin i bez zwierząt, świat jeszcze może być ciekawy i nieszpetny. Tu widzisz łańcuchy okrągłych granitowych mass, przeświecające kryształami miki i amfibolu, pocięte żyłami złotych i żelaznych kruszców, pozłocone jorytem lub zieleniejące grynszpanem; owdzie ucięte wierzchy i urwiska prawie prostopadłe odsłaniają porfir, dzieło najwytworniejszéj sztuki i przepychu. Daleko ku Kordylierom widać ciągnące się wały jakoby we wstęgi pomalowane, a daléj jeszcze rozmaitego kształtu kopuły i igły bielejące od śniegu i jakby kominy starożytnych wulkanów. Tu leżą zwaliska ogromnych jako domy nasze runionych kamieni, opodal, poszczépane góry i jakoby walące się ściany nad przepaścią, a tuż poziome warstwy białych, jakoby dziś złożonych muszli, na kilkaset stóp nad morzem: prawdziwa roskosz i uciecha dla geologów.

W pośród tych monumentów wielkich wstrząśnień i zaburzeń ziemi, widać snujące się między ogromnemi górami rozległe płaszczyzny, równe, gładkie, piaszczyste, na kilkanaście mil długie, na 3 do 4 mil szerokie, jakoby siedlisko dawnéj spokojności. Płaszczyzny te ciągną się w kierunku odpowiednim kierunkowi Kordilierów i znane są u podróżnych pod nazwiskiem *Travesias*; zaczynają się jeszcze z téj strony Huasco a główny ich ciąg jest na drodze z Treirina y Vallenar (dwóch miasteczek na dolinie Huasco) do Copiapo.

Jedną taką travesia więcéj niż 20 mil długą przebyłem ostatniego dnia podróży do Copiapo. Wyjechałem

o świcie z noclegu, który, jak się domyślisz, nie w wygodnéj niemieckiéj oberży, ale pod gołem niebem, niedaleko mętnego zdroju słonawéj wody odbyłem. Mgła gęsta pokrywała doliny a od niéj wierzchy tylko poprzecznie ku morzu spuszczających się skał wolne były. Z jednéj z takich skał spuszczałem się właśnie na oną płaszczyznę gdy wiatr od morza poczynał mgłę rozpędzać. Cała powierzchnia migała się jakby poburzoną falą a przez godzinę jeszcze cienie od rozchodzących się obłoków snuły się po piasku. O południu zaskwarzyło słońce tuż nad głową: — u końca równiny we wschodnio-południowéj stronie łańcuchy gór jakoby przecięte były takimże tłem i takąż przeźroczystością co niebo; niedotykały ziemi, na powietrzu były zawieszone i tylko ich wierzchy ciemniejszém, szafirowém tłem odbijały od turkusowego nieba. Oprócz tego fenomenu który pochodził od rozrzedzonego przy powierzchni piasku powietrza i złamania się światła, dziwne gry kolorów spostrzegałem po całym szeregu gór, między któremi czerwieniła się najwyższa, Chanarcillo, on wielki skarbiec srebra, do którego niedawno jeszcze wkradli się górnicy. Najbliżej drogi, przy saméj równinie dziwaczniejsze jeszcze widać skały: czarne od góry a białemi szmatami jakby podszyte od dołu. Czarność ta pochodzi od jakiegoś gatunku krzewu, którego łodygi i liście, od wielu at poschłe i zczerniałe świadczą o budzącéj się od czasu do czasu wegetacyi: jakoż smutniejsze jest powołanie tych roślin od naszych, które co rok przez cztery tylko miesiące odpoczywają ze swego rośnienia, kiedy tutejsze schną przez 7 do 8, a czasem 10 lat ciągle, czekając na jednę szczęśliwą zimę, która je raz dobrze opłucze deszczem że znowu ożyją i przez jaki miesiąc podrosną — i to się nazywa życiem? Białe zaś szmaty które się mięszają z czarnością tych wierzchów są nasypy piasku miecone od morza przez wiatr zachodni. Czasem

ta kurzawa tak się wznosi, że zasypane są i zrównane ślady drogi jakoby u nas w zawieję; wtenczas przewodnik rozpatruje się w górach i pilnie uważa by niezbłądził; czasem za mgłą i gór niewidać, więc się zatrzymuje do rana czy do południa i czeka. Bywa że po południu wiatr ustaje, a słońce jeszcze skwarzy i od wszystkich gór i od równiny odbijają się promienie, cichość i gorąco; — w tém po owéj długiéj traversia, niewiedzieć zkąd się wezmą szare kolumny, wąskie, pionowe, jakoby dymy z kominów naszych w czas pogodny wychodzące, które poczynają walcować po piasku, coraz prędzéj i prędzéj aż się im rozczochrają czupryny, poczną słabieć jak pijani, chwieją się i przepadają; są to trąby tutejsze raczéj na zabawkę dzieciom niż na strach wymyślone.

Wyobraź sobie teraz co za rozkosz była, kiedy napatrzywszy się przez kilka dni na te obrazy pustyni spuściłem się o zachodzie słońca na piękną dolinę Kopiapo. Dolina ta niema i ćwierci mili szerokości a jest cała zarosła pomarańczowemi drzewami i kastylijską wierzbą takiego kształtu co topole włoskie ale bardziéj giętką i nieco bledszéj zieloności. Środkiem płynie ruczaj czystéj kryształowéj wody którą się tu ludzie tak skrzętnie i z taką oszczędnością obdzielają jakoby u nas trunkiem jakim. Siedem lat jak niebyło tu deszczu. Miasteczko piękne, całe nowo zbudowane, podległe częstem trzęsieniom ziemi i pokilkakroć zrujnowane. Trafiłem tu na sejmiki bardzo forsowne — bo w tym czasie przypada zmiana prezesa izby, senatu it.d. Z okazyi tych sejmików zaproszony byłem na uczty i przypatrzyłem się nieco onéj tutejszéj wolności, o któréj kiedyś szeroko się rozpiszę, a teraz radbym żeby owi przez miesiąc jaki nasi demokraci wzięli tu lekcyą praktyczną — zarzekliby się na długo bazgrać i paplać. Nie wejdę też w szczegoły mojéj mineralogicznéj podróży. Widziałem najciekawsze

kopalnie tego kraju, po których jak kret wędrowałem i mnóstwo krzewów i kamieni nawiozłem, które teraz rozbieram. W powrocie trafiłem na Zapusty do pięknego miasteczka Vallenar, podobnie położonego jak Kopiapo, a sławnego z fig, brzoskwini, rodzynków i rozmaitego rodzaju owoców które w istocie lepsze tu są od najlepszych w Europie. Przypatrzyłem się tam i niektórym hiszpańskim zwyczajom i tańcom indyjskim które gmin zachował. Wróciłem nakoniec po siedmiotygodniowéj podróży, do mego laboratorium i uczniów moich.

Coquimbo 18 lipca 1840.

W tym czasie były tu wielkie sejmiki wyboru urzędników, zanosiło się na rewolucję, przychodziło do czubów — szczęściem spełzło wszystko na pogróżkach i złym humorze, który tu więcéj ludziom kosztuje niż u nas; bo się tu rzadko kiedy ludzie gniewają, i matematycznie dowiedziono że na nic się nieprzyda gniew i że ten przegrywa co się dąsa — Nieprzyjdzie nawet do zamieszek, bo już tu się zaprzesadziła ona zaraza gazeciarstwa i broszurstwa które wielką dozę popędliwości oziębiły. Dwie gazety codzień wychodzą w Walparaizo, jedna w Sant Jago, a książek do nabożeństwa nie mają czém drukować: sprowadzają je z Paryża. Gorsza rzecz to że dyrektor tutejszego kollegium, człowiek poczciwy, rodem z Auwernii leży na śmiertelnéj pościeli. Dziś z wielką uroczystością w towarzystwie całego duchowieństwa, przedniejszych obywateli i uczniów zanieśliśmy mu przenajświętszy Sakrament, który ze wszelką pobożnością przyjął po wybornéj nauce i pożegnaniu jakie miał do uczniów i kollegów swoich. Jak to smutno widzieć cudzoziemca umierającego o tyle tysięcy mil od swojego kraju. Rzecz dziwna że podług zeznania tutéjszych księży

i lekarzy, ludzie nawet najobojętniejsi, nigdy prawie niemówiący o Ojczyznie, wyrzekający się nawet za zdrowia swojego rodu, i tylko chyba przez dumę lub próżność chcący odróżniać się od krajowców, jedném słowem Anglicy, czerstwi i rumiani, gdy przyjdzie choroba tak tęsknią do swoich, tak biedzą się i chcą powracać, że jest to najgorsze symptoma z którego lepiéj niż z pulsu wyczytują tutejsi lekarze śmierć bliską i niechybną.

Coquimbo 12 kwietnia 1841.

Dzięki wam za szczegóły o znajomych i przyjaciołach, Nieuwierzysz jak ocean wydaje się maleńkim. kiedy list świeżo odbierasz i dowiadujesz się o wszystkiém i widzisz że o dalekim włóczędze niezapominają jeszcze. Zdaje ci się wtenczas, że to kałuża na grobli przez którą zaraz przejedziesz od karczmy do dworu. Dałby tylko Bóg nieugrzęść w przeprawie.

Przy nadarzonéj okazyi posyłam dwa memoary mineralno-metaliczno-geologiczne do dawnych moich profesorów a wam *Medytacye Śtéj Teresy nad Ojcze nasz*, które na polski język przełożyłem. Z bojaźnią biorę się do tłomaczenia najpiękniejszych traktatów, które żeby dobrze rozumieć potrzeba być wielce pobożnym i w szczególniejszéj łasce u Boga. Największa trudność w tém że słowa téj Świętéj są tak proste, potoczne, kobiece, a niemi wyraża rzeczy tak górne, wzniosłe, że im bardziéj silisz się je oddać, tém więcéj tracą. Wyobraź sobie mniszkę, która dla swoich sióstr pisze, nigdy nie myśląc o tém iżby te rzeczy miały kiedy pójść do druku i żeby w nich było co uczonego. Kiedy uważam samą tylko mowę i wyrażenia, mnie się zdaje że u nas tylko po klasztorach i między bardzo pobożnymi staruszkami takim językiem mówią: a kiedy wyrozumiewam

myśl, widzę że wzniosłość i wielkość przechodzi słabe nasze pojęcie.

Widziałem stolicę tutejszą (Sant Jago) poznałem ministrów i przedniejsze figury którym Chili swoję niepodległość i dzisiejszą wolność winno. Przyjęty zostałem bardzo uprzejmie i przyrzeczono mi że trzech lepszych moich uczniów wyszle rząd na podróż do Europy. Widziałem też Walparajso, niegodne swojego pięknego nazwania, bo i suche, i brzydkie i niewygodne a od kupiectwa jako od żydów zagnieżdżone. Ale spotkałem tam dwóch Polaków: jeden z nich instytutor pensyj, drugi inżynier niedawno przybyły. Pierwszy raz po trzech latach zagadałem po polsku i o mało niezapłakalem, tak mi się język plątał, niewiedzieć po jakiemu. Mój Boże pomyśliłem sobie, czy memu ojcu śniło się że zapomnę po polsku!

Coquimbo 18 września 1841.

Na tegoroczném otwarciu tutejszego parlamentu prezes Rzpltéj w swojéj mowie, tak właśnie jak w podobnéj okazyi Filip chwali się ze swoich przyjaznych stósunków z mocarstwami. Prezes nieraz chwalił profesora chemii w Coquimbo, a chwalił z tego że zaprowadza nauki w tym kraju, jak nigdy nikt przed nim nieuczynił — a potém wydrukowano w gazecie stanu, projekta moje, prelekcye i mianowany zostałem przed rząd wielkim *ensayadorem* Rzpltéj (probierzem) i reskrypt własnoręczny Jego Prezesowskiéj mości zowiący mię *Perito facultativo de minas en toda la Republica*, urząd honorowy do którego mają się uciekać strony w razie dyferencyi zaszłych o podziemne granice it.d.

Mamy tu wiosnę tego roku piękniejszą niż lat przeszłych. Okoliczne góry na które nawykłem patrzeć jak

na wysoki mur czy skałę, niespodzianie okryły się kwiatami: całe nadbrzeże zdaje się być ogrodem cudownéj piękności; gęsta i wysoka trawa wyszła na piaskach na których od przyjazdu mego najmniejszego znaku życia niewidziałem; i wszystko to dla tego tylko, że zamiast 3 lub 4 razy, jak lat przeszłych, pięć razy téj zimy deszcz padał i jednego razu przez więcéj jak dziesięć godzin. Widzę jednak że przy całéj tutejszéj piękności wiosennéj, niemasz takiéj rozmajtości w kwiatach jak na naszych sianożęciach. Kwiaty zdają się być wszystkie wazonowe, jakby od umysłu sadzone i zapach jakby od toaletowych perfum i oranżeryj.

Valparajso, 9 kwietnia 1842.

Ostatni raz pisałem do ciebie z Bancagua *) u stóp Kordylierów zapuszczając się w góry po których przez dwa miesiące błądziłem i koczowałem, po drogach, kędy przed laty jeden tylko herszt rozbójników Pinczejra przeciągał ze swoimi Indyanami i ztamtąd na swoje wycieczki gotował się; drogami po których tylko lwy i guanaki czepiają się a kondory pióra swoje gubią. Przywiozłem sobie takich piór niemało i trzy lwie głowy a chociaż te dobrze się konserwowały na wysokich górach gdzie barometr nie podnosi się wyżéj nad 0',600 i mięso wysycha i wędzi się jako w naszych wędlarniach, poczęły się psuć i robactwo do nich się wkradło gdy je przyniosłem do S. Jago. Odludne pracowite życie przez dni 60, powietrze śnieżne, czyste, zawsze wiosenne, noclegi pod gwiaździstem niebem i przestawanie z ogromnemi massami skał i lodów, nakoniec szum kaskad i kryształowych potoków i posępność cyprysowych

*) List ten między papierami A. M. nieznajduje się.

gajów, wszystko jednem słowem było dla mnie miłe, rozkoszne; byłem zdrów i silny jak owe kondory co nad moją głową latały i uleczyłem się z suchości w jaką mnie było wprawiło spokojne życie w Coquimbo. W niedzielę palmową byłem na nabożeństwie w S. Jago a wielki tydzień przebyłem w Valparajso gdzie znalazłem zakonników francuskich *de Sacré Coeur* którzy mi dodali sił i serca do znoszenia cierpliwie tułactwa naszego i walczenia z przeciwnościami i przygodami świata. Dziś wsiadam na statek parowy i jutro będę w Coquimbo gdzie więcéj niż od trzech miesięcy czekają na mnie uczniowie moi, i bardzo pobożny i uczony missyonarz starzec z po za Kordilierów którzy uchodząc od tyranii restauratora Rosas poświęcił ostatek dni swoich na opowiadanie słowa Pańskiego. Zna on doskonale historyę naszą i historyę świętych naszych. Zalecał mi czytanie jakiegoś dzieła Portugalczyka Almeida, w którém główna osoba, wzór szczególniéjszéj cnoty jest nasz Władysław III i dzieło to ma być wielkiéj wziętości między klerem amerykańskiém i bardzo pożytecznem dla ludzi szukających prawdy i pobożności.

Coquimbo 19 października 1842.

Już cztery lata upływają mojemu zobowiązaniu się, a jednak niewiem kiedy się zobaczym. Moim zamiarem jest, przedewszystkiém dotrzymać warunków umowy, wypełnić com obiecał i nie prosić o uwolnienie mnie od żadnéj kondycyi. Chyba pod koniec 1843 r. będę wolny. W tym przeciągu czasu ukończę moje mineralogiczne prace i poznam lepiéj mineralogią tego kraju niż ktokolwiek ją znał przedemną. Wtenczas jeśli się podoba rządowi, gotów jestem jeszcze powtórzyć niektóre exkursye w góry na 8 lub 4 mil i ruszę po

za pobrzeżem tutejszém ku Boliwii i Peru dla zwiedzenia Potosi, Pasco it.d. i potém z Callao popłynę jeśli Bóg pozwoli do Gwajakail, zkąd lądem radbym przedrzeć się przez Quito, Santa Fe do którego z portów drugiego Oceanu, zwiedzić ciekawszą część Mexyku i powrócić przez Zjednoczone Stany — Homo proponit Deus disponit — Tyle morzów krajów i ludzi do przebycia a człowiek tak wątły jak bańka. Chciałbym uzbierać kollekcyą minerałów amerykańskich jakiéj dotąd nikt niemiał, i wydać Mineralogią Kordilierów — chciałbym.... — i sam z siebie się śmieję niewiedząc co jutro będzie....

Coquimbo 8 czerwca 1843.

....Przeszłego lata przez trzy miesiące podróżowałem, połowę wakacyj przebyłem o sto mil na południu a drugą połowę o tyleż na północ. Dotarłem do wierzchołka Kordilierów i z nich pierwszy raz od przybycia mego do Chili wyjrzałem na wschód za góry, w strony wasze; i z owego goliata gór na 18,000 stóp wysokiego widziałem po raz ostatni strasznego kometę, który się na téj pół kuli pierwszy raz ukazał w popielcową środę z potężnym prawie na ćwierć nieba ogonem, co mówię z podwójną miotłą obróconą na północ. Jestli ów dziwotwór jaką wróżbą?....

Valparajso 10 kwietnia 1845.

Wiadomo tobie, że co rok wyjeżdżam latem w góry i podróżuję kędy ludzka noga niepostała. Tego roku jakby na pożegnanie Chilijskich brzegów puściłem się był na zwiedzenie południowych prowincyj i przebie-

głem cały kraj zamieszkały przez na pół dzikich Araukanów, którzy dotąd jeszcze niepodległość swoję zachowali i nigdy zwyciężyć się niedali. Dotarłem aż do Valdiwii i Osorno to jest prawie do wschodnich krańców cywilizacyi na południowéj półsferze. Sto dni spędziłem na téj podróży i teraz wracam do Coquimbo. List ten piszę przez wracającego do Francyi na okręcie *Celina* kapelusznika Baratona, który mię zna od dawna. On był świadkiem pożaru co podczas mej nieobecności zniszczył całe moje laborotorium, dom w którym mieszkałem i większą część moich mineralogicznych zbiorów, rękopisów itd. Niech będzie za wszystko chwała Najwyższemu — bo też już prawie powodzić mi się poczynało i nawykłem był tak do tego kraju, że ciężkomi było z niego się oddalić. — Teraz lżej byłoby wylecieć, gdy gniazdo spłonęło od pożaru. Ale jak pomyśliłem sobie, że opuściwszy ten kraj niezostawując żadnej po sobie pamiątki, żadnego śladu pracy mojej, byłoby ciężko dla duszy, więc z gotowością wezmę się do odbudowywania wszystkiego co ogień zniszczył i czekać będę na powrót uczniów moich z Europy.

Santjago 25 kwietnia 1848.

Długa i nieznośna przerwa zaszła w naszéj korespondencyi... Zmieniłem rezydencyą przeniosłem się do tutejszéj stolicy, większéj i ludniejszej od naszego miasta i tu straciłem ową spokojność i cichość które towarzyszyły mi przez lat 8 w Coquimbo. Jestem tu może czynniejszy i użyteczniejszy niż byłem przed tém ale roztargniony, odurzony mnóstwem poleceń rządowych któremi mię napastują. Niemam tu laboratoryum tak wygodnego jak miałem w Coquimbo choć mam duże katedry w tutejszym Uniwersytecie i urządzone muzea, gabinety &c.

Aż strach że czas tak marnie schodzi daleko od swoich i niemogąc im być w niczem użytecznym, staram się przynajmniéj i pracuję wszystkiemi mojemi siłami, żeby zachować całą prostotę wiary naszéj domowéj i być takim jakim byłem z maleństwa mego, pod okiem rodziców, plebana i domowych, kiedy ani na piędź człowiek niemiał pokusy być większym nad to czém był i czém mniemał pozostać na zawsze.

Santjago 27 czerwca 1850.

Smutny koniec zaszłych wypadków, nasuwające się lata skłoniły mnie do szukania ustroni i znalazłszy miejsce co mi się spodobało, umyśliłem żyć na osobności cicho, daleko od ludzi. Urządziłem był dla siebie domek jakby klasztor jaki przez cały dzień zamknięty, że ani sąsiedzi wiedzieli co się w nim dzieje. Sprowadziłem do niego całą kollekcyę pisarzy ascetycznych zawartą w Demonstracyach Fray Luis de Grenada i zdawało mi się, żem silniejszy i pewniejszy siebie niż kiedykolwiek. Ale jakże Polakowi osiąść, żyć na wsi i nieodwiedzić sąsiedztwa, niezaprosić gościa; jakże to zamknąć się na długo i pożegnać się na długo z ludźmi, zwłaszcza z dobrymi, uprzejmymi ludźmi? Owoż o podal od mego domku był dom duży z ogrodem, liczna familia, mnóstwo dzieci swawolących od rana do wieczora między pomarańczowemi i brzoskwiniowemi drzewami. Najstarsze dziecko, piętnastoletnia dziewczyna miała już wychodzić za mąż za bogatego sąsiada; bo tu kobiety prędzej rosną niż u nas i nie mnie wdać się w opisy co to jest owa siła i namiętność w dziecinnem oku i dziecinnej twarzy — tego rodzaju piękności nie obaczysz może, chyba pod niebem co prawie zawsze pogodne, zimową tylko porą zachmurzy się niekiedy.

Dosyć, że mi się podobała, a może i więcej niż podobała. Domek mój i szpalery prędko straciły swoję surowość — co dzień stały się weselsze i ludniejsze — drzwi moje niezamykały się tak wcześnie jak pierwej. — Niewiem dobrze jak potem było, muszę ukrócić historyę, żeby niekaleczyć języka i myśli — dosyć, że kiedy przyszła godzina jak to mówią, opamiętania się, Henrykieta z domu Sotomayor a z matki Guzman została moją narzeczoną. — Owoż początek i koniec pięciomiesięcznej historyi — za dwa tygodnie będzie ślub i wesele.

Santjago 26 kwietnia 1852.

Cały rok przeszły spędziliśmy tu na rewolucyach trzęsieniach ziemi i chorobach. — Że się we wszystkiem spuściłem na wolę Bożą, za to, a może i za co innego dał mi Bóg wielką uciechę w żonie młodej pięknej i dobrej. — Ma ona chęć i jakąś nadzieję poznać was wszystkich, a że jest dziecko jeszcze, więc wierzę w jej przeczucie. Roku przeszłego w sam dzień Wielkiej nocy, podczas kiedy się bito w mieście, my niewiedząc o niczem, byliśmy na mszy w kościołku który tuż mamy pod bokiem i tylko po mszy dowiedzieliśmy się o rewolucyi, kiedy nasz pleban Korsykanin, rodem z Ajaccio, doniósł parafianom o rozlewie krwi i o boleśnych skutkach domowej wojny. — Toż i po tem nieucierpieliśmy z przyczyny rozruchu i teraz pokój ustalił się w całym kraju. — Wprowadzone zostały wielkie zmiany do szkół tutejszych, do czego nie mało się przyłożyłem zyskawszy zaufanie u teraźniejszego Prezesa i Ministra. — Urządzam jakoby Uniwersytet i jego 3 wydziały, wykładam kurs chemii i fizyki, buduję nowe laboratoryum.

Santjago 12 stycznia 1855.

Choć jestem tu od lat niemało obywatelem i właścicielem, mężem i ojcem, przekonałem się i łatwo mi przekonać drugich, że wszystko to nie jest w stanie zatrzeć imienia *cudzoziemiec*, które od wyjścia z ziemi ojca swego potępiony jest człowiek nosić. Trudno przypuścić, żeby komu za krajem mogło się lepiej powodzić jako mnie tutaj, bo wyjąwszy bogactwa do którego nigdy niedążyłem anim' się o nie ubiegał, na niczem mi niebrakuje: dobry byt, wziętość i szacunek u mieszkańców piękna natura, zdrowie, piękna i kochająca żona, i dziecko jak anioł. — Z tem wszystkiem niemasz spokojności duszy, i lada wieść od wschodu to niemasz ani snu ani swobodnej myśli...

ZABIEGI
POSŁA TOSKAŃSKIEGO PAWŁA MINUCCI
NA DWORZE KRÓLOWÉJ LUDWIKI
forytujęcego na tron polski
MATIASZA MEDICIS KSIĘCIA TOSKAŃSKIEGO
roku 1659.

(Przekład z niewydanego dotąd rękopismu włoskiego z książnicy *la Magliabecchiana* we Florencyi, pochodzącego z tajnego archiwum Medyceuszów.)

Najmiłościwszy Książę!

Podając Waszéj Książęcéj Mości niniejsze sprawozdanie z układów w Polsce przezemnie prowadzonych, powinienbym wedle przyjętych prawideł począć od opisu kraju, opowiadając o własnościach klimatu, o wód obfitości, i ciągnąć daléj opisując przyrodzenie, obyczaje,

skłonności i obrzędy mieszkańców; ale iż to niema wcale stosunku do założonéj przezemnie treści, i że nadto W. Ks. Mość jesteś dość świadom tych rzeczy dla kilkoletniego pobytu w bliskości tego królestwa, i znasz je z opisów, jakie podało o niém wielu znakomitych i doskonale uwiadomionych pisarzy; że jeszcze do tego nie mogłem przez ciąg mojego tak krótkiego przebywania w onych stronach nabyć dostatecznych wiadomości, aby stać się zdolnym takiéj pracy, zostawiam zatem przedmiot ten na boku, i poczynam od oznajmienia W. Ks. Mości, iż imie jego w tem królestwie jest poważane i szanowane do takiego stopnia, iż nie małego w méj podróży nabawiły mię kłopotu grzeczności i podejmowania tych panów, przez których dobra wypadało mi jechać, skorom zostawał poznany za sługę W. Ks. Mci (z czém się jednak taiłem, już dla pozbycia się natręctwa, już dla odebranych rozkazów; ale nieostrożność lub próżność sług moich często mię zdradzały). Wypadało mi także nieraz zatrzymać się tu i owdzie w jedynym celu przypatrzenia się oznakom uwielbienia dla W. Ks. Mci, jakie ci panowie zwykli dawać z kielichem w ręku, kiedy chcą uczcić osoby zasługujące na ich przywiązanie i czułość; tych zaś uczuć dobitniej wyrazić nie umieją, jeno przez poświęcenie ogromnéj ilości wina. Gdzieindziéj znowu zatrzymywała mię ścisła indagacya, jakiéj ulegać musiałem, o charakterze, skłonnościach, przymiotach i obejściu się W. Ks. Mci; do czego często tak natrętną spotykałem ciekawość, iż niektórzy w przytomności mojéj spisywali me opowiadanie, tyczące się zawsze najprzód wieku i komplexyi W. K. Mci, a następnie waleczności, hojności, uprzejmości, dobroci i innych cnót jego, w czem jeślim nie umiał lub nie chciał nic dodać, to zapewne nie mogłem i nie chciałem nic ująć. Takowe przygody trafiały mi się przed zajechaniem do dworu królewskiego, ilekroć, jakem wspomniał, wypadek

zrządził że poznano we mnie sługę W. K. Mci; ale za powrotem moim inaczéj się działo, jakkolwiek snadniej wówczas mogłem być poznanym; ale jakoś szczęściem nie natrafiłem na żadnego z polskich panów, bo oprócz tego, żem unikał podobnych spotkań dla własnéj spokojności mojéj, nie obudzałem w nich wracając do Włoch téj ciekawości co jadąc ztamtąd; bowiem skoro ci panowie słyszą że wstąpił do ich *karczmy* [1]) (nie mogę nazwać jéj inaczéj jeno tém słowem polskiém oznaczającém raczéj legowisko dla zwierząt i bydła jak gospodę dla ludzi) cudzoziemiec wędrujący do Włoch, nie troszczą się bynajmniéj o niego, boć nie ciekawi wiedzieć co się dzieje u nich w Koronie, lubo jak najciekawsi rzeczy zagranicznych; i przeto słudzy ich mają surowe rozkazy aby wnet uwiadamiać pana skoro się pokazuje w takowych ich karczmach podróżny z zagranicy przybyły; to już natychmiast sami tam spieszą, bawią gościa, siadają z nim do stołu, prowadzą go do siebie, szafując niepospolicie oznakami gościnności, ale szkodliwéj dla obowiązku picia, jaki wtłacza na gościa wola gospodarza, który zwykł być w tém najczęściéj niedyskretnie grzecznym, nagląc nieboraka pić więcéj niż potrzebuje, niż powinien i niż może.

Podróżując w taki sposób dotarłem do Krakowa, gdziem zastał JMć pana Titolivio Burattini, który mię przyjął z oświadczeniem największéj przyjaźni i uprzejmości wypływających z wrodzonéj mu dobroci, i jak sam powiadał, z długu wzajemności zaciągnionego względem mnie za usługi świadczone mu przezemnie we Florencyi z rozkazu W. Ks. Mci, dla którego jak wielką cześć i przywiązanie zachował, za zbyteczne uważam dłużéj się rozwodzić, ile że znam tę rzecz być dostatecznie wiadomą W. Ks. Mci, i że nie chcę powtarzać com Mu już

[1]) Alla loro *carsuma.*

szeroko pisał w tym względzie. Tam więc zabawiłem dni kilka, a przez ten czas wspomniony p. Burattini udzielił mi jak najdokładniejszych wiadomości o dworze i o ministrach z którymi miałem się układać, a nakoniec zaszczycił mię listem kredytowym do JMć p. de Noyers, aby ten mi postąpił pieniędzy jeśli potrzeba będzie (za który to zaszczyt odwdzięczyłem się oddając list bez korzystania z onego), tudzież innym do JMć pana wojewody kaliskiego, aby z miejsca swego pobytu o pięć lub sześć dni jazdy oddalonego od dworu, opatrzył mię eskortą dla bezpieczeństwa i przewodniczenia w podróży. Jakoż przybyłem do dóbr tego pana, który nie znalazłszy we wzmiankowanym liście innéj o mnie wiadomości, jeno że byłem włochem i przyjacielem p. Burattini, przyjął mię temi słowy: — Pan Burattini poleca mi osobę wacpana; rad będę służył obu; ale teraz wybieram się na polowanie; bynajmniéj zaś dla Waszmości nie zostanę w domu; jednak możesz się tutaj zatrzymać, a księżna żona moja będzie cię bawiła do mego powrotu, który nastąpi za dwa dni; wtedy dam Waszmości bezpieczne towarzystwo. Jakoż potém wrócił wedle obietnicy, i zapytawszy azali mi na niczém nie zbywało i czy nie miałem innych jeszcze potrzeb, prowadził mię na obiad. U stołu zaś nie mówiono jak tylko o dworze i przezacnym domie toskańskim, oraz prawiono nieprzestannie o czcigodnéj osobie W. Ks. Mci. Wojewoda badał mię jak naściśléj dotykając niekiedy sprawy abdykacyi zamierzanéj przez króla Jana Kazimierza, tudzież wyboru następcy, a kiedy czasem zadawał mi pytanie, na które chcąc odpowiedzieć byłbym musiał się okazać świadomym téj sprawy, wnet się usprawiedliwiałem dodając żem poddany tylko W. Ks. Mci, i że nie mogę wiedzieć o tych wszystkich szczegółach. Wszelako jednego między innemi wieczora (przepędziłem bowiem pięć dni u tego pana nie licząc pięciu innych na

oczekiwaniu jego strawionych) spełniwszy pierwszy kielich za zdrowie Waszéj Ks. Mci i powstawszy na znak uszanowania, zapytał mię z nienacka: — Książe JMć Matiasz ma chęć do następstwa w tém królestwie? — Jaśnie oświecony panie, odpowiedziałem, jestto rzecz przechodząca moję wiedzę, bowiem należy do tych tajemnic, które nie zwykły wychodzić za próg najskrytszych gabinetów; wiem przecież iż skłonność i doświadczenie, jakie posiada Jego Książęca Mość w sztuce wojennéj mogłyby ku temu także uczynić go chętnym, gdyż wyborne znalazłby pole do zaspokojenia wrodzonego mu pociągu i okazania swojéj dzielności.

Potém wojewoda dodał mi straż pewną, z którą przybyłem do obozu, zkąd dopiero po kilku dniach tam zabawionych posłałem mu list Waszéj Ks. Mci razem z drugim od JMć pana Masini. Niedługo potem ten sam pan przyjechał do dworu; ja zaś unikałem go przez czas jakiś, aż razu jednego spotkawszy go wśród obozu, zbliżyłem się ku niemu z temi słowy: — Wyznaję jaśnie oświecony panie, żem się starał uniknąć tego spotkania, bo ani czas ani miejsce nie zdało mi się stósownem do złożenia mu hołdu mojego. Wojewoda zaś biorąc mię za obie ręce i zniewalając mię swojemi i mojemi dłońmi nakryć głowę, rzekł mi: — O panie Minucci! teraz całyś w ceregielach, a w domu moim tak się wielce chybiało! — Jaśnie oświecony panie, odpowiedziałem, wybaczysz mi jeśli jako cudzoziemiec nieświadomy tutejszych zwyczajów, chybiłem w czémkolwiek, i raczysz mię w tym względzie oświecić, abym mógł wynagrodzić me błędy. Na to wojewoda ze śmiejącém obliczem i przedrzeźniając mię: — Znam najjaśniejszego [2]) księcia

---

[2]) **Niepodobna było wierniéj przetłumaczyć włoskiego tytułu *serenissimo*, jakkolwiek wyraz polski najjaśniejszy w ścisłém znaczeniu swojém do królów się tylko stosuje (p. t.).**

Matiasza jedynie jako mojego przyrodzonego pana.... nie mogę wiedzieć o podobnych szczegółach.... są to rzeczy nie wychodzące za próg najskrytszych gabinetów... wtedy kiedy waszmość jesteś sługą najjaśniejszego księcia, a takiéj godności i zacności, iż Jego Ks. Mość nie tylko raczył mu objawić, lecz i zlecił tę sprawę, o któréj waszmość wiedzieć nawet zaprzeczałeś; oskarżaj więc siebie i własne postępowanie, które stało się powodem, żem się z waszmością nie obchodził tak jak na to zasługiwał miły sługa Księcia tak wielce odemnie poważanego, i pamiętaj, żeś mię winien usprawiedliwić przed najjaśniejszym księciem, zapewniając żeś sam spowodował mój błąd.

Ten pan jest całkiem oddany W. Ks. Mci, i królowa ufność w nim pokłada, jak mnie mówił p. Burattini, przez którego zwykła go uwiadamiać o wielu rzeczach téj sprawy dotyczących, aby go zjednać sobie i skarbić względy równie jego osobiste jak i podwładnych jemu.

Zdaje mi się, najmiłościwszy książe, żem przez powyższe szczegóły zadość uczynił powinności, jaką miałem dać poznać W. ks. Mci przychylność polskich panów ku niemu, i zamykam powiadając, iż w ogóle nie może być większą, ile że wszyscy pragną monarchy bitnego, hojnego, łaskawego, uprzejmego i nabożnego, które to zalety i cnoty wiem do jakiego stopnia są własnemi W. Ks. Mci; zakończę więc bez dłuższego rozwodzenia się tę część sprawozdania mego, przystępując do wypadków jakie mię spotkały u dworu w przeciągu pięciu niemal miesięcy pobytu tam mojego, i do stanu, w jakim zostawiłem sprawę zleconą mi od W. Ks. Mci.

Dnia 9 października 1658 roku przybyłem do obozu polskiego pod Toruniem w Prusiech, i zostałem przyjęty od JMci księdza Martinozzi, audytora jeneralnego nuncyatury w Polsce, z najszczerszą życzliwością. Kwatera królewska była po téj stronie Wisły w klasztorze

Franciszkanów, który służył także za pomieszkanie królowéj Jéj Mci ustawicznie tam przebywającéj; ale król najwięcéj gościł po tamtéj stronie Wisły, gdzie był obóz wojska polskiego pod Toruniem. Dnia zaś przyjazdu mojego królowa sama jedna znajdowała się na onéj kwaterze, i o 10téj z rana kazała mię przywołać do siebie. Miałem tedy u Jéj Król. Mci pierwsze posłuchanie, na którém nastąpiły rozmowy, jak najwierniéj i bez żadnéj odmiany spisywane przezemnie za każdą razą com otrzymywał podobny zaszczyt równie od niéj jak od króla JMci, chcąc je tym sposobem podać (jak to czynię w téj chwili) W. Ks. Mci, abyś w szczególnéj mądrości swojéj wyciągnął z wspomnionych rozmów te wnioski, jakie za najpewniejsze osądzisz.

Najjaśniejsza pani przemówiła do mnie po francuzku gdym wszedł i zbliżał się dla ucałowania jéj szat: — *Monsieur, vous serez las* [3]). Odpowiedziałem że nie wcale a to dla rzadkich wygód, jakie znajdują podróżujący po tym kraju, i podczas gdy mię za rękę ściskała wręczyłem jéj list W. Ks. Mci, który ona przed rozpieczętowaniem przyłożyła do czoła (co jak mię zapewniano zwykła czynić Jéj Królewska Mość gdy odbiera listy od przedniejszych książąt z ręki ich posłów) a otworzywszy go i szybko przebiegłszy oczyma, zdjęła rękawiczkę i dłoń mi podać raczyła w któréj list trzymała, abym miał zaszczyt ucałować onę (p. Burattini już mię był uprzedził, że tak wypaść miało, bowiem Jéj Król. Mość zachowuje ten zwyczaj z osobami pewnego znaczenia, do których liczyła mię przez wzgląd, żem był sługą W. Ks. Mci), a ja skłoniwszy się całowałem; w tém Jéj Król. Mość odezwała się do mnie przednią włoszczyzną:

— Jak się też Waszmości podobały te kraje?

---

[3]) Słowa po francuzku przytoczone w rękopiśmie.

— Najjaśniejsza pani [4]), odrzekłem, wśród zwalisk przez tyle wojen zagęszczonych przebija żyzność ziemi i niepospolita umiejętność mieszkańców w naprawianiu poniesionych szkód.

— Wiedz Waszmość, dodała, iż jest rzeczą wrodzoną polakom ubolewać nad złém teraźniejszém bez pamięci na przeszłe, i bez obawy przyszłego; dla tego to jeśli nieprzyjaciel zniszczy dzisiaj miasto, a potém je opuści, nazajutrz mieszkańce onego wracają i biorą się do odbudowania, jak to mogłeś widzieć na Wrocławiu dźwignionym w krótkim czasie w oczach nieprzyjaciela nie daléj stojącego jak na szerokość Wisły.

Po tych słowach obróciwszy się do p. de Noyers wówczas obecnego, powiedziała mu: — *Monsieur, allez-vous-en* [5]). On wyszedł z izby, a Jéj Król. Mość daléj zemną prowadząc rozmowę dodała:

— Ale dajmy pokój temu. Jakie masz Waszmość rozkazy od pana swego księcia Matiasza?

— Najjaśniejsza pani, odpowiedziałem, najściślejszym, najwyraźniejszym i najszczególniéj zaleconym mi jest, abym zapewnił W. Król. Mość o głębokiej czci, jaką zachowuje Jego Ks. Mość ku królewskim jéj cnotom, a jako sam od dawna poświęcił całego siebie każdemu skinieniu W. Król. Mci, tak ją teraz błaga przezemnie, aby mu dała poznać swoją królewską przychylność nie szczędząc mu zgoła ordynansów swoich.

— Książe JMć, odpowiedziała, może być pewnym, iż ceniąc szczególnie prześwietny dom toskański dla ścisłego pokrewieństwa jakie go łączy z królem małżonkiem moim, jestem gotowa okazać mu to w każdym razie, a w nagrodę za jego waleczność dać mu to po-

---

[4]) *Sacra Maestà* w rękopiśmie.
[5]) Po francuzku w rękopiśmie.

znać w osobliwszy sposób w pewnéj zbliżającéj się okoliczności, może przypadkiem nie obcéj Waszmości.

— Stósownie do tego co wiem, najjaśniejsza pani, odpowiedziałem, i co mam rozkaz przedstawić W. Król. Mci, najjaśniejszy Książę pan mój miłościwy uważając się za całkowicie podległego skinieniom W. Król. Mci, będzie to sobie miał za nadzwyczajną łaskę, jeśli W. Król. Mość zechcesz zostać sprawczynią tego, co się okaże z dobrém wszéj korony i ze sławą Jego Ks. Mci. Królowa powstawszy oparła się na oknie, i po chwili rzekła:

— Dosyć o tém: zrozumieliśmy się. Ograniczaj się waszmość na ogólnikach; takim się sposobem zachowuj z dygnitarzami, a stań się jeszcze ostrożniejszym gdyby cię zagadniono o sprawie, która wiem iż jest wiadoma tobie. Postępuj rozważnie i pamiętaj że nie masz tutaj przyjaciół, przez co chcę ci dać do zrozumienia żeś się z nikim poufalić nie powinien, bo jeśli tajemnica jest duszą spraw, to obecnéj jest duszą i ciałem. A ponieważ stać będziesz u sekretarza Masini, przez którego pośrednictwo ma się toczyć cały interes, słuchaj wszystkiego co ci będzie mawiał codziennie, ale udawaj że się dopiéro teraz dowiadujesz o każdéj rzeczy, i nie odkrywaj mu żadną miarą zleceń najjaśniejszego księcia.

Potém usiadłszy dodała:

— Czy też on pisze do króla i do panów wojewodów?

— Pisze, najjaśniejsza pani, odpowiedziałem; ale polecono mi nie oddawać listów chyba za zezwoleniem i rozkazem W. Król. Mci; książe zaś JMć pan mój miłościwy uprasza ją, aby je przebiedz raczyła.

— Chętnie je odczytam, odparła Jéj Król. Mość; ale będzie-li sposób dodać co lub ująć?

— I owszem, rzekłem, mam nawet sposób przerobienia ich całkiem, tak jak się lepiéj zdawać będzie królewskiéj jéj mądrości, bowiem oprócz kilku podpisanych

blankietów, które posiadam, wyraźny otrzymałem rozkaz wysyłać gońców, jeśli będzie potrzeba, aby w razie formalnego przystąpienia do układów Jego Ks. Mość mógł przysłać osobę upoważnioną i umocowaną do odbierania dostojnych rozporządzeń W. Król. Mości, oraz Króla JMci.

— Ruszaj więc waszmość na spoczynek, odezwała się Jéj Król. Mość; kiedy cię potrzebować będę, każę cię przywołać, a waszmość zaś opatrzysz się w listy do tych panów, także i w list do króla, do którego dobrze jest abyś się udał, skoro będziesz mógł; lecz nic mu nie wspominaj o sprawie; idź raczéj pod pozorem złożenia mu hołdu jako cudzoziemiec.

— To jest właśnie, odrzekłem, najgorętszem pragnieniem mojém; i będę mógł przy zręczności podobnego zaszczytu podać Jego Król. Mci listy najjaśniejszego wielkiego księcia Toskańskiego.

Tu Jéj Król. Mość nie dozwalając kończyć przerwała mi pytaniem:

— Azali tyczące się téj saméj sprawy?

— Gdyby tak było, odpowiedziałem, nie ośmieliłbym się ich oddać bez upoważnienia W. Król. Mci; ale to są tylko listy najjaśniejszego W. Księcia polecające Królowi JMci sprawę margrabiego Bibboni.

Na te słowa Jej Król. Mość zaśmiała się nieco, i rzekła:

— Czyż się jeszcze nie uspokoił ten Bibboni? a co? Idź więc waszmość i przynieś mi list do króla, a ja mu go sama wręczę po twojém widzeniu się z Jego Król. Mością.

Temi wyrazy odprawiła mię, wołając znowu p. de Noyers.

Za powrotem moim na kwaterę właśnie gdym siadał do stołu, przyszedł ksiądz dworzanin królowéj w towarzystwie dwóch pokojowców, i z rozkazu Jéj Król. Mci

żądał odemnie listów, a jam mu je wszystkie razem opieczętowane powierzył. On zaś wyszedłszy na chwilę z izby, posłał je czém prędzéj do mieszkania królowéj przez jednego z tych pokojowców, a sam pozostał dopóki ów posłaniec nie wrócił niosąc mu kopertę, którą on odpieczętowawszy znalazł w niéj list W. Ks. Mości do króla, i wnet się do niego puścił, przeprawiając się przez Wisłę z obydwoma pokojowcami; że zaś doznałem był pewnego wstrętu do powierzenia listu onemu księdzu, ksiądz JMć Martinozzi zachęcał mię abym nie czynił w tém żadnéj trudności, albowiem wrzekomo nie był niczém więcéj jak kapelanem królowéj, ale w rzeczy saméj był jéj sekretarzem, ajentem, słowem wszystkiém w interesach osobistych i poufnych najjaśniejszéj pani.

Dnia 11 tegoż miesiąca królowa mię powtórnie wezwała, i wprowadzony zostałem od p. do Noyers, który sam jeden był na przedpokojach. Wszedłszy znalazłem królowę samę, a skoro mię ujrzała nie dając przemówić ani słowa rzekła do mnie: — Panie Minucci, widziałam listy; są one wcale dobre. Możesz je osobiście wręczyć małéj liczbie tych panów którzy są w obozie, a reszcie poodsyłasz je dodając kilka słów od siebie, albo od Masinego, ale od Masinego lepiéj, lepiéj... Królowi posłałam list przez kapelana mojego, jak to może widziałeś. Jutro rano będzie tutaj Jego król. Mość; wacpan zaś możesz po obiedzie złożyć mu twoję powinności; postaram się abyś miał wszelką ku temu łatwość, i przypominam, abyś nic nie nadmieniał o sprawie, jeśli Jego król. Mość sam nie zacznie o niej mówić, co bardzo być może.

Po tych słowach powstała, wzięła listy leżące na stole i zwróciła mi je mówiąc:

— Schowaj je waszmość.

Com też natychmiast uczynił, podczas kiedy królowa niby się przechadzając zbliżyła się do małych drzwi-

czek, a uchyliwszy ich trochę i zajrzawszy do pokoju, do którego prowadziły, wróciła ku mnie; ja zaś widząc że się zbliża cofałem się coraz przez uszanowanie, aż doszedłem do ściany onym dziewiczkom przeciwległej, i znalazłem się między dwoma oknami, gdzie królowa obaczywszy mię stojącego powiedziała mi ciszej niż zwyczajnie:

— Książe Matjasz oznajmił mi przez ojca Giovannelli, że rad przybyłby do Polski, a jam go zachęcała do przybycia po skończeniu sejmu, w czasie którego zaczęły się zamieszki dotychczas trwające. Boże mój! ileż dobrego wynikłoby z jego przyjazdu dla niego samego, dla nas i dla całéj Korony!... Boże mój święty! dla czegoż nie przyjechał?... Nie wiesz-li waszmość czy dotąd trwa w jednakowych zamiarach?

— Pewien jestem, iż skoro Jego Ks. Mość dowie się, że zdoła dogodzić widokom Waszej Kr. Mości i że się przygodzi ku jej służbie, niezwłocznie zjechać tu niezanieba; posłuszeństwo skinieniom W. Kr. M. gorąca chęć poświęcenia jej służby swojej, skłonność wrodzona ku czynom walecznym, oto powody niedozwalające mi wątpić o jego niecierpliwém oczekiwaniu rozkazów; i to mnie jeszcze utwierdza w mojém mniemaniu, że widzę Jego Ks. Mość piszącego w podobnym sensie do tych panów.

— Wszystko to dobrze, odpowiedziała królowa, ale trzeba mu donieść, iż jego obecność jest tutaj konieczną; ostrzeż go tedy waszmość za pierwszą sposobnością.

Tak mówiąc królowa wracała powoli na miejsce, które zajmowała przy mojem wejściu, i usiadłszy zawołała:

— Jest tam kto!

Na to wołanie wszedł p. de Noyers (który był zarazem mistrzem ceremonii, odźwiernym i jakoby wszystkiém, gdyż innego nadeń nie było), a ona mu powiedziała:

— W. Książe Florencki poleca mi Bibbonego, a ten jegomość przywiózł mi wstawienie się W. Księcia i listy od niego; zobacz no waszmość coby można uczynić; chciałabym się przysłużyć W. Księciu, ale niewiem czy mi się uda, bo król nie zbyt dobrze usposobiony dla Bibbonego; wszelako dołóż waszmość starania i zrób, aby ten pan miał posłuchanie u króla. Ty zaś, Minucci, pójdziesz z jegomością sekretarzem moim.

Na co ja głęboko ukłoniwszy się wyszedłem; wkrótce potém dopędził mię ów p. de Noyers, ściskał mię za ręce, wielką wyrządzał uczciwość, słowem starał się najrozmaitszemi sposoby spoufalić ze mną, powiadając, iż miał listy od p. Burattini oprócz wierzytelnego, w których wiele o mnie napisano, że w skutek tego widział się obowiązanym do usług moich, a bardziej jeszcze z powodu, że miałem sobie powierzone sprawy W. Ks. Mci. Na co wszystko usiłując odpowiedzieć wedle ceremoniału i rubryki grzeczności, utrzymywałem, żem niemiał innych powierzonych sobie spraw nad wstawienie się za Bibbonim, i prosiłem usilnie wielmożnego pana o gorliwe poparcie takowego przed królewskim majestatem, abym po ukończeniu sprawy margrabiego Bibboni mógł się poszczycić, żem dobrze służył najjaśniejszemu W. księciu i najjaś. księciu Matjaszowi. Odpowiedział mi de Noyers:

— Będę dziś na obiedzie z panem, bo Masinemu, który jest moim przyjacielem od serca zachciało się mię ugościć; tam się lepiej porozumiemy.

I po tych słowach pożegnał mię i wrócił do pokoju królowej, która dotychczas stała u drzwi przysłuchując się naszéj rozmowie.

P. de Noyers przyszedł jak był obiecał, na obiad do p. Masinego z największą poufałością, do tego stopnia że przyniósł z sobą niektóre potrawy niewyłączając nawet wina; a gdyśmy wszyscy zasiedli do stołu wraz

z księdzem Martinozzi, on to pierwszy po obojętnej z początku rozmowie, i gdy już służbę oddalono, dotknął sprawy W. ks. Mci temi słowy:

— Panie Minucci, jest nas czterech na tym obiedzie, którzy więcéj niżli ktobądź w tem królestwie kochamy księcia Matjasza i pragniemy aby został obrany następcą do tej korony; ci dwaj panowie, ciągnął dalej wskazując na Noyers'a i Masinego, mogą ci pomódz w przeprowadzeniu tej rzeczy, jak to już w istocie czynią, i Jego ks. Mość nieźle postąpi jeśli w powierzonej tobie sprawie zechce ich rady zasięgnąć; zresztą między sobą możemy swobodnie o tém wszystkiém gawędzić.

Tak mię ta przemowa zadziwiła, iż zrazu prawie odszedłem od siebie; atoli rychło odzyskawszy całą przytomność, obróciłem się z zimną krwią do księdza JMci, i rzekłem:

— Że się liczę do najgorliwszych wielbicieli imienia najjaśniejszego księcia Matjasza, to sprawiedliwość do któréj mam wielkie prawo; lecz ażebym miał zaszczyt być używanym od Jego ks. Mci w sprawach tak wielkiej wagi, jak pan z tem słyszeć się dałeś, nie potrafię tego sobie przyznać bez oczywistej zarozumiałości; i przeto waszmość mocno się zapewne mylisz, jak się już niedawno omylił pan de Noyers, któremu odpowiedziałem co teraz odpowiadam waszmości: iż listy wręczone przezemnie królowej JMci o niczém inném, sądzę, nie wspominają jak o interesie Bibbonego.

Na to p. Masini śmiejąc się odezwał:

— Szkaradny to, przebóg! interes; nie *Bibbone* ale *birbone* [6]) należy go nazywać; czyż nie prawda *Monsieur?* dodał obracając się de Noyers'a.

Na co ten mu odrzekł:

---

[6]) dosłownie: nie pijakiem ale łotrem.

— Wszyscy wiémy jak źle służył Jego Król. Mci, i jak nas wszystkich dręczył; ale W. książe IMci i książe IMci Matjasz zalecają go najjaśniejszej pani mojéj, która pragnie zadowolić Ich ks. Mość, wypada zatém, abyśmy usiłowali przysłużyć się nie jemu, ale królowéj i książętom, oraz zaspokoić pana Minucci.

I na tém zakończył rozmowę dotykając innych obojętnych przedmiotów.

Po obiedzie Noyers poszedł do Królowéj, a Masini przeprawiwszy się przez Wisłę udał się do króla, z którym następnego ranka powrócił. Ja zaś pozostałem sam na sam z księdzem Martinozzi, i wymawiałem mu iż tak niebacznie i bez żadnych ogródek rozpoczął był u stołu rozmowę zniewalającą mię niejako do wyjawienia tego co wiedział, żem winien milczeniem pokrywać, i gdy zwłaszcza sam radził W. ks. Mości posłać mnie lub kogo innego z wyraźnym rozkazem niewydawania się przed nikim, wyjąwszy jednę królowę, z podobném posłannictwem. Ksiądz IMć odezwał się na to:

— Sprawa która nas zajmuje wzięła początek od królowéj, i przez nię powierzoną została panu Burattinemu, aby zniósł się w tym celu z księciem, oraz porozumiał się zemną, który zresztą, jak wacpanu wiadomo, listowałem z Jego ks. Mcią. Ja zaś, zawsze idąc za poradą p. Masini, napisałem księciu wszystko co zaszło aż do dnia wczorajszego; o czém waszmość jesteś dostatecznie uwiadomiony, jak wnoszę z odpowiedzi księcia pisanych cyframi ręką waszmości. P. Burattini będąc z duszą i z ciałem oddany p. de Noyers, szedł zawsze za podmuchem tego człowieka [7]), który jakkolwiek popisuje się z przywiązaniem swojém do naszego księcia, jest przecież gorliwym stronnikiem Kondeusza;

---

[7]) è camminato colla tramontana del medesimo.

królowa, która o tém wié dobrze, chociaż w innych rzeczach zwykła całkiem dowierzać jemu, w tych dość ostrożnie z nim postępuje, jakoż większa część listow moich różni się od listów p. Burattini, albowiem królowa puszczając w obieg przez usta de Noyers'a to co pisywał Burattini, sama nakazywała mi pisać inaczéj. Z tego to powodu zaleciła waszmości na pierwszém posłuchaniu, jak mi to później wyznała, abyś nikomu innemu nie ufał oprócz Masinego, z którym Jej król. Mość po widzeniu się z waszmością mówiła, i opowiadała mu cały tryb posłuchania, i jako przywołała Noyers'a udając przed nim, że roztrząsała z waszmością sprawę Bibbonego, którego przy tobie poleciła Noyers'owi, i nadto powtórzyła Masinemu odpowiedź daną przez ciebie temuż Noyers'owi, który to z rozkazu królowéj doświadczał waszmości około sprawy najjaśniejszego księcia, podczas gdy ona sama podsłuchiwała was za drzwiami i również sama dała p. Masinemu rozkaz, aby cię wypróbował, co on też uczynił przezemnie, jak widziałeś, a potem pierwszy przerwał ową rozmowę żarcikiem o imieniu Bibbonego; co zaś do waszmości, bardzoś się roztropnie znalazł.

— Mości księże, odpowiedziałem, nie możesz waszmość zaprzeczyć, iż mam słuszne prawo użalania się, żem niebył uprzedzony od niego, i że mię poniekąd wystawiono na stracenie interesu niemniej jak siebie samego, który mając sobie włożony obowiązek bezwzględnego stósowania się do rozkazów waszmości, o mało żem wszystkiego nie wytrąbił; bo gdyby nie to, że p. de Noyers już mię był poprzednio kusił, przez co widziałem się zmuszonym do popierania wyrazów wyrzeczonych w jego przytomności, to zaiste byłoby już po wszystkiem.

Ksiądz JMć serdecznie się rozśmiawszy dodał:

— Cóż kiedy byłem pewien, że niedopuścisz, aby było po wszystkiem; i owszem wszystko się uratowało, tym żartem, który ani sprawy ani ciebie nie przyprawił o zgubę, ba, postawił cię jako męża [8]) w oczach Masinego, co ma się znaczyć w oczach samego króla, który niebawem dowié się o wszystkiem, tudzież w oczach królowej, która o tej godzinie już dostatecznie uwiadomiona. Owszem, te żale, coś je przedemną rozkładał, powtórz je Masinemu; bo niepomału ci posłuży, jeśli go przekonasz, że pragniesz zależeć od niego, a nie od Noyers'a; wziął on to bowiem bardzo do serca, i chce aby jemu jednemu przypisywano zaszczyt przeprowadzonej sprawy. Obaczysz wtedy, że Masini rzecz tę w żart obracając na mnie jednego całą winę złoży, i będzie mię strofował żartobliwym sposobem, gdyż znam jego wrodzoną wesołość.

Tyle było rozmowy naszéj dnia onego.

Następnego rana bardzo wcześnie przeprawił się król przez Wisłę niemając nikogo przy sobie oprócz Masinego. Ten zaś odprowadziwszy króla do mieszkania królowéj, wstąpił do swojéj kwatery ogrzać się przy kominie, i zastał tam księdza JMcia ze mną, a wszedłszy zamiast pozdrowienia przywitał mię temi słowy:

— Co tu porabiasz waść, panie Minucci? Coś jak widzę zaprzyjaźniasz się z tym złośliwcem? Chyba żeś zapomniał jak wczoraj usiłował wywieść cię w pole i wystrychnąć na kłamcę przed tym Francuzem?

Ja zaś głos zabierając przed księdzem JMcią, i rzecz dalej prowadząc tym samym krotochwilnym tonem:

— Ach! panie Masini, bardzo się coś obawiam że nie będziemy mogli tego samego powiedzieć co ten kum nasz.

— I czegóż? zapytał Masini śmiejąc się.

---

[8]) vi ha canonizzato per un 'uomo appresso il signor Masini.

— Oto tego, odrzekłem: kumie mój, jest nas dwóch złośliwców, ale większy złośliwiec z ciebie.

— Nie udało ci się! zawołał Masini, bo jest nas trzech w tej chwili, ale wczoraj rano *per Bacco!* było nas czterech, a ty ze wszystkich najsmutniejszym [9]) byłeś.

— Jakkolwiek bądź, panie Masini, odpowiedziałem, nie jestem dość walecznym aby się obronić od tak tęgich razów, i przeto gdy spadają na mnie, racz mi zawsze waszmość przychodzić w pomoc, żeby połowa onych spadła na *birbona.*

— Abyś waszmość miał pewność, że to uczynię, odpowiedział, odtąd już poczynam, i przerywam rozmowę o złośliwcu rzeczą o łotrze, o którym rozprawiałam z królem przez całą drogę, i przekonałem się że ma tę własność przerywania rozmów, gdyż Jego król. Mość skorom jego bardzo natarczywie zalecał, milczał przez czas jakiś, a potém coś wtrącał o jego przymiotach niepochlebnych lub przynajmniej nie przypadających do smaku Jego król. Mci. . . ale coś widzę, że nasz ksiądz jegomość się nadąsał; trzeba zawrzeć pokój za pomocą okowity; i tuśmy jęli tę rzecz okowitą zalewać.

W taki to sposób czyni się praktyki z tym człowiekiem, który jest doprawdy najuczciwszy i z jednaką gorliwością służy W. ks. Mci co JMć ksiądz Martinozzi.

Tegoż dnia po obiedzie byłem u króla JMci, który mię przyjął, i wprowadzony zostałem od Masinego do jednéj z cel klasztornych przegrodzonéj po środku przepierzeniem w pół wysokości, gdyż część jéj służyła za przedpokój. Wszedłem, i podczas gdym oddawał powinne ukłony, głębokie uszanowanie należycie wyświadczając; Jego król. Mość pierwszy przemówił do mnie w te słowa:

---

[9]) Gra słów na wyrazie bliskoznacznym *tristo*, przez który można rozumieć złośliwca równie jak zasmuconego.

— Otrzymałem list, który waszmość wręczyłeś królowéj dla mnie, o którym to pomówiemy inną razą, gdyż tutaj nas słyszą (w rzeczy saméj za przegrodą stali niektórzy panowie polscy), a królowa nauczy cię wszystkiego co nadal przedsięwziąść wypadnie. Czy masz inny jaki interes do nas?

— Najjaśniejszy królu i panie najmiłościwszy! zaszczyt jakiego doświadczam od W. król Mci, gdy jest mi danem ucałować poły jego szaty, stanie mi za najważniejszy interes, bo zarazem podaje mi zręczność usłużenia najjaśniejszemu panu mojemu przez oddanie W. król. Mci tego oto listu.

Król JMć wziął list, który mu podawałem, czytał go powoli jakoby ważąc każde słowo, i nareszcie obrócił się ku mnie z zachmurzoném czołem:

— Pan wasz, rzekł, zaleca mi Bibbonego; pisał mnie już o nim Wielki książe; snać niewiedzą że to furtant; zresztą waść sam uważ, ażali to pora do wyprawiania posłów do Hiszpanii po wypłatę? Ale basta, zobaczymy się, zostawaj tymczasem z Masinim, — i nic więcéj nie pomówiwszy do mnie wyszedł do drugiego pokoju, a jam został w pół osłupiały, widząc, iż nietylko do początku swego, ale daleko za początek cofnęła się ona sprawa, którą mi W. ks. Mość za ukończoną dać raczyłeś opierając się na listach Burattinego, Martinozzego i Masinego, i już zawstydzony wynosiłem się, gdym się spotkał z Masinim trzymającym w ręku listy W. ks. Mci do panów wojewodów, który rzekł mi:

— Idę do króla po list bespieczeństwa dla przewiezienia papierów, któreś mi oddał wczoraj; i tak mówiąc pokazał mi makularz glejtu onego, ułożony podług pisma W. ks. Mci, i opiewający, iż wiezione listy pochodzą od W. ks. Mci i są powierzone mojéj osobie, który jadę tutaj dla oświadczenia chęci, jaką czujesz W. ks. Mść służenia téj Koronie przez jednę lub dwie

kampanje; i że król JMć w téj rzeczy jest zupełnie obojętnym, wyjąwszy, że pragnąłby oglądać W. ks. Mość przez szczere a nieudane ku niemu przywiązanie swoje, i przeto życzy sobie jak najmocniej, aby panowie Ichmość obmyślili przyzwoity i sprawiedliwy pretext dla jego przyjazdu.

Poczekałem nieco, ażby Masini wrócił od króla, zkąd gdy rychło wyszedł, powiedział mi:

— Jego król. Mość pochwalił wszystko i przykazał mi porozsyłać te listy przez kozaków umyślnie na to wyprawionych.

Co w rzeczy saméj nastąpiło przed nocą; myśmy się zaś przeprawili przez Wisłę, a jam rozdał listy panom zostającym w obozie, których było trzech: Referendarz koronny, Pac kanclerz W. Litewski, i Marszałek W. koronny, którzy się wszyscy pokazali wielce przychylnemi dla W. ks. Mci, i niecierpliwymi widzieć jego tutaj; jednakowoż mówiąc ze mną poprzestawali na ogólnikach, oprócz W. marszałka Lubomirskiego, który mi powiedział:

— Książe JMć Matjasz miał zawsze uczucia szlachetne i pochop do żołnierki; pożądanym jest przeto w tym kraju, tém więcéj, iż jako oswojony z narodem niemieckim, mógłby ład zaprowadzić i utrzymać w karbach tych co tu mamy za pomocników, którzy przez złe rządy dowodców (była to przymówka do jenerała Susa głównego swego nieprzyjaciela) i przez niesforność żołnierza, więcéj nam przynieśli złego niż dobrego, pomijając już, że płacimy za dwanaście tysięcy, a jest ich zaledwo dwanaście setek na pół umarłych z głodu (co było największą prawdą i oraz przyczyną nieprzyjaźni W. Marszałka dla jenerała Susa).

— Co do mnie, mówił dalej, wiele winienem Jego ks. Mci, bo już mię po dwakroć darzył swemi miłemi listy bez żadnej z mojéj strony zasługi.

I tu się przytoczona rozmowa przerwała uwagami nad pięknością Włoch, a szczególnie Florencji. Poczem wróciłem na moję kwaterę, dokąd przyszedł ze mną p. Cefali sekretarz W. Marszałka a gospodarz mieszkania, gdzie stałem samotrzeć z nim, z p. Masini i z p. Martinozzi. Przy obiedzie tedy Masini pod pozorem oznajmienia mi, że rozesłano wszystkie listy, nakręcił rozmowę na sprawę W. ks. Mci dotykając onéj z p. Cefali, a gdy zapewniał, że nie tak się rzecz miała jak kiedyśmy jedli w towarzystwie Noyers'a, byłem zmuszony odezwać się w te słowa:

— Panie Masini, mam wiele do mówienia o Bibbonim; — aby przerwać tę rozmowę.

On zaś na to:

— Nie, nie, panie Minucci; mówmy na serio, p. Cefali nie Francuz, chcę powiedzieć, iż pragnie rzeczywiście, aby książe JMć przybył tutaj, a jakkolwiek liczy się do tych, którym królowa nie rada, abyś się zwierzał, możesz pomimo tego spuścić się całkiem na mnie w téj rzeczy; boć to uczciwy człowiek, choć nie każdy o tém wié.

— Przepraszam, odpowiedziałem, pragnąc zawsze odwrócić rozmowę, ale to szczególniejszy sposób chwalenia!

— Pan Minucci nie umié lepiéj chwalić, odparł p. Cefali, i ciągnął dalej:

— Nie szczędzę usiłowań, aby przeciągnąć p. Marszałka na naszę stronę; lubi on bowiem księcia Matjasza, ale nie chce przystać na to, aby przystąpiono do obioru następcy przed elekcją króla, i w tém przeciwnym jest chęciom pewnéj osoby, która za nadto tego pragnie dla dogodzenia prywacie i w widokach nie najkorzystniejszych dla téj korony.

— Należy usiłować, rzekł Masini, aby przywieść tego pana do zezwolenia, i zrównoważyć niechęć jego ku

pewnéj osobie, o której waszmość mówisz (a ta nie inna jak królowa, bo chcę by zrozumiał dobrze JMć p. Minucci), walecznością, dobrocią i wspaniałością księcia Matjasza, i tym sposobem będzie można przełamać jego upór.

W tém gdyśmy tak rozprawiali wszedł p. Stanisław syn W. Marszałka, młodzieniec liczący ze siedmnaście lat, a p. Cefali powiedział:

— Właśnie w téj chwili p. Minucci wnosił zdrowie p. Marszałka wielkiego koronnego, i mówił iż JMć p. Marszałek byłby osobą wedle animuszu najjaśniejszego księcia Matjasza.

P. Stanisław nie dał mu dokończyć i przerwał temi słowy:

— A waszmość p. Cefali powinieneś był odpowiedzieć, że JMć ojciec mój szacuje tak wysoce zalety najjaśniejszego księcia Matjasza, że niemasz zgoła rzeczy, którejby nie uczynił dla przysłużenia się jemu, i we mnie samym obudził tak silną żądzę poznania go osobiście przez wynoszenie jego waleczności i opowiadanie rycerskich spraw księcia JMci w Niemczech, że niewidzę godziny puszczenia się do Włoch.

— Pan Cefali dodał:

— Nie zabraknie jaśnie oświeconemu panu pogody do zadość uczynienia afektowi, jaki masz ku najjaśniejszemu księciu, i zaszczyt, iż skłoniłeś do jednomyślności z sobą JMć ojca swojego, wyłącznie będzie się tobie należeć. Ale tym czasem wypada wywzajemnić się za wniesione zdrowie.

Wtedy młodzieniec z dziwną udatnością wziąwszy złocisty puhar sam go napełnił i wychylił za zdrowie W. ks. Mci mówiąc:

— Ach mój panie! Jego ks. Mość odwdzięczy mi się we Włoszech lub w Polsce, a waszmość panie Minucci ręczysz mi za to?

— Gotowość JMci księcia Matjasza jest za wielką, aby potrzebowała rękojmi; ale ponieważ jaśnie oświecony pan żądasz takowéj dla mego własnego zaszczytu obliguję się jak najformalniej tym oto puharem, który powtórnie poświęcam szczęśliwemu skutkowi zamysłów jaśnie oświeconego ojca waszmości.

I na tém wówczas stanęła rozmowa nasza. Dodać muszę, iż przez cały czas pobytu mego w obozie ten sam panicz codzień był z nami, a ilekroć został sam na sam zemną rozwodził się nad dobrem, jakieby ztąd wynikło, gdybyś W. ks. Mość został królem tego państwa, które dzisiaj pełne zamieszek, bowiem nie król nim, powiadał, lecz niewiasta ambitna rządzi; jakoż póżniej ten sam młodzieniec, o czém W. ks. Mość wnet posłyszysz, wyrobił u ojca, iż przystał na elekcją następcy.

Dnia 15 października po obiedzie p. Masini zaprowadził mię do króla JMci z rozkazu Jego król. Mci, który mię przyjmował pod namiotem, i wedle zwyczaju swego nie dawszy przemówić rzekł do mnie:

— Cóż to się znaczy, iż książe JMć Matjasz nie przybył późniéj do Polski, jak to nam był zapowiedział przez O. Giovannelli, zapewniając o swojém postanowieniu?

To pytanie znalazło mnie nieprzygotowanego, a niespodzianie zagadniony niewiedziałem co odpowiedzieć, jeno to że zbieg okoliczności, tudzież niepokoje jakie zakłóciły były te strony odstrychnęły na czas jakiś W. ks. Mość od powziętego zamiaru; lecz skorobyś się dowiedział W. ks. Mość, że chodzi o służbę króla JMci, pewien byłem, iż nieomieszkałbyś natychmiast puścić się w drogę.

A król mi na to:

— Napisz do niego aby przyjeżdżał, i wytłómacz mu

że tutaj nie tak źle jak się niektórym widzi. Czy porozdawałeś waszmość listy panom wojewodom?

— Porozdawałem, najjaśniejszy panie, odparłem.

A król JMć dodał.

— Jest ich wielu za nim, chociaż mu na przeciwnych nie zbywa; ale nie rozpaczajmy.

I tutaj zwyczajem swojém *basta* i uchyleniem czapki odprawił mię.

W ciągu tych dni przyszły odpowiedzi na listy W. ks. Mci; niektórzy przysłali po dwie, jednę na list przez Martinozzego oddany, drugą zaś na ten, który ja przywiozłem: tamte otrzymał sam Martinozzi i posłał je temi dniami W. ks. Mci; te zaś zebrawszy razem opieczętowałem i wyprawiłem do Florencji pod datą 4 listopada. Nie mógłem wiedzieć wówczas co zawierały, gdyż były pieczętowane, ale wszystko co odpisywali p. Masinemu szło na pochwałę W. ks. Mci; a pismo p. Wojewody Ossolińskiego kilkakroć powtarzało: *Jestto książe godzien królewskiej korony, i może go Bóg naszéj przeznacza.*

Dnia 19 października wróciłem do króla JMci do tego samego namiotu, a Jego król. Mość badał mię szczegółowo o stan zdrowia W. ks. Mci, o jego wiek, i jeśli go wspomina czasem, i czy go miłuje. Odpowiedziałem na wszystko jak wiedziałem, a szczególnie o wspominaniu Jego król. Mci i przywiązaniu do niego, rozwodziłem się szeroce wykazując, że W. ks. Mość zawisłeś od rozkazów Króla IMci, czego najoczywistszym dowodem były zlecenia, jakie odebrałem od W. ks. Mości.

Król JMć zapytał:

— Czyż waszmość napisałeś do niego aby przybywał?

— Napisałem, najjaśniejszy panie, odpowiedziałem, ale list jeszcze nie wyprawion dla braku okazji.

Król zaś dodał:

— Napisz na nowo Panu swemu, aby przyjeżdżał, bo sprawa idzie jak najlepiej, a przy jego obecności pewienem, że się szczęśliwie i pomyślnie załatwi, dawszy się poznać Wojewodom niewątpliwie im się spodoba i uczynią wszystko co zechcemy.

I z tém mię odprawił; ale kiedy byłem już u drzwi Jego król. Mość zawrócił mię, i rozkazawszy mi przysunąć stołek, podyktował mi następny list, który tutaj przyłączam wraz z innemi poprzednio pisanemi przezemnie do W. ks. Mci; a jakkolwiek wiem, że je W. ks. Mość otrzymałeś, posyłam ich odpisy, aby nad tak zebranemi w jedno łatwiéj mu było, bez poszukiwania onych, czynić postrzeżenia swoje.

LIST DO NAJJAŚNIEJSZEGO KSIĘCIA MATJASZA

pisany przez Pawła Minucci d. 19 paźdz. 1658

z pod Torunia w Prusiech, dyktowany p. króla Jana Kazimierza.

Król został bardzo zadowolonym z oświadczeń jakie mu czyniłem o niezmiennym zawsze afekcie W. ks. Mci ku niemu, i mówił mi, iż niewątpi o szczerości wyrazów moich; że zresztą nie teraz się o tém dowiaduje, i że sam zachował dotąd dawną swoję życzliwość dla dobra W. ks. Mci, którego tyle miłuje, iż raz jeszcze przed śmiercią radby go oglądał. Rozkazywał mi przeto na każdéj danéj mi przez siebie audiencyi, abym pisał do W. ks. Mci i radził mu postanowić rychły przyjazd w te strony; dzisiejszego zaś wieczora włożył na mnie obowiązek odpisania W. ks. Mci, iżbyś mógł wyruszyć i przybyć tutaj jako żołnierz, nie zaś jako książe; i że za jego przybyciem sama przytomność jego stałaby się skuteczniejszą od wszelkich zabiegów, któ-

rych się jednak nie szczędzi dla dopięcia celu. Zaczem w imieniu samego Króla całuję ręce W. ks. Mci.

(podczas gdym ja pokornie nachylon całował szatę jego).

DO KSIĘCIA MATIASZA TOSKAŃSKIEGO PAWEŁ MINUCCI

z tegóż miejsca i dnia tegóż.

(W cyfrach).

Dołączone tu pismo do W. ks. Mci, jest co do joty dyktowaném przez Króla JMci, co nie wątpię iż W. ks. Mość wnet poznasz zważając umiarkowanie zamieszczonych w niém wyrazów, które gdym napisał, Jego król. Mość rozkazał mi zostawić na stole tak podpisane i niezapieczętowane, a w godzinę potém odesłał mi je złożną pieczęcią wyobrażającą gwiazdę, i z podpisem ręką któregoś dworzanina Jego król. Mci; myślałem, że król IMć to uczynił, aby list on mógł być pokazanym Królowéj, bez któréj nieodważa się na żaden krok w téj sprawie. I w rzeczy samé pomieniona najjaśniejsza pani więcéj niż ktokolwiek żądałaby widzieć tutaj W. ks. Mość, i żadnych nie zaniedbuje środków, aby przyjść ku temu. Co zaś się tyczy powodów tego jéj tak gorącego pragnienia, o takowych prawią tutaj rozmaicie. Prawdziwi przyjaciele (niech W. ks. Mość pozwoli mi użyć tego miana) W. ks. Mci powiadają, iż ją skłania chęć stósowania się do upodobań Króla IMci, i afekt serdeczny tejże najjaśniejszéj pani ku domowi Toskańskiemu, a ku W. ks. Mci w szczególności, jak to królowa IMć sama mnie wyraziła. Przebieglejsi zaś w polityce utrzymują, iż to czyni dla zachowania się na królewskiej stopie, oddając późniéj w dozgonną przyjaźń W. ks. Mci siostrzenicę swoją; i ci może nie zbyt

dalecy od prawdy, jak to wnosić mogę ze słów p. Masinego, który mię zaręczał, iż Jéj król. Mość chętnie wydałaby siostrzenicę swoję za najjaśniejszego księcia Kozmasa, i że tym celem sprowadzała jéj wizerunek, uważając, iż W. ks. Mość byłeś za nadto podeszły w leciech w porównaniu z panienką, która nie skończyła dwunastego roku: że zaś to wszystko czyniła dla zapewnienia sobie przytułku w tym najjaśniejszym domu w przypadku śmierci króla, lub dla dostania go tutaj w razie gdybyś W. Ks. Mość został obrany królem. Inni złośliwsi twierdzą, iż to czyni, aby utrzymać w niezgodzie i w zazdrości tych panów, i rządzić niemi jak jej się podoba, wedle prawidła onego: *Divide et impera.* Inni, że to czyni dla upatrzenia szczęśliwéj doby, stósując się tym czasem do woli królewskiej, aby przejść później na stronę Kondeusza. Inni znowu, że zdąża ku wszystkim tym celom, razem, jak ta która ma głowę pełną kabał i praktyk niestwornych, i nieposiadając jako niewiasta zdolności do oznaczenia i wytknięcia sobie lepszéj drogi, a nie przyjmując rad od nikogo, czeka ażby ją zbieg okoliczności przywiódł do postanowienia jakiego już nie będzie w jéj mocy odwłóczyć. Atoli jakiekolwiek są jéj dążności, to pewna, iż postępuje w całéj téj sprawie z nadzwyczajną roztropnością, i z niekobiécem rozgarnieniem, a to zawsze na korzyść W. Ks. Mci, który jesteś czczony i poważany do najwyższego stopnia, co ja widzę i znam lepiéj od innych jako ten, który się szczycąc czcigodném mianém sługi W. Ks. Mości, odbieram od tych panów niesłychane honory, lecz je zawdzięczam wszystkie W. Ks. Mci, któremu tym czasem całuję z uszanowaniem podołek szaty.

DO TEGOŻ NAJJAŚNIEJSZEGO KSIĘCIA MATIASZA

dnia 21 października 1658.

(w cyfrach.)

We dwa dni po napisaniu powyższych listów w cyfrach, których dołączone pismo jest duplikatem, najjaśniejsza pani przysłała po mnie i powiedziała mi:

— Wiem żeś pisał waszmość do księcia Matiasza, aby przyjeżdżał; napisz więc jeszcze naglą go bardziéj niżeś dotąd czynił, tak aby się ruszył z miejsca, i powiedz mu że niezawodnie jego przytomność rzecz całą rozstrzygnie.

Odpowiedziałem iż usłucham Jéj Król. Mci, która mię zapytała azali używałem osobnego klucza pisując do W. Ks. Mości; odpowiedziałem żem używał; ona zaś dodała:

— A zatém pisz waszmość.

Ośmieliłem się natrącić Jéj Król. Mci czy byłaby tego zdania, abym w liście moim zażądał przysłania tutaj osoby umocowanéj do ostatecznego ułożenia sprawy i dobicia onéj; odparła nie dając prawie domawiać:

— Nie, mój panie, nie, nie potrzeba: osobą tą powinien być on sam, który osobiście przybyć tutaj musi dla objęcia tego co dlań otrzymamy.

Z tych słów poznałem że król JMć pokazywał list mój królowéj, która mię tém więcéj utwierdziła w przeświadczeniu o swojéj prawdomówności. Niech mi więc wolno będzie ze czcią należną W. Ks. Mci zachęcać go, abyś się pofatygował [10]) dla uszczęśliwienia i objęcia

[10]) a pigliar questo scommodo per avventurare un regno.— Uderza często w ówczesnych sprawozdaniach posłów zagranicznych pewne lekceważenie praw i najwyższéj władzy w Polsce, bezwstydne ja-

królestwa, które sądząc z obecnego stanu rzeczy już niejako należy do W. Ks. Mości, któremu tym czasem pokornie uniżony szatę ze czcią całuję:

W wieczór potém gdym jadł wieczerzę z p. Masini, ten mi rzekł:

— Jego Król. Mość życzy sobie abyś waszmość napisał do ks. Matiasza namawiając go przyjechać tutaj. Ja zaś odparłem:—Jużem napisał, a Jego Król. Mość sam przeszłego wieczora podyktował mi list, który został w królewskim pokoju a który mnie odesłano z luźną pieczęcią, jak o tém waszmość wiesz.

— Wiem bardzo dobrze, powiedział Masini, ale czyż ma odpisać?

— Odpisze zapewne; ale proszę waszmości panie Masini, dla czegoż nie pisze Jego Król. Mość któremuby prędzéj uwierzono?

Odpowiedział Masini: — Mógłbym waszmości odrzec: Dla tego iż Jego Król. Mci nie chce się pisać, i taką odpowiedzią zadowolić cię troszkę, ale chcąc cię zadowolić zupełnie powiem ci, że ponieważ sprawa jeszcze nie ułożona, dobrze jest i jak najlepiéj, że Jego Król.

---

kieś frymarczenie koroną Jagiellonów: smutny owoc naszych własnych rozterków, wyuzdania i pozbawienia przez nas samych majestatu królewskiego świętości i nietykalności swojéj. Poseł toskański współziomek Machiawela, podstępny, skryty i ślizki, widać jak się łamie ukłonem za każdym niemal okresem, a zarazem potrząsa każdy z nich subtelną jak pyłek ironią, uśmiechnionem, ogładnem i drwiącém dworactwem. Powiernik włoskiego panka po ciężkie berło Batorego przybyły, dowcipkuje z pewnym florenckim atycyzmem okadzając niepowściągliwe samowładztwo Medyceuszów, i pieści się niera z zwykrętnemi metalicznego dźwięku okresy, którym w polskim przekładzie niepodobna zachować właściwéj cechy, jak z dłótowaną przez Benvenuta rękojeścią puginału, ciskając z pod nizkiego ukłonu wzrokiem szyderczéj litości na wąsatego i rubasznego sarmatę, któremu przyjechał panować z nowożytnych Aten gdzieś do obozu na scytyjskiéj równinie *(przypisek tłumacza).*

Mość nie wychodzi nigdy z ogólników, dając do zrozumienia że książe Matiasz nie zajmuje go więcéj niż kto inny, i że chce zostawić tym panom swobodę ich głosów, usiłując aby się nigdy spostrzedz nie mogli, że on go przywołał; byłoby to bowiem śmiertelnym ciosem dla całéj sprawy; i zyskałoby się odmowę od tych nawet którzy najgorliwiéj sobie życzą księcia JMci.

— To niech przynajmniéj napisze królowa, odparłem.

— Dla Boga! zawołał Masini, gdyby tym polakom przyśniło się tylko, że królowa skłonna ku temu, rzecz by natychmiast w łeb wzięła. Czyliż nie widzisz waszmość z jaką ona ostrożnością postępuje w tych praktykach? Czyliż nie doznałeś przez się, iż dopóty nie dała poznać waszmości zamysłów swoich dopóki się nie przekonała z licznych prób że może zaufać skrytości twojéj? Azaliż nie odgadłeś z danego sobie rozkazu, abyś mnie nawet nie dowierzał, że chce cię przyuczyć do wystrzegania się wszystkich i nie wydawania przed nikim, że Jéj Król. Mość ma jakikolwiek udział w téj rzeczy? Czyliż nie zabroniła tobie pisać, aby przysłano ztamtąd pełnomocnika? a to także z obawy, aby się co nie odkryło, i dla usunięcia wszelkiego cienia jakiby mógł paść na księcia Matiasza. Czyż zresztą nie widzisz jak się w téj rzeczy obchodzi z Noyers'em największym poufańcem swoim? Daje mu do pojęcia że pragnie księcia Matiasza jedynie przez pobłażanie dla króla, który go miłuje jako krewnego, ale niby w rzeczy saméj radby Kondeuszowi; a to zaś właśnie dla zepsowania wszystkich praktyk rzeczonego Kondeusza, czyniąc jawném mniemam pragnienie swoje, i dokazuje tego, iż Noyers przez to samo że zdradza księcia Matiasza dyskredytując go przed polskimi panami, popiera mimowolnie jego wziętość, a obala Kondeusza którego w ich przytomności pod niebiosa wynosi i często nawet z największą nieroztropnością zaleca jako kandydata krolowéj.

Poczém przez kilka tygodni o żadnéj już sprawie nie mówiłem, albowiem królowa JMć była po tamtéj stronie Wisły, a my zaś, jak wspomniałem, staliśmy po téj stronie pod Toruniem gdzie był król, z którym jednak nie nadarzyła mi się nigdy zręczność pomówienia; znużony przeto próżną bezczynnością, a nie mogąc się oddalić gdyż królowa tego nie chciała, jednego poranka co Wisłę przebyła, kazałem jéj powiedzieć że chętnie do Gdańska bym pojechał, a Jéj Król. Mość nie tylko że aprobowała takowe postanowienie moje, ale rozkazała nawet dać mi jednę ze swoich karet poszóstnych. Jakoż udałem się do Gdańska spólnie z p. Masini, któ- ry chciał jechać ze mną dla rozpoznania i objęcia kaduka po rokoszaninie nadanego mu od króla i wynoszącego, jak mówiono, do dwudziestu pięciu tysięcy szkutów; owszem sam Masini obudził we mnie ciekawość obaczenia Gdańska, i sam wyprosił dla mnie u królowéj pozwolenie na tę wycieczkę.— Ów kaduk, co to jego połowa miała mi się dostać w podarunku od Jego Król. Mci, który go był podzielił między mnie a Masinego, poszedł z dymem, i nic się innego nie zyskało nad wydatek 25 czerwonych złotych na prokuratora i trybunały gdańskie, gdzie się pokazało, iż puścizna ona obciążona posagami i fideikomisami, i przeto z dóbr stołowych królewskich dano nam dwieście czerwonych złotych na konto sprzedaży tych rzeczy, z których jakkolwiek zadłużonych skarb jeszcze tę sumę wyciągnąć potrafił. I tak przyszło jechać bez żadnéj dla siebie korzyści.

Wróciliśmy zatém pod Toruń ku końcowi stycznia, gdzie wieczora jednego rozmawiając z p. Masinim rzekłem doń:

— To już ostatecznie nic nie będzie z interesu Bibbonego? A jednak, panie Masini, listy waszmości równie jak Burattinego, Noyers'a i saméj królowéj opiewają że

to sprawa skończona, i że niczego innego nie brakło, jak żeby zabrał depesze; w téj to pewności Wielki książe JMść rozkazał mi, nie już abym się trudnił interesem Bibbonego, ale żebym prosił o depesze tego się interesu tyczące. Któż więc teraz zdoła wybić z głowy najjaśniejszemu Wielkiemu Księciu że to ja wszystko popsułem? Zaprawdę, tak mię rzecz ta boli, że gotówbym nie wracać już więcéj do Toskanii.

— Prawda to wszystko co mówisz, odparł Masini, alić interesa w Polsce zawsze takim trybem idą!

— Jamci przekonany o tém, powiedziałem, ale któż przekona W. księcia o tych polskich obyczajach, gdy oto mam w ręku świadectwo waszmości równie jak innych że ten interes już ułożony? Może list od króla JMci lub od królowéj, albo od waszmości czy innych jemu równych, dowodzący żem w niczém nie wykroczył przeciwko mojemu obowiązkowi? Nie, bezwątpienia; albowiem Jego Książęca Mość wié bardzo dobrze iż takowe świadectwa przedniejszych osób gdy się kto o nie postarać umié, bywają dawane, lubo się nieraz z prawdą rozminą? Jedném słowem jestem zgubiony, zdiskredytowany i pogrążony w rozpaczy!...Ależ dla Boga! panie Masini, jeśli Jego król. Mość chce wyprawić Bibbonego jako posła dla zażądania wypłaty, czyliż nie może posłużyć za wymówkę zwrócenie Złotego Runa ś. p. króla Władysława, lub powinszowanie nowonarodzonego syna?

Masini widząc mię przywiedzionego niemal do rozpaczy i powodowany raczéj swoją przyjaźnią ku mnie niż chęcią usłużenia Bibbonemu, a znając do tego żem mówił więcéj jak prawdę, i słysząc com doradzał dla ubarwienia istotnych celów poselstwa, powiedział mi:

— Idźmy do króla JMści; przełożysz mu te pretexta.

— Waszmość zrób mi tę łaskę, odpowiedziałem, i pomów sam z królem, bowiem nie zdaje się mi tą razą

przyzwoitością, abym wyjeżdżał z takiém zuchwalstwem.

— Nie, nie, odrzekł Masini, chcę aby wszystek zaszczyt należał się tobie.

I tak wprowadził mię do króla JMści pod ten sam namiot co przedtém, gdzie Jego Król. Mość skoro nas ujrzał odezwał się dość wesoło:

— Cóż nam powie Minucci?

- Najjaśniejszy panie, rzekłem, błagam W. Królew Mość o wybaczenie mi śmiałości z jaką pozwalam sobie tłómaczyć na własną korzyść jego królewskie wyrazy.

— Mów śmiało.

— Wasza Król. Mość raczyłeś mi powiedzieć, abym sam uważał azali mi się zdawało dobrą wymówką wyprawiać ambasadora do Hiszpanii po pieniężną wypłatę, z czego rozumiejąc że jeśliby podano W. Król. Mości inną lepszą wymówkę, skłoniłbyś się do posłania onegoż, ośmielam się podać takową.

Jego król. Mość namarszczywszy czoła przebąknął pod nosem.

— A więc?...

— Wymówka powinszowania téj koronie, prowadziłem daléj, nowonarodzonego syna zdaje mi się wcale nie od rzeczy, równie jak ona druga oddania Złotego Runa, którą mam za niezbędną.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział król; ale Złote Runo jest w Toskanii; ma je przy sobie ksiądz Mąkowski bawiący teraz w kąpieli w San-Casciano; można będzie napisać, aby mu je oddał. Pojedzie...pojedzie...postawi na swojem ten nic do rzeczy!...Ale ponieważ Wielki Książe i pan jego tyle się wstawiali za nim, niewiedząc co zacz, chcę aby się zobowiązali jeszcze więcéj, bo nie ufam jemu, i przeto go nie poślę jeżeli z nim nie pojedzie dworzanin Toskańskiego dworu; pomyślałem zaś o tobie: co mówisz na to?

— Najjaśniejszy Panie, odparłem, jestto zaszczyt, którego nie jestem zdolny wyobrazić sobie, a cóż pragnąć, a cóż dopiéro dostąpić! ale błagam królewskiéj dobroci W. Król. Mości, abyś się raczył zastanowić że moja wola nie moja będąc związaną na usługi najjaśniejszego księcia Matjasza.

— Wiém, odpowiedział król, wiém już o tém; ale jeśli poproszę o waszmość księcia Matjasza, pewien jestem że nieodmówi mi ciebie.

— Wasza Król. Mość, rzekłem, liczysz więc odtąd jednego sługę więcéj. A król JMć dodał:

— Zostawaj waść z Masinim, i powiedz mu aby mi przypomniał tę rzecz.

Pan Masini następnego rana dotykał wobec króla tego interesu i otrzymał rozkaz przygotowania owych błogosławionych depesz, do których tak długo wzdychałem, lubo jeszcze i pod koniec przywiodło mię o wzdychanie niepodobieństwo przyłożenia koronnéj pieczęci, z powodu niebytności W. kanclerza równie jak podkanclerzego koronnego, piastujących pieczęcie u dworu polskiego. Jednak czwartego dnia przybył ten ostatni i przywiózł także wiadomość o śmierci księdza Mąkowskiego w kąpielach w San-Casciano, i o zwróceniu depesz powierzonych jemu dla oddania Złotego Runa; wypadło zatém układać inne na imie Bibbonego, co téż nastąpiło, i 25 stycznia w wieczór wręczono mi takowe dla Bibbonego pisane z rozkazem przedstawienia onych W. Księciu JMci, iżby je sam nowemu posłowi powierzył; com wnet uskutecznił po przybyciu mojém do Florencyi. Sam zaś król JMść oddał mi list złożony przezemnie W. Ks. Mości, w którym go uprasza o moję osobę dla posłania mię z Bibbonim jako swego sekretarza przy poselstwie, gdy już mię takim mianował był swoim królewskim dyplomem podobnież W. Ks. Mci złożonym. Atoli W. Ks. Mość nie życzyłeś sobie abym zostawał na téj służbie

dla słusznych powodów od mego dobra nieodłącznych. Pomienione zaś depesze równie jak list do W. ks. Mci i dyplom królewski dla mnie noszą datę miesiąca listopada, lubom je odebrał, jakem się już wyraził, pod koniec stycznia, gdyż wówczas dopiero król JMść przystał na podpisanie onych, czego nigdy przedtém niechciał był uczynić, jak już o tém rozwodzisto prawiłem. Nie mogę innéj przyczyny przypisać jego postępowaniu, krom téj, że chciał może pokazać panom dygnitarzom, jakoby pobyt mój u dworu był spowodowany oczekiwaniem tych depesz leżących od początku listopada, co było w kilka dni po moim przyjeździe.

Przez ciąg wyglądania wspomnionych depesz, królowa JMć przewoziła się kilkakrotnie na tę stronę Wisły; lecz nigdy nie byłem u niéj, wyjąwszy ranek 20 stycznia, którego Jéj Król. Mość chcąc się na powrót przebrać przez Wisłę, i zatrzymawszy się pod małym namiotkiem na wybrzeżu, gdzie czekała wiadomości o bezpieczeństwie przewozu, jaką przynieść mieli słudzy tym celem wysłani, kazała mię przywołać, bowiem byłem tam z innemi... (*rękopism wydarty w tém miejscu*).... gdym wszedł do namiotu powiedziała mi w przytomności Noyers'a żem wiele zdziałał na korzyść Bibbonego, i abym to opowiedział najjaśniejszemu W. Księciu dodając jako król niechciał się dać skłonić, i jeśli to uczynił, że to dla tego jedynie aby przysłużyć się Wielkiemu Księciu, który był przeto obowiązany obwarować się przeciw Bibbonemu by czego niespłatał [11]). Są to do-

---

[11]) Ów margrabia Bibboni poseł Rzpltéj polskiéj przy dworze hiszpańskim, wielki pan i hultaj razem, protegowany przez Medyceuszów a wzgardzony od Polaków, przez długi czas zajmował sobą dwa najświetniejsze podówczas dwory w Europie. Używano go za pozór do rozstrzygnienia losów korony polskiéj i powierzano mu order złotego runa także jako pozór do odebrania sum neapolitańskich; miał on to do siebie że śmieszył biesiadujących i przerywał rozmo-

słowne wyrazy Jéj Król. Mości, któréj ośmieliłem się błagać o pozwolenie odjechania do Włoch; królowa zaś odpowiedziała mi:

— Nim otrzymasz depeszę dla Bibbonego wrócę na tę stronę i będę się widziała z waszmością.

Tymczasem oznajmiono że przewóz bezpieczny, a Jéj Król. Mość wsiadła natychmiast do kocza z drugą panią już niemłodą, i z dwoma hajdukami z tyłu, za nią zaś Noyers w innym koczu z jednym hajdukiem z tyłu, i tak szybko wyruszywszy przejechali po lodzie na drugi brzeg Wisły, która następnéj nocy puściła od południowego wiatru, tak iż przez kilka dni przewóz był niepodobnym, nie tylko koczem ale nawet batem; i przeto królowa nie wróciła już na tę stronę Wisły aż po dziesięciu dniach, a wróciwszy zatrzymała się z całym dworem aby być przytomną przy poddaniu się Torunia, które w tychże dniach nastąpiło.

Po otrzymaniu depesz p. Masini zaprosił mię do kwatery najjaśniejszéj pani, a wszedłszy do środka zostawił mię sam na sam z p. de Noyers, któremu wyrządzałem siła grzeczności, dziękując mu że się włożył do króla za Bibbonim i dodając że dla odwdzięczenia się wystawię W. Księciu JMości jego zasługi w tym względzie.

— Żadnych w téj sprawie nie mam zasług przed W. księ-

---

wy; dyplomaci ówcześni na korzyść jego pracować zmuszeni, bez ogródek łotrem go nazywali, a król nazwawszy go furfantem wbrew własnéj woli i z przymusu także wyprawiał go do Hiszpanii jako przedstawiciela swego. Dwory poruczając mu swe interesa, zabezpieczały się przeciwko niemu: słowem ten człowiek uosabiający wszystkie sprzeczności, ten ciekawy oddawca złotego runa wędrujący z niém na zachód jak bajeczny Jazon z krajów przyległych starożytnéj Kolchidzie, ten wielki dźwigacz pozorów; poseł pomimo wszystkich, łączy w sobie cechy potrzebne do uczynienia z niego awanturniczéj na pół fantastycznéj choć arcydziejowych postaci dla powieści, jeśliby go który z naszych pisarzy chciał wprowadzić kiedy do romansu lub dramatu. (*Przypisek tłumacza.*)

ciem, odrzekł; ale spodziewam się mieć w krótce zaszczyt usłużenia najjaśniejszemu jego domowi w rzeczy nierównie ważniéjszéj.

— I te jego miłe chęci, odparłem, przełożę W. księciu JMści, który pewien jestem że się z radością dowie jak zacnéj osoby zyskał przychylność; słusznie więc będziesz mógł waszmość spodziewać się jego wdzięczności skoro się zręczność nadarzy.

Zbywałem go także podobnemi ogólnikami gdy począł rozmawiać o W. Ks. Mci, i twierdziłem że W. Ks. Mość będziesz podzielał uczucia W. Księcia, it.d. — W tém wszedł Masini, i powiedział Noyers'owi:

— Jéj król. Mość żąda pana Sekretarza Minucci; a ten wprowadziwszy mię został sam z Masinim, który czekał na mnie do końca posłuchania. Skorom się pokazał Jéj król. Mość powitała mię temi słowy:

— To już panie Minucci, jedź sobie z Bogiem; rozpowiedz najjaśniejszemu Księciu w jaki sposób i jak wiele uczyniłam na jego korzyść, i zapewnij go że nie ustanę w tym zawodzie. Rozkazałam Masinemu, aby ułożył list odprawny na twoje imie; będziesz mógł powiedzieć Księciu JMci że cała przeszkoda ogranicza się na trzech czy czterech przeciwnikach najwięcéj, których snadno pozyskać jako zależnych od W. Marszałka, który okazawszy się dotąd przeciwnym nie Księciu JMci osobiście, ale obiorowi następcy, przekonany kilka godzin temu przez syna swego, głośno się z tém odezwał, iż zgadza się na elekcją księcia bitnego i łagodnego, co jedném słowem znaczy księcia Matjasza, i ma się znaczyć także iż sprawa na pewno w ręku naszém. Poradź mu jednak aby się wybrał nie dworno, i jechał jakoby pocztą. Idź waszmość pożegnać króla, i za jego pozwoleniem będziesz mógł potém wyjechać kiedy ci się podoba. Odpowiedziałem zanosząc dzięki Jéj król. Mci za to co uczyniła była i uczynić jeszcze mogła dla W. ks.

Mości, a gdym już odchodził, królowa JMść zawróciła mię i rzekła:

— Ach! Minucci, jedźże potém do Hiszpanii z Bibbonim.

— Najjaśniejsza pani, odpowiedziałem, winienem posłuszeństwo królowi JMci, i co do mnie, pojadę jak najpewniéj jeśli książę JMść pan mój miłościwy pozwoli na to.

— Nie myślę, odparła, aby cię puścił, ale zechce cię przywieść tutaj z sobą.

— W każdy sposób i na każdém miejscu, najjaśniejsza pani moja, będę chciwym fortuny poświęcenia samego siebie królewskim skinieniom króla JMci i Waszéj król. Mci, i przeto ją usilnie błagam o rychłe uszczęśliwienie mię podobnym zaszczytem.

Odpowiedziała królowa:

— Wszędzie i zawsze może się nadać sposobność korzystania z waszmości, i chętnie to uczyniemy, bośmy poznali twoję zdatność, i chcemy abyś się upewnił o życzliwości naszéj ku tobie.

Tu powtórzyłem dziękczynienie moje i wyszedłem; a p. de Noyers przyjmował mię na podworzu i przy p. Masinim obsypywał mię przesadzonemi komplementami, wtrącając często imie W. ks. Mci, i byłby mię może dotychczas trzymał gdyby p. Masini krotochwilnym swoim zwyczajem nie był mię uwolnił od tego oblężenia biorąc mnie pod ręce i wołając:

— Chodźmyże na obiad, przekąsić coś, już pora! p. de Noyers jest tak ugrzeczniony i tak rozkochany w waszmości, że gotów nie skończyć nigdy!

I to mówiąc pociągnął mię za sobą przeciąwszy w połowie oracją i nic mi nie pozwoliwszy na nię odpowiedzieć, jeno w krótkości:

— Sługa waszmości! zawsze i na każdém miejscu najuniżeńszy sługa jego!....

Wróciwszy do naszego mieszkania, gdzie p. Cefali na nas czekał, zasiedliśmy do stołu, a p. Cefali który zrazu nic nie mówił, bo jadł wiele i prędko klnąc się tylko do czasu między dwoma kęsy że polski obiad to przecie nie włoska sałata, podjadłszy oznajmił, iż W. Marszałek wraz z p. Stanisławem synem swoim deklarował, jako gotów jest przystąpić do elekcyi następcy. P. Masini zaś na to:

— Królowa wié już o tém. Waszmość zaś panie Minucci obowiązany jesteś oddać sprawiedliwość JMci p. Cefalemu przed najjaśniejszym księciem, za wszystko co przeprowadził w tym celu z jaśnie oświeconym panem.

— Zapewniam, odrzekłem, JMć p. Cefalego, że niezaniedbam powinności mojéj, i tuszę iż niebawem skutki tego pozna ze wdzięczności, jaką mu świadczyć będzie Jego ks. Mość, pan mój miłościwy.

Powiedział mi potem Masini:

— Mam ułożyć list odprawny od królowéj dla ciebie, ale muszę mieć na to rozkazy króla JMci, o które się postaram dzisiaj, kiedy waszmość pójdziesz z pożegnaniem do króla. Jedném słowem królowa chciałaby już widzieć obranego następcę, i czyni wszystko co umié i może aby to przyszło do skutku; lecz w każdym razie pragnęłaby aby Jego ks. Mość przyjechał tutaj, i wymaga po waszmości, abyś przekonał o tém wszystkiém Jego ks. Mość.

Tegoż dnia odwiedziłem króla z którym Masini już był mówił; Jego król. Mość polecał mi, abym wystawił W. ks. Mci że sprawa rozpoczęła się jak najpomyślniéj i że do niego należało zapieczętować onę przyjazdem swoim tutaj.

— Będziesz się kłaniał mojém imieniem W. księciu JMci, tudzież wszystkim książętom, a szczególnie kardynałowi Karolowi.

Powiesz W. księciu, że tyle doznałem nieprzyjemności z kardynałem Santa-Croce zaszczyconym purpurą na nasze wstawienie się, żem postanowił nie wdawać się więcéj w sprawy duchowieństwa; ale to postanowienie moje nie ma być wszakże z uszczerbkiem monsignora Vidoni, który się tak dobrze sprawował w tém królestwie i tak wiernie służył Stolicy Świętéj. Radbym więc aby W. ks. wiedział o tém dla własnego zadowolenia, jeśli przypadkiem nie będę zalecał promocji przez niego popieranéj. W Hiszpanii zaś zachowasz się waszmość wedle instrukcji, jakie ci każemy wręczyć przez Masinego przed wyjazdem twoim, lub téż zastaniesz je we Włoszech w ręku księcia Matjasza.

I pożegnał mię życzeniem szczęśliwéj drogi. To co mnie powiedziała królowa na ostatniém posłuchaniu, a król na piérwszém, było mi oddane na piśmie od p. Masinego z jedynym dodatkiem niżéj umieszczonych wyrazów, których jednak sam nie słyszałem od króla JMci, a które, jak W. ks. Mość widziałeś, następują po słowach: iż do niego należało zapieczętować sprawę przyjazdem swoim tutaj: — *albowiem nie ośmielimy się zwołać sejmu w tym celu bez przytomności księcia Matjasza, aby nie psować tego cośmy już zdziałali, i przeto namów go, aby się wybrał niezbyt dworno dla swojéj własnéj wygody.*

We dwa dni potém wsiadłem do kocza z księdzem Martinozzi, i udaliśmy się do Warszawy, gdziem go zostawił; ztamtąd jechałem do Krakowa z p. Burattinim, a z tego miasta do Wiednia, gdzie zabawiłem dni dziesięć; potém nareszcie na Wenecją do Florencyi, i zaraz przyjechawszy, jak wiadomo W. ks. Mci, udałem się do najjaśniejszego W. księcia i przełożyłem mu rozkazy królestwa Ich Mci składając depesze dla Bibbonego. Po czém pośpieszyłem do W. ks. Mci, któremu wręczyłem listy królewskie, oraz dyplom na Sekretarza dla

mnie [12]), i opowiedziałem mu ustnie wszystko co się mieści w niniejszém Sprawozdaniu, które składam W. ks. Mci, abyś z prawd, jakie w sobie zawiera, poznał W. Ks. Mość stan całéj sprawy i przedsięwziął kroki, jakie mu się stósowniejszemi wydadzą.

Przypis objaśniający powyższe zabiegi.

Należy wiedzieć iż Jego ks. Mość nie zebrał się pojechać, przez co wszystkie się układy pozrywały, a królowa która chciała króla zawisłego od siebie, obróciła się do Kondeusza; ale spotkała większe przeszkody niż kiedy chodziło o księcia Matjasza; a nadewszystko znalazła nieprzełamany opór w Marszałku W. K. Lubomirskim, którego starała się przeciągnąć na swoję stronę; lecz on się wzbraniał zapewniając, iżby na księcia Matjasza przystał, lecz że żadną miarą nie zezwoli na Kondeusza. Ztąd późniéj wynikł sejm zwołany przez tegoż Marszałka W. K., który się wkrótce przedzierżgnął w otwarty rokosz przeciwko królowi Janowi Kazimierzowi, o mało że nie wziętemu w niewolą od W. Marszałka, co razem ze śmiercią królowéj stało się powodem dobrowolnéj abdykacyi króla Jana Kazimierza.

Należy także wiedzieć że ona skłonność do księcia JMci Matjasza nie wygasła w panach polskich, i nawet po jego śmierci przeniosła się na najjaśniejszy dom Toskański. Okazał onę dostatecznie Pawłowi Minucci pan wojewoda Ossoliński, który bawiąc we Florencyi i mając sobie ofiarowane usługi wspomnionego Minucci,

---

[12]) Jego Wielebność Arcybiskup Florencki Ferdynand Minucci zmarły 1855 roku był potomkiem Pawła, posła niegdyś Toskańskiego do Polski. W papierach zacnego pasterza ma się dotąd przechowywać ów dyplom na sekretarza przez Jana Kazimierza dany, o którym Paweł Minucci ze szczególném upodobaniem zdá się wspominać. (*Przypisek tłómacza.*)

prosił go, aby mu pokazał księcia Franciszka Mariana, i wywiadywał się o jego charakterze i naukach mówiąc:

— Polska potrzebuje króla, a mało domów jest w stanie dać jéj takiego jak ten.

Minucci starał się aby piastunki strzegące księcia JMci Franciszka Mariana wyprowadziły go o umówionéj godzinie na balkon, aby go wojewoda mógł oglądać (bowiem ten pan unikając opóźnienia i straty czasu nie chciał być u wielkiego księcia); atoli snać pokojowiec wyprawiony po to do pałacu nie umiał się wytłómaczyć lub go niezrozumiano; bo wyprowadzony został najjaśniejszy książe Ferdynand, będący pod ów czas małém chłopięciem. Na jego widok wojewoda powiedział Minuccemu:

— Dla Boga! wszakże to dziecko!

A Minucci na to:

— Jaśnie Wielmożny Panie, kobiety nie zrozumiały to jest syn następcy JMci Toskańskiego; ale książę Franciszek Marian nierównie starszy i większy od niego.

Odpowiedział wojewoda:

— Spieszę do Rzymu, aby na maj być w Polsce na sejmie który ma się otworzyć dla elekcyi nowego króla, ponieważ teraźniejszy chce koniecznie abdykować: Wracając z Rzymu będę przejeżdżał tędy; złożę wówczas hołd mój wielkiemu księciu, i zobaczę przytém młode książątko; wierzaj mi panie Minucci, iż wszyscy mamy oczy zwrócone ku temu domowi.

Atoli p. wojewoda nie wrócił na Florencyą, i wszystko się urwało; ja zaś pomimo tego chciałem zostawić niniejszy pamiętnik, aby wiedziano że jeśli najjaśniejszy dom Toskański zasługuje na królewską koronę, to już mu nie wiele brakowało aby onę w rzeczywistości osięgnąć; że słowem zależało od księcia JMci Matjasza zostać królem, a że księciu JMci Franciszkowi Marianowi małoletność tylko stanęła na zawadzie.

Tę prawdę potwierdził późniéj JMść p. Sekretarz Masini, który przybywszy w poselstwie do Florencyi dla otrzymania pomocy dla Polski, rzekł Pawłowi Minucci na widok przejeżdżającego karetą księcia Franciszka Mariana:

— Gdyby ten książę miał był tyle lat co dzisiaj gdy obrano króla Michała, zapewnećby korona polska była dzisiaj na jego głowie; bo przed rozpoczęciem sejmu elekcyjnego niemało mówiono o nim między tymi panami, prawiono jak o kandydacie do korony chociaż nim nie był; a gdyby go zaproponowano było, nic pewniejszego że los byłby padł na niego dla wielkiéj czci i miłości, jakie zjednała sobie święta pamięć księcia Matjasza u tych panów; gdyż wszyscy mówią dotąd o Toskańskim domie jak o tym, z którego ma kiedyś wyjść przyszły ich król. Tą samą czcią powodowany teraźniejszy król Sobieski przysłał W. ks. JMci w darze prześliczne siodło i inną zdobycz na tureckim Baszy, którego przed elekcyą jeszcze swoją zwyciężył i zniósł pod Chocimem. Są to przesławne trofea jego waleczności złożone w tym najjaśniejszym domu jako na stanowisku najwidoczniejszém i najbardziéj poważaném od narodu Polskiego.

Władysław Kulczycki.

PLATONA

JON czyli RHAPSODIKA *)

Sokrates. Jon.

I. *Sokr.* Jonowi pozdrowienie. Zkądżeś to teraz do nas zawitał?. Czy z domu, z Efezu? — *Jon.* Bynajmniéj, Sokratesie, lecz z Epidauru, z Asklepifeów (święta na cześć Asklepiosa) — *Sokr.* Czyż i walkę rhapsodów ustanawiają temu bogu Epidaurowie? *Jon.* I owszem, i nadto innych sztuk muzyki — *Sokr.* Jakżeż tedy? powalczyłeś nam nieco tamże? i jak ci się powiodło? — *Jon.* Pierwsze nagrody zwycięstwa odnieśliśmy, Sokratesie — *Sokr.* Wy-

---

*) Rhapsodami albo homeridami zwano występujących po teatrach deklamatorów pieni homerowych, przyczém ci sobie (dodać należy) wiele dowolności pozwalali, nieraz improwizując całe nowe ustępy; zresztą ludzie nieodznaczający się ani bystrością pojęcia ani nauką, wielce wszakże, jak podobno wszystkich wieków exekutorowie *tylko* mniéj więcéj wprawni muzyki, niepospolitą zarozumiałością. Téj tępości umysłowéj połączonéj z rzadką opinią o sobie wzór wystawił nąm tu Plato w osobie Jona.

bornie. Nuże więc! abyśmy i przy święcie Panatheneów [1]) zwyciężyli — *Jon.* Nastąpi to, jeżeli bóg zechce. — *Sokr.* Zaprawdę wielokroć ja wam rhapsodom zazdrościłem, mój Jonie, waszéj sztuki. Boć i jest czego pozazdrościć, gdy wam przystoi i ciało przyozdabiać każdorazowo i odpowiednio swéj sztuce najpiękniéj występować i oraz konieczną jest dla was przestawać już to z wielu innymi poetami już też mianowicie z Homerem, najwyborniejszym i najbardziéj boskim z piewców, a przejmować się jeszcze duchem jego, nie tylko wyrazami. Nie byłby bo podobno rhapsodą ten, któryby nie przenikał myśli poety; toć on tłumaczem być winien ducha poety dla słuchających go, z tego się zaś przyzwoicie wywięzywać, nie rozumiejącemu co mówi poeta, nie podobna. To tedy wszystko godne zazdrości.

II. *Jon.* Prawdę mówisz, Sokratesie; mnie to téż najwięcéj znoju przyczyniło w mojéj sztuce, ale téż mniemam ze wszystkich ludzi najznakomiciéj wieścić o Homerze, tak iż ani Metrodoros z Lampsaku, ani Hezimbrotos Thazyjczyk ani Glaukon ani żaden inny z kiedykolwiek żyjących posiadał zdolność wynurzania tylu i tak pięknych myśli o Homerze, jako ja jeden. — *Sokr.* Dobrze mówisz, Jonie; widna bo, że nie pozazdrościsz mi to okazać — *Jon.* Zaprawdę i warto posłuchać, Sokratesie, jak przedziwnie wypiększyłem Homera; tak iż sądzę zasługiwać na to, aby mię Homeridowie złotym wieńcem udarzyli. — *Sokr.* Niechybnie znajdę ja jeszcze porę przysłuchać ci się, a teraz chciéj mi na następujące pytania odpowiedzieć. Czy ty dzielnym jesteś o Homerze tylko rozprawiać, czy także o Heziodzie i Archi-

---

[1]) Panathenee były największém świętem w Atenach, na cześć Atheny (Minerwy) opiekunki miasta. Były i mniejsze Panathenee. Tamte (większe) obchodzono co pięć lat przez gimnastyczne, muzyczne i poetyczne zawody; te tu co rok albo co trzy lata.

lochu? [2]) — Bynajmniéj, ale jedno o Homerze, to mi się bowiem zdaje wystarczającym — *Sokr.* Sąż przedmioty, o których Homer i Heziod tak samo wyrażają się? — *Jon.* Mniemam że nawet wiele — *Sokr.* Ażaliż o tych wyborniéj wywodzić umiesz, o których Homer mówi, czy o których Heziod? — *Jon.* Porówno o tych, Sokratesie, w których się zgadzają — *Sokr.* Jakże zaś, w których się niezgadzają? jako n. p. o wróżbiarstwie prawi coś Homer i Heziod. — *Jon.* Tak jest. — *Sokr.* Jakżeż tedy? co porówno i różnie wieszczą o wróżbiarstwie ci dwaj poeci, azali ty to lepiéj tłumaczyć umiesz jak który z dobrych wróżbitów? — *Jon.* Nie, lecz który z wróżbitów — *Sokr.* Gdybyś zaś sam był wróżbitą, czybyś o porówno wyrażoném, zdolnym będąc tłumaczyć, nie umiał i o różnie wypowiadaném wywodzić? — *Jon.* Oczywista — *Sokr.* Czemuż tedy dzielnym jesteś głosić o Homerze, a o Heziodzie nie, i innych poetach tak samo? czyż Homer o innych pewnych rzeczach wieści, jak o których przewszyscy inni poetowie? czyliż on nie mówi o wojnie po największéj części, o spółkowaniach ze sobą ludzi dobrych i złych, prywatnych i rękodzielników, o bogach przestających ze sobą i z ludźmi, o zdarzeniach na niebie i w Hadesie, o rodach bogów i bohaterów? ażaliż nie to to jest, o czém Homer pienia swe wywiódł? — *Jon.* Prawda, Sokratesie.

III. *Sokr.* Jakże zaś inni poeci, nie o tychże rzeczach wieszczą? — *Jon.* Tak Sokratesie, ale nie porówno oni to układali z Homerem. — *Sokr.* Jakże więc? czy gorzéj? *Jon.* I nader — *Sokr.* Homer zaś wyborniéj? — *Jon* Na Zeusa, wyborniejże! — *Sokr.* Czyż, o miła głowo, Jonie, kiedy wśród rozprawiania wielu o liczbie jakiéj, jeden trafi najwłaściwszą, nie pozna kto zaraz tego tra-

---

[2]) Wynalazca jambów, dojmujący satyryk, żył około 700 p. Ch. P., rodem z wyspy Paros.

fnie zgadującego? — *Jon.* Twierdzę — *Sokr.* Azaliż ten sam, co i źle rozumujących, czy też inny? *Jon.* Ten sam przecie — *Sokr.* Czyliż tym nie jest umiejący arytmetykę? — *Jon.* Tak. — *Sokr.* Jakże znowu, kiedy wśród rozprawiania wielu, jakie najzdrowsze są potrawy, jeden któryś najtrafniéj to wypowie; azaliż wtedy inny rozpozna, kto najtrafniéj wypowiedział, inny kto gorzéj, czy też ten sam? — *Jon.* Oczywista przecię że ten sam — *Sokr.* Któryż to taki! jak mu na imię? — *Jon.* Lekarz — *Sokr.* Więc wyrzeczmy w ogóle, że ten sam poznawać będzie zawsze, kiedy wielu o tym samym przedmiocie rozprawia, kto dobrze mówi, a kto źle; albo jeżeli nie rozpozna źle mówiącego, oczywista że i dobrze mówiącego nie wié; rozumie się kiedy spór toczy się o jedno i to samo. — *Jon.* Tak jest — *Sokr.* Czyż więc ten sam nie jest dzielnym w obojgu? — *Jon.* Tak — *Sokr.* Azaliż ty przecież nie powiadasz, że i Homer i inni poeci, pomiędzy którymi i Heziod i Archiloch, o tych samych przedmiotach wieszczą, lecz nie porówno, ale jeden dobrze, tamci pośledniéj? — *Jon.* I mam słuszność — *Sokr.* A więc skoro znasz dobrze mówiącego, i tamtych pośledniéj nucących znać pono będziesz, jakto oni pośledniéj nucą. — *Jon.* Zdaje się. — *Sokr.* Tedy, o najlepszy, niepogadamy się pono twierdząc: że Jon porówno dzielnym jest około Homera jako około innych poetów, skoro wzdy sam przyznaje, że tenże sam jest dostatecznym sędzią wszystkich, którzykolwiek o tych samych przedmiotach głoszą, poeci zaś prawie wszyscy to samo przedmiotem swych pieśni czynią.

IV. *Jon.* Cóż to tedy powodem, Sokratesie, że kiedy kto o innym poecie rozmawia, ja ani myśli nie zwracam na to, ni zdolen jestem cośkolwiek uwagi godnego dorzucić do rozprawy, lecz po prostu drzymię; kiedy zaś kto wspomni o Homerze, zaraz się przebudzam, umysł napreżam i obfituję w to co mam obwieszczać? —

Sokr. Nie trudno wzdy to odgadnąć, przyjacielu, lecz każdemu widna, że nie możen jesteś *ze sztuką i umiejętnością rozprawiać* o Homerze; gdybyś bo sztuką to ujmować umiał, i o wszystkich innych poetach mówić potrafiłbyś. Sztukąć poezyi (*ποιητικὴ*) bo pewnie jest *ta całość*, czy też inaczej? — *Jon.* Tak. — *Sokr.* Azaliż, jeżeli weźmiemy inną jakąkolwiek sztukę w jéj całości, nie ten sam sposób rozważania wszystkich sztuk wykazuje się? czy przyda ci się na co posłuchać, Jonie, jak to rozumiem? — *Jon.* Na Zeusa, Sokratesie, przyda się; toć ja rad słucham was mędrców. — *Sokr.* Pragnąłbym, żeby to prawdą było. Ale mędrcami pono wy jesteście rhapsodowie i przedstawiciele wraz z tymi, których pienia śpiewacie; ja zaś nic innego, jak że tak sobie prawdę głoszę, jako na prostego człowieka przystoi. Bo obacz i o tém zaraz, o co się właśnie pytałem, jakie to nikczemne i prostackie i lada komu znane, ażeby mówię, *wiedzieć to co namieniałem*, że to samo jest rozważanie, kiedy kto nad całą sztuką się zastanawia. Weźmy naprzykład taką całość. Malarstwo jest pono sztuką pewnéj całości? — *Jon.* Tak. — *Sokr.* Czyż i malarzy wielu nie ma już to dobrych już to podłych? — *Jon.* I wielu. — *Sokr.* Widziałeśże już którego coby o Polygnocie [3]) synu Aglaofonta dzielnie umiał wykazywać, co dobrze co źle wykonał, a o innych malarzach był niezdolnym? i kiedy kto innych malarzy dzieła pokazuje, on drzymie kłopoce się i nie wie co sądzić, kiedy zaś o Polygnocie albo innym jakim chcesz z malarzy, byle jednym tylko, potrzeba objawić zdanie, budzi się. napręża uwagę i obfituje w to co ma mówić? — *Jon.* Na Zeusa, nie widziałem przecię. — *Sokr.* Jakże daléj? między posągotwórcami, azali widziałeś już którego, coby o Dedalu, synu Metiona, albo Epeju synu Panopeusza albo Theodorze Samij-

---

[3]) Współczesny Sokratesowi malarz, był rodem Thazyjczyk.

czyku [4]) lub innym którym jednym posągotwórcy dzielnym był tłumaczyć co dobrze wyrzeźbił, a w dziełach innych posągotwórców rady sobie nie wiedział, drzymał i nie wiedział co mówić? — *Jon.* Na Zeusa, ani takiego nie oglądałem. — *Sokr.* Owóż jak mniemam, ani między fletniarstwem ani między strunowem graniem, ani między śpiewem do cyter ani między śpiewem bohaterskich pieni (rhapsodarstwem) nie napotkałeś nigdy męża, coby o Olymposie dzielnym był wywodzić albo o Thamyrosie, Orfeuszu lub Temiosie Ithaceńskim rhapsodzie, a o Jonie z Efezu nie domagał i nie umiał oznaczyć, co ten dobrze rhapsoduje, co źle. — *Jon.* Nie zdołam ci w tém być sprzecznym, to tylko wiem, że o Homerze najwyborniéj z ludzi prawię i okwituję w myśli i wszyscy inni przyznają mi to; w innych mi poetach, przeciwnie. Zaprawdę obacz, co tego przyczyną.

V. *Sokr.* Toż rozpatruję, Jonie, i właśnie mam ci okazać co mi się nią być zdaje. Już to bo trafne twoje rozprawianie o Homerze nie jest, jak dopiero co oznaczałem, sztuką u ciebie, lecz boską władzą, która cię porusza, jak w owym kamieniu, który Eurypides magnetycznym, większa zaś liczba ludzi heraklesowym zowie. Bo i ten kamień nie tylko przyciąga żelazne pierścienie, ale i siłę tymże pierścieniom samym wdraża, tak iż zdołają toż czynić co sam kamień, tojest inne pierścienie znowu przyciągnąć, i że niekiedy nader długi łańcuch żelazek i pierścieni wiąże się z sobą; we wszystkie zaś te części z owego kamienia wewiązana jest siła. Tak samo i Muza natchnionymi czyni sama, gdy zaś przez tychże natchnionych inni biorą zapał, spaja się łańcuch. Wszyscy bo wyborowi twórcy pieniów bohaterskich nie przez sztukę, lecz przez natchnienie tymiż będący i owładani, wszystkie te piękne rytmy

[4]) Rzeźbiarze przedhomerowych czasów.

wygłaszają, a pieśniotwórcy tak samo; jako korybanci w szał wpadając tańczą, tak i pieśniarze nieprzytomni sobie te oto nadobne pieśnie wylewają, lecz kiedy pochwycą zgododźwięk i rytm właściwy i szaleją i owładnieni jako bachantki czerpają z rzek miód i mleko uniesieniem porwane, w zwyczajnym zaś stanie umysłu tego nie czynią, tak i pieśniotwórców dusza toż działa, jako sami opowiadają. Wieszczą nam to przecie poeci, że z ponad źródeł miodem płynących w jakichś ogrodach i dolinach Muz zrywając (niby kwiaty) pieśnie nam swoje przynoszą, jako pszczoły, i sami ich obyczajem ulatując. I prawdę zwiastują. Lekką to, oskrzydloną i świętą istotą poeta, a nie pierw zdolny tworzyć, zanim natchnionym od bóstwa zostanie i bezprzytomnym sobie, i zanim go um (*νοῦς*) nie odbieży; dopóki bo ten nabytek dzierży, żaden człowiek nie jest zdolnym tworzyć i wieścić. Jako więc nie podług sztuki tworzący, wiele wynurzają z pięknych rzeczy o przedmiotach, jako ty o Homerze, wszakże przez boski współudział jedno zdolen jest każdy czynić nadobnie to, do czego go Muza porywa, jeden dithyramby, drugi pochwalne rytmy, inny pieśni zawodowe (*ὑποκορήματα*), inny bohaterskie pienia, inny jamby; do innych spraw każdy z nich niezdatny: nie zapomocą sztuki bowiem to wyłaniają z siebie, lecz za podbudzeniem boskiéj siły. Ponieważ, gdyby o jedném nadobnie wieścić podług sztuki umieli, umieliby i o wszystkiém inném. Dlatego bóg odejmując im um, jako sług swoich używa, i wróżbitów i wieszczów natchnionych, ażebyśmy słuchający wiedzieli, że nie ci to te tak bardzo cenne zdania wygłaszają, w których um nie jest przytomny, ale że *bóg* sam jest mówiącym, i przez nich odzywa się do nas. Największém zaś poświadczeniem téj mowie jest Tynnichos [5]) Chalkidejczyk, który żadne-

---

[5]) **Neoplatończyk Porphyrios wspomina jeden tego Tynnicha. Po-**

go innego nigdy wiersza nie utworzył, któryby można przywodzić pamięci, prócz onego *Paeana* (na cześć Apollina) który wszyscy śpiewają, prawie ze wszystkich pieśni najpiękniejszego, i prawdziwego, jako sam powiada, Muz wynalazku. Przezeń to wzdy najoczywiściéj zdaje mi się pokazywać nam bóstwo, ażebyśmy nie wątpili, że nie ludzkiemi są te piękne utwory ani ludzi dziełem lecz boskiemi i bogów, poeci zaś niczém inném jak tłumaczami bogów, owładanymi przez to bóstwo, które każdemu przypadło. Aby to wskazać, umyślnie bóg przez najniższego poetę najpiękniejszy śpiew wynucił. Alboli nie zdaję ci się mówić prawdy, Jonie? — *Jon.* Na Zeusa, mnież przecię; toż chwytasz mię jakoś temi mowy za duszę, Sokratesie, i że zdają i mnie się dobrzy poeci, sprawą boskiego współdziału, od bogów to nam zwiastować.

VI. *Sokr.* Czyż znowu wy rhapsodowie nie tłumaczycie tworów poetów? — *Jon.* I to po prawdzie mówisz — *Sokr.* A więc tłumaczów tłumaczami stajecie się? — *Jon* Najzupełniéj wzdy — *Sokr.* Poczekaj, odpowiedz mi na to, Jonie, a nie ukrywaj mi tego o co cię mam zapytać. Kiedy wybornie deklamujesz rytmy bohaterskie i w jak największe osłupienie wprawiasz widzów [6]), czy to gdy nucisz Oddyseusza na próg (ojczysty) wskakującego, zjawiającego się wśród zalotników i wysypującego strzały po przed nogi swoje; czy Achilleusza pędzącego na Hektora, albo którą z rzewnych scen Andromachy, Hekuby lub Priama; czyż wtenczas przytomny sobie jesteś, czy też odbiegasz od siebie, a dusza twoja mniema się przy dziełach, które opiewasz, natchniona, czy one na Ithace, czy pod Troją się odbywają czy

---

dług niego odmówił Aischylos ułożenie peanu z powodu, że już najpiękniejszy, jaki mógł który poeta utworzyć, utworzony został przez Tynnicha.

[6]) Ponieważ i mimiką odznaczali się rhapsodowie.

gdziekolwiek je pienia umieszczają? — *Jon.* Jakżeż wyrazisty dowód przytoczyłeś, Sokratesie, wyznam bo wraz bez zatajania. Toż gdy coś rzewnego recytuję, łzami mi się napełniają oczy; kiedy straszliwego i groźnego, powstają mi na głowie włosy, a serce miota się w piersi. — *Sokr.* Jakżeż więc powiemy, Jonie? że przytomnym sobie jest wtedy taki człowiek, który, ozdobiony różnobarwną szatą i złotemi wieńcami płacze wśród ofiar i świąt nic nie postradawszy z pomienionego, albo trwoży się w pośrodku więcéj jak trzydziestu tysięcy ludzi przyjaznych mu stojąc, gdy go nikt ani łupi ani krzywdzi? — *Jon.* Na Zeusa, nie bardzo, Sokratesie, jeżeli mamy prawdę powiedzieć. — *Sokr.* A czy ty wiesz, że i większą liczbę widzów w te same stany wprawiacie? — *Jon.* I bardzo dobrze to wiem; toć ich za każdą razą z wyniesienia mego widzę jak płaczą, straszliwie spoglądają i słupieją nad tém co słyszą. Trzebaż bo i usilnie mi na nich zwróconą mieć uwagę, albowiem jeżeli ich łzami napełnię, sam śmiać się będę biorąc pieniądze, jeżeli w śmiech wprawię, płakać będę postradawszy nagrodę.

VII. *Sokr.* Czy poznajesz, że ten widz ostatnim jest z pierścieni, o których mówiłem, że z kamienia heraklesowego władzę czepiania się siebie biorą, środkowym zaś ty rhapsoda i udawacz, a pierwszym sam poeta? Bóg zaś przez te wszystkie ogniwa ciągnie duszę ludzi gdziekolwiek zechce, mięszając władzę jednego z władzą drugiego, i jako z owego kamienia nader daleki łańcuch wiąże się taneczników zawodu, wyższych i niższych mistrzów tańca, z ukosa zawieszonych u przyciągniętych przez Muzę pierścieni? Z poetów jeden przez tę inny przez inną Muzę przyciągnięty. Zowiemy to zaś być owładanym, i jest tak prawie, bo i jest taki uwięzionym. Z tymi pierwszymi pierścieniami, to jest poetami, inni jeden od drugiego zawisa i natchnienie biorą,

jedni od Orfeusza inni od Muzeosa, największa część przez Homera opanowana. Z tych jednym ty jesteś, Jonie, i zawisłeś od Homera, i kiedy kto innego poety pieśni nuci, śpisz i nie wiesz co powiedzieć, lecz gdy tego mistrza zadźwięknie pień który, zaraz obudziłeś się i tańczy twoja dusza, i obfitym jesteś w słowa; nie podług sztuki zaś i umiejętności o Homerze prawisz to co o nim głosisz, lecz z boskiego współudziału i posiadania, jako korybanci tą tylko melodyą przeniknieni są, która wysławia boga, pod którego potęgą zostają, i do téj pieśni i zwroty ciała i odpowiedzie w obfitości stósować umieją, o inne zaś nie troszczą się. Tak samo i ty, Jonie, kiedy kto wspomni o Homerze, obfitujesz, o innych w niedostatku zostajesz. Tego zaś jest powodem, o co właśnie mnie badasz, dla czego o Homerze tyle prawić, o innych zaś nic zgoła niezdolen jesteś, *to* że nie przez sztukę, lecz przez boski współudział dzielnym jesteś chwalcą Homera.

VIII. *Jon.* Dobrze ty mówisz, Sokratesie, lecz podziwiałbym, gdybyś to aż tak trafnie oznaczał, żebyś mnie i przeświadczył, że ja w posiadaniu i w szałowém uniesieniu Homera posławiam. Mniemam wszakże, żebym nawet tobie takim się nie wydał, gdybyś mnie o Homerze mówiącego usłyszał. — *Sokr.* Otóż pragnę cię usłyszeć, nie prędzéj przecież, aż mi na to odpowiesz. O czémżeż to z tego, co Homer wieści, dobrze mówisz? boć przecię nie o wszystkiém.—*Jon.* Wiedz o tém, o Sokratesie, że nie masz ani jednego o czémbym nie zdołał.— *Sokr.* Przynajmniéj nie o tém, czego właśnie nie znasz, a Homer jednak o tém wieści.—*Jon.* A to zaś cóż jest, co Homer wieści, a czego ja znaćbym nie miał?—*Sokr.* Azaliż i o sztukach Homer wielekroć nie głosi? jako zaraz o powodzeniu rumakami. Niech tylko sobie przypomnę jego rytmy, a zaraz ci je powiem. *Jon.* Toż ja ci je wraz powtórzę, pamiętam je bowiem dobrze—*Sokr.* Po-

wtórz mi tedy, to co mówi Nestor do Antilocha syna swego, zalecając mu mieć się na baczności około zakrętu w gonieniu na wozach na cześć Patroklosa sprawioném.— *Jon.*

Chylić się, mówi, samemu na zdobnie plecioném siedzeniu [7])
Z lekka ku lewéj ich stronie; ale rumaka po prawéj
Kłuć zawrzasnąwszy, a cugle z rąk puszczać onemu bez zwłoki.
Toż niech ci lewy o filar metowy tuż, tuż się otrze
Tak wzdy, by piazda nie zdała się tykać kończyny obwodu
Zdobnego koła, a strzedz jéj się o głaz kresowy zatrącić.

Sokr. Dosyć, te tedy rytmy, Jonie, azali po prawdzie wygłasza Homer czy przeciwnie, *któryż* lepiéj rozpozna: lekarz czy woźnica? — *Jon.* Woźnica podobno.— *Sokr.* Czy dla tego że tę sztukę posiada, czy z innego względu? — *Jon.* Nie, ale że sztukę posiada — *Sokr.* Czyliż każdéj ze sztuk nie wydzielone jest pewne dzieło przez boga, ażeby je zdolną była rozpoznawać? boć pewnie co za pomocą żeglarskiéj rozpoznajemy, nie będziemy rozpoznawać za pomocą lekarskiéj.— *Jon.* Bynajmniéj.— *Sokr.* Ani znowu co za pomocą lekarskiéj, tego przez ciesielską. *Jon.* Bynajmniéj.

Sokr. A więc tak ze względu na wszystkie sztuki; co przez jednę sztukę rozpoznajemy, tego nie będziem rozpoznawać przez inną. Ale na to mi przed tém jeszcze odpowiedz. Czy twierdzisz że jedna sztuka jest *tą*, inna jest *tą*?— *Jon.* Tak. — *Sokr.* Ale czy i tak samo jak ja wnioskując: kiedy jedna umiejętność postawiona jest nad jednemi sprawami, druga nad innemi, taki zowie jednę *inną* a drugą znowu *inną* sztuką, tak samo i ty?— *Jon.* Tak jest.— *Sokr.* Gdyby bowiem jedna była tychże samych spraw pewna umiejętność, pocóżbyśmy mówili, że jedna jest *tą*, a inna *tamtą*, skoroby wzdy tego sa-

---

[7]) Iliada XXIII, 335 sgy.

mego dowiedzieć się można od obóch? jako toż rozpoznaję, że tych palców oto jest pięć, i ty, jako ja, o tychże to samo rozpoznajesz; i gdybym cię zapytał, czy przez tę samą sztukę liczenia rozpoznajemy to samo ja i ty, czy téż przez inną, odpowiedziałbyś pewnie, że przez tę samą.—*Jon.* Tak jest. *Sokr.* O co przecież dopiero co zabierałem się pytać cię, teraz mi powiedz, to jest: czy o wszystkich sztukach tak ci się wydaje, że przez tę samą sztukę koniecznie to samo rozpoznawać musimy, przez inną zaś nie to samo, lecz ponieważ *inną* jest, konieczna: abyśmy i inne rzeczy przez nią poznawali.—*Jon.* Tak mi się zdaje Sokratesie.

IX. *Sokr.* A więc kto nieposiada pewnéj sztuki, téjże sztuki obwieszczeń *lub* spraw dokładnie rozpoznać nie będzie w stanie. — *Jon.* Masz słuszność. — *Sokr.* Czyż tedy o tych rytmach, które recytowałeś, ty czy woźnica lepiéj wiedzieć będzie, azali Homer jak przynależy, wyraził się czy opak?—*Jon.* Woźnica.—*Sokr.* Bo ty rhapsodą jesteś, a nie woźnicą.—*Jon.* Tak.—*Sokr.* Sztuka zaś rhapsody inną jest jak woźnicza?—*Jon.* Tak.—*Sokr.* Jeżeli wzdy inna, to i innych spraw umiejętnością jest. *Jon.* Tak. — *Sokr.* Jakże zaś wzdy kiedy Homer mówi, że zranionemu Machaonowi Hekameda, towarzyszka Nestora, napój zmięszawszy podaje? a prawi jakoś tak:

z winem pramnejskiém, — mówi — sér na to uciéra im kozi
nożem medziannym, i cebulę na przysmak do trunku [8]).

to, czy trafnie oznacza Homer czy inak, lekarskiéj li sztuki rzeczą rozpoznać czy rhapsodycznéj? — *Jon.* Lekarskiéj.—*Sokr.* Jakże wzdy kiedy Homer mówi:

---

[8]) Iliada XI, 639 i 40, 640go wiersza połowa brzmi inaczéj w texcie Homera: *a na to mąkę białą nasuła.*

ta zaś podobna kuli ołowiu na głębie ot poszła,
który do rogu łannego buhaja przytwierdzon, przepada
w toniach, łakomym rybom przynosząc śmierć i zniszczenie [9]);

czy to rozsądzać właściwiéj rybackiéj sztuce czy rhapsodycznéj przyznamy, co mówi poeta, i czy dobrze czy źle mówi?—*Jon.* Oczywista że rybackiéj przecię, Sokratesie.—*Sokr.* Zastanów się tedy, gdybyś wybadując mnie tak zapytywał. „Skoro wzdy, Sokratesie, dla tych sztuk wynajdujesz w Homerze, co każdéj przynależy, nuże wypośrednicz i sprawy wróżbity i wróżbiarstwa, co to mu umieć rozeznawać przyzwoitą jest, azali dobrze lub źle wypełnionêm zostało" — zastanów się, jak łatwo i prawdziwie na to ci odpowiem. Na wielu bo miejscach o têm mówi Homer w Oddyssei, jak naprzykład co prawi do zalotników wróżbit, Melampodidów Theoklymenów [10]):

„ach, nieszczęśliwi! jakaż to klęska was tłoczy, w noc wasze
zakłębione oblicza i głowy, wsze członki od dołu,
w rozgłos leci jęczenie, a lica zalały się łzami:
pełnym przedsionek jest cieniów i pełnêm ich na wnątrz podwórze,
schnących z pragnienia za ciemnią Erebu, a słońce promienne
w niebie zagasło, i gęsta czerń nocy zawładła dokoła."

na wielu i w Iliadzie wspomina, jak o bitwie pod murami, i tam bo prawi: [11])

[9]) Iliada XXIV, 80 następne.
[10]) Oddyss. XX, 351 nstp.
[11]) Iliada XII, 200 nastp.

„ptak bo im zleciał naprzód przechodzić pragnącym,
ot orzeł,
górą unosząc się, a lud ku lewicy skrążając,
z strasznym, posoką oblanym, we szponach wzbijając
się wężem,
żywym, jeszcze drgającym, i jeszcze walki pożądnym,
Toż w pierś uderza przy szyi dzierżyciela swojego,
w tył się zwinąwszy; a tamten od siebie go ciska ku
ziemi,
bólem na wskroś przejęty — że upadł w pośrodek rzesz
tłumnych;
ptak zaś skrzydły zadźwiękłszy, z wiatrów tchnieniami
uleciał.“

to i tym podobne powiem, że przygodzi wróżbitowi rozważać i rozsądzać. — *Jon.* Słusznie tak wzdy twierdzę, Sokratesie.

X. *Sokr.* I ty przecię, Jonie, słusznie to utrzymujesz To też nuże i ty mi, jako ja tobie wybrałem, i z Odyssei i z Iliady co się wróżbity, co lekarza, co rybaka dotycze; i ty (mówię) tak samo mi wybierz, gdy i więcéj odemnie spoufalony jesteś z Homerem; co jest sprawą rhapsody, Jonie, oraz sztuki rhapsodycznéj, co rhapsodowi przystoi rozpatrywać i rozsądzać, przed wszystkiemi innymi ludźmi. — *Jon.* Otóż ja mówię, Sokratesie, że wszystko. — *Sokr.* Ależ przecię nie wszystko, Jonie? albo także to zapominającym jesteś? wszakże nie przygodzi podobno zapominającym być mężowi rhapsodycznemu! — *Jon.* Cóżże ja zapominam? — *Sokr.* Nie pomnisz, że twierdziłeś, iż sztuka rhapsody inną jest jak sztuka woźnicy? — *Jon.* Pamiętam. — *Sokr.* Ażaliż i tego, że jako inną będąca inne sprawy rozpoznawać będzie, nie przyznałeś? — *Jon.* Tak. *Sokr.* A zatem nie wszystko znać będzie rhapsodika podług mowy twojéj, ani téż rhapsoda. — *Jon.* Wyjąwszy wzdy po-

dobno te pewne rzeczy, mój Sokratesie. — *Sokr.* Pod *temi pewnemi rzeczami* zaś rozumiesz sprawy innych sztuk, zdaje się. Lecz jakież to wzdy rozpoznawać będzie, skoro nie wszystkie? — *Jon.* Które, mniemam ja, przystoi głosić mężowi i które niewieście, które nadto niewolnikowi, które wolnemu, i wreszcie które rządzonemu i rządzcy. — *Sokr.* Czy mówisz, że które przystoi głosić rządzcy na morzu, gdy łódź miotana burzą, te lepiéj znać będzie rhapsoda od stérnika?— *Jon.* Nie, lecz to to stérnik. — *Sokr.* Ale które przystoi głosić przełożonemu nad chorym, rhapsoda też lepiéj znać będzie od lekarza?? — *Jon.* Ani tego. — *Sokr.* Lecz które niewolnikowi przystoją, masz na myśli? — *Jon.* Tak jest. — *Sokr.* Naprzykład które, mówisz, przystoi wygłaszać skotarzowi łagodzącemu dziczejące woły, te rhapsoda lepiéj wiedzieć będzie nad pastuchę wołów? — *Jon.* Gdzież zaś! — *Sokr.* Ale które przystoi głosić niewieście około gręplowania i przyrządzania wełny zajętéj? — *Jon.* Nie. — *Sokr.* Aleź przecię wiedzieć on będzie, co wypada mężowi dowodzącemu przemawiać na zachętę do wojowników! — *Jon.* Tak jest, takie rzeczy znać będzie rhapsoda.

X. .*Sokr.* Cóż to? tedy rhapsodika będzie sztuką wojowniczą? — *Jon.* Wiedziałbym ja przynajmniej, co wypada mówić dowódzcy. — *Sokr.* Bo i może znasz się na przewodniczeniu szykom, Jonie. Gdyż i znając się na sztuce konnéj i wraz na sztuce cytarzysty, rozpoznawałbyś dobrze ujeżdżone rumaki od źle wyćwiczonych; lecz gdybym cię wtedy zapytał: któráżeż to z tych dwóch sztuk, Jonie, rozpoznajesz dobrze ujeżdżone rumaki? przez którą li jeżdzcem jesteś, czy téż przez którą cytarzystą? cóżbyś mi odpowiedział? — *Jon.* Przez którą jeżdzcem jestem, odpowiedziałbym. — *Sokr.* A więc i gdybyś dobrze na cytrze grających rozpoznawał przyznałbyś, że przez tę którą cytarzystą jesteś, a nie

przez którą jeżdzcem, rozeznajesz to. — *Jon*. Tak jest. *Sokr*. Skoro tedy znasz się na sprawowaniu szyków, czyli znasz się na tém jako biegły wódz, czy téż jako wyborny rhapsoda? — *Jon*. Nie widzę w tém żadnéj różnicy? — *Sokr*. Jedną być mienisz sztukę rhapsody i wodza, a nie dwoma? — *Jon*. Mnie się jedną wydaje. *Sokr*. Kto więc wybornym rhapsodą, ten i wybornym wodzem razem jest? — *Jon*. Jak najbardziéj, Sokratesie. — *Sokr*. A więc i kto wybornym wodzem jest, wybornym wraz rhapsodą będzie? — *Jon*. To znowu nie zdaje mi się. — *Sokr*. Ale tamto przecię zdaje ci się, to jest, że kto wybornym rhapsodą, ten i wodzem wybornym jest? — *Jon*. Zupełnie. — *Sokr*. Czyliż nie jesteś najwyborniejszym rhapsodą pomiędzy Grekami?— *Jon*. Niechybnie, Sokratesie.— *Sokr*. Ażaliż i wodzem najznamienniejszym między Grekami jest Jon? — *Jon*. Bądź przekonany o tém, Sokratesie; a tego, wyuczywszy się z dzieł Homera.

XII. *Sokr*. Pocóż, pocóż tedy, przez bogów, Jonie, w obojgu najdzielniejszy między Grekami, i wódz i rhapsoda, deklamujesz wędrując po między Hellenami, a nie wodzisz ich do bojów? czy sądzisz, że z rhapsody złotym wieńcem otoczonego mnoga korzyść Grekom, z wodza zaś żadna? — *Jon*. Nasze miasto, Sokratesie, rządzone i przywodzone jest przez nas, i wcale nie potrzebuje naczelnika szyków, a wasze i Lakedemona nie wybrałyby mnie na dowódzcę, sami bo sobie wystarczać mniemacie. — *Sokr*. O najlepszy Jonie, nie znaszże to Apollodora z Kyziku? — *Jon*. Jakiegoż to Apollodora? *Sokr*. Którego Ateńczykowie, jakkolwiek cudzoziemca, wielekroć już dowódzcą swoim obierali, tak samo Fanosthenesa z Andros i Heraklida z Klazomenów, których to oto miasto choć obcych, gdy okazali że godni są tego, i do naczelniczenia wojskom i do innych urzędów wynosi; Jona zaś z Efezu nie miałobyż ono wybrać na

wodza i zaszczytami otoczyć, jeżeli się wyda zasługującym na to? Jakżeż to? nie Ateńczykamiż wyście to z dawnych czasów Efezianie [12]), a Efez nad żadne miasto pośledniejszym? Atoli ty, Jonie, jeżeli z przekonania mówisz, że ze sztuką i umiejętnością sławić zdolen jesteś Homera, krzywdę mi wyrządzasz, który wzdy zapewniwszy, że wiele i pięknych rzeczy wiesz o Homerze i dodając że mi je okażesz, zawiodłeś mnie i daleko zostajesz po za tym pokazem, gdy ani jakiemi to są te rzeczy, w których biegłym jesteś, wypowiedzieć chcesz, chociaż ja oblegam cię prośbami; natomiast całkiem w Proteusza różnokształtnego przemieniasz się wywijając się wzgórę i na dół, aż nareszcie wymknąwszy mi się wyjawiłeś się wodzem, a to na to: abyś mi nie pokazał, jak dzielnym jesteś w mądrości Homerowéj! Jeżeli tedy ze sztuką znawcą jesteś, jako dopiero co mówiłem, Homera, i przyobiecawszy przekonać o tém, nie dotrzymujesz słowa; krzywdzisz mnie. Wybieraj teraz które z dwojga chcesz pozostawić w naszéj wierze, czy żeś mąż niesprawiedliwy; czy: że boski. — *Jon.* Wielka różnica, miły Sokratesie; o wiele wzdy piękniejszą za boskiego uchodzić. — *Sokr.* To więc piękniejsze dostaje ci się od nas w udziele, Jonie, iże boskim a nie ze sztuką umiejętnym chwalcą Homera jesteś

A. Bronikowski.

---

[12]) Synowie Kodrosa, króla Aten, założyli jako osadnicy Efez.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

I.

Kilkokrotnie wzywaliście mnie do udzielania wam spostrzeżeń ornitologicznych; posunęliście zamiłowanie nauk przyrodzonych do stopnia u nas dotąd nieużywanego ofiarując się drukować w zeszytach *Dodatku* dzieło moje „O polskiém sokolnictwie“; z wezwania piérwszego nie miałem dotąd odwagi korzystać z przyczyny téj, że nauki przyrodzone mało zajmują jeszcze współrodaków. I jakże inaczéj być może, gdy w szkołach naszych te nauki jako *malum necessarium* wykładane bywają, jako gałęź poboczna z któréj nikt nie korzysta, a to twierdzenie popieram długoletniem własném doświadczeniem, egzaminując młodzież mi znajomą, która w zoologii, ornitologii i mineralogii żadnego owocu ze szkół nie wynosi. Rozróżniają konia od wołu, a koguta od gęsi, lecz te korzyści otrzymali na wsi u rodziców a nie od panów professorów; rozpoznają szlachetne kamienie od piaskowca i krzemienia, lecz tego się od jubilerów nauczyli, gdy o klejnotach pomyśleli. Jakże ma być

inaczéj, gdy nasze zbiory mozolnie znoszone w Krakowie i we Lwowie, albo bez preparatów i konserwatorów niszczeją, albo przez nieszczęścia krajowe zupełnie znikły z widnokręgu, lub też co gorsze następstwa przedstawia, kiedy naczelnicy tych zakładów nie są specyalnie i z zamiłowaniem tym zbiorom oddani. A nareszcie jakże się uczyć, jak w nauce postępować jeżeli się nie posiada obcych języków, skoro w kraju tak mało dzieł historyi naturalnéj, tak mało badaczy cudnéj przyrody, tak mało piszących w tym zawodzie; a pisać zaiste nie łatwo. Dzieło wyłącznie naukowe nie znajdzie wydawcy, bo to treść jałowa, to nie pokupne; wypada więc samemu nakłady ponosić, a w tém nagrody swojéj pracy, żaden badacz znaleść nie może i nie jeden manuskrypt spoczywa w biórku czekając na postęp naukowy i rozpowszechnienie zamiłowania do nauk przyrodzonych. Pojmiecie przeto dla czego nie pisałem.

Dziełka mego o Sokolnictwie nie dałem, *bo tom duży z rycinami*, jakżeż ja mogłem przypuszczać że czytelnicy *Dodatku do Czasu* przez wiele numerów czytać będą zawsze i zawsze o Sokołach? Dziełko wyjdzie skromnie i bez obwieszczeń, bez spisu abonentów; trafi do mych znajomych i kolegów naukowych; tych zajmie chwilkę, drugim służyć będzie za nić Ariadny po labiryncie badań przyszłych—to dosyć, autor więcéj nie żądał.

Zarzucicie mi brak konsekwencyi, odczytawszy dołączone wyciągi z mego ornitologicznego dziennika, lecz ja się pierwéj wytłumaczyć myślę. Niezamierzam ja być wcale naukowym pisarzem; dzielić wam przyrodę na rzędy, familie, pokrewieństwa, rodzaje i gatunki; odrzucam precz opisy składu pierza, szkieletu, pory pierzenia, wędrówek ptaków; brzydzę się polemiką nad nowym gatunkiem lub klimatyczną odmianą żyjątek; niechcę mówić o anatomii, ani też nie chcę robić wyciągów z zagranicznych autorów. Zapytacie zapewne co pozo-

stanie do druku? — Oto spostrzeżenia szlachcica miłującego przyrodę, badającego ją od dziecinnych lat, siedzącego na wsi a zatém po górach, lasach, stepach i bagnach uganiającego; szlachcica który w zawodzie swoim doznał tyle rozrywek przy troskach i smutkach; który corocznie dokładniéj poznając swych ukochanych powietrznych mieszkańców, zgłębił ich życie, jeżeli tak mogę powiedzieć, *wżył się w ich życie* i odkrył wiele dotąd nieznanego, oświecił co ciemnego, zajrzał nieraz pod zasłonę przyrody i te odkrycia nie naukowe bynajmniéj, te ramotki ornitologiczne, bez systemu, urywkowo, tak jak w jego dzienniku skreślone, te wam czasem posyłać zamyśla; a jeżeli będziecie go czytać, rozerwie was, wywoła uśmiech lub wzbudzi podziwienie, o wtedy pisać będzie wiele, bo bogactwo przyrody niewyczerpane, pole odkryć bez końca, *a Bóg w swych dziełach wielki, co widzieć można wyłącznie tam, gdzie ręka ludzka jeszcze nic popsuć nie mogła!*—Poznać, jeżeli to przyjąć zechcecie, moralną stronę życia ptaków, podsłuchać skrytości tych lubych żyjątek, rozróżnić instynkt od rozumu, podzielić je na rozumne, przebiegłe, pełne pamięci stworzenia, jak również na te które parte instynktem żyją jednym trybem i nic zajmującego do odkrycia nie pozostawiają; zedrzeć zasłonę z ich życia, poznać czucie którego im odmówić nie można, zestawić ich życie z życiem człowieka i dać dowody trafnego podobieństwa, oto moje zadanie, czy się z niego dobrze wywiążę sami osądzicie.

Ptaki jedne są pełne zdolności, drugie ograniczone w tym samym gatunku, zupełnie jak u psów lub koni.—

Pastor Brehm w swych humorystycznych rozprawach ornitologicznych, stawia ten axiomat nie do obalenia: „Ten naród najszczytniejszy, który najsumienniéj świę„tość węzłów małżeńskich utrzymuje, ten zaś u którego „węzły te niemocne, lub ten u którego nie istnieją wcale,

„jest bliski rozprzęgnienia i rozłożenia, a ostatni stoi na „równi ze zwierzęcym światem.“ —

W całéj przyrodzie *małżeństwo naturalne* wyłącznie u ptaków się skoncentrowało; bo oprócz rozpustnych kaczorów bez żadnych zasad moralności i u niektórych równie rozpustnych, grzebiących ptaków jak n. p. u Kniejołka głuszca i Cietrzewia, wszystkie ptaki żyją w naturalném małżeństwie, wierność i przywiązanie zachowując do śmierci, mówię wyraźnie do śmierci, a to tysiącznemi dowodami potwierdzić mogę. Ptaki podług wieku zmieniają barwę, a zatém w powietrzu jak i na drzewie, nawet nie nieuzbrojoném okiem są łatwe do rozpoznania, do tego stopnia że badacz długo jedną okolicę zamieszkujący, ma znaczną ilość parek od lat kilkunastu znajomych, które na tém samém miejscu się gnieżdżą, znoszą jajka w to samo gniazdeczko, w téj saméj przestrzeni żerują, tym odznaczającym się głosem wabią lub śpiewają, a zatém nie omylne dają nam spostrzeżenia. Te parki obserwując, przekonałem się że dopóki na wędrówce lub od drapieżnego zwierzątka nie zginie żona lub mąż, one do śmierci razem zostają. Co więcéj, w gniazdeczkach już przyszłe parki się wylęgają które się od pisklęcia razem trzymają; póżniej się pobierają podług niezłomnych prawideł przez Opatrzność im nadanych, jedne na rok przyszły, inne w drugim roku, niektóre w trzecim, a w całym rodzie zaś ptaków ilość samców przewyższa liczbę samic. Łatwe to do wytłumaczenia dla czego tak Stwórca postąpił: bo samce wędrując wcześniéj wystawieni na częstsze przypadki; dalej donosząc pożywienie samiczkom w czasie lęgu, doznają nieszczęśliwych przygód; a że wdówek w tym rodzie nie ma, obce samce zastępują utraconych małżonków i znaczna przewyżka żyje jako rezerwa dla samic. Prawdę mego twierdzenia nie trudno dowodem poprzeć: gdyby nie było więcéj samców jak samic, czyby tak zacięte

walki na wiosnę toczyli samce? A w drobiu domowym czy nie zawsze więcéj kogucików i kaczorków jak kurek i kaczek?....

Aby przekonać niedowierzających, że pary od lat wielu poparowane łatwo od innych rozróżnić i zawsze można poznać, przytoczę tylko, że ptak przylatujący do swéj że tak powiem siedziby, już ruchem, znajomością lokalności, przygotowaniem do reparacyi, niemal wszystkiem różni się od tego co obce gniazdo zająć chce. Przybysz obchodzi, rekognoskuje z wszelką ostrożnością, dobiera materyały, dopassowuje, próbując każdą trawkę lub gałązkę jak téż leżeć będzie i jego budowa trwa dłuższy czas, jak dawnego właściciela który wszystkie zakątki i potrzeby znając, w krótkiéj chwili wyrestauruje przeszłoroczne gniazdo. Kto uważał jak bystrym lotem nadlatująca na ciągu jaskółka w ciasny otwór komina, strychu lub okna bez zastanowienia wpada i ogląda pozostawione gniazdeczko; kto uważał jak szpaki do skrzynek im do lęgu zostawionych, każdy do swojéj trafia pierwszego dnia; jak pliszka skrzętnie po strzesze biegając znajduje ciasny otwór przeszłorocznego gniazdeczka i bez wahania się, mimo ludzi hałasu i dymu spiesznie do niego włazi; kto widział muchawki odważnie do dziupeł wcale nie zakrytych wskakujące, a nareszcie kto miał sposobność widzieć te ruchy swobodne, kto mógł słyszeć te głosy lub śpiewy oznaczające radość z zastania w domu należytego porządku, ten pewnie pozna swych znajomych. We wróblowatych śpiewakach owadożernych, samce tydzień czasem i dwa tygodnie pierwéj przylatują niżeli samice; są to kwatermistrze tego rzędu, ich znajomość lokalności przygotowania do przyjęcia samiczek, wyczyszczanie gniazd bardzo wyraźnie dowodzi że oni do swego mieszkania dawnego wrócili. A z jaką odwagą i śmiałością bronią swą przez czas nabytą własność (bo u nich gdyby u nas używanie długoletnie sta-

nowi własność) przeciw napastnikom i rywalom, bo niestety wyznać tu ze wstydem musiemy że samiczki rodu ptasiego nieodznaczają się cnotą wierności i w podróżach pozwalają sobie robić znajomości, których kwalifikować nie chcę.

Nie piszę tych myśli dla czytelniczek, a zatem w bawełnę nic obwijać nie potrzebuję i występuję z całą surowością przeciw samiczkom; bo to postępowanie mnie zgrozą często napełniało; karałem je nawet częstokroć morderczym prochem i śrótem za niewdzięczność i lekkomyślność w pożyciu małżeńskiém; zawsze to jednak tylko za smutne wyjątki uważać wypada. Powyżéj wspomniałem że w gromadzie ptaków niema wdówek, już to z powodu braku zasad, już z rozlicznych pokus nastręczanych przez przewyższającą liczbę samców, zawsze gotowych do usług pokątnych, odważnych i natrętnych, wzdychających do samiczek obcych, nie mając swych własnych. Między temi zdarzają się naturalnie jedni co harmonijnym głosem romanse nucą, a te tony tak fletowe, tak głęboko smutne że się samiczkom miękko na sercu robi, tém więcéj, gdy ich samce gnuśni do śpiewu, lub pewni już szczęścia domowego, niedbają o rozrywki dla nich; inni znów bystrym lotem toczą powietrzne koła, kołyszą się pod błękitem nieba, z tą gracyą co magnetycznie przyciąga oko nasze; nareszcie trafiają się i tacy dufni w swą siłę, przyzwyczajeni do tryumfów, natrętni, odważni, często bardzo odbiją prawego samczyka; o to niebezpieczne stworzenia, bo samiczki lubią odwagę, nawet wzdychają skrycie do tych co się z szaleństwem na niebezpieczeństwo narażają. To co powiedziałem, ma służyć za wyjaśnienie postępowania samiczek, które potępiam lecz sobie tłómaczę, bo pokusa coraz silniéj i natarczywiéj występująca, łamie niestety i silne zapory. Następujące opisy potwierdzą prawdziwość mych postrzeżeń.

W moich wycieczkach ornitologicznych, wyznać muszę że wiele, bardzo wiele ptaków w czasie lęgu zabijałem; już to dla zbiorów, już dla nauki, a nawet dla badania skrytych uczuć ptaków, odstrzeliwałem samca od samiczki, równie często jak samiczkę od samca i ścigałem jak długo mogłem wzrokiem i myślą owdowiałego ptaka. Niechcę twierdzić, że samiczka nie czuje straty samca; jéj załośne wabienie, niespokojność ruchów i lotu, to ciekawe szukanie za nim i wołanie go, to są nieomylne oznaki przywiązania. Lecz to mija jak deszcz ranny lub płacz panny; drugiego dnia najczęściej już ją widziałem z drugim w zabawie; już jéj donosił żer, już pomagał w utrzymaniu gniazda, bo nawet samczyk pełen poświęcenia siadał na parę godzin na jajach nowo przybranéj samiczki i ułatwiał jéj życie. To przywiązanie czysto platoniczne, bo drugi raz z nim tego roku gnieździć się nie będzie i jajek znosić, myśl mi często nasuwało, że wie on iż odziedziczywszy teraz obcą samiczkę na rok przyszły mieć ją będzie za swoją, i dla tego służył i śpiewał, karmił obce dzieci i nareszcie z przybraną rodziną odleciał w jesieni. O jakże zawsze żałowałem że téj parki naznaczyć nie mogłem! Na wiosnę przyleciał w ten sam krzak samczyk, śpiewał kilka dni i doczekał się samiczki, lecz czy to te same ptaki były, których życie na różne próby wystawiałem? tego twierdzić nie mogę.

Samiczka ma zatém przywiązanie, lecz pełna wyrozumiałości jak w ludzie wiejskim, najbliższym stanowi natury, przybiera samca do pomocy i z nim się wkrótce pociesza. Stan wdowca jest pożałowania godzien. Spostrzegłszy swą stratę, szuka niespokojny po wszystkich znanych mu kryjówkach, a tak żałośnie i bez przerwy wabi, że szczerze żałowałem, często popełnionéj zbrodni. Gdy tak spędził parę godzin nie myśląc o jedzeniu, siada na ulubioném miejscu, czasem zawabi; głos jego zło-

żony z przerwanych nót dawnego śpiewu; spuści skrzydełka napuszy pierze i siedzi nieruchomy, jak gdyby dumał nad ogromem poniesionéj straty, ocknie się, zajrzy do gniazdeczka, usiędzie na chwilkę lecz wytrzymać niemoże; znów odleci, polata i znowu powraca na miejsce na którém dawniéj głosił śpiewem szczęście, dziś postawą, pierzem zaniedbaném i milczeniem pokazuje swą żałobę. Obserwowałem wiele gatunków: orły, sokoły, gołębie, pliszki, gajówki, muchołówki, słowiki i bociany, u wszystkich spostrzegałem co wyżéj opisałem. Szczególne zjawisko, gdy po kilku dniach ubijałem tych wdowców, chudzi byli jak szkielety, a pierze zabrudzone, opuszczone, olejkiem nie wysmarowane! Wdowiec tego roku nie szuka już samiczki.

Jeżeli przyznacie prawdziwość axiomatu postawionego przez Pastora Brehm, to przyznać musicie, wyższość rodu ptasiego nad innemi stworzeniami bez duszy nieśmiertelnéj, bo one jedynie z całéj przyrody w małżeństwie całe życie żyją. — Stwórca przeznaczył te lotne żyjątka za przykład pożycia małżeńskiego, udzielił im rozkoszny śpiew, ubarwił różnemi kolorami ich pierze, dał im urocze kształty i nieporównaną gracyę; czy te powabne zalety niezasługują na pierwsze miejsce w przyrodzie?....Niech sobie kto naturę wystawi bez ptaków i kwiatów, czy ona będzie mieć te powaby, czy ona będzie budzić wyobraźnię poetów, czy nam przedstawiać się będzie tak rozkosznie jak teraz? O nie, — bez kwiatów byłaby puszczą, bez ptaków panowałaby cisza grobowa! A daléj kto poznał ich życie ogółowi zasłonięte, kto poznał ich przywiązanie, rozum, czucie, przebiegłość, niepojętą pamięć, te ogromne namiętności w tych drobnych stworzeniach, ten ich pewnie umiłuje, ten ich życie badać będzie; a ja ich towarzysz, co ich podsłuchuję i szpieguję starać się będę zdarzeniami udowodnić rzeczywistość mych spostrzeżeń, które się tu wydać mogą

jako płody chorowitéj wyobraźni ornitologa; dowodzić daléj nieomieszkam że w całéj przyrodzie tego podobieństwa nie znajdziemy z ludzkością jak w ptakach. Najszlachetniejsze nam znane stworzenia jak lew, tygrys, jeleń, koń i pies, odbywszy zwierzęce powinności już o samice niedbają; opisy obrony młodych lwów, tygrysów przez samce, zapełniają stronnice powieściopisarzy i podróżnych, zajmują wyobraźnię czytelników — mają tylko jednę wadę, że są nieprawdziwemi! Zwierzęta ssące nie żyją w małżeństwie, zapłodniwszy samice zostawiają im wyłącznie całe trudy wychowania młodych i nie troszczą się wcale o nie do przyszłego roku, przeciwnie w ptakach oprócz powyżéj wymienionych gatunków, które jako wyjątki uważać należy, wszystkie ptaki są połączone węzłem małżeńskim, biorą równy udział tak samiec jak samica w wychowaniu piskląt, i jeżeli utrata jednego z nich lub nadzwyczajny wypadek nie rozerwie parki, pozostanie ona razem do śmierci.

Co jeszcze ciekawszém a jeszcze mniéj znaném zjawiskiem, to że brat z siostrą najczęściéj stanowi zparowane małżeństwo, a gdy ojciec utraci samiczkę na wiosnę, wtedy odgania syna i gniazdo ściele z córką. To spostrzegałem kilkakrotnie u bocianów, pliszek i drapieżnych ptaków! Nie jeden z czytelników uśmiechem wątpliwości zakończy czytanie tego ustępu, myśląc że podobnych odkryć robić nie można. Nie jest to tak trudném jak się wydaje, i tak na przykład, w parkach widzimy jedno roczne, dwóchletnie lub doskonałe ptaki, jeżeli są nierównego pierza, pewnie wypadek rozerwał parę i dwa inne się sparowały. Ptaków wiele gatunków rodzinami wędruje i razem na miejsce lęgu przylatują, tam się dopiero na parki rozdzielają, widać zatém jak zawsze gniazdo odwiedzą, widać różność pierza a zatém różność wieku; daléj młode niedoświadczone, inaczéj gniazdo ścielą, niezgrabnie się do tego biorą wszystko

im trudno idzie i zawsze mizerną budowlę uklecą. Innych gatunków samce stanowią przednią straż, to kwatermistrze téj armii wędrującéj; samiczki z młodemi jako delikatniejszy oddział późniéj przylatują na miejsce wychowania; tam się odbywa powitanie, narady, świergotanie, często bójki i swary bo młode zarozumiałe, jak to i u nas bywa, słuchać rodziców niechcą i wyzuwszy się z wszelkiego uszanowania na kolébkowém gnieździe — gnieździć się upierają; koniec tego: że samiec synków, samiczka córki dobrze wyczubią i odgonią, a młode parki rade nie rade w bliskości gospodarstwo swe nowe zakładają. Miałem długie lata pliszek siwych parkę, gnieżdżących się w płocie mego ogrodu, znałem ich zwyczaje, sposób słania gniazda, ich niezgody, przykre chwile głodu w czasy słotne, spostrzegałem nie raz z jakiemi trudnościami walczyć musiały, aby pięcioro piskląt żarłocznych co rocznie wychować; lecz życie im swobodnie schodziło, kochały się bardzo, pomagały sobie wzajemnie, były pracowite i termin przylotu i odlotu akuratnie dotrzymywały przez lat cztery. Aż tu roku 1855 przyleciał mój czarnogardlisty samiec na swoje miejsce, krzątał się, śpiewał i czekał; samiczka nie przyleciała, musiała w podróży zginąć; lecz młodzież zapomniawszy ten smutek w rodzinie, gwarnie i hałaśnie opanowała mój płot. Z początku ojciec jakoś smutny lata z dziatwą jak gdyby szukał swéj ulubionéj; potém bójki nastąpiły a koniec tego miłośnego zdarzenia — że pojął szarą jednoroczną samiczkę, a resztę odgonił. —

Odstrzeliłem orłu karzełkowi (*Aq: pennata*) samicę starą z białym spodem; nie daleko tego miejsca gniezdziła się parka dwóch letnich rdzawych orłów tego gatunku. Mój wdowiec (*było to jeszcze przed zniesieniem jaj*) po dwóch dniach żałoby, poleciał do dzieci, pobił syna i zabrał mu samiczkę, którą na swe gniazdo zaprowadził. Syn wdowiec niepocieszony, błąkał

się całe lato po tym samym lesie. Podobnych przypadków despotycznego postępowania rodziców mógłbym wiele cytować, szczególniéj gdzie ojciec córkę pojmuje; rzadsze spostrzeżenia w odwrotnym stosunku, bo samiczka ma zawsze dosyć konkurentów. — To są wszystko uwagi, aby złożyć dowody, że ptaki w przyrodzie stać powinny na pierwszém miejscu.

Przystąpmy teraz do podobieństwa, jakie napotykamy między ptakami a ludźmi: Weżmy najpierwéj despotyczne orły, nieznoszące równych siebie w rewirze, który opanowały; daléj remizy sikory budujące gniazdo jak długie kapciuchy na tytoń, istne tkanki mozolnej pracy; dalej zemstę drapieżnych ptaków którą noszą jak murzyni miesiące całe, aż dokonają morderstwa; — namiętna miłośne dramaty co nam corocznie odgrywają bociany; — te bójki całoroczne samców batalionów (*machetes pugnax*) które to ptaki jak żołnierze bez bitek żyć nie mogą; — przemysł rozumny szpaków tych żartownisiów co każdego do śmiechu pobudzają, gdy n. p. mierza dzióbem jak cyrklem otwor dziupła i wymierzywszy dokładnie, dopiero wchodzą prowadząc za sobą samiczkę; — cóż nam daléj złodziejska sroczka za liczne historye ludzi przypomina, gdy w zawieszonych sukniach wieśniaków, szuka po kieszeniach sera; a ten jastrząb co udaje myszołowa lub sowę, aby się go nie bały gołębie i tym podstępem życie sobie zabespiecza, on pojął przed zaprowadzeniem giełdy jak można oszukiwać i z drugich głupszych korzystać!...... Sojki wydrzyźniając inne ptaki, nie pospolite konfuzye sprowadzają, to ustawiczny dla ptaków *prima aprilis*; a myśliwych jak bawią udając trąbkę, lub gonienie ogarów, to mistifikatorowie, mogliby i w salonach się popisywać!... Dzierzby, gminnie zwane srokaczami, co się uczą naśladować śpiew tych ptasząt, które pokonać mogą i śpiewając zwabiają w zasadzkę łatwowierne

ofiary... Cóż dopiero za rozczulające przykłady mamy pamięci i przywiązania ptaków, które mimo wędrówek w oddalone kraje, po upłynionym roku, swych dobrodziei poznają!... Cóż powiedzieć o tych samcach co po utracie samiczek z żalu giną!... Wierzajcie mi, że w rodzie ptasim napotykamy wszystko, co w naszych miastach i wsiach ludzie czują i myślą z tą różnicą, że nie mówią i skrycie żyją, a jeżeli pozwolicie to następnie przykładami potwierdzę co tu powiedziałem.

Wstęp mój zaiste długi, może przy wystąpieniu narażam się, iż czytelników zniechęcę, lecz że ja w moim zawodzie przyzwyczajony, aby mało brało udział w méj nauce, zniosę i to bez szemrania. Zamierzyłem wam opisać naszego bociana, podnieść zasłonę przykrywającą jego życie, czyli jeżeli się tak wyrazić mogę, stronę moralną jego życia; lecz to na dzisiaj byłoby za wiele. Wolę zatem podzielić rzecz na mniejsze cząstki i posyłać wam jak lekarstwo ważone aptekarską wagą, które łatwiej zażyć można, krótkie artykuły naukowo nienaukowe: o bocianie — o pamięci, rozumie, uczuciu i instynkcie ptaków — o wędrówkach i zmianach miejsc pobytu, o kukułce lekkomyślnéj i o różnych mało znanych zjawiskach mych ulubionych lotnych towarzyszów.

Dni temu dwa zanucił pierwszy raz słowik harmonijnie, wzdychając za samiczką w podróży, lecz umilkł znowu, śnieg pada, zimno, wietrzno. — Nie wołaj jéj luby śpiewaku, ona w ten czas podróżować nie może, trzeba i tobie w naszym kraju cierpliwości. Śnieg i deszcz majowy miną, słońce zaświeci, a z pomyślnym wiatrem nadleci ci samiczka. Czekaj cierpliwie miły harmonijny ptaszku, który twym śpiewem tyle strón w naszym sercu poruszasz i w rodzie ludzkim mówią, że kto umié czekać, doczeka się tego — czego pragnie! Twoja samiczka nadleci, ty jéj jeszcze nucić będziesz

całe kwieciste miesiące Maj i Czerwiec, ty wychowasz pisklęta, równie jak i ty melodyjnie śpiewające, ty zniemi polecisz do ciepłych krajów, gdzie śniegu, zimna i głodu nie doznacie, a nas tu zostawicie zawsze czekających co roku za wami, jako za zwiastunami wiosny tęskniących, i my tak czekać będziemy, dopóki każdego z nas śmierć nie zaskoczy, a tymczasem nuć nam twe smutne dumki luby słowiku!

Wolica dnia 4 maja 1857.

KAZIMIERZ WODZICKI.

DZISIAJ

czyli

WIENIEC KONWALIJ

Dramat w czterech aktach

przez

MAURYCEGO MANNA.

OSOBY:

LORD WILLMOUTH, par angielski.
LADY WILLMOUTH, jego żona.
HELENA, córka ich jedynaczka.
SIR EDWARD FELTON.
HRABIA HENRYK BELMONTE, Włoch, kapitan w służbie belgijskiéj.
MORTENO, Włoch, pułkownik w służbie belgijskiéj.
JERZY, kamerdyner Lorda Willmouth.

Rzecz dzieje się w Bruksелli, w oberży Bellevue, w roku 1834.

Objaśnienie. Wyrażenia na *prawo* i na *lewo* rozumieją się od sali. Osoba wyrażona naprzód w tytule każdéj sceny powinna zajmować pierwsze miejsce na lewo od widzów i tak następnie. W odsyłaczach oznaczone są zmiany pozycyi podczas sceny.

AKT PIERWSZY.

Teatr przedstawia jeden z pokoi appartamentu, który w hotelu Bellevue zajmuje lord Willmouth—w głębi drzwi do przedpokoju—na prawo przy saméj scenie duże stojące źwierciadło, daléj stół, na nim pudło papierowe z kwiatami — na lewo na przodzie sceny mała kanapa, przed nią stolik, obok fotel — daléj po bokach dwoje drzwi zasłonionych portyerami; drzwi lewe prowadzą do pokoi lady Willmouth i jéj córki, drzwi prawe do dalszych salonów — rozmaite meble napełniają pokój — na ścianie obrazy.

SCENA I.

LORD WILLMOUTH, *siedzi na kanapie i czyta dzienniki, przed nim na stole zastawiona herbata*, LADY WILLMOUTH, *obok niego pije śniadanie*, HELENA, *stoi przed stolikiem i wyjmuje z pudła rozmaite girlandy kwiatów* [1]),

LADY.

Czy to te kwiaty Helenko, sprowadziłaś z Paryża na nasz bal dzisiejszy?

HELENA.

Te mamo, — przyszły w sam czas, dzisiejszą ranną pocztą. Jakże świeże i piękne!

LADY.

Jedne w drugie tak piękne, że niewiesz które wybrać — nie prawdaż?

HELENA.

W saméj rzeczy... jednakowoż...

LADY, *wstając.*

No, już to widzę, że się bezemnie nie obejdzie. Ty sama nie zdecydowałabyś się nigdy na wybór, a wszystkich przecie włożyć niepodobna dzisiaj. (*idzie do stolika*).

[1]) Ubiory: strój ranny wykwintny.

HELENA.

Przepraszam mamę, — ale już wybrałam (*pokazując girlandę*). Patrz, jaki to piękny wieniec konwalij?

LADY, *z zadziwieniem*.

Konwalij?

HELENA, *zmieszana*.

Alboż nie piękny? czy ci się nie podoba?...

LADY.

O, i bardzo, zapewne, ale czyż niema piękniejszych? naprzykład te kamelie...

HELENA, *przymierza wieniec przed źwierciadłem*.

Patrz, tylko patrz mamo, jak mi w konwaliach do twarzy!

LADY.

Zdaje mi się, że kamelie odbijałyby lepiéj od twych włosów... nawet płeć twoja...

HELENA, *poprawiając wieniec na głowie*.

Być może — ale — bo ja tak lubię konwalie!....

LADY, *na stronie*.

Miałyżby moje domysły być prawdziwe?... (*głośno*) Nie wiedziałam, niedomyślałam się nawet, że tak lubisz konwalie?

HELENA, *z coraz większym kłopotem*.

A zresztą, głównie mi o to idzie, że kamelie bardzo pospolite... zobaczysz, że na balu pełno będzie kamelij... wszystkie damy ubiorą się w nie dzisiaj...

LORD, *kładąc dziennik*.

Dobrze mówisz Heleno!

HELENA, *obraca się żywo do Ojca*.

Nie prawdaż ojcze?... powiedz, czy mi nie do twarzy w tych kwiatach?

LORD

Prześlicznie! (*wstaje*) [2]) Ubierz się tylko pięknie, bo

---

[2]) Lady, Lord, Helena.

chciałbym, żebyś była ze wszystkich najpiękniejsza dziś wieczór.

HELENA.

A czemu tylko dziś wieczór?

LORD.

Żebym się mógł poszczycić moją jedynaczką, i żeby wszyscy uklękli przed narzeczoną sir Edwarda Felton.

HELENA, *zdejmuje wieniec.*

Co mówisz ojcze?...

LADY, *zdziwiona.*

Jakto milordzie? narzeczoną?...

LORD.

Tak jest — postanowiłem zaręczyć Helenę dzisiaj.

HELENA, *upuszczając wieniec.*

Dzisiaj!!...

LORD.

Kazałem prosić do siebie sir Edwarda, i oświadczę mu mój zamiar. Czy nie sądzisz milady, że bal dzisiejszy nastręcza nam sposobność ogłoszenia naszego wyboru przed światem?

LADY.

Skądże tak nagle milordzie?... czemużeś mnie dawniej o tem nie uprzedził?...

LORD.

Jakto? nie wiedziałaś o tem milady? Wszak od chwili jak pozwoliłem, aby sir Felton tu za nami przyjechał, powinnaś była uważać rzecz za skończoną? Dzień wcześniej czy później, to już wszystko jedno — dzisiaj czy jutro, co to może znaczyć? Sir Edward życzy sobie od dawna tego związku, ja zaś niewidząc żadnéj a żadnéj przeszkody zgadzam się zupełnie, lepiej więc ubić rzecz prędko, bo nie lubię tych długich zalecań się i korowodów ze strony mężczyzny; to do niczego dobrego nie prowadzi.

HELENA, *nieśmiało.*

Ależ ja tak mało znam sir Edwarda...

LORD.

A czyjaż w tem wina? Jużto pewno nie jego. Od roku bywał u nas w Londynie i na wsi, a tu bawi z nami już przez dwa miesiące. Ale go unikasz..... widzę to a wreszcie i nie ganię. Twoja matka tak cię wychowała, i słusznie. Wie ona bardzo dobrze, że nigdy kobieta, nawet najśmielsza nie pozna charakteru mężczyzny przed ślubem... Ale coż ci to?.. drżysz?..

HELENA, *z westchnieniem.*

Byłam taka szczęśliwa, mój ojcze!

LORD, *z dobrocią.*

Rozumiem, moje dziecię, lękasz się, żeby cię to szczęście nie odbiegło? Obawa ta zaszczyt ci przynosi, a dla nas słodką jest nagrodą. Ale wierz mi Helenko, że w tych razach córka na ślepo wyborowi rodziców zaufać powinna. Znam sir Edwarda, zapewniam cię więc że jego charakter i stanowisko jakie zajmuje w świecie, są dostateczną rękojmią twego przyszłego szczęścia. (*biorąc ją za rękę*) Bądź więc spokojną, nie smuć się, podnieś twój śliczny wieniec, myśl o balowym stroju, a nadewszystko bądź wesołą, bo to twoja najpiękniejsza ozdoba...Czy wydałaś już milady wszystkie rozporządzenia tyczące się balu?

LADY.

Już milordzie.

LORD.

Nie zapomniałaś też zaprosić pułkownika Morteno i hrabiego Belmonte?

LADY.

Mogłażbym o nich zapomnieć? bywają u nas codzień i mieszkają w tym samym hotelu.

LORD.

Właśnie też dla tego, że codzień widuję tych panów zapomniałem ich wpisać na listę zaproszonych. Dziękuję ci żeś naprawiła moje roztargnienie. Tymczasem nim Edward nadejdzie, napiszę kilka listów...

(*wychodzi drzwiami w głębi*).

SCENA II.

LADY WILLMOUTH, HELENA.

LADY, *patrząc na Helenę, która stoi nieruchoma przy stoliku z kwiatami.*

Biedne dziecię, jakżeż przerażona! Muszę wiedzieć co się w jej sercu dzieje (*głośno*) Helenko, czy nie masz nic cobyś w téj chwili matce powiedzieć chciała?

HELENA, *biegnąc ku niej.*

O mam matko moja, moja najdroższa matko!

LADY,

Powiedz więc moje życie, wszak wiesz ile cię kocham. Mów, mów śmiało i otwarcie. Powiedz, czyżbyś niechciała zaręczyć się dzisiaj z sir Edwardem.

HELENA.

Na samą myśl rozstania się z tobą, smutne przeczucia zaległy moje serce.

LADY.

Ależ Heleno, prędzej czy później, jak mówił lord Willmouth, to los zgotowany kobiecie, a zresztą znasz ojca i wiesz jak trudno zmienić co raz postanowi.

HELENA.

Wiem o tem aż nadto dobrze, i dla tego też właśnie rozpacz mię ogarnia!...

LADY, *z wymówką.*

Rozpacz?! Heleno, to nie dobrze, trzeba być rozsądną. Przyznaję, że postanowienie twego ojca tak nagłe, tak nawet niespodziane mnie samą zmięszało. Ale wreszcie dzisiaj to dopiero zaręczyny. Dzień w którym się będziemy musiały rozstać, jeszcze daleko, a sir Felton jest człowiekiem tak zacnym i delikatnym, że i wtedy nawet...

HELENA, *przerywając.*

Czy sądzisz matko, że mi ciebie zastąpić potrafi? nie — pewna jestem, że tego nie myślisz!

LADY.

Myślę, że jest człowiekiem uczciwym, szacownym pod

wszelkiemi względami, człowiekiem wreszcie który jak mi się zdaje, szczerze jest do ciebie przywiązanym....

HELENA, *przerywając.*

On? przywiązany do mnie?... czy on się może przywiązać do kogokolwiek? on — taki zimny, samolub..

LADY.

Heleno! nie mówiłaś tego w Londynie?

HELENA.

Milczałam... bo mię nie pytano o zdanie.

LADY, *na stronie.*

Niestety! (*głośno*) Słuchaj moje dziecię, i odpowiedz mi szczerze. Sir Edward ci się niepodoba?

HELENA.

Niepodoba mi się droga matko, a czuję, że i ja mu się podobać nie mogę.

LADY.

Lecz chciałabym wiedzieć czy tylko te niedostatki jakie w nim widzisz, a których nie zaprzeczam; czy ten brak sympatyi między wami nie wypływa głównie z porównania?

HELENA.

Co chcesz przez to powiedzieć mamo?

LADY.

Mówię, że może porównywasz sir Edwarda z jakim innym mężczyzną, — może dla tego tylko ci się nie podoba, że tamten ci się przyjemniejszym wydaje!

HELENA.

Z kimże miałabym go porównać?...

LADY.

Z kim? z kim?... naprzykład, z hrabią Belmonte?

HELENA, *rumieniąc się.*

Zkądże ten wniosek?...

LADY.

Czemużeś wybrała ten wieniec?

HELENA.

Konwalij?...

LADY.

Tak jest. Powiedz mi szczerze, czyś nie wiedziała, że to kwiat ulubiony hrabiego?

HELENA.

Ależ bo....

LADY.

Nie uważałaś że go nosi często przy fraku?

HELENA.

Prawda mamo, nie zapieram się żem mu chciała zrobić przyjemność ubierając się w jego ulubione kwiaty... prawda, ale czyż on nie myśli zawsze jakby nam jaką miłą wyrządzić niespodziankę? Nie weźmiesz mi tego za złe wszak i ty sama bardzo go lubisz; on taki dobry...taki szlachetny... tyle ma dla nas szacunku....

LADY, *na stronie.*

Kocha go!

HELENA.

Nie prawdaż mamo, że on zasługuje na tę drobną przyjemność którą mu sprawić chciałam? Ale nie sądź, żeby to było powodem wstrętu do sir Edwarda...Nie, nie, sir Felton byłby mi się nie podobał nawet gdybym nie znała hrabiego Belmonte, zawsze mię coś odpychało od niego....

LADY, *przerywając,*

Jakto Heleno? — myśl połączenia się z sir Edwardem aż wstręt w tobie obudza?....

HELENA, *żywo*

Przysięgam ci mamo, że na samą o tém myśl truchleję... cała natura moja się wzdryga, a jeżeli ojciec zmusi mię oddać mu rękę, przeczuwam dla siebie nieszczęście całego życia!...

LADY, *przelękniona*

Co mówisz?...zmuszać cię? całe życie masz być nieszczęśliwą? oh nie, uspokój się moje dziecko, nie, nie, nikt cię zmuszać nie będzie!...

HELENA, *ściskając ją*

Mamże wierzyć słowom twoim, droga matko! Oh w tobie moja nadzieja, moja jedyna ucieczka!

LADY.

Ojcu trzeba wszystko powiedzieć... on cię kocha... on dobry...

HELENA.

Ależ i surowy — nie mam odwagi....

LADY.

Więc ja ją mieć będę! *(na stronie)* Ratujmy ją, jeżeli czas jeszcze....

(chce wyjść, lord Willmouth wchodzi w głębi)

SCENA III.

HELENA, LADY WILLMOUTH, LORD WILLMOUTH, *później* SIR FELTON,

LORD, *wchodząc*,

Proszę — proszę cię sir Edwardzie...

FELTON *wchodzi w ubiorze zwykłym przy wyścigach konnych, za nim Jerzy który zabiera śniadanie i odchodzi*,

Właśnie zleciłem Jerzemu, żeby ci oświadczył milordzie, iż w téj chwili służyć ci nie mogę. Założyłem się o wyścigi na dzisiaj, i niezwłocznie udać się tam muszę. (*do lady Willmouth*) Milady...najniższy sługa...

LORD *)

A z kimże zakład?

FELTON.

Ot z tym panem...jakże tam?.... z panem Belmonte....

LADY.

Zdaje mi się że sir Edward nie lubi hrabiego Belmonte?

FELTON.

Rzeczywiście milady, nie przepadam za nim wcale.

---

*) Helena, Lady Willmouth, Sir Felton, Lord Willmouth.

LORD.

A jednak słyszę o częstych między wami zakładach.

FELTON.

Cóż robić!....Mam zwyczaj ofiarować zakład, a on każdy zakład przeciwko mnie trzyma. Każdy z nas w swojém prawie, lecz przyznasz milordzie, że do tego nie trzeba najmniejszéj sympatyi... (*przechodzi obok Heleny*) Dzień dobry pani....

LADY, *cicho do lorda* *)

Nie mówiłeś jeszcze z sir Edwardem milordzie?

LORD, *cicho do żony.*

Nie milady. Słyszałaś że nie ma teraz czasu. Czy nie byłoby dobrze zostawić ich samych na chwilę?...

LADY, *podobnież*

Zapewne — a i ja chciałabym parę słów z tobą pomówić milordzie....

LORD, *podobnież*

Służę ci milady...(*głośno do Feltona*) A więc na późniéj po wyścigach sir Edwardzie...życzę szczęścia.

FELTON.

Dziękuję milordzie, i jeszcze raz przepraszam....
(*odprowadza lorda Willmouth który wychodzi z żoną przez dzwi lewe*)

HELENA, *na stronie*

Boże! sam na sam z nim mnie zostawili!...(*siada na kanapie, wyjmuje ze stolika robotę i haftuje.*)

SCENA IV.

HELENA, SIR FELTON.

FELTON, *zbliżając się,*

Milady....

HELENA, *haftując,*

Mówiłeś podobno sir Edwardzie o jakimś zakładzie, jeżeli się nie mylę...

---

*) Helena, Sir Felton, Lady Willmouth, Lord Willmouth.

FELTON.

Tak milady.

HELENA, *mówi szybko,*

Kiedy to się odbędzie?

FELTON.

Dzisiaj, niebawem...

HELENA.

A znaczny?

FELTON.

O sto gwineów....

HELENA.

Przepraszam pana za moje pytania....

FELTON.

Bardzo proszę...

HELENA, *przerywając,*

Ale bardzo lubię zakłady, i żywo mnie zajmują....

FELTON.

Nie wiedziałem o tém...lecz to nic dziwnego...tak rzadko mam przyjemność rozmawiać z panią...

HELENA.

I o cóż stanął zakład?

FELTON, *z niechęcią,*

O konia.

HELENA.

Więc będziecie się ścigać?

FELTON.

Nie, milady, będziemy skakać...

HELENA.

Ale to niebezpiecznie?...

FELTON.

Jak czasem....zależy to od konia.

HELENA.

I od jeźdzca...

FELTON.

Zapewne.

HELENA, *nieśmiało*,

Czy hrabia Belmonte dobrze jeździ na koniu?

FELTON.

Wybornie...

HELENA.

Ale jednak nie tak dobrze jak pan?

FELTON.

Jeździ lepiéj odemnie, ale nie jeździ jak *gentleman*.

HELENA.

Jakto?

FELTON.

Chcę powiedzieć, że pan Belmonte nie zna zasad *sportu* że nie jest *sportsmanem*...Ależ lady Heleno....

HELENA.

Przepraszam że przerywam sir Edwardzie, ale wiesz że kobiety są ciekawe. Powiedz mi pan, czy skok przez rów czy barjerę?

FELTON, *z niecierpliwością*,

Przez barjerę.

HELENA.

Stałą czy ruchomą?

FELTON.

Stałą.

HELENA.

A wysoką?

FELTON.

Pięć stóp...

HELENA.

Czy sami panowie będziecie skąkać?

FELTON.

Nie, milady.

HELENA.

Więc wasi żokeje?

FELTON.

Tak jest milady.

HELENA.

I to nie zadługo? mówiłeś sir Edwardzie. Zapewne masz pan jeszcze poczynić jakie przygotowania....

FELTON, *z przyciskiem,*

A milady niechciałabyś mi przeszkadzać, zatrzymując mnie dłużéj — nie prawdaż?

HELENA.

Jeżeli pan nie masz czasu, to zapewne że nie...

FELTON.

Zawsze mam czas na rozmowę z tobą, milady, zwłaszcza że jak powiedziałem rzadko dostępuję tego szczęścia. — Chciałbym się zapytać milady, czemu mam przypisać tę zmianę...

HELENA, *przerywa,*

Jaką zmianę sir Edwardzie? (*na stronie*) Cóż mu powiem?

FELTON.

Zmianę twéj życzliwości dla mnie, milady.

HELENA.

Uważasz pan żem się zmieniła?

FELTON.

Tak jest milady, nie jesteś już dla mnie taką jaką byłaś w Londynie.

HELENA, *na stronie,*

Ktoś nadchodzi...zbawi mnie! (*głośno*) I w czemże to widzisz tę zmianę sir Edwardzie?

FELTON.

We wszystkiém.

HELENA.

Na przykład? (*na stronie widząc że hrabia wchodzi*) To on!

FELTON, *na stronie,*

Znów ta nieznośna figura! zawsze mi w drogę włazi!...

(*Hrabia wchodzi*)

SCENA V.

HELENA, *siedzi na kanapie,* HRABIA BELMONTE, *w mundurze, trzyma w ręku zwinięte papiery,* SIR FELTON.

HRABIA, *kłaniając się,*

Dzień dobry, milady! Sir Felton, witam pana! Czy nie zastałem lorda Willmouth?

HELENA.

Nie, panie hrabio, wyszedł w téj chwili z moją matką.

HRABIA.

Kamerdyner powiedział mi że zastanę milorda w tym salonie. Chciałem mu oddać te papiery. Czy można prosić cię milady abyś to uczynić raczyła, a zarazem przebaczyła mi zbyt ranne odwiedziny?

HELENA, *wstając,* *)

Bardzo chętnie — (*bierze papiery*) Czy mój ojciec wié co zawierają?

HRABIA.

Otóż właśnie że nie wié, i gdyby to nie było nadużyciem dobroci pani, pozwoliłbym sobie dać jéj małe w téj mierze objaśnienie.

HELENA.

Słucham pana.

(*Sir Felton chodzi po pokoju i uderza szpicrutem po sztylpach swych butów*).

HRABIA.

Wiadomo pani zapewne, że w kampanii hiszpańskiéj lord Willmouth będąc pułkownikiem w korpusie margrabiego Wellesley, nieszczęsnym trafem o co nietrudno na wojnie, został wzięty w niewolę przez pana Morteno,

---

*) **Hrabia, Helena, sir Felton.**

naówczas kapitana w wojsku francuzkim...Ztąd zawiązała się ich przyjaźń...

HELENA.

Wiem o tém; mój ojciec nie może dosyć odchwalić się szlachetnego postępowania pana Morteno w téj okoliczności....

HRABIA.

Nic w tém dziwnego, milady. Mój waleczny przyjaciel uszanował w ojcu pani nieszczęście, stopień i zasługi których był świadkiem na placu bojowym.

HELENA.

Słusznie pan mówisz, na téj to podstawie oparta przyjaźń milorda dla pułkownika Morteno, przyjaźń któréj czas ani rozłączenie zachwiać nie zdołały, i która się zawsze rozbudza ilekroć przypadek zetknie ich z sobą.

HRABIA.

Czyni to zaszczyt obydwom. Ale nie wiem czy pani wiadomo, że właśnie podczas gdy milord zostawał jako jeniec na słowo w mieście gdzie był komendantem kapitan Morteno, dowiedział się o śmierci ojca swego, i zarazem o nader ważnych sprawach które go niezwłocznie powoływały do Anglii.

HELENA.

Rzeczywiście, nie wiedziałam że to było właśnie wtedy.

(*Sir Felton bierze dziennik zostawiony przez lorda Willmouth i czyta oparty o ścianę przy kanapie.* *))

HRABIA.

Morteno przedstawił w tym celu raport marszałkowi Suchet, w którym ręczy swoją osobą za lorda Willmouth i dodaje, że tenże gotów jest w każdéj chwili i miejscu uledz następstwom jakieby pociągnąć mogła zamiana jeńców. W skutek tego raportu i kilkakrotnych nalegań bardzo usilnych ze strony swego przyjaciela, uzyskał on od marszałka uwolnienie lorda, to jest pozwolenie powrotu jego do Anglii, gdzie się odtąd na polityczněj

---

*) Sir Felton, Hrabia, Helena.

drodze tak chlubnie odznaczał jak dawniéj na polu bitwy. Te papiery zawierają właśnie dokumenta dotyczące tego szczęśliwego uwolnienia.

FELTON, *do siebie.*

Bardzo interesujący artykuł.

HELENA.

Nieprawdaż sir Edwardzie? te szczegóły bardzo są zajmujące.

FELTON.

Proszę mi darować milady, nie wiem o co idzie — czytałem o buncie w Lyonie.

HRABIA.

Nie przerywajmy sir Feltonowi, on się tak dobrze bawi... A—ot i pułkownik.

(*Wchodzi Morteno.*)

SCENA VI.

CIŻ SAMI, MORTENO *w mundurze*, JERZY.

MORTENO *w głębi do Jerzego.*

Nie zastałem milorda?

JERZY.

Nie, panie pułkowniku. Milord jest w pokojach milady, oznajmię mu pańskie przybycie.

MORTENO.

Nie potrzeba, skoro jest lady Helena. (*Jerzy odchodzi*). Dzień dobry milady (*na stronie przybliżając się ku scenie*). Widzę że Henryk wcale już ztąd nie wychodzi.

HELENA *).

Dzień dobry pułkowniku. Milord jest u mojéj matki, jeżli pozwolisz...

MORTENO,

Nie, nie, niewołaj go milady. Przyszedłem przeprosić milorda, że dziś rano nie będę mógł z nim pracować.

*) Sir Felton, Hrabia, Helena, Pułkownik.

HRABIA.

Czy jeszcze owe pamiętniki z wojny hiszpańskiéj?

MORTENO.

Tak jest.

HELENA, *pokazując papiery.*

Oto jeden ustęp z téj kampanii dla mnie najciekawszy.

MORTENO.

Jakto milady?

HRABIA.

Twoje listy tyczące się jeństwa lorda Willmouth.

MORTENO, *biorąc papiery.*

Doprawdy?

HELENA, *z uśmiechem.*

Tak jest rzeczywiście. Mówiliśmy tu wiele o panu, a Hrabia bardzo ganił postępowanie pańskie z moim ojcem.

MORTENO, *do siebie przeglądając papiery.*

Nie mogę znieść, kiedy go zowią hrabią, ten tytuł zawsze uszy mi kaleczy!

HELENA, *do Hrabiego.*

Ale jakimże sposobem zdołałeś zgromadzić te dokumenta panie hrabio?

HRABIA.

Mam przyjaciół w ministeryum wojny w Paryżu, którzy mi pomogli w tych poszukiwaniach.

MORTENO.

Zdaje mi się że tu są jeszcze inne papiery?

HRABIA.

Są w istocie. (*do Heleny*). Służąc sam w Hiszpanii przeciw Don Karlosowi jak milady wiadomo, zaznajomiłem się z wielu hiszpanami. Przez nich dostałem kilka rozkazów dziennych wprawdzie nie wielkiéj wagi, lecz w których szlachetny lord zobaczy imię swoje zaszczytnie wspominane nawet przez nieprzyjaciół.

FELTON, *na stronie rzucając dziennik.*

Czy ztąd nigdy nie wyjdą? (*idzie do stolika z kwiatami*) *).

HELENA.

Milord będzie panu bardzo wdzięczny...

HRABIA.

Pragnę tym sposobem choć w małéj części zastąpić ów brak materyałów do historyi zawodu wojskowego milorda na jaki się nieraz przedemną uskarżał...

HELENA.

Dziękuję panu hrabiemu jego imieniem, pewną będąc jak drogiemi będą te papiery mojemu ojcu.

HRABIA.

Nie wątpię milady, skoro mu je sama oddasz...

MORTENO, *na stronie.*

Co za waryat — wszak on jej się po prostu zaleca! (*głośno, oddając papiery*). Dziękuję milady (*do hrabiego*). Czemuś mi ich nie pokazał Henryku?

HRABIA.

Bo.. bo dostałem je dopiero dzisiaj.

MORTENO, *na stronie.*

Jakże mu było pilno! wyraźnie zakochany po uszy. (*głośno*) Ależ zapominam że mnie służba woła...

FELTON, *do siebie,*

Przecie sobie przypomniał, chwała Bogu!

MORTENO.

Upadam do nóg milady. Do widzenia Henryku! (*spostrzega Feltona*) Ah, sir Felton... przepraszam. Gdzież się pan kryłeś żem go nie spostrzegł wchodząc?

FELTON.

Czytałem dziennik... żegnam...

(*Pułkownik wychodzi*).

---

*) **Hrabia, Helena, Morteno, Sir Felton.**

SCENA VII.

HRABIA, HELENA, SIR FELTON.

HELENA *do hrabiego.*

Czy wolno i mnie zajrzeć w te papiery?

HRABIA.

O proszę, bardzo proszę.... (*przechodzi na prawo*) *) Czemuż się tam tak pilnie przypatruje sir Felton?.... A,—kwiatom... byłażby w tém sympatya... czy pan lubisz kwiaty?

FELTON.

Bynajmniéj.

HRABIA.

A ja przeciwnie... bardzo lubię — kwiaty (*przybliża się i bierze wieniec w rękę*). Co za przecudne konwalie!... Nie wiadomo panu który z tych wieńców ozdobi dzisiaj wieczór skronie lady Heleny?

FELTON.

Domyślam się mniéj więcéj...

HRABIA *z żywością.*

Czy milady panu mówiła który wybierze?

FELTON.

Nie. Powiedziałem że się domyślam. Lady ma włosy czarne, łatwo więc zgadnąć który wybierze.

HRABIA *z uśmiechem.*

Widzę już że sir Felton ma ochotę założyć się.

FELTON.

A pan gotów trzymać zakład, nieprawdaż?

HRABIA.

Ani myślę tym razem. Bałbym się niesłychanie przegrać, a może nie śmiałbym wygrać. (*kładzie wieniec na stole*).

---

*) Helena, Hrabia, Sir Felton.

HELENA, *do siebie.*

Jakiż on skromny! muszę się ubrać w ten wieniec konwalij.

HRABIA.

Ale *à propos* zakładu—myślałem żeś pan już dawno na placu wyścigów...

FELTON.

Widzisz pan że nie.

HRABIA *śmiejąc się.*

Juściż widzę że nie, kiedy pan jesteś tutaj. To loiczne bezwątpienia, ale nie to chciałem powiedzieć. Sądziłem że pan już od dawna oglądasz konie i żokejów, śledzisz ich wagę i miarę—jedném słowem pełnisz skrupulatnie i sumiennie obowiązki najdoskonalszego *sportsmana* trzech królestw... co między nami powiedziawszy nie uchroni cię od przegranéj sir Felton...

FELTON.

Bardzoś pan wesoły dzisiaj.

HRABIA.

W saméj rzeczy. Ale czy nie znajdujesz milady, że wesołość rzadko mnie opuszcza?

HELENA.

Prawda panie hrabio.

HRABIA.

Może dla tego że nigdy nie myślę o jutrze.

FELTON, *ironicznie.*

Nigdy—to bardzo wygodnie.

HRABIA.

A pan zawsze—to strasznie niewygodnie.

FELTON.

Nigdy—to zaprawdę za mało.

HRABIA.

Być może, lecz zawszeto bezwątpienia za wiele.

HELENA.

Lecz pozwól sobie powiedzieć panie hrabio, że nie myśleć nigdy o jutrze, to istotnie za wielka.. obojętność..

HRABIA.

Lekkomyślność, chcesz powiedzieć milady? Niewiem, może naganna, ale jest ona w moim charakterze.

HELENA.

W pańskim charakterze?

HRABIA.

Nie inaczéj milady. Nic zdaniem mojém nie psuje szczęścia jak ciągłe oglądanie się na przyszłość. Dla tego ufam ślepemu losowi, i jemu moje jutro zawsze powierzam. I tak, dzisiaj naprzykład, spodziewam się wygrać zakład z sir Feltonem, i raduję się myślą, że wieczór będę tańczył z milady trzeciego kontradansa.... proszę powiedzieć szczérze, czy sądzisz milady, że choć jutro żadne mię szczęście nie spotka, nie wystarczy mi wspomnienie szczęścia dzisiejszego?

FELTON, *patrzy na zegarek i przechodzi na lewo,*

Adieu milady! (*wyciąga ku niéj rękę ona mu podaje swoją*).

HRABIA, *do odchodzącego Feltona,*

Dziękuję sir Felton, przypominasz mi godzinę, byłbym o niéj niezawodnie zapomniał. Żegnam cię milady.. Sir Felton idziemy razem...

HELENA.

Do widzenia z panami dziś wieczór. (*Odchodzą drzwiami w głębi—Helena sama patrzy za wychodzącymi*). Zawsze razem, a ja ich razem tak widzieć nie lubię.... We wszystkiem tak niepodobni do siebie, tak sprzeczni z sobą że ciągle się obawiam niemiłego zajścia... Ale, cóżbym była odpowiedziała sir Edwardowi gdyby poczciwy hrabia nie był mię wybawił z kłopotu... W oddaniu tych papierów co za skromność, co za delikatność! nie powiedział o nich nawet swemu przyjacielowi! boję się tylko abym się niezarumieniła oddając je memu ojcu.. Ah! prawda!... milord rozmawia z moją matką. Czy zdołała mnie obronić? Mój Boże dodaj jéj siły i zlituj się nademną!...

(*Idzie ku drzwiom na lewo—zasłona spada.*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Pokój piérwszego aktu.

SCENA I.

LADY WILLMOUTH, *późniéj* LORD WILLMOUTH.

LADY, *sama, stoi oparta o stolik w głębokiém zamyśleniu.*

Upłynęła godzina długa jak wieczność!... Milord tu kazał czekać, tu przyrzekł odpowiedzieć ostatecznie... dreszcz mnie przejmuje na samą myśl o téj rozmowie!.. (*po chwili*). Czy zdołałam zmienić jego postanowienie, odwieść od nieszczęsnego zamiaru.... czy też skazana jestem patrzeć jak się własne moje męczarnie w życiu mojéj córki powtórzą?.. O gdyby milord znał stan mojéj duszy.. gdyby się mógł przekonać do czego przywodzi przymus na serce włożony.... oh znienawidziłby mnie może... ale by nieśmiał narzucać męża Helenie!...

LORD, *wchodząc z powagą,*

Rozważyłem sumiennie to coś mi mówiła milady. Widzę tylko zatrwożone serce macierzyńskie, nie widzę rzeczywistego dla córki naszéj niebezpieczeństwa, ani mnie przyszłość Heleny niepokoi.

LADY.

Postanowiłeś przeto milordzie?..

LORD.

Dotrzymać zobowiązań moich względem sir Edwarda.

LADY.

Zobowiązań? więc zobowiązałeś się milordzie?

LORD.

Ależ to się ma rozumieć! milady. Jakżeż nazwać inaczéj przyzwolenie dane sir Feltonowi aby się starał o rękę córki lorda Willmouth? Pozwolenie na przyjazd jego tutaj jest prawie tem co dane mu słowo. Nie zapominaj milady kim jest sir Felton i że ma do czynienia z lordem angielskim.

LADY.

Gdyby jednak była jaka przeszkoda do tego związku.. jaka ważna przeszkoda....

LORD.

Tak, gdyby była—ale niema żadnéj.

LADY.

Jakże milordzie, za nic uważasz nieprzezwyciężony wstręt córki naszéj do sir Feltona?

LORD.

Uczucie które zowiesz wstrętem, nie jest jeszcze podług mnie powodem do odrzucenia sir Edwarda. Sir Felton to prawdziwy *gentleman*, a żadna rozsądna kobieta nie może mieć odrazy do mężczyzny dobrze urodzonego i z należytém wychowaniem. Helena nie czuła tego wstrętu w Londynie, a teraźniejsza jéj nieśmiałość pochodzi jedynie z wrodzonego każdéj uczciwéj kobiecie wstydu, któremu się dziwić nie można. Przejdzie to, zapewniam cię milady, a jeśli to grymasy, potrafię im poradzić.

LADY.

Jeśli to są grymasy, zapewne że wkrótce przeminą. Lecz jeśli się mylisz milordzie, jeśliby ten wstręt miał swoje źródło w sercu, gdyby pochodził z przywiązania Heleny do kogo innego?

LORD.

Chcesz chyba mówić o hrabi Belmonte? myślałem i o tém. Ale Helena zna go tak mało, że to może być tylko mrzonką rozgrzanéj głowy, grą rozbujałéj wyobraźni—którą uczucie obowiązku niezwłocznie przytłumi.

LADY.

A gdyby też tak nie było?

LORD, *z przyciskiem*,

Tak jest milady, tak jest zaręczam. (*obojętnie*) Żałuję tylko żem dozwolił poufnego wstępu hrabiemu do mego domu. Niepotrzebnie zawróciła się główka Helenie. Pomówię o tém z moim przyjacielem Morteno, bo on mi hrabiego przedstawił. Pułkownik mię od razu zrozumie. Poradzę go się więc jakim sposobem oddalić hrabiego grzecznie, nie naruszywszy w niczém przyzwoitości.

LADY.

A gdyby też tym sposobem przywiązanie obróciło się w miłość, bo i to bywa milordzie; gdyby uczucie Helenki było głębokie, prawdziwe...

LORD.

No, i choćby tak było? cóż robić! Nie zechcesz przecie abym wydał córkę jedynaczkę i dziedziczkę mego imienia, za człowieka którego jakkolwiek szanuję charakter, nieznam przecież rodziny, za wygnańca którego majątek jeżeli miał jaki, musiał w tych kolejach znacznie ucierpieć...

LADY.

Ależ ja tego bynajmniej nie żądam milordzie, wszakże gdyby Helena kochała tego człowieka...

LORD, *przerywa z nieukontentowaniem*,

Dajże już pokój milady, serce twoje zaczyna prawić nic do rzeczy. Jakże możesz przypuścić, żebym jakieś urojone romanse kładł na szali ze świetnym i korzystnym związkiem jaki zgotowałem mojéj córce. A gdyby nawet ta miłość była tak stałą i silną jak mówisz, to jeszcze nie poświęciłbym dla niéj wszystkich korzyści wynikających z połączenia Heleny z sir Feltonem (*z zapałem*) Jakkolwiek sam pochodzi ze znakomitego domu, chce on przybrać moje imię; prawa krajowe nie wzbraniają, ażeby tym sposobem moje nazwisko odrodziło się w moich wnukach. Nie dość na tém; stronnictwo nasze zyskuje w nim przeważnego członka, bo odziedziczy po mnie parostwo, a mając zdolności, stosunki i ogromny majątek będzie godnie daléj reprezentował...

LADY, *przerywa*,

Jakto milordzie! więc szczęście córki chcesz poświęcić tym politycznym widokom? dla nich to chcesz zgotować Helenie życie pełne cierpień i bólu?.. (*z egzaltacyą*). Tak jest milordzie, bo ty nie masz wyobrażenia o takiém życiu, i nie wiesz co uczynić zamyślasz! Ty nie pojmujesz ile to mieści się goryczy w tém przymusowém życiu, gdzie każda rozkosz przychodzi z odrazą, a obowiązek ciągłą jest ofiarą! Nie znasz tego życia w któ-

rem każdy promyk nadziei barwy zbrodni przybiera, każde uczucie radosne jest wyrzutem sumienia, tego życia w którem nawet marzyć nie wolno.... tak dalece marzenie nawet niebezpieczne!..

ŁORD.

To wszystko co mówisz milady przekonywa mnie o istotném niebezpieczeństwie dla naszéj córki, i trzeba je niezwłocznie usunąć.

LADY.

Pojmujesz mnie więc nakoniec milordzie!

LORD.

Pojmuję. Trzeba co prędzéj położyć tamę temu wzrastającemu przywiązaniu, — tamę któréj dziewczyna wychowana przez ciebie milady nie przełamie nigdy. W takim razie nie dosyć jest oddalić hrabiego—lecz i Helenę trzeba zaręczyć natychmiast.

LADY.

Na miłość Boga, co mówisz milordzie?

LORD.

Mówię, że trzeba przytłumić w zarodzie tę zgubną skłonność która poźniéj mogłaby się stać źródłem nieszczęścia, i dla tego silniejszego nabieram przedsięwzięcia zaręczyć Helenę jeszcze dzisiaj...

LADY.

Dzisiaj! dzisiaj jeszcze?.. Milordzie, pomimo jéj łez i pomimo próśb moich?..

LORD.

Mimo to wszystko... obowiązek tak każe.

LADY.

A jeśli ona na to nie przystanie?

LORD.

Rozkażę i usłucha.

LADY.

A jeśli nie usłucha?

LORD.

Nieśmiałaby.

LADY.

A jeśli się ośmieli?

LORD, *z siłą,*

Jeśli się ośmieli... potrafię ją zmusić.

LADY, *błagając*

Milordzie, zaklinam cię, nie mów tego słowa! Nie zmusisz jéj, nieprawdaż?.. Nie, tybyś nie zdołal gwałtem zmuszać Helenkę.... twoją córkę... twoją jedynaczkę....

LORD, *z gniewem*

Zmuszę ją, jeśli się będzie upierać.

LADY, *nalegając,*

Milordzie, oh nie mów tego, bo pewna jestem że tego nie myślisz!.. Zlituj się, ah zlituj się nad mojem ukochanem dzieckiem.. nie zmuszaj jej aby podpisała dekret na nieszczęście całego życia!.. Zaklinam cię, błagam na klęczkach. (*klęka*) Wszakże jéj nie zmusisz?..

LORD.

Co raz postanowiłem, dotrzymam.. (*podnosząc ją*) Ale powstań milady, wiesz że ja scen nie lubię...

LADY, *wstając z godnością,*

Skoro tak, więc milordzie nie zmusisz jéj, ja ci to powiadam!

LORD.

Któż mi zabroni?

LADY.

Ja.

LORD.

Ty?

LADY.

Tak, ja! (*z goryczą*) Nie lubisz scen milordzie, a serce twoje tak dalece skamieniałe, że w klęczącéj matce która cię błaga o szczęście twego dziecka, ty widzisz tylko scenę?..

LORD, *z dumą*

Milady.. zapominasz do kogo mówisz...

LADY.

Nie milordzie, bo to już nie matka do ciebie przemawia, ale twoja małżonka, kobieta równie szlachetnego co ty rodu, lady Willmouth jednem słowem.

LORD, *zadziwiony*

Cóż to ma znaczyć?..

LADY.

Lady Willmouth, która żąda dotrzymania danego jéj słowa, i ma nadzieję że lord Willmouth, ów szlachetny par angielski który tak sumiennie pragnie dotrzymać zobowiązania względem sir Feltona, nie zechce także uchybić przyrzeczeniu jakie własnéj żonie uczynił.

LORD.

Nie rozumiem.

LADY.

Przykro mi wywoływać dawne i bolesne wspomnienia, ale widzę, że tego uniknąć niepotrafię. Posłuchaj mnie więc milordzie. Przypominasz sobie zapewne, że kiedy lord Willmouth oświadczył się o rękę Maryi hrabianki Lowenley, ona kochała kogo innego — wszak wiedziałeś o tem.

LORD.

Chcesz mówić o hrabi d' Arvincourt?

LADY, *głosem stłumionym.*

Tak jest, milordzie.

LORD, *z niechęcią.*

Bezwątpienia milady, przypominam sobie szaloną miłość twoją dla tego francuza. Jakżebym zapomniał? tyle o niej niestety nagadano w świecie! a później dowiedziawszy się o jego śmierci, cóż to były za płacze!... Lecz do czegóż to prowadzi, wytłómacz mi proszę?

LADY, *drżąca ze wzruszenia, na stronie.*

Boże wspieraj mnie! (*głośno*) Do przypomnienia danego mi słowa...

LORD.

Danego ci słowa, mówisz?

LADY.

Tak jest milordzie. Kiedy naglona przez mych rodziców postanowiłam pójść za ciebie położyłam jeden warunek...

LORD.

Jakiż to? nie pamiętam.

LADY.

Położyłam warunek, a ty milordzie uroczyście przyrzekłeś go dopełnić, że jeżeli będę miała córkę, nikt jej zmuszać nie będzie w wyborze małżonka. Otrzymawszy na to słowo, poszłam za ciebie. Nigdy dotąd nie miałam obowiązku przypominać ci tej obietnicy.

LORD.

Prawda, ani słowa; prawda... a dzisiaj...

LADY.

Dzisiaj lady Willmouth prosi o dotrzymanie słowa danego w ówczas Maryi Lowenley.

LORD.

I jakież są twoje życzenia?

LADY.

Jakie są moje życzenia? czyż nie wiesz o co cię błagam milordzie? o to abyś miał wzgląd na szczęście własnego dziecka!

LORD.

Wyrażaj się jaśniej — cóż mam uczynić?

LADY.

Nie spieszyć się z zaręczynami.

LORD.

Odłożę dzień, milady.

LADY.

O dzięci ci, dzięki milordzie! najlepiej zostaw ją saméj sobie.

LORD.

Ale mi jednakowoż dozwolisz oddalić hrabiego Belmonte?

LADY.

Dla czegoż?...

(*Sir Felton wchodzi*).

SCENA II.

LADY WILLMOUTH, LORD WILLMOUTH, SIR FELTON.

FELTON, *wchodząc*.

Przecież się ułatwiłem!

LORD.

Jakże zakład? wygrałeś sir Edwardzie?

FELTON.

Gdzie tam! znowu wygrał pan Belmonte.

LORD.

Zawsze więc przegrywasz?

FELTON, *z gniewem*.

Cóż począć! jakby mnie kto oczarował! Doprawdy kiedy widzę, że ten człowiek zawsze wygrywa mimo niedoświadczenia, mimo swego roztrzepania, przeciwko wszelkim przepisom *sportu* i wszelkiej szansie, a wygrywa ze mną, który znam sztukę i jej prawidła, to mimowolnie powtórzyć muszę: oto szalone szczęście godne awanturnika!...

LADY.

Zapominasz sir Felton, że mówisz o człowieku honorowym.

LORD.

Słuszna uwaga sir Edwardzie, nie godzi się tak lekko wyrażać o człowieku, którego sam tytuł szlachetny ród wskazuje...

FELTON.

Tak jest, który się tytułuje hrabią — ale nikt go niezna.

LORD.

Jakto sir Edwardzie? wytłómacz się.

FELTON.

Spotkałem się już z panem Belmontem w Paryżu i Londynie, zapytywałem o niego wszystkich wychodźców włoskich, a jak wiesz milordzie wszędzie ich pełno, otóż każdy z nich zna pana Belmontego wychodźcę z Piemontu, ale żaden o rodzinie hrabiego Belmonte nie słyszał.

LORD.

To rzecz szczególna! a jakże z jego majątkiem?

FELTON, *z pogardą.*

Skonfiskowany milordzie, skonfiskowany! zawsze jedna i ta sama u tych panów śpiewka!...

LORD.

Ale przecież kiedy jest kapitanem w wojsku belgijskiem, nazwisko i tytuł musi być zamieszczony w spisach wojskowych?

FELTON.

W spisach wojska belgijskiego? Zapominasz milordzie, z jakim pośpiechem sformowaną była armia belgijska. Nikt tam nie myślał wtedy o metrykach i kontrolach i gdyby był żądał nawet tytułu księcia byliby mu go przyznali.

LORD, *cicho do żony.*

Czy słyszysz milady!

LADY.

Słyszę, i dziwię się niezmiernie, że sir Felton może lekkomyślnie rzucać takie podejrzenia na człowieka, którego nam przedstawił pułkownik Morteno, jako swego przyjaciela.

FELTON.

Upewniam cię milady, że mam wielki szacunek dla pułkownika Morteno.

LORD.

W takim razie źle robisz sir Edwardzie...

SIR FELTON.

Być może milordzie... ale...

LORD.

Ale jesteś w złym humorze, pojmuję to...

FELTON.

Mój zły humor nie pochodzi wcale z przegrania zakładu ale z zaproszenia na obiad...

LORD.

Cóż ci ten obiad szkodzi?...

FELTON.

Pewny jestem, że mnie zarzucą dowcipami, żartami, a na te wszystkie przycinki ani mi się chce odpowiadać ani też odpowiadać warto.

LORD.

Było więc odmówić zaproszenie.

FELTON.

Nie mogłem, bo to jeden z warunków zakładu. Ponieważ mieszkamy prawie obok siebie, powiedziałem tylko panu Belmontemu, że mam do mówienia z tobą milordzie i prosiłem aby mi dał znać tutaj skoro czas nadejdzie.

LORD.

Bądź więc łaskaw przyjść do mego gabinetu, zaraz ci będę służył.

FELTON, *odchodząc.*

Kiedy zechcesz milordzie.

SCENA III.

LORD WILLMOUTH, LADY WILLMOUTH.

LORD, *wracając odprowadziwszy do drzwi sir Feltona.*

Spodziewam się, że teraz już mnie niezapytasz milady czemu chcę oddalić hrabiego Belmonte?

LADY.

Nie podobna wszystkiemu wierzyć milordzie...

LORD.

Wszystkiemu też nie wierzę, ale pewny jestem, że jest w tem coś prawdy.

LADY.

I cóż uczynić zamyślasz?

LORD.

Napiszę do pułkownika, że chcę z nim pomówić o tem natychmiast. A jeżeli pan Belmonte oszukał nas obydwóch, bo ani chwili nie wątpię, że przyjaciel mój równie jak ja jest w błędzie, jeżeli więc zażartował sobie z nas obydwóch, to spodziewam się, że dzisiaj wieczór po raz ostatni progi nasze przestąpi.

LADY.

Ależ milordzie...

LORD.

Ależ milady, nie będziesz do tego stopnia nierozsądną, ażebyś dozwalała wybierać córce naszéj pomiędzy człowiekiem uczciwym i awanturnikiem?! Żegnam cię, sir Felton czeka na mnie (*chce odejść*).

LADY, *wstrzymując go.*

Milordzie, nie będziesz z nim mówił o zaręczynach... nie będziesz mówił o tem dzisiaj...

LORD.

Naturalnie że nie, czyż nie dałem słowa?...

(*Wychodzi*).

SCENA IV.

LADY WILLMOUTH, *później* HELENA,

LADY, *sama.*

Dzięki ci Boże za męki całego życia, jeźli niemi zdołałam okupić jeden dzień nieszczęścia w życiu mojéj córki!... Ale czy tylko dobrze uczyniłam?.. (*zamyśla się — Helena wchodzi ostrożnie po lewéj stronie, idzie na palcach do matki, kładzie jéj rękę na ramieniu i patrzy niespokojnie w oczy — Lady jakby przebudzona*) Aha! to ty moje dziecię?

HELENA

Z niespokojnością czekałam odejścia milorda.

LADY.

I zaraz przybiegłaś?...

HELENA.

Tak jest... chciałabym cię zapytać...

LADY.

Uspokój się — twój ojciec kocha cię czule — odłożył zaręczyny...

HELENA, *ściskając ją*,

O moja droga matko!

LADY.

Cieszysz się z tego?

HELENA.

O bardzo, bardzo jestem szczęśliwa! (*nieśmiało*) Ale chciałam się spytać...

LADY, *na stronie*,

Może podsłuchała co mówił sir Felton. (*głośno*) O cóż takiego moje dziecię? cóż chcesz wiedzieć?...

HELENA, *spuszczając oczy*,

Czy imię jego nie było wymówione w waszéj rozmowie?

LADY.

Czyje? Hrabiego Belmonte?

HELENA, *cicho*,

Tak jest...

LADY.

Dla czegóż mnie o to pytasz?

HELENA.

Bo gdyby się milord domyślał tego coś ty spostrzegła, obawiałabym się...

LADY.

Czegóżbyś się miała obawiać?

HELENA.

O nie o siebie, nie, ale o niego mnie chodzi.

LADY.

O hrabiego? (*do siebie*) Jakże ona go kocha!

HELENA.

Tak, bo milord pewnoby się gniewał...

LADY.

Czy hrabia dał do tego jaki powód? Twój ojciec jest sprawiedliwy moje dziecię.

HELENA.

Onby miał dać jaki powód do gniewu? on taki pełen uszanowania! Nie, nigdy słówkiem najmniejszém mnie nie zadrasnął.

LADY,

Czegóż się więc obawiasz?

HELENA.

Ot, bo jakeś odeszła, myślałam wiele.....bardzo wiele....

LADY.

O twoich zaręczynach?...

HELENA.

O nie! nie mamo, wiedziałam że mnie bronić będziesz

LADY.

Więc o czemżeś myślała?

HELENA.

O tem co zaszło we mnie od czasu poznania hrabiego. Rozbierałam rozliczne uczucia które obecność jego w duszy mojéj budzi...

LADY, *z niespokojnością,*

I jakież to uczucia Heleno?

HELENA.

O żebyś ty wiedziała droga matko, z jaką rozkoszą słucham gdy opowiada bitwy, w których nigdy nie wspomina o sobie, a ja w nich jego tylko widzę; z jaką niespokojnością i trwogą serce mi bije przy opisach tych wypadków które go zmusiły kraj swój opuścić kiedy mówi o owym spisku w którym przez skromność żadnego nie przypisuje sobie znaczenia... Mamo przecież i ty także oceniasz odwagę, tę pogardę dla śmierci!

LADY.

Zapewne Heleno, szlachetne to uczucie...

HELENA.

Nie prawdaż, że miło słuchać kiedy mówi o sprawach ludzkości z wyrazem takiego poświęcenia i bezinteresowności tak rzadkiéj na świecie a rzadszego jeszcze zaparcia się siebie samego?...

LADY.

Nie przeczę, ale obok tych zalet zdaje mi się że w gruncie jest nieco lekkomyślny...

HELENA.

Jabym to nazwała obojętnością na własne cierpienia, lekceważeniem własnego szczęścia...wszak nie żali się nigdy...nigdy, chyba gdy gra na skrzypcach... A czy nie lubisz muzyki jego mamo...przyznaj się że lubisz go słuchać! Czy nie znajdujesz że w jego grze daje się poznać cała jego dusza? Jakże on tęskne, smutne, i nieokreślone tony dobywa swym smyczkiem! Zaprawdę gdy go słucham, niezmierna żałość ogarnia biedne serce moje!....

LADY.

Więc nie omyliłam się Heleno?

HELENA.

Nie omyliłaś się droga matko, i sądziłam że powiedzieć ci to jest moją powinnością.

LADY.

Dziękuję ci moje dziecię za twe zaufanie. Więc to z jego powodu unikałaś od pewnego czasu spotkania z sir Edwardem?

HELENA.

Dawniéj uważałam sir Feltona za człowieka którego ojciec przeznaczył mi za męża, ale odkąd obecność hrabiego tak wielką stała się dla mnie słodyczą, odtąd sir Edward stał się dla mnie nieznośnym, a obecność jego dręczy mnie jakby wyrzut sumienia...

LADY.

Podoba ci się zatém hrabia Belmonte?

HELENA.

Jakże ci mam powiedzieć!....

LADY.

Mów śmiało, proszę cię — podoba ci się bardzo?

HELENA, *rumieniąc się*,

Jak nikt w życiu.... ale wiem o tém dopiero od dzisiaj!

LADY, *na stronie*,

I ja także wiem teraz Boże mój, żem dobrze uczyniła!

HELENA.

Słyszę kogoś w przedpokoju — to jego głos... uciekam! Po tém wyznaniu nie mogłabym spojrzeć mu w oczy....

(*całuje matkę i wybiega na lewo.*)

SCENA V.

LADY WILLMOUTH, *potem* HRABIA.

LADY, *sama*,

Biedna!....Cóżby się z nią stało gdyby wiedziała co ojciec dzisiaj jeszcze uczynić postanowił! Lecz pocóż jéj to mam mówić kiedy zmienić nie mogę...Podejrzenia Feltona pokażą się zapewne mylne...pocóż ją próżno męczyć?.... Gdyby można uprzedzić hrabiego.... a raczéj przestrzedz go...

HRABIA, *otwiera drzwi*,

Ah!...przepraszam milady...(*chce wyjść*).

LADY.

Wejdź pan, proszę...

HRABIA, *wchodząc*,

Przyszedłem po sir Feltona, ale powiedziano mi że jest w gabinecie milorda, niechciałem więc im przeszkadzać....

LADY.

I chciałeś pan zapewne czekać na niego w tym salonie?

HRABIA,

Rzeczywiście miałem ten zamiar, wiedząc że o téj godzinie salon ten zwykle bywa wolny, ale skoro tak nie jest...może przeszkadzam milady...

LADY.

Bynajmniéj. — Zaprosiłeś panie hrabio na obiad sir Feltona, nie prawdaż?

HRABIA.

Tak milady, jego i pięciu moich dobrych znajomych.

LADY.

Obiad będzie zapewne wesoły?

HRABIA.

Mam nadzieję, zwłaszcza że sir Felton przegrał zakład, w tym tylko razie opuszcza go zwykła zimna krew....

LADY.

Pan zaś z tego korzystasz?

HRABIA.

Czasami wyznaję, bo żebyś pani wiedziała jaki on zabawny kiedy się zacznie gniewać!

LADY.

Naturalnie że się gniewa, bo widzi że jest celem żartów.

HRABIA.

Upewniam panią, że bardzo niewinnych.

LADY.

Ale często dotkliwych.... Spostrzegliśmy to nieraz z milordem. To nie dobrze, wierzaj mi panie hrabio, powinienbyś go oszczędzać....

HRABIA.

Czyż to może obchodzić milady?

LADY.

Wszak sir Felton stara się o rękę mojéj córki.

HRABIA.

Domyślałem się tego...

LADY.

Lord Willmouth uważa go już prawie za narzeczonego.

HRABIA, *z żywością,*

Ale jeszcze nim nie jest?

LADY.

Jeszcze nie.

HRABIA.

W takim razie wdzięczny jestem pani za jéj uwagę, i przepraszam bardzo. Wyznaję żem błądził...

LADY.

To ja pana powinnam przeprosić za moją otwartość, ale sądziłam że nasza zażyłość...

HRABIA.

Która mi jest tak drogą, że zachować ją jest mojém największém życzeniem....

LADY.

A ja znowu ufając jéj, muszę pana opuścić na chwilę i zajrzeć do sali, dokąd szłam właśnie kiedyś wchodził panie hrabio. Do widzenia — nieprawdaż? (*wychodzi po prawéj stronie*).

HRABIA, *z głębokim ukłonem.*

Milady...(*sam*) Cóż miała znaczyć ta nauczka którą mi dano? bo to nauczka, delikatna, grzeczna ale zawsze nauczka!...Byłażby to przestroga czy napomnienie?... Bo nie sądzę aby sir Felton miał się skarżyć...przecież to *gentleman*....Lecz w takim razie cóż miało znaczyć to uwiadomienie mnie że sir Felton jest prawie narzeczonym Heleny?...Potém, mamże iść na przód, czy cofnąć się?... Fe, co ja mówię, cofać się, iść naprzód, to rachubą trąci....rachuba i ja, to niedobrana para.... Kocham Helenę to dosyć....czuję że ją kocham z każdym dniem więcéj...a ona? czemże ja dla niéj jestem skoro sir Felton jest prawie narzeczonym?

(*wchodzi Morteno*)

SCENA VI.

HRABIA, MORTENO.

MORTENO, *wchodząc,*

A — znowuś tutaj Henryku!

HRABIA.

Jak widzisz — albo co?

MORTENO.

Cóż tu sam robisz?

HRABIA.

Czekam na Feltona który ma jakieś konferencye z milordem.

MORTENO.

Dobrze zresztą że cię spotykam — mam się z tobą naradzić.

HRABIA.

Naradzić się ze mną pułkowniku? zaledwie półgodziny temu jakeśmy się widzieli?.... czy jaki nagły interes?

MORTENO.

Nie mylisz się: nagły i bardzo, ale jeszcze ważniejszy aniżeli nagły. Czy jesteśmy tu sami?

HRABIA.

Zupełnie sami.

MORTENO.

Dobrze.

HRABIA, *z uśmiechem*,

Ale cóż to być może za ważny interes? taką ponurą masz minę kochany pułkowniku, że mi przypominasz najgorsze czasy.

MORTENO.

Słuchaj. W téj chwili odebrałem list od milorda, w którym mi pisze, że dla bardzo ważnych powodów chce wiedzieć natychmiast dokładne szczegóły dotyczące nazwiska, rodziny i majątku pana hrabiego Henryka Belmonte.

HRABIA, *zdumiały*,

Żartujesz....

MORTENO.

Bynajmniéj (*podając list*) patrz!

HRABIA, *nie biorąc listu,*

Na prawdę, pisze tak do ciebie?

MORTENO.

Dodaje, że chciałby niezwłocznie pomówić ze mną w tym przedmiocie i pyta się czy wolę sam przyjść do niego czy téż żeby on do mnie przyszedł.

HRABIA.

To cios okropny!....

MORTENO.

Czuję to aż nadto, Henryku.

HRABIA.

Ale wiem kto tego sprawcą!

MORTENO.

Wiesz kto?

HRABIA.

Wiem pułkowniku, sir Felton.

MORTENO.

Sir Felton? czy on także kocha się w Helenie?

HRABIA.

Wątpię aby ją kochał — ale chce się z nią ożenić.

MORTENO.

Skoro tak, nie możesz być dla niego niebezpiecznym rywalem — Czyż nie jesteś wychodźcem, pomimo tego nieszczęsnego tytułu? a samo stanowisko lorda Willmouth czyni dla ciebie związek z jego córką całkiem niepodobnym.

HRABIA.

Słusznie mówisz pułkowniku, ja też nigdy o nim nie myślałem. Ot kochałem....

MORTENO, *przerywa,*

Lecz mniejsza o to w téj chwili, mniejsza o to co spowodowało zapytanie. Ale pytanie jest jasne — trzeba odpowiedzieć.

HRABIA.

I przynosisz lordowi odpowiedź?

MORTENO.

Dla tego że tu jestem?....Pojmujesz że ciebie pierwéj widzieć chciałem. Wyszedłem w tym celu. Wstąpiłem tu aby uprzedzono milorda że w téj chwili nie mam czasu, a od Jerzego w przedpokoju dowiedziałem się że ciebie tu zastanę.

HRABIA.

I jakże więc odpowiesz?

MORTENO, *z zadziwieniem,*

Ja?

HRABIA.

O, wybacz mi to pytanie drogi przyjacielu! jakże ciebie pytać o to mogłem!....Prawda jest tylko jedna — tak jak jeden honor....honor fałszu nie znosi...

MORTENO.

A jednak żyłeś fałszem i zdradziłeś honor!...

HRABIA, *przerywając z goryczą,*

Zdradziłem honor?....czy pewny tego jesteś pułkowniku? czyś zapomniał że wychowany od dzieciństwa przez twego brata, nigdy nie mogłem się od niego dowiedzieć o moich rodzicach? że mnie otoczył najczulszém przywiązaniem ale oraz przysięgał mi że nie jest moim ojcem?....

MORTENO, *z wzruszeniem,*

Prawda, że tajemnicę twego pochodzenia poniósł z sobą do grobu; po jego śmierci która przypadła podczas twego pobytu w Hiszpanii wszelkie moje poszukiwania były nadaremne. Oddałem ci tylko zapewnienie jego pod przysięgą że roczna pensya jaką od bankiera pobierasz należy ci się prawnie i nie jest darem mego brata.

HRABIA.

Nie pojmujeszże więc kochany przyjacielu, jak doszedłszy w téj niewiadomości a niepewności do dojrzałego wieku, zgnębiony i zgorzkły a szczęśliwy tylko kiedym mógł o wszystkiém zapomnieć, począłem żyć z dnia na dzień....

MORTENO, *przerywając*,

Pojmuję to drogi Henryku — pojmuję, i ciężko nad tem bolałem. Fatalny los wyrobił w charakterze twoim tę lekkomyślność, która cię przywiodła do wzięcia tytułu, który ci się nie należał....

HRABIA.

Który mi się nie należał? czy ja tego byłem pewny? powiedz, czy sam jesteś pewny, że do niego nie mam prawa?... A zresztą czemuż ten tytuł wziąłem?....Ot, gdy z lekkomyślnością, jaką mi zarzucasz, wplątany w spisek, uciekać z Genui musiałem, samego, bez ojczyzny, bez rodziny, bez nazwiska, rzuconego w świat nieznany, czarna ogarnęła rozpacz. Jeden z towarzyszów nieszczęścia i podróży, który na tym samym okręcie co ja płynął do Anglii, widząc moje cierpienie i niepewną przyszłość, zaczął mię namawiać abym przybrał tytuł hrabiego, że z nim łatwiéj mi będzie na świecie. Z razu odpychałem jego radę, szczerość moja i uczciwość oburzały się na nią, ale on zbijał mój wstręt i skrupuły mówiąc: że emigrant jest w zupełnie wyjątkowém położeniu, że nie ma nad sobą żadnych praw opiekuńczych, że biorąc ten tytuł biorę tylko odwet za wyrządzoną sobie przez społeczność krzywdę, że to jedyny sposób uniknienia upokorzeń jakie za sobą pociąga wygnanie... że...ale niewiem już co tam więcéj mówił, aż wreszcie, tułacz, sierota, nie wiedząc sam czem byłem, łatwowierny, bo nie liczyłem wtedy lat dwudziestu, dałem się namówić, i wysiadłem ze statku w Londynie jako hrabia Henryk Belmonte.... powiedz.... byłaż w tém wielka wina?....

MORTENO.

Bardzo wielka Henryku, bo taka co w następstwach może obedrzeć z honoru i ściągnąć nieszczęścia. Przypominasz sobie w rok potém, gdym cię widział w Paryżu, właśnie w chwili wyjazdu twego do armii hiszpańskiéj, czy przypominasz sobie jak mnie raził ten twój tytuł hrabiowski, chociaż go tak gracko nosiłeś? przypominasz sobie com ci mówił wtedy, jak gdybym przewidywał to co cię dzisiaj spotyka? O, czemużeś nie usłuchał rad moich Henryku!...

HRABIA.

Czemu?.... bo w listach rekomendacyjnych dano mi tytuł hrabiego Belmonte.... bo nie chciałem zachwiać méj reputacyi gdy biegłem do sławy... bo nareszcie nie wiedziałem kto jestem a śmierci wyglądałem!....

MORTENO.

Ale potém?....

HRABIA.

Potem, wróciłem do Londynu gdzie mnie wszyscy znali, i znali jako hrabiego!.... Potem, miałem szlify i krzyż okupione krwią własną, i niechciałem aby mi wyrzucano żem je zdobył podstępem i kłamliwym tytułem!....

MORTENO.

Prawda, wreszcie i nominacya na kapitana z wojska hiszpańskiego, za którą przyjęty zostałeś do szeregów belgijskich była wydana na imię hrabiego Belmonte...

HRABIA.

Widzisz, osądźże sam!

MORTENO.

Zapewne fatalność w tem wszystkiém wyraźna!.... ale to wszystko skutki.... nie miałżem więc słusznie mówiąc że to był błąd ważny bo krępuje życie? Czyż świat może wiedzieć....

HRABIA.

O nie! nigdy, nigdy mój pułkowniku... świat nigdy wiedzieć o tém nie może, bo czuję żeby mnie to hańbą okryło!

MORTENO.

Czujesz to? o to dobrze, dobrze mój Henryku, widzę jak w tobie silne poczucie honoru! Nie mylisz się, tak jest, świat widziałby w tobie jednego z tych ludzi których zawsze potępia, bo zawiedli jego wiarę, oszukali zaufanie.... takie winy społeczeństwo nigdy nie przebacza....

HRABIA, *z goryczą,*

Nie przebaczy mi że nie wiem kim jestem, nie prawdaż?

MORTENO.

Bezwątpienia, prawdy w bawełnę obwijać ci niechcę. Trzeba więc uczynić krok stanowczy...

HRABIA, *zamyślony*,

Stanowczy!...

MORTENO.

Tak jest, stanowczy, i to nie zwłocznie....zaraz.... dzisiaj....

HRABIA, *powtarza*,

Dzisiaj!

MORTENO.

Dzisiaj, wszak lord Willmouth domaga się stanowczéj odpowiedzi natychmiast.

HRABIA.

Dzisiaj! Nie!

MORTENO.

Zwlekać niepodobna.

HRABIA.

Dzisiaj, nie mogę.

MORTENO.

A więc milord dowie się o wszystkiém...

HRABIA, *jakby się ocknął*,

Pułkowniku! prosiłbym cię o jednę łaskę, o bardzo wielką łaskę...

MORTENO.

Mów przyjacielu, wiesz że ci niczego odmówić nie umiem.

HRABIA.

Zaręczam ci honorem że jutro będziesz mógł uczynić co zechcesz i jak zechcesz, ale pod warunkiem żebyś dzisiaj nic o tem z lordem Willmouth nie mówił.

MORTENO, *na stronie*,

Cóż to ma znaczyć? (*głośno*) Przyrzekasz mi że jutro będę mógł działać wedle méj woli?...

HRABIA.

Tak jest, jeżeli do jutra wszelkie usunę trudności, czy przyrzekasz mi milczenie na dzisiaj?...

MORTENO.

I o niczem nie mam wiedzieć?

HRABIA.

Jutro będziesz wiedział o wszystkiém, daję słowo honoru. Jeśli mi się nie uda, będziesz miał rozwiązane ręce.

MORTENO, *na stronie*,

Musi mieć jakiś plan. (*głośno*) No, zgoda!

HRABIA.

Słowo?

MORTENO, *podając mu rękę*,

Słowo. Wierzę ci i czekam.

HRABIA, *ściskając mu rękę*,

Dziękuję ci, drogi przyjacielu, nie zawiedziesz się na mnie.

MORTENO.

Daj Boże aby ci się powiodło! A teraz wyjść muszę ztąd co prędzéj aby nie spotkać lorda.

HRABIA, *żywo*,

O prawda, prawda, wychodź pułkowniku co prędzéj.

MORTENO.

Bądź zdrów. Czyń co zechcesz, ale czyń jak należy, proszę cię.

(*wychodzi*)

HRABIA, *odprowadzając go*,

Bądź spokojny pułkowniku, nie powstydzisz się za swego kapitana.

SCENA VII.

HRABIA, *potem* SIR FELTON.

HRABIA, *sam*,

Czemuż w natłoku myśli które mi mózg cisną, jedna tylko wyraźna i jasna?.... czemuż jedno tylko pytanie

brzmi nieustannie w mych uszach....czy kochasz mnie Heleno?...(*z ogniem po pauzie*) Dla czegóż w téj strasznéj chwili w któréj przepaść rozdziela mą przeszłość od przyszłości, w któréj tyle uczuć wre w mém sercu, jedno najsilniéj niem wstrząsa...nowe, nieznane..pierś tłoczy i rozrywa (*z pasyą*) Feltonie! to nienawiść ku tobie!...

FELTON, *otwierając drzwi w głębi*,

Przepraszam pana żeś tak długo czekał na mnie....

HRABIA, *zimno*,

Nie ma za co...

FELTON.

Jestem na rozkazy pańskie.

HRABIA, *bierze kapelusz*,

Wzajemnie.

(*wychodzą — zasłona spada*)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Ten sam salon co w akcie poprzedzającym, tylko oświecony dwoma świecznikami przy drzwiach w głębi, i przy drzwiach na lewo — dwie świece na stoliku przy kanapie —

SCENA I.

Muzyka gra walca w sali balowéj na prawo.

HRABIA, *) *sam, siedzi na kanapie*,

Otóż i ów bal dzisiejszy, na którym obiecywałem sobie tyle zabawy na który tak się cieszyłem!...a jakże mi smutno i tęskno! ciągle myślę o jutrze...Jutro muszę wyjechać!.... Dzisiaj wygnaniec z kraju....jutro wygnaniec z świata!.... Zda mi się jakby na świecie

---

*) Strój balowy.

już miejsca dla mnie nie było.... jakby społeczność wyrzucała mnie ze swego łona!...uczucia te mnie gnębią!.... A przecież świat wielki i społeczność przyklasnąć mi jeszcze gotowa (*z goryczą*) jak jéj zagram na skrzypcach!.... (*pauza*) Trzeba uciekać, jeśli zostanę będę zhańbiony w oczach wszystkich...nawet w oczach Heleny! (*z uniesieniem*) Opuścić ją!.... jedyny przedmiot co mnie do życia wiąże, jedyną gwiazdę co mi w ciężkiéj wędrówce przyświeca!... opuścić ją bez pożegnania...niewiedząc czy mnie kocha...oh to okropne!... A gdyby mnie kochała (*zrywa się, z ogniem*) o wtedy jakżebyśmy się rozprawili z sobą sir Feltonie!....(*zamyśla się*) Co ja mówię?... w głowie mi się mąci.... możeż lord Willmouth wydać córkę za mnie (*pada na kanapę*) za mnie człowieka bez imienia... bez majątku.

Muzyka grać przestaje.

Nie, nie, niema rady...trzeba uciekać!...daleko, daleko, żeby nigdy....już nigdy nie słyszano o Henryku Belmonte!... Gdybym mógł przynajmniéj unieść z sobą jaką od niéj pamiątkę...Co widzę? to ona! Niebo mi ją zsyła...

(*Helena w stroju balowym, z wieńcem konwalij na głowie, wbiega przez drzwi na lewo i przechodzi przez pokój udając się do sali balowéj*).

SCENA II.

HRABIA, HELENA.

HELENA, *spostrzegłszy hrabiego*,

Ah!....

HRABIA, *powstając*,

Przestraszyłem cię milady?

HELENA, *cofa się*,

Nie, wcale nie, zdziwiłam się tylko ujrzawszy pana niespodzianie...

HRABIA.

Gdybym mógł sobie pochlebiać że to niespodziewane spotkanie nie było pani nie miłe, możebym się ośmielił prosić jéj abyś mnie chwilkę posłuchać raczyła.

HELENA.

Wszak mamy właśnie tańcować kontradansa?

HRABIA.

Chciałbym z panią pomówić o rzeczach ważnych i niewesołych — pojmujesz więc że trudno podczas tańca i balowego wiru...

HELENA.

Co teraz to mnie pan na prawdę przestraszasz...

HRABIA, *ze smutkiem*,

Nie lękaj się milady...będzie to raz ostatni...

HELENA, *ze wzruszeniem*,

Jakto raz ostatni?...żartujesz pan zapewne...

HRABIA.

Bynajmniéj — przysięgam pani że chcę z nią mówić po raz ostatni.... (*chwila milczenia*) Odmawiasz więc téj ostatniéj prożby?

HELENA, *wachając się*.

O nie, chciałabym tylko wiedzieć co panu na tem zależy?

HRABIA.

Pani więcéj dla mnie uczynić możesz, jak ktokolwiek bądź na świecie!

HELENA, *żywo*.

Jeśli tak, to mów pan, mów — słucham go...

HRABIA.

Czy uważałaś milady, jak od niejakiego czasu człowiek pewien stara się wszelkiemi siłami pozyskać szacunek twych rodziców, nie nadużywa nigdy zażyłości, którą go zaszczycić raczyli, głośno im swoją wdzięczność wyraża, pragnąc okazać poważanie zasługom lorda Willmouth, oddać najgłębszą cześć cnotom milady, a nadewszystko otoczyć ciebie pani czcią i uwielbieniem — powiedz mi szczerze, czy nie zwrócił on twojéj uwagi?...

HELENA.

Jeżeli jak się domyślam chcesz pan mówić o sobie,

mogę go zapewnić, że moi rodzice oddają mu zupełną sprawiedliwość, poważają go bardzo oboje...

HRABIA.

A ty pani?...

HELENA, *zmięszana.*

Ja także...

HRABIA, *z żywością.*

A czy uważałaś pani, że ten człowiek od czasu jak Cię poznał nie ma innych praw prócz twego uznania, innego celu prócz chęci zasłużenia na nie, innej obawy prócz twojéj nagany... że ten człowiek tak wysoko ceni twe przymioty, iż obecność twoja budzi w nim wszystkie najszlachetniejsze uczucia duszy i serca... czy uważałaś, że jedno twoje spojrzenie wystarcza mu do odgadnięcia twych myśli, a jedno skinienie wskazuje drogę życia... żę kiedy mówić raczysz, on chwyta twe słowa jakby natchnienia ducha...

HELENA, *z trwogą.*

Panie, co mówisz!...

HRABIA.

Powiedz pani.... nie uczułaś tego nigdy?.... co? nie.... Ah powiedz wszak ostatni raz mowię z tobą!..

HELENA.

Ależ do prawdy panie Hrabio...

HRABIA.

Pani!... nie bądź okrutną (*wskazując wieniec konwalii który Helena ma na głowie*). Czemuż ten winien ma być litościwszym i wymowniejszym od ciebie dla nieszczęśliwego człowieka.. odpowiedz mu.. błagam cię..

HELENA, *stłumionym głosem.*

A więc powiem panu żem uważała... ceniła jego dobroć...

HRABIA.

Dzięki ci pani!..... A teraz jeśli zgnębiony przeciwnością co srodze jak okowy uciska, prześladowany zawistnym losem który go ściga od kolebki i ścigać

będzie do grobu, jeśli ten człowiek wyjechać musi jutro, aby już nigdy nie wrócić...

HELENA, *przerywa.*

Ależto nie będzie... to być nie może...

HRABIA.

Nie inaczéj pani!... gdyby tak nie było, nieśmiałby on przemawiać do ciebie w te słowa, wiedząc że jesteś prawie narzeczoną sir Feltona...

HELENA, *na stronie.*

O mój Boże!

HRABIA.

Gdyby więc w chwili wiecznego rozstania, prosił cię w imie téj miłości tak wielkiéj i silnej, że ją dotąd w piersiach swoich ukrywać potrafił.... gdyby w zamian tej miłości prosił cię o jedno słowo... jedno tylko....

HELENA.

O, to okropnie!...

HRABIA, *w uniesieniu.*

Gdyby ci mówił: Heleno, ty nie pozwolisz odjechać człowiekowi bez ojczyzny — bez rodziny — bez nadziei... nie rzuciwszy mu słowa pociechy na drogę... słowa coby mu wszystko zastąpić mogło...

HELENA.

Jakież to udręczenie!...

HRABIA, *coraz z większym zapałem.*

Heleno! ty nie pozwolisz odjechać na zawsze człowiekowi, który cię kocha nad wszystko, więcej niż to wyrazić może... który z największą rozkoszą dałby życie swoje za ciebie... i skonał by tu... u nóg twoich żeby ci oszczędzić jednéj łzy... jednego cierpienia...

HELENA.

Nie widzisz że pan co ja cierpię?... Ah jesteś bez litości!...

Słychać przegrywkę do kontradansa.

HRABIA, *z prośbą.*

Nie opuścisz go pani.... nie.... jeśli tylko zdołał

poruszyć serce twoje... nie opuścisz go bez wyrzeczenia słowa, które będzie dla niego wszystkiem... pożegnaniem i szczęściem!... o, powiedz, powiedz, błagam cię... uchroń go do rozpaczy...

HELENA, *gorzko ze łzami wyciągając ku niemu rękę.*

Łzy moje i moja boleść, nie mówiąż dość za mnie.. i cóż powiedzieć mogę czegobyś nie wiedział...

HRABIA.

Dzięki ci, dzięki Heleno, za tyle szczęścia! (*bierze jéj rękę i pada na kolana*) a raczéj, wybacz mi, ah wybacz!.. bo teraz czuję że bądź co bądź ja już nie odjadę! (*powstaje ujrzawszy sir Feltona, który wchodzi na prawo i zatrzymuje się przy drzwiach*). A, otoż sir Felton!...

SCENA III.

HRABIA, HELENA, SIR FELTON.

HELENA, *z przestrachem na stronie.*

Sir Felton! o Boże!...

HRABIA.

Sir Felton chce mnie zapewne ostrzedz, że już kontradans zaczęty (*przechodząc do sir Feltona* *)) Nie prawdaż panie... (*cicho biorąc go za rękę*) że gdy co zajdzie między ludźmi dobrego urodzenia...

FELTON, *przerywa z dumą.*

Ja niewiem kto pan jesteś!

HRABIA, (*głośno i porywczo*).

Sir Felton!... (*na stronie*) mniejsza o to!... (*cicho powściągając się*) Między ludzmi, którzy się mają strzelać kobieta niepotrzebna — nieprawdaż?...

FELTON.

Rozumie się.

HRABIA, *cicho.*

Więc ani słowa teraz.

---

*) Helena, Hrabia, sir Felton.

FELTON, *cicho.*

A kiedy?

HRABIA, *cicho.*

Za kwandrans, pół godziny.

FELTON, *cicho.*

Gdzie?

HRABIA, *cicho.*

Tu, jeśli się podoba.

FELTON, *cicho.*

Dobrze.

HRABIA, *głośno, postępując ku Helenie.*

Widzi milady, że zgadłem. Sir Felton przyszedł mi powiedzieć, że muzyka zacznie grać w téj chwili trzeciego kontradansa. (*podaje rękę Helenie i prowadzi do sali*) Sir Edward nawet gniewa się trochę na mnie, bo mam zaszczyt tańcować z nim *vis à vis* dzisiaj...

FELTON, *na stronie.*

Spodziewam się że i jutro.

(*kłania się nisko Helenie, która przechodzi obok niego z Hrabią i wchodzi za niemi na prawo*).

SCENA IV.

Muzyka gra kontradansa.

MORTENO, *wchodzi z prawéj strony.*

A przecież tu można odetchnąć!... (*poprawiając chustkę na szyi*) uff!... a przyjść na bal musiałem, inaczej Willmouth byłby myślał że unikam owej eksplikacyi... Dziś wymówiłem się służbą... ale jutro! obiecałem odpowiedzieć jutro... Co jutro pocznie Henryk?... cóż on może mieć za plany, biedny chłopiec?.. Wyjechać?.. to go nie uratuje, choćby do Ameryki uciekł tutajby go zhańbili... Czy zdoła opuścić Helenę w któréj po uszy zakochany... A gdyby ją wykradł?... ha... niewiem czy ona go kocha tyle aby na to przystała?.... Nie, choćby nawet tak było, Henryk za nadto jest pra-

wy aby ją do tego namawiał, nadto szlachetny, aby wystawił na upokorzenie ukochaną kobietę.. nie, tego on nie zrobi!... (*pauza*) Sądziłem przez chwilę, że wyzwie Feltona, ale co dopiero przeszli razem w najlepszéj harmonii..... a wreszcie choćby go i zabił to z Anglikiem nie przepadnie fatalne zapytanie Willmoutha... (*przechadza się i staje przy drzwiach na prawo*) A jednak patrząc na Henryka, każdyby powiedział, że to najszczęśliwszy człowiek... jaki wesoły... jak zawzięcie tańcuje... jak się śmieje.. Szczególny człowiek.. zaufany w swą gwiazdę jak dziecko w swą niewinność.. (*cofa się*) a! lady Willmouth...

(*wchodzi lady Willmouth*).

SCENA V.

Muzyka gra ciągle kontradansa.

LADY WILLMOUTH, MORTENO.

MORTENO, *kłaniając się.*

Milady!

LADY

Kochany pułkownik ucieka od nas... gorąco okropnie — nieprawda?

MORTENO.

Powiem szczerze milady, że prawda, uciekłem z balu. My starzy wojskowi przywykli do ciężkich znojów, z trudnością wytrzymujemy zmęczenie i wrzawę balową. Zapewne dla tego, że mały bierzemy w niej udział, bo młodym wybornie, czego dowodzi mój przyjaciel Henryk.

LADY.

Rzeczywiście — zdaje mi się, że hrabia Belmonte bawi się bardzo dobrze.

MORTENO.

Jakżeby mogło być inaczej? wieczór taki świetny a Henryk tańcuje właśnie z lady Heleną.

LADY.

Tak, uważałam.

MORTENO.

Córka twoja, milady, jest niezaprzecznie królową balu.

LADY.

Zapominasz pułkowniku, że to tak łatwo pochlebiać matce.

MORTENO

Nie umiem pochlebiać milady, ale jeden tylko głos słyszałem, że lady Helena jest na tym balu najpiękniejszą. Prześlicznie też ubrana, wieniec na głowie tak niezwykły, a kwiaty te zgadzają się wybornie z wyrazem jéj twarzy.

LADY, *z uśmiechem.*

Ho, ho — takto pan wszystko uważasz panie pułkowniku.

MORTENO.

Wyznaję, że Henryk dopomógł mi w moich spostrzeżeniach. Czy pani nie zgadzasz się na nie?

LADY.

Przeciwnie, podzielam je chętnie, zwłaszcza teraz kiedy taniec ożywił jej rysy. (*chwila milczenia*) *A propos* hrabiego Belmonte, którego wspomniałeś pułkowniku, czy odebrałeś list od milorda dzisiaj?

MORTENO.

Odebrałem pani. (*do siebie*) Cóż z tego będzie?

LADY.

W liście tym milord zapytuje pana o rodzinę i majątek hrabiego — nieprawdaż?

MORTENO, *na stronie.*

Otóż macie. — (*głośno*) Rzeczywiście żądał odemnie wyjaśnień a raczej szczegółów w tym względzie, które dać jestem gotów.

LADY.

I dałeś je już pan?

MORTENO.

Nie jeszcze, służbowe obowiązki nie pozwoliły mi ani odpisać ani widzieć się z milordem dzisiaj. Nie miałem czasu pisać, a odpowiedź moja musiała być dość długa, bo jak pani łatwo pojmiesz interesa emigranta są za-

wsze zawikłane, wolałem więc to wszystko do ustnéj zostawić rozmowy.

LADY.

A kiedyż ona nastąpi?

MORTENO.

Jutro zapewne. Uprzedziłem milorda, że jutro przyjdę do niego i dam wszelkie szczegóły jakie zechce tylko wiedzieć. Ale czybyś mi nie mogła milady wyjaśnić powodu tej ciekawości milorda, która mnie tém więcéj zadziwia, iż nie przystaje zupełnie do jego charakteru.

LADY.

Nie umiem panu powiedzieć...

MORTENO.

Widuje on tak często Henryka, zna go tak dobrze — czemu go się wprost nie pyta?...

LADY.

Może to właśnie tłómaczy przyczynę jego ciekawości... owa życzliwość dla hrabiego...

MORTENO.

Czy milord jéj żałuje? Miałżeby Henryk zasłużyć na jego niełaskę?

LADY.

Bynajmniej, nie to wcale powiedzieć chciałam. Hrabia Belmonte zasługuje na względy lorda, ma do nich zresztą wszelkie prawo..nosi imie piękne i szlachetne..

Muzyka przestaje grać.

MORTENO.

Przymioty jego i uczucia szlachetniejsze są nierównie od nazwiska zaręczam cię milady...

LADY.

Nie przeczę, jest to bardzo przyjemny młody człowiek!

MORTENO.

I człowiek honoru...

LADY.

Pan go bardzo kochasz panie pułkowniku?

MORTENO.

Kocham go jakbym kochał własnego syna.

LADY.

Czyni mu to zaszczyt, i wielce za nim przemawia. Ale taniec się skończył, muszę wrócić do sali, gdzie mnie obowiązki gospodyni wzywają. Zaczynam od ciebie pułkowniku, pójdź ze mną może się zechcesz czem ochłodzić.

MORTENO, *podaje jéj rękę.*

Bardzoś pani łaskawa!

(*wychodzą na prawo*).

SCENA VI.

SIR FELTON, *potem* HRABIA.

FELTON, *wchodząc przez drzwi w głębi.*

Jeszcze go niema!

HRABIA, *wchodząc drzwiami po prawéj stronie.*

Służę — nie czekałeś pan?

FELTON.

Nie.

HRABIA.

Cieszy mnie to. (*chwila milczenia*) No słucham. Spiesz się pan, może kto przeszkodzić.

FELON, *wolnym głosem.*

Pojmujesz pan, że jego postępowanie....

HRABIA, *przerywa.*

Wstęp niepotrzebny — pojmuję że mnie pan chcesz wyzwać na pojedynek, wiem to, czekam na warunki, a proszę o pośpiech. —

FELTON.

Zapominasz pan, że kłaść warunki do niego należy..

HRABIA.

Uważam ten pojedynek za nowy zakład proponowany przez pana, a ponieważ będzie on zapewne ostatnim między nami, przyjmuję go całkowicie. Chcę abyś pan sam sobie obrał warunki, albowiem życzę mu więcej szczęścia w tym jak w poprzednich...

FELTON.

Ależ panie...

HRABIA.

Tak, tak, na bok skrupuły, połóż pan warunki — to krótsza sprawa — przyjmuję je naprzód.

(*Helena ukazuje się we drzwiach na prawo*).

FELTON, *zimno*.

Skoro tak, to jutro o wschodzie słońca czekałbym pana chętnie w lesie Senar na drodze wiodącéj do Waterloo.

HRABIA.

Dobrze. A broń?

FELTON.

Pistolety — jeśli to panu wszystko jedno.

HRABIA.

Wybornie.—Odległość?

FELTON.

Pięć kroków — jeśli pan niemasz nic przeciw temu.

(*Helena cofa się*).

HRABIA, *z uśmiechem*.

Jakto! więc pojedynek na śmierć?... Doskonale! Brawo sir Felton! rad jestem żeś mnie zrozumiał, żeś pojął że to ja jestem obrażony, a zatem że do ciebie należało podać warunki takie jakichbym sobie życzył.

FELTON.

I zadowolniły pana?

HRABIA.

Zupełnie.

FELTON.

Bardzo mnie to cieszy.

HRABIA.

Ja tylko jeden dodam, a jako *gentleman* powinieneś go pan przyjąć, to jest, aby imie lady Willmouth nie było wymienionem w tej sprawie.

FELTON.

Jak najchętniej. Jakiż więc powód dasz pan temu spotkaniu?

HRABIA, *obraca się z gniewem.*

Jaki powód? Oto zniewaga jakąś mi pan wyrządził, a którą tylko śmierć jednego z nas zatrzeć może!.... jaki powód? to, żeś pan poważył się wątpić o moim honorze!... dostatecznym powodem są nakoniec same wyrazy pańskie wyrzeczone przed chwilą, a których znaczenia dowiadywać się nie mam ani chęci ani czasu dzisiaj...

FELTON, *zimno.*

Za małoś pan ciekawy i zbyt się spieszysz dzisiaj...

HRABIA, *żywo.*

Porzuć pan szyderstwo nie dosięgnie mnie ono wcale bo jestem dziś szczęśliwy!... (*z uniesieniem*) szczęśliwy ogromnem szczęściem, którego się nie domyślasz..... szczęściem którego nie pojmujesz, którego nawet nigdy nie pojmiesz sir Feltonie!... Jestem tak szczęśliwy, że jeśli cię jutro zabiję, nie będę wiedział przysięgam ci, czy cię zabiłem za wyrządzoną mi zniewagę, czy też za chwile szczęścia których mnie dzisiaj pozbawiasz!.. (*chce odejść*).

FELTON.

Jeszcze słowo.

HRABIA, *z niecierpliwością.*

Jeszcze?

FELTON.

Któż panu sekunduje?... muszę to wiedzieć...

HRABIA.

Pułkownik Morteno. Jest tutaj.

FELTON.

Do jutra więc.

HRABIA, *wychodząc.*

Jutro pan wygrasz może — ja wygrałem dzisiaj!

(*wychodzi na prawo*).

FELTON, *sam, patrzy za wychodzącym.*

Zdaje mi się że zwaryował! ale że awanturnik.... terazbym się założył... Odważny... tak, zapewne, ludzie jak on muszą mieć odwagę. Lecz czemuż on taki szczęśliwy?... Miałżeby się przekonać o wzajemności lady Heleny?.. Nie, ona za nadto dobrze wychowana.. przypuścić tego nie mogę... Zaintrygował ją.. rozczulił opowiadaniem swych nieszczęść... przygód... to zwykłe tych panów sposoby... Gdybym się jednak mylił?... No, to jeden powód więcéj aby usunąć tego człowieka... Zresztą niecierpię go — zawadza mi.

(*wychodzi drzwiami w głębi*).

SCENA VII.

HELENA, *zagląda przez drzwi na prawo, i wchodzi ostrożnie.*

Wyszedł przez przedpokój, żeby nie zwrócić podejrzenia... (*z niespokojnością*) Ten pojedynek być nie może ...jakby temu przeszkodzić?.. O Boże co tu robić!.. Gdyby pomówić z Henrykiem, gdyby go prosić?.. Nie, na to się niezdobędę.. a potem gdzie? kiedy?.. czas ucieka... muzyka grać zacznie... jam zamówiona... będą mnie szukać.... ah w głowie mi się mąci!.... Boże cóż począć!... bo przecie dozwolić nie mogę aby zginął za mnie... ah serce mi pęka!... (*zamyśla się*) Gdybym napisała do niego?... gdybym mu zakazała tego pojedynku w imie jego miłości... w imie mojéj? usłuchałby mnie z pewnością... Tak, to jedyny środek (*idzie do stolika i pisze stojący*) powiem to słowo które chciał słyszeć z ust moich... o które tak błagał (*składa list i pieczętuje*)—słychać muzykę. A to na sam czas skończyłam... tancerz mój mnie szuka.

(*wychodzi na prawo*).

SCENA VIII.

Muzyka gra walca.

JERZY, *potem* HRABIA.

JERZY, *wchodzi głównemi drzwiami i objaśnia święce.*

Ho — ho — (*bierze ćwiartkę papieru i przypatruje się*).. wpadłem na trop... świeży... papiery porozrzucane.. pióro mokre.. a.. kapnął atrament. Ktoś pisał. Ponoś serca razem z nogami tańcują.. bo cóżby kto pisał na balu jeźli nie słodki bilecik.... Diabelnie znać było pilno...

HRABIA, *wchodzi na prawo.*

Która teraz może być godzina — proszę?

JERZY.

Trzy kwandranse na dwunastą panie Hrabio. (*wychodzi w głębi*).

SCENA IX.

Muzyka gra ciągle walce.

HRABIA, *potem* MORTENO,

HRABIA, *przechodzi się w milczeniu, potem staje nagle.*

Ona mnie kocha!... a ja ani słowa o mojem szczęściu powiedzieć jej nie mogłem!... Milord nie spuszcza mnie z oka... był tuż przy mnie kiedym z nią tańczył.. Sledzi mnie, a ja go dla niej już kocham!.. Mówiąc do mnie był zimny i surowy, a ja do nóg mu upaść chciałem i wyznać wszystko!... Bo już nie wyjadę... zebrałem siły i jutro po spotkaniu (*zatrzymuje się*) O Feltonie, twój zły duch ciągnie cię na śmierć.. bo nienawiść moja ku tobie już zgasła!... Ona mnie kocha!...

MORTENO, *wchodząc z prawéj strony.*

He ku, czy to prawda?...

HRABIA.

Co?

MORTENO.

Sir Felton oznajmił mi w tej chwili, że ze wschodem słońca macie się rozprawić?

HRABIA, *z prostotą*.

Nie inaczéj pułkowniku, pojedynek na śmierć.

MORTENO.

Będziesz się starał go zabić?

HRABIA.

Niestety!

MORTENO.

No, to dobrze, zabijesz go a potem wyjedziesz.

HRABIA.

Nie, mój przyjacielu — zostanę.

MORTENO, *zdziwiony*.

Zostaniesz? a to po co?...

HRABIA.

Bo nie mogę odjechać — bo wiem że Helena mnie kocha!...

MORTENO.

I cóż z tego?... cóż zrobisz?...

HRABIA.

Wyznam wszystko lordowi.

MORTENO.

Jakto?... i będziesz żył shańbiony?..

HRABIA, *gwałtownie*,

Alboż mnie teraz obchodzi sąd świata całego, kiedy ona mnie kocha? czy pojmujesz to słowo?... Helena mnie kocha, pułkowniku! ona mi pewno przebaczy!...

MORTENO, *z wymówką*,

Henryku!...lekceważysz sobie i życie i honor!...

HRABIA.

Bo jestem szczęśliwy!

MORTENO, *z goryczą,*

Szczęśliwy?...boleśnie mi słyszeć to słowo w twych ustach Henryku!.... szczęśliwy! o przeczuwałem ja od dawna że ta miłość będzie twoją zgubą!....

HRABIA, *z zapałem,*

I dziwisz się?...Czy mnie nie znasz pułkowniku?.. czy nie widziałeś że ile razy szczęście uśmichnęło się do mnie, goniłem za niem zawsze, chwytałem je wszystkiemi siłami méj duszy, oddawałem mu się zupełnie, nieoglądając się na nic jak czyni dziecię trafu, przyjmując naprzód co się stanie, z zaufaniem człowieka co przeszłości swéj niezna, przyszłości nie pragnie, myśli tylko o dzisiaj!

MORTENO, *z ogniem,*

Wiem o tém Henryku, wiem aż nadto dobrze, i lubiłem w tobie ten zapał, ten popęd, bo był zawsze w kierunku honoru i sławy, bo mu towarzyszyły szlachetne uczucia, boś przez niego zwalczał przeciwności, stawiał czoło nieszczęściu...Byłeś człowiekiem uczciwym!...Ale dzisiaj, gdy widzę że się urągasz śmierci a nie cofasz przed hańbą, gdy widzę że chcesz potrącić pierwszą a otrzeć się o drugą, na co?... oto aby się przebić kornie pod wieniec niepewnéj miłości?...boli mię to Henryku!... O wierzaj mi, nigdy miłość nie zastąpi zdeptanego honoru.

HRABIA.

Nielitościwy jesteś!...

MORTENO.

Nie, ale jestem surowy, bo cię kocham...kocham cię jak syna.... wiesz że szczęście twoje droższe mi nad własne...ale pomyśl tylko gdzie ono cię zawiedzie?...

HRABIA.

Będę prosił lorda Willmouth o rękę Heleny...

MORTENO.

Ty?....lorda Willmouth?...o rękę Heleny?....czyś oszalał Henryku!....Jakto, chcesz aby on, lord angielski, uniżył swoją dumę, zrzekł się swych planów, swéj ambicyi, swych najdroższych nadziei, wszystkiego czém

oddycha, na to, aby swą córkę jedynaczkę, dziedziczkę ostatnią swego imienia, wydał za człowieka o którym wszyscy będą wiedzieć że przywłaszczył sobie tytuł, a nazwisko które nosi...

HRABIA, *przerywa*,

Dosyć, oh dosyć... wszystko to prawda, lecz jeżeli Helena mnie kocha, jeśli się za mną wstawi....

MORTENO.

To padnie ofiarą.... a ciebie odepchną ze wzgardą. Miłość zaślepia cię Henryku. Gdybyś potrafił rozważyć na zimno, widziałbyś tak jak ja widzę, bo rzecz jasna i prosta. Słuchaj tylko. Chociaż unikałem rozmowy mówiłem jednak i z milordem i z milady. Oboje wspomnieli o twojéj z niemi zażyłości ale w dziwny sposób. Domyślają się twego do Heleny przywiązania, niepokoi ich to uczucie i chcą się ciebie pozbyć. Lord Willmouth opowiadał mi o zamierzonem połączeniu swéj córki z sir Feltonem, o korzyściach, o swoich widokach w tym związku, którego tak pragnie i który jest tak bliski, że niespodziana tylko przeszkoda odwlekła chwilowo zaręczyny, gdyż miały się odbyć dzisiaj. Nacisnął na te słowa i dodał że przeszkodę spodziewa się usunąć. Otóż tą przeszkodą ty jesteś Henryku... wątpliwość tycząca się twego urodzenia to po prostu wymówka by dom zamknąć przed tobą...

HRABIA.

A gdybym zabił Feltona?....

MORTENO.

I cóż z tego?.... śmierć Feltona z twéj ręki to wyborny powód nie widzenia cię więcéj....

HRABIA, *obojętnie*,

Kiedy tak, nie pozostaje nic, jak tylko dać się zabić....

MORTENO.

Co? chcesz się dać zabić?.... ty?.... Henryku mój drogi? cóż to za myśl szalona!.... i na cóżby się to przydało?.... stracisz honor a nie ocalisz miłości....

bo śmierć w pojedynku niczego nie dowodzi. . . a choćbyś padł trupem na placu. . . .

HRABIA, *przerywa, z goryczą,*

To jeszcze nad trupem sir Felton powtórzyć gotów: Niewiem co to za jeden ten którego zabiłem!. . . .Co, nieprawdaż pułkowniku?

MORTENO.

Sam więc widzisz, że to być nie może.

HRABIA.

Nie może być. Ale cóż począć na Boga!

Muzyka przestaje grać.

MORTENO.

Rozprawić się z Feltonem i wyjechać. Ja dokonam reszty. Spuść się na mnie, już ja cię potrafię obronić, a gdziekolwiek będziesz, niezadługo połączę się z tobą.

HRABIA, *nieruchomy, do siebie,*

Może to i dobra rada. . . . możeby lepiéj było dla niéj. . . . bo czuję że jeżeli zostanę będę sprawcą jéj nieszczęścia. . . .

MORTENO, *z prośbą,*

Henryku! drogi Henryku!

HRABIA, *nieruchomy do siebie,*

Kiedy wspomniałem o Feltonie, milczała, widać więc że go przyjmie. . . .

MORTENO, *nalegając,*

Henryku usłuchaj mnie! usłuchaj twego najlepszego przyjaciela!

HRABIA, *nieruchomy do siebie,*

Może tylko przez litość miłości domyślać się kazała. . dla tego żem miał wyjechać na zawsze. . . .

MORTENO, *z radością,*

Co mówisz?. . . .nie śmiem wierzyć moim uszom. . . . zgadzasz się na wyjazd?

HRABIA, *do siebie,*

Wyjazdem oszczędzę jéj boleści. . . .(*głośno, odwracając się,*) Tak jest pułkowniku, namyśliłem się i pojadę.

MORTENO.

A pierwéj rozprawisz się z Feltonem?

HRABIA.

Oczywiście.

MORTENO.

I nie dasz się zabić?

HRABIA, *z uśmiechem*,

Nie, drogi przyjacielu, nie, bądź spokojny, masz na to moją rękę...

MORTENO.

Dziękuję ci Henryku! (*ściskają się*). Teraz wrócisz zapewne do sali, żeby nie ściągnąć uwagi. Ja idę do siebie, bo sir Felton ma mi przysłać swego sekundanta. Jakie chcesz warunki?

HRABIA.

Już ułożone z Feltonem.. pistolety — pięć kroków..

MORTENO.

O do diabła!....

HRABIA.

Proszę cię żebyś nic nie zmieniał....

MORTFNO.

Skoroś tak chciał....

HRABIA.

Chciałem.

MORTENO.

To darmo. Odchodzę i czekam cię... Ale, byłbym zapomniał.... oto bilecik od Heleny.... prosiła mnie usilnie aby ci go doręczyć jeszcze dzisiaj.

HRABIA, *bierze list*,

Bilecik? od Heleny? (*czyta*) Ja cię kocham!.... (*stojak wryty*).

MORTENO.

Henryku! cóż to znaczy?

HRABIA.

Nic, nic...

MORTENO.

Zwodzisz mię.... coś ci się stało?

HRABIA.

Nie, nic.... nic mój przyjacielu.... smutny zwrot myśli....

MORTENO, *biorąc go za rękę*

Drżysz?.. Miałżebyś przeczuwać jakie nieszczęście?..

HRABIA.

Nie mylisz się.. boję się..

MORTENO.

Boisz się? czego?.. śmierci?.. nie poznaję cię Henryku?..

HRABIA.

Nie, nie śmierci, ale szczęścia się mego boję, przyjacielu...

MORTENO, *na stronie*,

Niepotrzebniem się przeląkł, to miłosne sprawy (*głośno*) Zbierz siły... a przedewszystkiém honor miéj na myśli.. Odchodzę bo niechcę aby na mnie czekano. Do widzenia.. przyjdź do mnie nim się spać położysz... nie baw długo bo przespać się musisz abyś miał pewną rękę.. (*wychodzi głównemi drzwiami*)

SCENA X.

HRABIA, *sam*,

Muszę raz jeszcze odczytać (*czyta*) „Piszę bez trwogi, bo ufam w twój honor! (*do siebie*) Honor! (*czyta*) „Słyszałam wszystko — jutro masz się bić z sir Edwardem. Henryku jeśli mię kochasz nie uczynisz tego — proszę cię — zaklinam — zakazuję ci. — Nigdy nie mogłabym kochać, nie mogłabym należyć do człowieka który narażał siebie i drugiego w śmiertelnym pojedynku; nie mogłabym nigdy wspomnieć bez zadrżenia o zabójcy.— Nie uczynisz tego bo mnie kochasz — a usłuchasz mnie Henryku bo ja cię kocham..“

Muzyka gra żywą galopadę.

(*po chwili milczenia*) Stało się!.. wyrok zapadł!.. Nie mogę się bić.. nie mogę wyjechać.. a żyć czy mogę?.. żyć dwa razy shańbiony?... Nie, to niepodobna!... (*pauza*) Są chwile w których rozum milknie.... serce pęka.. dusza się wyrywa.. wtedy życie się kończy!.. Między hańbą a miłością życie zniknąć musi..... lecz szczęście nie ustaje! (*z egzaltacyą*) bo jakżem szczęśliwy!.. O dzięki ci Heleno, dzięki za te drogich słów parę, za twoje zaufanie, za twą miłość, dzięki ci za szczęście które mnie ogarnia, porywa i w inny świat unosi!.. Wolę twoją wykonam, o mój Aniele drogi, wykonam święcie, przysięgam ci na to słowo: kocham!.. Bądź spokojna, będziesz mogła wiernie zachować mnie w pamięci!.. Niech ją ujrzę raz jeszcze (*zbliża się do drzwi na prawo i wpatruje*) O jakże piękna w téj szybkiéj galopadzie... przesuwa się jak nadziemskie zjawisko! (*bierze kapelusz ze stolika i wraca do drzwi*) Ot—znów ona.. nie mogę oczu oderwać.. przybliża się.. to znika... Bądź zdrowa!.. Heleno! żegnam cię!... dzięki tobie!.. przebacz mi!.... Boże czuwaj nad nią! daj jéj szczęście... oszczędzaj cierpienia!.. Bądź zdrowa!..

(*Wychodzi wolnym krokiem przez główne drzwi — muzyka ciągle gra galopadę — zasłona spada.*)

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

Dekoracya ta sama co w przeszłym akcie bez żadnéj zmiany.

SCENA I.

LORD WILLMOUTH, LADY WILLMOUTH *).

LORD.

Mówiłaś podczas balu z pułkownikiem?... wiesz zatém milady....

LADY.

Wiem, że wasza rozmowa odłożona do jutra.

---

*) **W stroju balowym.**

LORD.

I cóż sądzisz z miny pułkownika?

LADY.

Zdawał mi się zupełnie spokojny...

LORD.

Tak, zdaje się że co do nazwiska nie masz wątpliwości, ale co do majątku przeciwnie.

LADY.

Rzeczywiście, i jabym tak mniemała. Lecz pytał mnie Morteno z zadziwieniem co cię do tego kroku spowodować mogło.

LORD.

Sam temu winien jestem, bo niepotrzebnie wspomniałem mu o ułożoném zamęzciu Heleny z Edwardem. Źlem zrobił, boję się, aby ztąd nie wnosił że uczciwemu człowiekowi dom mój zamknąć chciałem. W takim razie słusznieby się na mnie gniewał, tém słuszniéj iż wszystko przemawia przeciw podejrzeniom Feltona...

Słychać od czasu do czasu akordy na skrzypcach — to słabsze to silniejsze. —

LADY.

Widzisz więc milordzie...

LORD.

Nic nie widzę jeszcze... Ale cóż to znów za muzyka?... (*z uśmiechem*) czy bal zaczyna się na nowo?.... czy goście wrócili?... a to piękna rzecz!..

LADY.

Nie obawiaj się milordzie... to nie balowe akorda.. dochodzą one z apartamentu pułkownika który jest nad nami.... to zapewne hrabia Belmonte gra u niego na skrzypcach...

LORD.

Prawda... to skrzypce... No, teraz grać! szczególny człowiek.... A niech gra kiedy mu się podoba, kiedy mu się spać nie chce.. Otóż mówiłem, właśnie, że nic niewiem jeszcze z pewnością ale moje domysły są na jego korzyść. Na balu starałem się wybadać kapitana, i przejrzeć go wskróś, ale zdaje mi się że on nieumie udawać, że to szczery i otwarty charakter. Tym razem

jak zawsze znalazłem w nim tyle godności bez żadnéj przesady, tyle uszanowania bez uniżoności, wreszcie tyle prostoty bez cienia rachuby, ten dar jemu właściwy ujmowania sobie ludzi, tę pewność siebie, to zaufanie obok lekkomyślności i zobojętnienia, że doprawdy...

LADY.

Że co?..

LORD.

Ot— myślałem że... że pogłoski są mylne.

LADY.

A wtedy cóż milordzie? wtedy cóż?

LORD.

Więc Helena bardzo do niego przywiązana?

LADY.

O bardzo milordzie, on zaś...

LORD.

Co o nim, to wiem aż nadto... patrzałem jak z Heleną tańcował.. Ależ dosyć, to ona...

(*Helena wchodzi z sali balowéj*)

SCENA II.

LORD WILLMOUTH, LADY WILLMOUTH, HELENA.

LORD, *) *przechodząc ku Helenie*,

Czekałem tu na ciebie moje dziecko, chciałem ci dobranoc powiedzieć.

HELENA, *zbliża się*,

Dziękuję ci milordzie. W sali byłam dopóki świec nie pogaszono... nie zrobiono porządku...

LORD.

Poczciwa Helena! (*całuję ją w głowę*) Spij dobrze, byłaś bardzo ładna i miła dziś wieczór.

---

*) Lady Willmouth, lord Willmouth, Helena.

HELENA.

Cieszę się, żeś kontent ze mnie drogi ojcze.

LORD.

Dobranoc milady.

LADY.

Dobranoc.

(*Lord Willmouth wychodzi drzwiami w głębi*).

SCENA III.

LADY WILLMOUTH, HELENA.

LADY.

Jakaś ty blada, Helenko!

HELENA.

Doprawdy?

LADY.

Straszniеś zmieniona... czyś słaba moje dziecię?

HELENA.

Nie, mamo. (*na stronie*) Mamże jéj wyznać wszystko?

LADY.

Więc to bal cię tak zmęczył?

HELENA, *na stronie*,

Ani sposób, nie mam tyle odwagi! (*głośno*). Tak, w części bal zapewne, w części smutne myśli...

LADY, *na stronie*,

Biedaczka! trzeba ją pocieszyć.... (*głośno*) Helenko, moja córko! miej nadzieję...

HELENA.

Nadzieję?..

LADY.

Tak jest, nie trzeba się dręczyć, rozpaczać, widzisz że dzisiej przeszło a nie jesteś zaręczoną..

HELENA, *na stronie*,

O mój Boże! czyż ja nie zaręczona!

LADY.

Po tem co milord mówił, pewna jestem że cię zmuszać nie będzie. Wierzaj mi, nie chciałabym cię zwodzić, ale ojciec nie będzie cię zmuszał do zaślubienia sir Edwarda... przysięgam ci.... czy już matce twéj nie wierzysz?...

HELENA, *rzuca się w jéj objęcia,*

O jakże ja cię kocham!

LADY.

Uspokój się więc dziecię.. pójdź, sen cię pokrzepi.. pójdź Helenko (*wychodzi na lewo*).

HELENA.

Idę, idę zaraz droga mamo...

SCENA IV.

HELENA, *sama, biegnie do drzwi któremi wyszła matka i pada na kolana,*

Przebacz mi, ah przebacz matko! bom ciężko zawiniła względem ciebie..... bez twéj rady rozrządziłem sobą!... a teraz jakżem niewdzięczna, za tyle dobroci, przywiązania, czułości, nieufnością ci wypłacam!... Ah przebacz córce twojéj.... ona taka nieszczęśliwa!.... (*opuszcza głowę na piersi i tak klęczy czas niejaki w milczeniu— potém wstaje*)... Tak, byłam nieposłuszną, ubliżyłam godności kobiecéj... ale cóż miałam począć?... dozwolić by odjechał bez pociechy, bez ściśnienia mu dłoni.... a wreszcie mogłamże zabronić aby czytał w mych oczach... widział moję boleść!... A gdy się dowiedziałam że dla mnie naraża swe życie, i uczułam że jedném słowem mogę temu przeszkodzić, mogę niebezpieczeństwo, śmierć może od niego oddalić..... miałże mnie wzgląd na przyzwoitość zatrzymać? miałażem raczéj dozwolić aby zginął, niż wymówić to słowo, słowo płynące z głębi duszy.. wszak Boże, ty wiesz najlepiéj czy go kocham!.... (*milczenie — słychać skrzypce*) Ale cóż on uczyni? bo pewna jestem że mnie usłucha.... Czemuż mi nie odpowiedział? Wyszedł z balu bez pożegnania.. powinien odpowiedzieć... znaleść sposób przysłania mi

odpisu... on musi wiedzieć że ja zasnąć nie mogę... że czekam cała drżąca (*milczenie*) A ta muzyka.... to Henryk gra... jak wyraźnie słychać wśród nocnéj ciszy.... A gdyby ta muzyka była odpowiedzią na mój list?.... (*słucha*) Wolno i smutnie ton za tonem wnika w moją duszę.. tak, to odpowiedź jego, pełna miłości i tęsknoty jak każde jego słowo... Ucichło... Henryku! dziękuję ci za te wyrazy pełne nadziei, smutku i wytrwania!... (*pauza*) Pewno wyjedzie!.. Wszak miał ten zamiar... Ale dla czegoż on wyjechać musiał?... Cicho!... ot znów zaczyna.... (*słucha*) Co to? tony wesołe... Allegro... ale to romans: (*śpiewa*) *Se quest'oggi n'e dato goder, Non curiamo incerto domani*.... O poznaję cię w téj aryi.... z ową czcią dla dzisiaj.... niedbałością dla jutra... Ah! cóż to za dziki akord?... Już skończył... a ostatnie tony brzmią w uszach jakąś żałobną harmonią.. o jakże mi smutno.. okropnie! (*siada na kanapie*) A jednak to pewnie tylko struna pękła.... (*opiera czoło na ręce, dotyka wieńca zdejmuje go i patrzy nań trzymając w ręku*) Biedne kwiatki, takie smutne choć jeszcze nie zwiędły!... Mój wonny biały wianeczku czemużeś się tak nagle w cierniową zamienił koronę?.... (*słychać strzał z pistoletu, Helena zrywa się*) O Nieba! (*kładąc rękę na sercu*) Kula tu utkwiła.. śmiertelny dreszcz przebiega mię całą... serce się ściska... drętwieje.. boję się... boję się.... (*biegnie do drzwi lewych wołając*).... Mamo! Mamo!...

SCENA V.

HELENA, LADY WILLMOUTH *).

LADY, *wbiega po lewéj stronie,*

Czy to ty wołasz Heleno?

HELENA, *drżąca,*

Ja matko, niceś nie słyszała?...

LADY.

Słyszałam—jakby wystrzał z pistoletu...

---

*) W stroju na pół balowym, na pół negliżowym.

HELENA.

O gdybyś wiedziała jakie ja mam okropne przeczucie!...

LADY.

Cóż takiego?.. powiedz.. zaklinam cię..

HELENA.

Nie, nigdy, nie mogę wymówić, myśl sama już zabija!...

LADY.

Uspokój się — każę się zaraz spytać.... to pewnie jakaś nieostrożność.. przypadek (*idzie ku drzwiom w głębi*)

HELENA.

O! to nie przypadek matko.. ja czuję zimno śmierci..

(*lord Willmouth wchodzi.*)

SCENA VI.

HELENA, LADY WILLMOUTH, LORD WILLMOUTH *).

LADY.

Milordzie, czy nie wiesz co znaczy ten wystrzał?...

LORD.

A jakieżeście popłoszone!

LADY.

Więc nie ma czego?... nic się nie stało? nieprawda milordzie?

HELENA.

Mów, mów, drogi ojcze!

LORD.

Kiedy sam nie wiem jeszcze. Wystrzał zda mi się padł na drugiém piętrze, posłałem po Jerzego aby się dowiedział co znaczy.

LADY.

I cóż to było?..

LORD.

Czekam na niego.. (*Jerzy wchodzi.*)

*) W długim surducie.

SCENA VII.

CIŻ SAMI, JERZY *w głębi.*

JERZY, *wchodząc*

Milordzie, wypadek niespodziany, okropny!..

LORD.

Cóż takiego?...

HELENA.

O Boże!...

JERZY.

Pan hrabia Belmonte wróciwszy do siebie z balu, wziął skrzypce i przeszedł do pokoju pułkownika Morteno, gdzie rozmawiali wesoło i hrabia grał przez czas niejaki, jak mi mówił służący. Poczem hrabia wyszedł do swego pokoju i strzelił sobie z pistoletu w piersi, nie trafił się jednak w serce zdaje się, bo się nie zabił od razu...

HELENA, *z rozpaczą,*

Nieszczęsna!... cóż uczyniłam!...

LORD, *do Jerzego,*

Mówisz że się nie zabił?

JERZY.

Nie zabił się milordzie, widać że kula przeszła koło serca nie naruszywszy go.... służący pobiegł po chirurga....

LORD.

Wracaj na górę... i pilnuj co się dzieje... zresztą mogą cię potrzebować (*Jerzy wychodzi*).

SCENA VIII.

HELENA, LADY WILLMOUTH, LORD WILLMOUTH.

LORD.

Ależ to straszna rzecz — niepojęta!...

HELENA, *załamując ręce,*

On umiera o mój Boże! a umiera przezemnie!

LORD, *zadziwiony*,

Jakto? przez ciebie?

LADY.

Co mówisz moje dziecię? wytłumacz się?..

HELENA.

Mówię, że nie podobna mi żyć dłużéj, że życie mi obmierzło, bo jam przyczyną śmierci Henryka!

LORD.

Przyczyną? ty?... czy podobna?...

HELENA, *przechodzi ku lordowi*, *)

Tak, jestem przyczyną, bo miał się strzelać z sir Edwardem, dziś rano miał być pojedynek... i pojedynek na śmierć... rozumiesz mnie ojcze?..

LORD.

Pierwszy raz słyszę!

HELENA,

Tak jest milordzie, za kilka godzin miało być spotkanie...

LORD.

Ależ i tak nie rozumiem czemu....

HELENA, *gwałtownie*,

Jakto! nie rozumiesz, że nie powinnam była pozwolić na to spotkanie bo ten człowiek mnie kocha... że nie chciałam dozwolić aby go zabić mogli bo ja go kocham.. jak to nie rozumiesz milordzie... że na to nie mogłam zezwolić?...

LADY.

Ah to okropnie!...

LORD.

I cóżeś uczyniła?

HELENA, *z obłąkaniem*,

Com uczyniła?... byłam szalona, okrutna, nielitościwa.. napisałam do niego... w imię jego i mojéj miłości zaklęłam go żeby się nie pojedynkował... że jeśli

*) Helena, Lady Willmouth, Lord Willmouth.

mnie nie usłucha, kochać go przestanę.... zapomnę o nim.... i co jeszcze.... nie wiem.... już... ja tak strasznie się bałam!... Com uczyniła?.. ot bojaźń tego spotkania odjęła mi zmysły..... zapomniałam że człowiek honoru jak Henryk nie może żyć shańbiony..... Com uczyniła?... oto żądałam od niego podłości, a on mnie usłuchał dając życie w ofierze.. a teraz czy pojmujesz moją rozpacz milordzie?...

LORD, *z czułością*,

Heleno! dziecię moje!.. uspokój się jeszcze nie wszystko stracone...

HELENA.

O stracone wszystko!... on umrze.. ja to czuję!...

LADY.

Heleno! może Bóg litościwy uratuje go!..

LORD.

Czemużby go uratować nie mieli kiedy dotąd żyje. (*Pułkownik wchodzi.*)

SCENA IX.

CIŻ SAMI, MORTENO *).

MORTENO, *w głębi przy drzwiach*,

Już nie żyje!

WSZYSCY.

Nie żyje!

HELENA, *z krzykiem*,

Henryku! (*upuszcza wieniec który w ręku trzymała i pada w objęcia matki*).

MORTENO, *z wzruszeniem*,

Już go niema! skończył przed chwilą—kazał cię przeprosić milordzie za zamięszanie które śmierć jego nagła sprawi w tym hotelu—i zaklina cię milady, ażebyś ten wieniec, który widzę u nóg twojéj córki, a który co dopiero zdobił jéj piękne czoło dozwoliła złożyć na jego grobie... .

*) W surducie mundurowym.

LADY.

O weź go pułkowniku!..

MORTENO, *biorąc wieniec*,

Dzięki ci w jego imieniu pani! (*idzie wolno ku drzwiom*)

LORD, *) *przechodzi ku Lady Willmouth*,

Weź Helenę do siebie... (*do pułkownika*) Jedno słowo kochany przyjacielu!...

LADY, *wyprowadzając Helenę*,

O moje biedne dziecko!

(*Wychodzą na lewo.*)

SCENA X.

LORD WILLMOUTH, MORTENO.

MORTENO, *przy drzwiach zatrzymując się*.

Późniéj milordzie, późniéj... pozwól niech wrócę do Henryka... duch jego zanim uleci może czeka na ten wieniec który miłość z honorem dlań splotły...

LORD.

Chwilkę tylko Morteno, wszak wierzysz że nieszczęście to dotknęło mnie boleśnie...

MORTENO.

Wierzę bardzo...

LORD.

Śmierć tego młodzieńca ciąży na mnie jak srogi wyrzut... On kochał moją córkę...

MORTENO.

Wiem o tem....

LORD.

Miał się o nią pojedynkować z sir Edwardem...

MORTENO.

Tak jest, dziś rano...

---

*) Helena, Lady Willmouth, Lord Willmouth, Morteno.

LORD.

Ale czy ci wiadomo że Helena pisała do Hrabiego..

MORTENO.

Wiem i to.. ja mu ten list oddałem... trzymał go jeszcze w ręku po śmierci...

LORD.

Przyjacielu, miejże więc litość nad nią...

MORTENO.

Uspokój ją.... niech się nie dręczy.... jej list nie byłby tėj rozpaczy wywołał... gdyby... (*zatrzymuje się patrząc na lorda*).

LORD.

Gdyby nie moja surowość chcesz powiedzieć?..

MORTENO.

Surowość czy duma.. niewiem.. ot, nie twoja wina.. nieumyślnie... ale zabiłeś go milordzie!..

LORD.

Co słyszę? jakto? ja?...

MORTENO.

Wybacz, w żalu wyrzekłem!..... Nie! inaczėj zrobić nie mógł.... dajmy temu pokój.... bądź zdrów (*chce odejść*).

LORD, *zatrzymuje go*,

O, nie puszczę cię!.. Chcesz mnie oddać na pastwę ciężkich wyrzutów sumienia.... nie dać nic czembym się we własnych mógł usprawiedliwić oczach... o zaklinam cię na przyjaźń naszę! wytłumacz się!...

MORTENO.

A więc skończmy od razu. I tak dzisiaj miałem ci dać odpowiedź, pamiętasz milordzie?

LORD.

Pamiętam.

MORTENO.

Przysięgasz że nie wydasz tego co ci powiem?

LORD.

Przysięgam.

MORTENO.

Żądając odemnie wyjaśnienia o nazwisku Henryka zadałeś mu cios śmiertelny.

LORD.

Więc nazwisko jego nie było hrabia Belmonte.

MORTENO.

Niewiem.

LORD.

Jakto! ty niewiesz!

MORTENO.

Niewiem. Brat mój wychował go, ale nie był jego ojcem. Tajemnica urodzenia Henryka z bratem moim zstąpiła do grobu.

LORD.

I nigdy żadnego śladu?

MORTENO.

Żadnego...

LORD.

A to rzecz niesłychana..... Więc nie miał żadnego majątku Belmonte...

MORTENO.

Pobierał tylko pensyą od bankiera, która teraz według pisma zostawionego w rękach moich na przypadek śmierci Henryka, a które otworzyłem zanim tu przyszedłem, wrócić się ma do jednéj rodziny francuzkiéj....

LORD.

Francuzkiéj?

MORTENO.

Tak jest, do rodziny hrabiego d'Arvincourt.

LORD, *przerażony*,

D'Arvincourt?...

MORTENO.

Przyjaciel mego brata....

LORD.

Armand d'Arvincourt?.... który zginął w pojedynku we Florencyi?..

MORTENO.

Ten sam... czy znałeś go milordzie?

LORD, *niespokojny*,

Nie... lecz wiele, bardzo wiele o nim słyszałem... Powiedz, i niema nic więcéj w tém piśmie?

MORTENO.

Ani słowa więcéj honorem ci ręczę...

LORD.

Słuchaj Morteno!.... Belmonte... to może syn tego francuza.....

MORTENO.

Być może.... zwłaszcza że mój brat za życia przysięgał iż pensya z prawa się Henrykowi należy... Ale zawsze pojmujesz milordzie...

LORD, *do siebie*,

Nie, tak zostać nie może... to się zaraz pokaże... (*idzie do stolika i dzwoni*).

MORTENO, *do siebie*,

Jakiż on pomięszany?

SCENA XI.

CIŻ SAMI, JERZY.

JERZY, *przy drzwiach*,

Milord dzwonił?

LORD.

Prosić natychmiast milady.

(*Jerzy wchodzi na lewo.*)

SCENA XII.

LORD, MORTENO.

MORTENO.

Żegnam cię (*chce wyjść*).

LORD, *zatrzymując go*,

Morteno, powiedz proszę cię, jak dawno Belmonte u twego brata zostawał?..

MORTENO, *do siebie*,

Co mu się dzieje? (*głośno*) No, od urodzenia podobno..

LORD.

A miał lat?... miał lat?...

MORTENO.

Dwadzieścia cztery czy pięć.... niewiem dobrze byłem wtedy w Hiszpanii...

LORD, *z goryczą*,

O! byliśmy wówczas obydwaj w Hiszpanii.

SCENA XIII.

LADY WILLMOUTH, LORD WILLMOUTH, MORTENO.

LORD.

Przychodzisz w porę milady.... pomożesz nam w domysłach...

LADY.

W domysłach?...

MORTENO, *bierze go za rękę, cicho*,

Milordzie! pamiętaj że przysiągłeś!...

LORD, *wyrywa się*,

Milady, wybaczysz że powiem jak mówiłaś dziś z rana. (*z ironią*) Przykro mi wywoływać dawne i bolesne wspomnienia, ale widzę że do nich odwołać się muszę.. Słuchaj mnie więc milady. Przypominasz sobie zapewne

że gdy lord Willmouth oświadczył się o rękę Maryi hrabianki Lowenley, wiedząc że kocha innego, położył jeden warunek... czy przypominasz sobie?

LADY, *z bojaźnią,*

Boże! cóż to ma znaczyć?...

MORTENO, (*odchodzi*)

Ja tutaj niepotrzebny!...

LORD, *zatrzymuje Mortena,*

Nie puszczę cię.. przysięgam... (*do milady*) Przypominasz sobie milady, że gdym odbywał kampanie w Hiszpanii.. ty byłaś we Włoszech.. Przypominasz sobie co mówiono... o owym pobycie.... jak utrzymywano że ów warunek którego dochować wiernie obiecałaś milady... że mój honor w twoje ręce złożony..

MORTENO.

Milordzie! waryujesz!..

LADY, *z trwogą coraz większą,*

Milordzie.. co chcesz mówić?.. nierozumiem..

LORD, *wstrzymując się,*

Nierozumiesz!.. a mówiłaś dziś rano że nigdy dotąd nie miałaś obowiązku przypominać mi włożonego warunku... ja także milady.. ale dzisiaj.. teraz.. pojmiesz zaraz.. Milady, wszak znałaś we Włoszech pewnego francuza, znałaś go bardzo dobrze... znałaś od dawna... powiedz nam, bo Morteno równie jak ja ciekawy.. (*do Mortena*) nie prawda żeś ciekawy pułkowniku?.. Ot widzisz, milady jedna może nas oświecić, takie mam przekonanie.. o tym biednym Belmontem...

LADY, *przerywa,*

O Belmontem?...

LORD.

Tak, o Belmontem.... dziwi cię to — milady?.... (*drżącym głosem*) niemasz żadnego przeczucia? to dziwna?..

MORTENO.

Milordzie, raz jeszcze powtarzam przysiągłeś!..

LORD, *niesłuchając*,

Wiesz milady.. są dowody że Belmonte jest synem francuza...

MORTENO, *z gniewem*,

Kłamiesz!..

LORD, *głośno do milady*,

Jest synem hrabiego d'Arvincourt!..

LADY, *z rozpaczą*,

Ah! Henryk d'Arvincourt!.... (*cofa się i pada na kanapę*).

LORD, *do Mortena zimno*,

Czy skłamałem Morteno?...

MORTENO.

Złamałeś przysięgę milordzie i słusznie cię Bóg karze?.

LORD, *wskazując milady omdlałą*,

Patrz i sądź!...

MORTENO.

Patrzę..... i nie widzę nic prócz kobiety czułéj na jakieś wspomnienia głęboką żałobą w sercu wyryte któremi bez litości wstrząsnąłeś... Patrzę... i widzę kobietę cnotliwą i serdeczną w ręku męża podejrzliwego i bez przywiązania!.... Ciebie sądzę milordzie.... bo domysły twe rzucasz tam gdzie dotknął palec Boży... ciebie sądzę i potępiam bo w ciężkiéj ranie nam zadanéj chcesz szukać jakiejś zemsty nie dla serca bo go nie masz... lecz dla dumy która cię zaślepia...

LADY, *otwierając oczy, słabym głosem*,

D'Arvincourt!..

LORD, *do Mortena*,

Słyszysz?... słyszysz?...

MORTENO.

Słyszę... i coraz silniejsze mam przekonanie że domysły twoje są fałszywe.... Cóż dziwnego, wszak potem com słyszał, milady kochała tego francuza.. żałuje jego syna.. w przypuszczeniu że wniosek twój prawdzi-

wy... Ale wstydź się milordzie... gdzież dowód?... gdzie duma lordowska?.. gdzież rzetelność przysięgi?.. sumienie?....

LORD, *przerywa*,

Morteno! a gdzież sprawiedliwość?

MORTENO.

Sprawiedliwość na ziemi? spytaj się Henryka!...

SCENA XIV. *i ostatnia.*

CIŻ SAMI, JERZY, *później* SIR FELTON.

JERZY, *przy drzwiach w głębi*,

Sir Felton, milordzie?

MORTENO, *bierze za rękę milorda*,

Prosić.... (*Jerzy wychodzi*) Milordzie, pomnij kim jesteś... Jesteś lordem angielskim, słyszysz!.... mężem milady!.. pamiętaj żeś ojcem Heleny... twéj córki... jedynaczki... dziedziczki twego imienia (*sir Felton wchodzi*) a ot jéj narzeczony...

FELTON, *wchodząc*,

Z nieśmiałością pukałem do drzwi twoich pułkowniku chcąc ci oświadczyć...

MORTENO, *przerywa*,

Dziękuję panu.. Zeszedłem tu aby wypełnić ostatnią wolę mego przyjaciela... i bolesno mi że was milady i milordzie tak głęboko zasmuconych zostawiam.. lubo szczerze wam wdzięczny jestem za doznane współczucie... (*chce odejść*).

FELTON.

Pułkownik zapewne powiedziałeś milordowi przyczynę....

MORTENO, *zatrzymując się przy drzwiach*,

Przyczynę czego?..

FELTON.

Nieszczęścia jakie zaszło, co o ile się domyślam..

MORTENO.

Czegóż się pan domyślasz?...

FELTON.

Pan Belmonte może nie był...

MORTENO, *przerywając*,

Był człowiekiem uczciwym i człowiekiem honoru. A ktoby o tém wątpił, ten przy jego trupie znajdzie tego co mu w każdéj chwili odpowie za życie i za śmierć Henryka Belmonte!...

(*Zasłona spada.*)

KONIEC.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Zwrot w literaturze poetycznéj odbywa się przez Sielankę. — Powiatowszczyzna i Szkoła. — Piewcy Ukraińscy. — Alexander Groza i jego poemata: Starosta Kaniowski i Trzy palmy.

Przejście z jednego ciągu wyobrażeń i form, do nowych form i wyobrażeń, odbywa się zazwyczaj niepostrzeżenie, przynajmniéj dla współczesnych; następcom dopiero zostawione jest, kiedy się już uwydatniły rysy przeobrażenia, ogarniać całość, i pokazywać cały ten proces duchowy.

Jak w świecie społeczeńskim, tak i w literaturze, która zawsze bywa jego wyrazem, przychodzą takie epoki, w których myśl ludzka wyzuwa się z dawnych szat swoich, porzuca koła pewnych wyobrażeń, a nowe przyjmuje. Początek ten bywa zazwyczaj bardzo nieznaczny, zwłaszcza jeżeli niebo niezesłało osobliwego geniusza, żeby odrazu to zrobił i tam stanął, do czego tylko powolna dojść może czynność.

W przemianach i przeobrażeniach przez jakie przechodziła u nas ostatniemi czasy poezyja, ten śmiały harcownik myśli i uczuć ludzkich — możnaby cofnąć się

jeszcze w wiek Stanisława Augusta, i tam znaleść już ślady tego przełomu z wyobrażeń ogólnych, snutych z ducha całości Rzeczypospolitéj, do cząstkowych, oddających ściśléj i wierniej te pojęcia i uczucia jakie się bardziej godziły z indywidualnościami i miejscowościami. Karpińskiego tkliwa prostota zbliżając go do natury sielskiéj któréj umiał pochwycić rysy i tony, zbliżała go tem samem do człowieka uważanego nie jak cząstkę ludzkości lub państwa, ale do człowieka z własnościami jego plemiennemi, obyczajowemi, miejscowemi. Bogusławski w Krakowiakach i Góralach, słabej produkcyi pod względem sztuki, pierwszy raz otwiera oczy na fizionomię człowieka, na typ jego prowincyonalny; lecz niebędąc jeszcze panem dostatecznych studiów, ratuje się kontrastami wydobytemi z zestawienia obok siebie dwóch odrębnych prowincyonalizmów.

Ten pierwszy krok objawiony w formie dramatycznéj niemiał wprawdzie tego natychmiastowego wpływu, jakiego spodziewać się należało; ale zawsze należy mu się miejsce w dzisiejszym ciągu rozwijania się naszéj poezyi.

To jednak pewna, iż rodzaj sielankowy był jednym z tych, co nas najbardziéj zbliżał do studiów z natury; kiedy bowiem coraz bardziej wietrzały motywa złożone w Teokrycie, Wirgilim, Gesnerze i t..d. tem ucho skłonniejszem się czuło do łowienia rodzinnych dzwięków. Reklewski w swoich pieniach wiejskich, lubo chodzi jeszcze wpętach wszystkich reminiscencyi klassycznych, jednakowoż w kilku sielankach i piosenkach natrafia na złotą żyłę rodzinnéj poezyi. Ta jego sielanka: Krakowiaki, jakże różna od współczesnych mu wierszy!

Przyjechały z obcéj wsi parobeczki hoże,
Wprowadzili koniki na nasze podworze;

Jeden z nich przed okienkiem w podkóweczki krzesze,
Kiedy Kasia w komorze czarny warkocz czesze;
Proszą ojca i matki, by córce kazali
Wyjść z komory. Ojcowie córkę zawołali itd.

Tu już się spotykają rysy na które poeta mógł patrzeć własnem okiem; był przeto malarzem tego co widział i czuł; nie zaś powtarzaczem tego co inni widzieli i czuli. Brodzińskiego *Wiesław* jest niejako dalszym ciągiem tej Reklewskiego piosenki, bogatszy tylko ruchem, barwami, całością opiewanego świata.

Po téj wskazanej drodze źrenice piewców naszych coraz zapuszczały się głębiej w cząstkowe życie niektórych prowincyj, osobliwie tych, gdzie fantazyja ludu była bujniejszą lub poetyczniejszą, gdzie obyczaj nosił cechy niestarte jeszcze monotonnością cywilizacyi, słowem gdzie, znaleść było można niezużyte motywa, a zatem pewną oryginalność treści i formy. Rzecz prosta, kto się urodził, lub długo przebywał w jakiej stronie, tem lepiej ją mógł znać i wystudiować, a nadewszystko kochać ją tą miłością jaką dziecie po matce, uczuwa dla swojéj karmicielki i piastunki. Ile sobie przypominam uniesienia miłosne dla tych piastunek bywały nieraz tak gorące a tak wyłączne, że aż je poczytywano za coś grzesznego—; poczciwy Witwicki, gniewał się na to, i miał po części słuszność, rozrywały się bowiem na chwilę wyobrażenia, które potrzebowały moralnéj spójni.

Tym sposobem głosy poetyczne z różnych stron kraju podnoszone, odznaczały się odrębnemi cechami miejscowego kolorytu i nastoju. Jedne brzmiały trzeźwo i rubasznie, drugie tęskliwie i sentymentalnie, inne fantastycznie — dziko; gdzie zaś najwięcej przeważał pierwiastek poetyczny, tam też i najwięcéj śpiewano na różne tony, tak dalece, iż niektórzy krytycy pomyśleli

o chrzcie dla pieśniarzy tej lub owéj prowincyi, dając im miano *szkoły*. Pokazało się jednakże, że nazwa szkoły przeniesiona z malarstwa do poezyi, wcale nie wypadłaby na korzyść ostatniéj; szkoła wymaga pewnéj tradycyi przechowywanéj po jakim wielkim mistrzu, który ją stworzył, wymaga pewnego typu przestrzeganego święcie, a w użyciu kolorów miewa nawet swoje tajemnice. Nasunąć więc to wyobrażenie do poezyi, jest to podsuwać znowu konwencyonalizm szkoły, w który piszący tak łatwo grzęzną, a z taką trudnością wyłamują się potem z niego. Zresztą niemożna tego nazwać szkołą, co czerpie z życia i wiary, co nowe zdobywa motywa i rysy i barwy — najwięcej jeżliby nazwa ta godziła się tym, co sobie czerpią z wyczerpanych już kopalni.

Ukraina słynna bujnością roślinności stepowéj, jak odrębnym charakterem, fizyonomią i poetyczną fantazyją swego ludu, który w dziejach miał kilka kart krwawych i głośnych, wydała cały szereg piewców, którzy podzielili pomiędzy siebie wszystkie jéj skarby. Bohdan wziął tęskny świat uczuć i rozgrał go w dumkach i szumkach — Malczewski rycerstwo polskie na jéj tle ukazał. — Goszczyński wywołał dzikie postacie kozacze, w chwilach strasznego przebudzenia się do mordu i pożogi — Autor zaś starosty Kaniowskiego, Alexander Groza, o którym zamierzam pomówić, przyswoił sobie świat tak zwanéj wiary w duchy żywiołowe, który będąc odłamkiem starożytnych mitologii, daje ogromne pole fantazyi poetycznej do dzierzgania na tém tle cudownych obrazów, tę mających wyższość od wszelkich kreacyi czysto imaginacyjnych, że są na wierze, czyli jak dziś mówimy, na zabobonie gminu oparte.

Słowem piewcy z innych ziem naszych, niemają tak wybitnéj i odrębnéj cechy, jak ukraińscy — a mieć ojczyznę poetyczną, jest już połową wygranéj dla poety.

W chwilach obecnych, kiedy się tak zacierają wszelkie różnice obyczaju, ubioru, języka, kiedy przesąd ucieka z swoją fantastycznością przed zdobyczami przemysłu i trzeżwą filozofią dzienników, kiedy niebawem szyna żelaznéj kolei przekreśli jednym pociągiem każdą osobliwość i szorstkość miejscowego kolorytu, aby wszyscy i wszystko było podobne do siebie i do niczego — możnaż się dziwić lub przyganiać tym, co pokochali jaki zakątek ziemi świeży jeszcze, pełen pierwotnych charakterów, i rysów oryginalnych, i opiewając jego dziwy w ludziach i naturze, przechowali to w pieśni, co prędzej lub później zniknąć ma bezpowrotnie.

Oprócz tego ta zwana tak, *powiatowszczyzna*, przyczyniła wiele świeżości naszéj literaturze, rozprzestrzeniła poznanie własności miejscowych, słowem uwiła z kwiatów rożnéj woni i barwy jeden wspaniały wieniec; nieliczac, ile się język nasz wzbogacił temi prowincyonalnemi sposobami mówienia i wyrazami, bez których niepodobna było oddać charakteru człowieka, ani okolicy, zwłaszcza jeżeli okolica i jéj człowiek miały charakter odrębny od owéj politury cywilizacyjnéj ścierającéj wszelkie rysy, jak na zdawkowéj monecie.

Ta droga którą poszli nasi piewcy zamykający się w drobniejsze światy różnych zakątków, była konieczną z saméj natury rzeczy. — Na szerokiej scenie ogarniającéj ogół niebyło co robić, chyba ronić łzy Jeremiaszowe — lecz zato można było wzbijać się skowronkiem z pól swojéj zagrody, aby chórem zgodnego śpiewu łączyć się ponad chmurami... To właśnie nadało tyle rozmaitości poetycznym głosom, tyle nowych motywów dostarczyło poezyi, że odtąd można powiedzieć stępel prawdziwéj oryginalności wycisnął się na utworach muzy. Bez wyjątku piewcy ci byli zazwyczaj powiatowymi w formie, treścią zaś należeli do ogółu — dla tego mogli przemówić do wszystkich serc z głębi

tych stepowisk, skał, lub ciemnych lasów, gdzie się tuliła ich gęśla, i zkąd rozsyłali w najdalsze strony dźwięki swoje przejęte zadumczywą swobodą kozaczych stepów i jarów; tajemniczością przedpotopowych puszcz co wychowały równie tajemniczych a głębokich potomków palemońskich; lub tem powietrzem górskiem co nie upaja, ale trzeźwi do dziarskości. — Trzeba i to zauważać, iż rozumiejąc zadanie literatury narodu, nierzucili się w śmieszną wyjątkowość pisania swych tworów w jakiem narzeczu powiatowem; i bardzo słusznie: w tenczas bowiem nieczytanoby ich i nierozumiano, tylko w ich powiecie. Co ma ożyć i mieć rozgłos musi koniecznie pozbyć się zaściankowéj wyłączności; a właśnie języki narodów są temi kanałami co prowadzą do ogólnego morza ludzkości.

Zatrzymałem się nad tem przydłużéj, widząc potrzebę wyjaśnienia tego zwrotu poezyi, który nietylko był naturalnym, ale i koniecznym.

Ukraina ta najbujniejsza ziemia, przechowała w sobie tyle motywów do poezyi, w dumkach, podaniach, klechdach, legendach, w historyi saméj, że dosyć umieć je zebrać i jako tako ułożyć, aby zyskać już jakiś tytuł do nazwiska poety. W kopalniach Kalifornii lub Australii, każdy może być bogaczem, jeśli ma szczęście — znaleść bryłę złota; ależ ta bryła dopiero w ręku jakiego Celliniego stanie się przedmiotem podziwu kunsztmistrza, lub koronną ozdobą. — Obfitość poetycznych kopalń na ukrainie tłumaczy nam przyczynę, dla któréj tylu je wyzyskiwało, że aż kompanii wyzyskującéj chciano nadać nazwisko *szkoły*.

Alexander Groza twórca poematu: *Starosta Kaniowski* policzyć się może jeszcze do tych pierwszych zdobywców ukrainnego świata, gdzie chorągiew swéj sławy zatknęli najpierwéj: Bohdan, Malczewski, i Goszczyński. —

Poemat ten ogłoszony przed kilkunastą laty, z różnemi odmianami i poprawami, wyszedł podobnoś w trzeciem wydaniu w zbiorze jego utworów poetycznych pod ogólnym tytułem: *Powieści Ludu i Dumy* *).

Mikołaj Potocki Starosta Kaniowski nadzwyczaj popularna u nas figura, główną gra rolę w poemacie A. Grozy. Z jego dziwactw, okrucieństw, szaleństw, gwałtów a nawet pokuty, żyjących dotąd w podaniach i pieśniach ruskiego ludu, miała się złożyć poetyczna całość. Wybór tego przedmiotu tak epicznego z natury swojéj, jak mało który przedmiot, dowodził w poecie bardzo szczęśliwego instynktu. Bo jakże mało mamy podobnych szlacheckich, a zatém półhistorycznych postaci, coby nieprzestały żyć w pamięci gminu, coby dotąd odbierały cześć jaka się tylko wielkim bohatyrom, lub dobroczyńcom ludzkości należy. Starosta Kaniowski do dziś ją odbiera w podziennych sklepach poczajowskiego klasztoru, gdzie ciało jego spoczywa obsypywane gęstemi pocałunkami ludu cisnącego się *processionaliter* do oddania hołdu butom fundatora. Ten osobliwy rys z psychologii gminu] ogromnym jest argumentem dającym wymowne świadectwo na korzyść stanu rządzącego w dawnej Rzeczypospolitej — jeżeli taki okrutnik, gwałtownik, tyran swoich poddanych, banita nakoniec z pod wszelkiej praw opieki wyjęty, jakim był Starosta Kaniowski, doznaje podobnéj czci po śmierci, a taką pamięć zostawia w pieśniach i powieściach gminnych — te y czegoż to dowodzi? Oto, że odwieczny stosunek panującego stanu do ludu musiał być nadzwyczaj lekki, niedotykający, z wyobrażeniami i obyczajem patryarchalnym zgodny — kiedy próżnobyś dziś szukał w pamięci, i pieśniach gminu jakichkolwiek podań żywo przypominających nietylko historyczne postacie, ale na-

*) Tom I. Warszawa w Druk. Gaz. Codziennéj.

wet zdarzenia co głęboko krajem wstrząsały; jeżeli zaś są jakie wzmianki, to tak słabe i tak zamącone, że z nich niewiele objaśnić się można; przeciwnie pamięć Kaniowskiego żywą jest i pod różnemi przechowana formami. Fenomen ten psychiczny odsłania tę smutną stronę, że kiedy nazwiska cnotliwych dobroczyńców zacierają się u gminu, pamięć okrutnika staje się popularną, jak niepożyty monument Słusznie też powiedział jakiś mędrzec, że najcnotliwsze narody mają najnudniejszą historyję, czyli pozbawioną romansowo-traicznych scen; co wcale niemówi na korzyść n. p. takiéj Rzpltéj weneckiéj, o któréj Byron wyrzekł: że się historya jéj czyta jakby najciekawszy romans.

Ależ wracam do *Starosty Kaniowskiego* w poemacie A. Grozy. Utwor ten dość trudnym jest do streszczenia. Jak rzeka dzieląca się na kilka ramion, wprawia w niepewność żeglarza, gdzie jest jéj główne koryto, tak i w tym poemacie tyle jest epizodów, słabo połączonych ze sobą, że czytelnik pragnący sobie zdać sprawę z całości, musi dopiero robić w swéj myśli porządek, aby na główny epizod natrafił.

Starosta chował na swoim dworze *dwa brytany* jak mówi poeta: Arona żyda i Ukraińca Szulaka; tego ostatniego tak maluje:

.....chłop nad inne chłopy
W baraniéj czapce kiedy wchodził na krużganek,
Zdało się że prześcignie pałacowe stropy:
Czupryna podgolona, niby czarny wianek
Z kruczych piór upleciony, po głowie pływała:
Twarz na stepowym wietrze, słońcu, ogorzała;
Brew łukiem napisana, a rzęs dwa półcienie
Przygasały, ognistych dwójga ócz wejrzenie;
Serce dzikie, a wierne na pańskie rozkazy

Pójdzie w piekło, a jeśli zwycięsko nie wróci
Nie odstąpi chorągwi i szabli nie rzuci...

Taki przymiot swego brytana umiał starosta ocenić, bo go hojnie obdarzył sześcią futorami i trzosem złota, co obudziło zazdrość w drugim brytanie, Aronie, który poprzysiągł zgubić Szulaka, aby sam tylko mógł zbierać owoce hojności pańskiéj. Jakoż podmawia Starostę, który był w złym humorze na polowaniu, aby babie idącéj przez las kazał wyleść na drzewo i kukać, powiadając, że to czarownica. — Baba wylazła, zakukała, a starosta palnął z rusznicy i zabił... Była to ciotka Szulaka...

Innym razem przychodzi chłopskie wesele do dworu, opisane z całą świetnością wesel ukraińskich — panna młoda przcudnéj urody, Hanna, zwraca na siebie pożądliwe wejrzenia starosty, który knując jakiś zamiar podsuniony mu przez Arona, zaprasza zwykłym obyczajem weselnych gości do zamku, każe lać miód i wino, a sam starego, siwobrodego ojca Hanny, strzegącego dziewczęcia jak źrenicy, stara się zagadać na boku i upoić... Starzec wpadłszy na dawne wspomnienia, dopiero postrzegł się, że starosty przy nim niebyło — ale i Hanna także znikła z koła tanecznic... Biedny ojciec uczuł cios — i oszalał...

Tymczasem Hanna przy pomocy Szulaka umkła szponów starosty... Ale gdzież tu się skryć przed takim mocarzem:

Kaniowski był bogaty — wszyscy mu się gięli;
Kaniowski był okrutny—wszyscy przed nim drżeli.
Szlachcic choć z swojem *veto*, z drogi ustępował,
A cóż chłopek, co w równi z bydłem się rachował?
I któżby przyjął Hannę do swojego dachu
I chował ją bespiecznie i sam żył bez strachu?

Z resztą:

Kiedy ptak ptaka, zwierza zwierz nie zdradzi,
Człek lepszy od nich: wroga na człeka sprowadzi,
Za kawał chleba, gorzéj, za blaszkę, co świeci
Przeda krew swego brata, przeda własnych dzieci!..

Gdzież tu się schronić? chyba między dzikie, puste skały nad brzegiem Tykiczu...

Opis jéj pobytu śród tych skał, gdzie znalazła chatkę bielutką i towarzystwo fantastycznéj istoty Rusałki Mokryny co wygląda niby utwor rozbujanéj wyobraźni naszéj samotnicy — gdzie wreszcie Szulak ją nawiedza ukradkiem rozkochuje się i bierze za żonę — zgoła opis miejsc i zjawisk nadprzyrodzonych, jest najoryginalniejszą częścią tego poematu. Są tu rzeczy pierwszy raz wprowadzone i podsłuchane w naturze uchem naszego gminu, który umié i widzieć i słyszeć innėm okiem i uchem jak nasze. Nieledwo najszczęśliwszem jest to miejsce, gdzie Hanna siedząca w zadumaniu nad brzegiem, patrzyła w głębię rzeki

a rzeka gorzała
Żywym ogniem miesiąca, a nad skałą skała
W pół świetle i pół cieniu mnożyła postaci
To piekielnych mieszkańców, to niebieskich braci.

W tém zaczęły się fale burzyć, piętrzyć, aż oku jéj odkryło się tajemnicze dno podwodne.

A na dnie tym, jak okiem rzucisz, same dziwy:
Srebrne liście rozwieszał jakiś las sędziwy,
Dziwny las, dziwne liście; podobne mu wzory
Zima w oknach maluje; tęcza swe kolory
Róża ognie po jego konarach rozlała;
I las kwitł, błyszczał, świecił. Nad lasem pałała

Jak łuna od pożaru, głowa jakiéjś wieży,
Jak druga Ławra, cała w złocistéj odzieży,
A pod nią ściany z lodu, a nie z żywéj wody,
Szumią, grają, lecz w sobie ściosane jak lody.
W tych ścianach wszelka ryba swobodnie przepływa,
Wiją się wodne węże, koral odpoczywa,
Drzemią muszle, a wszystko w tym pięknym nieładzie
Jaki ręka uczona naumyślnie kładzie.
Sto gładkich kolumn, raczéj sto fontan przejrzystych,
Biło w wiecznym porządku do stropów złocistych;
A w tych wszystkich kolumnach, jako pod szkłem kwiecie,
Stały dziewice w całym gdzieś szukane świecie,
Cudowne swojem licem, postacią i okiem.
Ale wszystkie dziewice gasiła urokiem
Jedna, snadź ich Królowa; na poklask jéj dłoni
Każda fontanna swoją dziewicę wyroni;
Fontanny swą koleją biją w złote stropy,
A dziewice lekkiemi przelatują stopy
Czarowne ściany zamku i gałęzie lasu:
Już pląsają po wałach wodnego tarasu,
Już na skale, już Hannę otoczyły wkoło
Wzięły ją, jak niemowle, i nócąc wesoło,
I pląsając poniosły do swojéj królowéj,
Kędy on pyszny Zamek wodno-kryształowy.

Otóż widzimy Hannę w kole Rusałek, w otoczeniu dziwami świata czarodziejskiego. — Staruszka Mokryna zmienia się w prześliczną krasawicę i mówi do niéj:

Zostań się z nami siostro! będziem cię kochali
Jak swą siostrę rodzoną, jak kochamy siebie:
Zostań się z nami siostro! Niebędzie ci w niebie
Tak dobrze i tak miło, jak tu między nami...

Takim zaklęciom możeby i nieoparła się Hanna, ale te czarodziejki chcą, żeby zrzuciła święcone blaszki, ten krzyżyk z błogosławieństwem od matki — lecz Hanna przyciska je do piersi — i widziadła znikają. — Drugi raz doświadcza podobnych omamień nie nad wodą ale w zbożu na łonie.

Wśród stepu, jak las jaki różne zboża rosły:
Złoty jęczmień, pszenica, srebrne kłosy żyta,
Hreczka z dziewic rumieńcem, płowa prosa kita.
A z tych zbóż dziwny zamek podniósł się do góry:
Za dach go ptastwo swemi przysłoniło pióry,
I dach był jak kobierzec w różne wzory tkany,
Słomiane szczerem złotem świeciły się ściany:
I dach i ściany zda się, że w powietrzu wiszą,
Lada wiatru powiewy precz je rozkołyszą
A jednak stoją; trzeba, to słońca promienie
Leją się doń ryczałtem; trzeba, to znów cienie
Co najgłębsze padają; trzeba, wiatr przelata,
Trzeba, to tylko w ściany daremnie kołata-

W czarodziejskim tym pałacu rój motylów przemienia się w najpiękniejsze dziewice — także Rusałki — bo w wyobraźni ukraińskiego ludu widzieć je można pląsające i po wód powierzchni i po kłosach łanów. Ustępy gdzie Hannę widzimy w zbliżeniu z tym światem mytycznym, a co więcéj w walce z ponętnemi pokusami — są najszacowniejszą częścią tego utworu, który zawsze będzie należał do szacownych klejnotów naszéj poezyi.

W dalszym ciągu treści, którą zamierzyłem skreślić — jest kilka jeszcze wybornych rysów, mianowicie, kiedy ten stary ojciec Hanny, co to oszalał po stracie córki tak nawet, że jéj niemoże poznać kiedy mu ją tajemnie pokazuje Szulak, otóż kiedy ten stary ojciec ciągle

w przekonaniu, iż jego córka zostaje w zamku starosty, zwołuje cieślów, sypie im hojnie pieniędzmi i każe budować cerkiew, a przy cerkwi tak wysoką dzwonnicę, żeby mógł zajrzeć do komnat pańskich, bo tam pewnie obaczy swoje dziecię.... I obaczył ją — bo sam niechcący zdradził się przed Aronem opowiadając jak Szulak woził go do Hanny, ale to — mówił — niebyła Hanna tylko czarownica, bo Hanna na zamku starosty... Wyszpiegowano więc jéj kryjowkę — Hannę przyprowadzono na zamek, a gdy ją Aron podmawia i uspokaja, aby się nieprzeciwiła staroście, wpada Szulak i przebija go nożem. — Za tę zbrodnię wtrącono go do więzienia; w tém Hanna uciekła ze swego zamknięcia— Szulaka ścięto — Hannę złapano i starosta usłyszawszy od niéj, że go nigdy kochać nie będzie, przestrzelił ją z łuka... Nabroiwszy tyle, skończył dni swoje na pokucie w poczajowskim klasztorze.

Z opowiadania tego widzi czytelnik ile tu zawikłania wcale niepotrzebnego. Mógł był poeta uprościć osnowę, a tem samem zachować piękną całość; tym sposobem i pojedyncze charaktery odmalowałyby się wyraziściéj, a figury stanęłyby na nogach; w składzie zaś jaki nadał swéj powieści jeszcze bardziéj mąci się tok opowiadania przez namnożenie epizodycznych anegdot o Kaniowskim, jak o tym zajeździe Żywotowa, o zabiciu Łużyńskiego i o tym kwestarzu Bernardynie. — Są to kawałki bardzo ładne, ale tak męczące uwagę czytelnika, że to właśnie mi tłumaczy, dla czego poemat ten niezyskał téj wziętości na jaką zasługiwał. — Lekceważenie kompozycyi, nieujęcie całości w misterny ład prowadzi zawsze do tego, że często w tym nieporządku, najpiękniejsze perły gasną... Romantyzm źle zrozumiany narobił téj szkody rujnując zasadę architektoniki w głównych pomysłach.

Starosta Kaniowski jest najlepszym bezwątpienia utworem w rzędzie prac poetycznych Alexandra Grozy, inne, będące w świeżo wydanym zbiorze osnute są na podaniach i klechdach gminu; rozwlekłość w opowiadaniu, widoczna sztuka, a ztąd brak prostoty, która stanowi najgłówniejszą wartość płodów gminnych, nie robi je tak ponętnemi, aby je każdy znał i powtarzał. — Tutaj przychodzi mi jeszcze i ta uwaga doświadczeniem nabyta, iż utwory na tle podań gminu osnute, jeżeli tylko są dla siebie, a raczéj, jeżeli ściśle zamykają się w granicach świata z którego wzięte — budzą bardzo słaby interes w czytelnikach, czyli po prostu nudzą — przeciwnie zlane z życiem historycznem, rzeczywistem, lub wplątane w dzisiejszą rzeczywistość, nabierają daleko więcéj poetycznego uroku. Dla téj przyczyny, poeta wszelkie motywa gminne powinien uważać za surowy materyał, a nie za jakiś wzór nietykalny, któremu by się poddał i w nim zamknął. — Był czas że u nas pieśń gminna, klechda, podanie — detronizowały cywilizacyjne arcydzieła literatur świata — była w tem przesada, dla tego prędko skończyła się; a w zysku zostało nam bliższe poznanie tego żywiołu gminnego w którym natchnienie i sztuka ojczysta skąpały się jak w odmładzającym zdroju wróżek.

Aleksander Groza w najnowszym swoim poemacie: *Trzy palmy* *) pożegnał swój świat gminno-ukrainny, a uniósł się skrzydłami poetycznego natchnienia na pokrewne stepom pustynie Arabii, gdzie niebędąc panem miejscowości, czyli jak nazywają: kolorytu z pierwszéj ęki, co u pewnych estetyków najważniejszem bywa warunkiem każdéj kompozycyi—mógł zawsze zostać panem kreacyi, jaką mu się podobało na tém tle wscho-

*) Trzy palmy (powieść ze wschodu) Aleksandra Grozy. Wilno nakł. Zawadzkiego 1857.

du osadzić. Postawił się on na tym samym punkcie co i Lord Byron, który twory swéj poetycznéj fantazyi, bardzo mało spowinowacone ze wschodem, rzucał na spoetyzowane skały wysp archipelagu, lub góry Albanii. Niepotrzeba powiadać jaki byłby rezultat, gdyby opisy jego i excentryczne postacie chciano kontrolować z rzeczywistością, czyli z kolorytem miejscowym co do ducha mieszkańców i obyczaju ich życia. Podobnież i *Trzy palmy* utwór fantazyi europejskiéj niemiał pretensyi rywalizować z pomysłem i kolorytem, którego z rdzennych poetów Hamazy lub Moallakatu, tylko po prostu myśl rodzinną, chrześciańską rzucił jak wygnankę między niewiernych i wyśpiewał męczeńskie jej dzieje.

Krótka treść pozna nas z osnową poematu.

Zdobywczy Turek opanował Damaszek i Jerozolimę i poosadzał srogich satrapów na tych stolicach. Wszystko ugięło czoła — jedne tylko orły pustyni, Arabowie, opierali się zwycięzcom pod wodzem swoim Izmaelem. Alić mostalem Jerozolimski, najtwardszy z ciemięzców, obskoczył go fortelem i na poły umarłego, wziął jeńcem. Niemogąc nasycić zemsty swéj na konającym, każe przywołać swego lekarza, starca Eben-Tyma, i roskazuje mu aby sztuką, jaką włada, przywołał go do życia — Stambulski bowiem padysza potrzebuje głowy jeńca — inaczéj córkę jego o któréj wié że piękna jak huryska, weźmie do haremu, a głowę starca na haku osadzi. Eben-Tym przysiągł tyranowi na imie Chrystusa.

Że człeka — mojéj pieczy zwierzonego
Będę pilnować jak oka własnego.

Siwobrody i wielkiéj doznający powagi Eben-Tym— postać to tajemnicza. Przed wielą laty o pielgrzymim kosturze przywlókł się do Jerozolimy.

Eben-Tym ojców porzuciwszy ziemię
Przyniósł tu z sobą ciężkie smutków brzemię,
Lecz gdy się przeszedł po tych świętych górach,
Smutek na lekkich pierzchnął sobie piórach,
A myślom taka wróciła pogoda,
Jak ta królewskiéj strugi jasna woda.
Kiedy ci serce srogi cios zakrwawi,
A wróg wszystkiego, wszystkiego pozbawi,
Człowiecze! spiesz się w te cudowne strony,
Gdzie każdy kamień świętą krwią skropiony,
Gdzie zbrodni ludzkich dosiągnęła miara,
Gdzie się Najświętsza spełniła ofiara.
Duma twych zasług strasznie się poniża
Obok zasługi Zbawcy, króla-krzyża;
Czem utrapienia, ciernie twojéj głowy,
Obok Chrystusa korony cierniowéj?! —
Serce, co chciało ogarnąć świat cały,
Przebija żołdak, głupi, a zuchwały;
Czemże twe serce, obok tego serca?
Przy tym mordercy, czemże twój morderca?

Jest to najwznioślejsze miejsce poematu; poeta jakże ślicznie, jak prawdziwie pochwycił ten pęd wewnętrzny jaki prowadzi dzisiejszych pielgrzymów do pomodlenia się na gruzach Solimy, gdzie się dokonała większa ofiara nad wszystkie ofiary, większe cierpienie, nad wszystkie męki. — Rospamiętywanie tego aktu, w miejscach gdzie się spełnił, i odniesienie go do własnych zmartwień i boleści — nieprzestanie być wiecznie żywym balsamem dusz chrześciańskich.

Bardzo szczęśliwie zrobił poeta zawiązek téj walki między okrutnym Mostalemem pragnącym ocalenia swego jeńca, aby się nad nim pastwił, a Eben-Tymem któremu rozkaz władzcy każe także przywrócić go do życia

a uczucie Chrześciańskie, ocalić, choćby z ofiarą własnego życia.

To samo wystarczyłoby już do zrobienia téj walki dramatycznie interesującą; ileż tu analogii między położeniem tego wodza Arabów, a losem Eben-Tyma !ub jego współbraci! Poeta jednak chciał jeszcze bardziéj urozmaicić swoją powieść wprowadzając sprężynę miłości. Eben-Tym ma córkę, Maryję, która równo z swym ojcem pielęgnuje jeńca.

Skroń Izmaela ogniem rozgorzałą
Marya dotknęła raz swą rączką białą;
Zgasł ogień w skroni; lecz w dziewiczém łonie
Zajął się pożar i ciągle w niém płonie.

Dwa te młode serca pokochały się miłością Izmael opowiadał dzieje swobodnego i wojennego życia beduinów na pustyni; Eben-Tym smutne dzieje swojéj ziemi — uczucia układały się w równowagę, a na tém tle i w wyobrażeniach młodego jeńca odbywała się przemiana, kiedy posłyszał z ust starca

.... że nie wszystkie żyły
Ludy rozbojem; że szczęście człowiecze
Nie idzie na świat przez krew i przez miecze.

Albowiem Bóg miłości nieograniczonéj zesłał swego Syna w ludzkiéj postaci, aby zmienił życie zwierzęce między ludźmi,

A że król niebios do ziemi się zniża
Człek go do niebios podniósł w mękach krzyża;
I złożył w grobie, przywalił kamieniem;
Grobowy kamień odstał bożem tchnieniem

Wszedł Bóg w niebiosa, na ziemi została
Jego nauka... wiekuista chwała.

Tymczasem szpiegi Mostalema zaglądają do domku starego lekarza—chwila rozstrzygająca los jeńca zbliża się. Eben-Tym odkrywa mu zamiary Mastalema względem jego osoby i każe uciekać; lecz szlachetny beduin niezezwala na to, aby dwie opiekuńcze głowy padły ofiarą zemsty za jego ucieczkę. — Niepozostaje nic innego jak wszystkim trojgu uchodzić na puszczę. Uchodzą więc; — przy krynicy Najświętszéj Panny, Izmael chrzest przyjmuje — Eben-Tym powierza mu Maryję i znajduje im kryjówkę śród skał, a sam wraca do miasta, aby przysposobić wielbłądy do odprawienia drogi przez pustynię. Kiedy Maryja wygląda powrotu ojca, przychodzi stary Dawid, żyd z tych okolic co i jéj ojciec, i równie jak on szukający ostatniej pociechy na gruzach Syonu — od niego dowiaduje się, że widział jak zbiry Mostalemowe porwali Eben-Tyma i jak ten posłał go z rozkazem do Maryi i Izmaela, aby czemprędzéj uchodzili z tych miejsc okropnych. — Idą więc skwarnemi pustyniami i omdlewając na siłach dostają się do oazy, gdzie padają prawie bez ducha choć był i orzeźwiający cień i źródło żywéj wody. Na szczęście koczujący pasterze znajdują ich i poznają w Izmaelu swego szejka, którego mieli już za straconego, a z którym runęła potęga pustyń. — Jakaż to radość w taborze, kiedy wraca Wódz pokolenia! — Lecz niepodzielać mu ani jego Maryi tych oznak wesela, dopóki Eben-Tym zostaje w mocy tyrana. Gotuje się więc nowa wyprawa Beduińskich pokoleń przeciw Mostalemowi—a choć złowieszcze znaki ostrzegają o niebespieczeństwach wyprawy, Izmael niedaje się odwieść — postępuje pod mur Jerozolimy i widzi wszędzie gotowość obrony — w tém staje przed nim pasterz i powiada: Źleś obrał

godzinę zemsty: Mostalem ostrzeżony zgromadził siły wszystkich Baszów, i nieodbijesz już ojca Eben-Tyma, bo oto głowę jego ściętą, wykupiłem za złoto i tobie daję w smutnym podarunku. — Żałośny był powrót Izmaela na pustynne koczowisko — ale okropniejszy cios go ugodził: Marya nieprzeżyła ojca! Zgasła — zabita przeczuciem tego co jéj ojca spotkało! Izmael w chwili, gdy przed następującym nieprzyjacielem obóz Beduiński zwijał namioty i uchodził — nie odstąpił mogiły swéj Maryi i sam został — na szczęście dla jego boleści zerwał się uragan, podniósł morze piasków w powietrze—

I, co grób zlewał ognistemi łzami
Izmael zniknął pod piasku falami.

Trzy zielone palmy wyrosły nad mogiłą piasków, jak trzy sztandary: nadziei, pokoju, chwały, o nich dotąd śpiewa pieśń Beduińska.

Taką jest treść tego poematu; kompozycya pod wielu względami bardzo szczęśliwa; pod koniec jednak bohater Izmael wcale niepoetycznie rejteruje z pod Jerozolimy; Chrześciaństwo przecież niepozbawia rycerskiego ducha? Należało mu tam zginąć, ale nie płakać na grobie kochanki. Mimo tego, całość dobrze ujęta — brak w niéj jednak, téj czystości rysunku, téj precyzyi słowa a nadewszystko téj plastyki, co każdą postać każdy jéj ruch tak uwydatnia mistrzowsko, iż myśl czytelnika niemęczy się i odrazu oryentuje, ogarnia, i tak przyswaja sobie działające osoby i sceny, że się z niemi już nigdy rozłączyć nie może. Mniemam, że sam styl nieco amfiguryczny, sam sposób opowiadania wyforsowany liryzmem, i nie wszędzie szczęśliwy wiersz, niepozwoliły pokazać się tym wszystkim naturalnym pięknościom jakie poeta rozlał w swojéj pieśni hojną rę-

ką; ztąd nie będzie nas dziwić, jeżeli poemat ten niezrobi takiego wrażenia, jakie robią powiastki mierne co do głównego pomysłu i układu, a szczęśliwe i wdzięczne co do sposobu jakim są oddane. W potocznem życiu bywa toż samo: lada fraszka dobrze opowiedziana zyskuje słuchaczy; kiedy nieraz zdarzenie, mogące wzruszyć do łez lub zaciekawić najobojętniejszych — z mniejszym talentem opowiedziane — napełnia słuchaczy znużeniem.

Lucyan Siemieński.

ZMIANY KONIECZNE.

Programat polityczny państw europejskich w bieżącym miesiącu obficie wypełniony był kwestyami dość ważnemi aby zajmować umysły, dość niepewnemi aby zaostrzyć ciekawość powszechną. Czy uda się konferencyi paryzkiéj załatwić sprawę neufchatelską z zadowoleniem stron obu? czy zwłaszcza potrafi tym sposobem utrzymać powagę europejskiego trybunału państw, jego nieodwołalność, i uchronić systemat cały od szwanku?... Jaki obrót weźmie sprawa duńsko-niemiecka? czy przerzuci Danię na stronę skandynawizmu,— czy uznaniem przewagi Bundestagu zapewni tryumf rasie niemieckiéj,— lub téż wynajdzie pośrednią drogę załatwienia bez udania się do tych ostateczności, pogodzenia idei państwa z prawami prowincyj — przynajmniéj aż do pewnego czasu?..... Zerwanie stósunków dyplomatycznych między Austryą i Piemontem, czy niewywoła dalszych następstw? czy nie zajdzie jakowa zmiana w położeniu politycznêm tych państw względem siebie, w obec walki stoczonéj w parlamencie turyńskim przez politykę hr. Cavoura ze stronnictwem ultraliberalnêm z powodu przeniesienia arsenału i portu wojennego z Genui do Spe-

zii?... Jak sobie poradzi lord Palmerston z większością liberalną w nowym parlamencie? czy ulegnie parciu ogólnemu w kierunku reformy, a jeżeli weźmie inicyatywę w téj mierze, kiedy to nastąpi, w teraźniejszéj czy przyszłéj sesyi?... Jaki skutek będzie miała opozycya Izby Panów w parlamencie pruskim? czy nie przebierze miarki sprzeciwiając się wszystkim prawie finansowym projektom ministrów? czy ostatecznie okazana ta niezależność wzmocni lub osłabi systemat parlamentarny w Prusiech?... Dokąd zaprowadzi nowa parlamentarna próbka w Księstwach Naddunajskich? czy się da wykonać, tak jak sobie tego życzył przeszłoroczny kongres paryzki? czy kwestya ta połączenia lub *statu quo* rozwiązaną być może bez nadwerężenia bądź praw sułtańskich, bądź warunków traktatu z 30 marca, bądź nareszcie przymierzy obecnie istniejących?... Czy Szach perski ukończy wojnę z Anglią przez ratyfikacyą traktatu zawartego między Ferukchanem i lordem Cowleyem, i pozwoli Anglikom ściągnąć wojska które im są tak potrzebne w wojnie z Chińczykami? jaki udział w téj ostatniéj wojnie wezmą inne państwa a zwłaszcza Francya i Ameryka? czy tylko dyplomatyczny, czy poparty wojenną demonstracyą?... Co mają znaczyć owe umizgi Anglii do Stanów Zjednoczonych? jak sobie tłomaczyć mowę sir Napiera posła angielskiego w Washingtonie, obiecującego rasie anglo-saksońskiéj panowanie nad światem, wzywającego brata Jonatana do bratniego przymierza z John Bullem, w obec odrzucenia zmian jakich senat amerykański zażądał od Anglii w traktacie Clarendon-Dallas? cóż znaczyć ma oświadczenie lorda Palmerstona w parlamencie, że W. Brytania patrzyć może spokojnie na zajęcie zbrojne międzymorza Panama przez Stany Zjednoczone, jeżeli z drugiéj strony rozpocznie się spór zaledwie ukończony rzeczonym traktatem? czy W. Brytania równie spokojnie patrzeć zamyśla gdy-

by gabinet Washingtonu miał projekta na Meksyk i Kubę, byle tylko ów nieszczęśliwy traktat do skutku doszedł, a zwłaszcza gdyby Ameryka w wojnie z Chinami stanowczy chciała wziąść udział? czy zatem antagonizm rosyjski więcéj przestrasza Anglię aniżeli chciwość dobrze znana Jankeów?...

Przyznać można, że każda z tych spraw a wymienione tylko ważniejsze, zasługiwała na obszerne miejsce w ogólném polityczném zajęciu. Cóż dopiero gdyby przejść wypadło na pole domysłów? Jakże obfitego materyału dostarczają podróże panujących i książąt krwi! Cóżto za przeróżne wnioski czynić można o podróży Ojca śgo do Loretu, Cesarza austryackiego do Węgier, Króla Maksymiliana bawarskiego do Włoch i Francyi, W. księcia Konstantego do Paryża i Anglii, księcia Napoleona do Berlina i Drezna! Podróże te miałyżby w części zastępować dzieła dyplomacyi? Wprawdzie coraz częściéj się odbywają, im więcéj dyplomacya traci na dawnéj tajemniczości, im więcéj przeradza się wszędzie prawie w rodzaj kongresu jeżeli nie trybunału. Podróże osób znakomitych, miałyżby być jedném z następstw wspólności zasad i solidarności interesów, bo w obec tego systematu, trudno jest dyplomacyi jednego państwa działać odrębnie, w skrytości, słowem na swoją rękę?... Owa wspólność i solidarność może być wielką dla wojny przeszkodą, ale nie jestże razem i trudnością gdy idzie o porozumienie się dwóch mocarstw, po za opinią publiczną? — Każdy systemat ma swą dobrą i złą stronę....

Wszystkie te kwestye zapewne są ważne, bo każda prawie może wpłynąć na ogólną politykę; — wszystkie są ciekawe, bo niepewne i dotąd ostatecznie ich nie rozwiązane. A jednakowoż pośród tylu zadań, wątpliwości, domysłów, opinia publiczna, zwłaszcza zachodnia, która bądź jak bądź jest zawsze barometrem politycznego za-

jęcia, żadnéj kwestyi nie poświęciła tyle rozpraw, nie toczyła w żadnéj sprawie tak ożywionéj dyskusyi jak w sprawie tyczącéj się.... kolei żelaznych w Rosyi. Polemice jaka się w tym przedmiocie wywiązała warto się było przypatrzeć. Przedsiębiorstwo kolei żalaznych w Rosyi, prosty interes przemysłowy, spekulacya, wyrosła w kwestyę polityczną pierwszego rzędu. Spostrzeżono się, szczególnie w Anglii, gdzie przedsiębiorstwo to na wielką napotkało opozycyę, że koleje rosyjskie mają sobie właściwe i wyłączne cechy, jakich inne koleje nie mają; przejrzano trochę zapóźno że Rosya nie jest państwem jak inne państwa europejskie, że tam nic, najmniejsza nawet spekulacya po za rządem odbywać się nie może, bo nie ma sił w narodzie tylko jest działanie władzy, że przeto każda spekulacya ma znaczenie polityczne, bo jest tylko narzędziem w ręku najabsolutniejszego rządu. — Spostrzeżono się ale za późno, że Rosya nie bez celu zapewne naraża się na ów gwałtowny skok w cywilizacyi, jaki jest między brakiem wszelkich komunikacyj a kolejami żelaznemi. Jeszcze przed dwoma laty, gdy po raz pierwszy o zaprowadzeniu kolei żelaznych w Rosyi mowa była, starano się wykazać w tém samém piśmie lubo nie na tém miejscu, że cywilizacya Rosyi nie jest odpowiednia kolejom żelaznym, że stoi ona zaledwie na wysokości gościńców murowanych których w Rosyi nie ma. Komunikacye powinny być w harmonii z potrzebą i ruchem przemysłowym i handlowym. Nie ma nikogo, ktoby utrzymywał że gościńce nie wystarczyłyby téj potrzebie i ruchowi. Jeżeli więc Rosya opuszczając całe to pośrednie stadium komunikacyjne, rzuca się od razu w koleje żelazne, i olbrzymie to dzieło nie zastrasza jéj, znać że bodźcem nie same tu tylko przemysłowe korzyści i wymagania handlowe. Za późno więc, woła teraz Anglia całem gardłem, że koleje rosyjskie to są jedynie koleje

strategiczne, wojskowe. Nie wiedzieć czy są jedynie takiemi, ale że mają przewóz wojska na celu, to kwestyi ulegać nie może... Za późno także spostrzegła się Anglia, że Rosya używając do tego dzieła obcych kapitałów, całkiem nowe wyrabia sobie w Europie i w cywilizacyi stanowisko, jak niemniéj że nikt przewidzieć nie zdoła: dokąd koleje żelazne Rosyę zaprowadzić mogą, ani też: jakie w Europie wywołać może następstwa polityczne sieć należycie wykończona kolei rosyjskich?...

Na nic podobno już nie przyda się dzisiaj dowodzić, jak to czyni prasa angielska, że publiczność nie powinna brać udziału w przedsiębiorstwie kolei żelaznych rosyjskich, albowiem jest to zły interes, zła spekulacya z któréj Zachód korzyści żadnych nie odniesie; — na nic się nie przyda odwoływać się do patryotyzmu kapitalistów, wzywając ich aby lokowali kapitały raczéj w narodowych papierach, przedstawiając że wyprowadzanie kapitałów zniży krajowe papiery, it.d. Takie i tym podobne dowodzenia dziwnie brzmią zaiste w obec ruchu finansowego i spekulacyjnego jaki panuje na zachodzie. Któż powiedzieć może z pewnością, czy koleje rosyjskie są dobrym lub złym interesem? Jest to spekulacya różna od wszystkich innych, bo polega na zaprowadzeniu kolei żelaznych w krajach gdzie drogi żadnéj nie było, na nadaniu ruchu milionom mieszkańców, którzy się tylko przez parę miesięcy w roku ruszać mogli. Nie ma tu żadnéj analogii z żadném już znaném położeniem. Cyfry są prawie nie podobne do zbierania. Co z tego wypadnie? niewiadomo, bo to sfera nieznana. Ale czyż nie jesteśmy w peryodzie heroicznym, bohaterskim, nie dla ludzi, ale dla kredytu? czy to co nieznane odstręcza kapitały?... Bynajmniéj, lubią one teraz dosyć rzucać się w awanturnicze spekulacye; wyobraźnia miesza się dość do spekulacyi, i nieraz właśnie tam gdzie nieznana sfera przedstawia najfantastyczniejsze

dywidendy.... Zresztą czyliż chodzi kiedy w dzisiejszych spekulacyach, nawet w pierwszéj chwili, o sam interes czyli o przedmiot spekulacyi? Powiedzieć trzeba prawdę, że idzie tylko o prymę jaką wezmą akcyonaryusze w dniu w którym akcye w obieg puszczone zostaną, a zawsze jest jakaś pryma; czy zaś sama spekulacya dobra lub zła, o to mało bardzo komu idzie....

Ci co bronią przedsiębiorstwa kolei żelaznych w Rosyi, również łatwą mają odpowiedź na zarzut, że z zaprowadzenia takowych komunikacyj Zachód korzystać nie będzie. Dość tu przypomnieć że Rosya jest jednym ze śpichrzów zachodnich. Wieleż tam zboża marnuje się z powodu że odstawa do Odessy i innych portów jest dla braku komunikacyi nader trudną a przez większą część roku niepodobną?.... Ta jedna prawie uwaga wystarcza dzisiaj, gdzie kwestya żywności stała się dla Zachodu prawdziwie kwestyą żywotną.... A czy warto wspominać o owém odwoływaniu się do patryotyzmu kapitalistów, i to w Anglii, w kraju, gdzie wszystkie obce przedsiębiorstwa bywają zwykle źródłem zysków, dla krajowców? Kapitał z pewnością nie pojmie czemu by miał być patryotą i tracić nie biorąc udziału w kolejach rosyjskich, kiedy niepotrzebował być patryotą w kolejach innych państw i zarobił prymy?... Nie obawiano się emigracyi kapitałów francuzkich do kredytu ruchomego w tylu państwach, czemużby to wychodźtwo miało być tak niebezpieczne przy akcyach na koleje rosyjskie?... Zresztą nie ma patryotyzmu w spekulacyach, złoto i srebro to kosmopolity. Kapitał widzi ojczyznę tam, gdzie korzyści największe. Jeżeli Rosya przedstawi korzyści, znajdzie kapitały: znajdzie je nawet w Anglii, gdzie największa przeciw przedsiębiorstwu temu opozycya. Dodawszy siły jakiemi rozporządza Rosya, podatek który w téj mierze rozłoży i wybierze bez szemrania; ręczna robota poparta pańszczyzną i wojskiem, obfitość

materyału, położenie kraju płaskie i sposobne pod koleje żelazne, i tyle innych względów i środków któremi państwo to rozporządza, można się zgodzić z tymi którzy twierdzą że jeżeli Rosya chce mieć koleje żelazne, to je będzie miała, ani jéj w tém przedsięwzięciu krzyki prasy angielskiéj i rozumowania nieprzychylne części prasy francuzkiéj nie przeszkodzą.

Dziwić się atoli nie można, że jakkolwiek późno, Zachód przejrzawszy lepiéj w widokach Rosyi przy kolejach żelaznych, poznał w tém właśnie przedsiębiorstwie pierwszą, dotykalną, ważną bo powiedzieć można europejską zmianę w państwie rosyjskiém. Zmiana ta lubo w materyalnéj rozpoczęta sferze, może łatwo doprowadzić do zmiany nie tylko całego systematu rządowego ale organizmu państwa. W prawdzie nikt nie wątpił i dotąd nie wątpi że zmiany w państwie rosyjskiém nastąpić muszą. Są chwile w dziejach każdego państwa gdzie się one stają nieuchronnemi. Wtedy każdy je niejako przeczuwa zanim nastąpią, a pospolite wyrażenie utrzymuje, że lubo ich jeszcze nigdzie nie ma na ziemi, są już w powietrzu.

Taką chwilą była dla Francyi w wieku przeszłym śmierć Ludwika XIV. Po zgonie tego króla nie było nikogo co by nie był pewnym że zmiany we Francyi nastąpić muszą. Francya jaką Richelieu Ludwikowi XIV przekazał, nie była już prostą monarchią ale nie była jeszcze państwem. Gdy Ludwik XIV wyrzekł pamiętne słowo: *l' Etat c'est moi*, podał nie tylko formułę despotyzmu, ale ocenił także swoją osobistość. Jeżeli Francya była państwem za Ludwika XIV, to była niém przez niego. Francya miała jeszcze prowincye, a te prowincye miały własne prawa, ale Ludwik XIV zastępował centralizacyę powagą tronu i majestatu; Francya miała szlachtę, ale rodowody jéj nie kazał ryć Ludwik XIV na szyszakach i tarczach, lecz haftować na

taburetach wersalskich; wszelka opozycya jeżeli nie ustępowała przed jego siłą to ustępowała chętnie przed blaskiem. Ludwik XIV dostarczał tego czego brakowało Francyi aby być państwem. Po jego śmierci osobistość tę zastąpić trzeba było. Zmiany musiały nastąpić; Francya nie mogła przejść napowrót do monarchii feudalnéj, a do monarchii w idei państwa wiele jej jeszcze brakowało. Nikt zapewne nie wiedział że Francya będzie musiała przechodzić przez wszystkie nadużycia absolutyzmu, że ją Law pierwéj zrujnuje, dopóki jéj rewolucya w państwo nie zamieni. Ale chociaż nikt zapewne tego nie przewidywał, każdy czuł dobrze że po śmierci Ludwika XIV nastąpić muszą zmiany, i zmiany nader ważne. Po cesarstwie, restauracyi, po Ludwiku Filipie, rzeczypospolitéj, nikt bardzo ważnych zmian dotyczących samego organizmu Francyi spodziewać się nie mógł. Francya była państwem, a zmiany wszelkie tylko na formie rządu ograniczyć się musiały. I nie inaczéj też było.

Gdyby nie obawa porównania którego tu stawiać nie można, chyba zastrzegając niezmierne różnice co do epoki, kraju i osób; powiedziećby się dało, że śmierć cesarza Mikołaja była również dla Rosyi taką chwilą, w któréj każdy przewidywał zmiany, chociaż dotąd nikt podobno nieodgadł jak się one rozwiną. Piotr W. dopasował był Rosyę na zewnątrz do stopnia jakiego wymagała wtedy polityka państw; Katarzyna wyśrubowała cywilizacyę rosyjską do zachodniego wzoru, ale tylko powierzchownie. Wewnątrz Rosya pozostała nieruchomą; była zawsze ową monarchią gdzie panował despotyzm Iwana Groźnego. Utrzymać tę anomalię na zewnątrz i wewnątrz nie było łatwo, i tylko kierunek polityczny wojenny i zdobywczy, przez Piotra W. wytknięty, dawał siłę monarchom rosyjskim do zachowywania téj dwulicowéj polityki, bez nadwerężenia wewnętrznéj nierucho-

mości. Reformy jeżeli jakie były, tyczyły się tylko wojska. Lecz z rozszerzaniem się ciągłem granic państwa, z udziałem coraz większym w rządzie obcych a zwłaszcza niemców; ze zmieniającą się coraz więcéj i wyraźniéj postacią Europy tak pod względem politycznym jako też spółecznym, zadanie monarchy w Rosyi stawało się coraz trudniejszém. Doznał tego najwięcéj cesarz Mikołaj. Osobistość tego monarchy zastępowała niedostatki w rządzie: niezłomna wola ratowała przed brakiem jedności w państwie; surowość jego rządów i strach przed jego osobą równoważyły aż do pewnego stopnia niezmierne nadużycia i niweczyły złe następstwa zbytnich odległości. Nie było tak oddalonego w obszerném jego państwie zakątka, gdzieby postrach gniewu cara nie dosięgnął... I po jego przeto zgonie zmiany w państwie przedstawiały się jako konieczne.... tém więcéj że w ostatnich latach swego panowania przekonał się i sam monarcha i wszyscy jego poddani, że ani silna wola, ani energia panującego, ani patryotyzm narodu, ani zasoby krajowe nie podołają w walce z cywilizacyą nowoczesną uzbrojoną we wszystkie środki jakich jéj ostatnie pół wieku dostarczyło...

Ciekawym jest pod tym względem list p. Pagodyna, profesora z Moskwy, ogłoszony niedawno w niektórych europejskich dziennikach. Niech tu będzie wolno powtórzyć, że tylko pod tym względem rzeczona rozprawa a raczéj odezwa zasługuje na uwagę. Część bowiem jéj największa, to jest polityczna, gdzie sz. profesor przechodzi wypadki lat ostatnich, początek sporu rosyjsko tureckiego, postępowanie państw europejskich podczas wojny, cała ta część jest nader słaba i fałszywa. Fałszywa, bo fakta cytowane nie są prawdziwe; słaba, bo na ciągłych rekryminacyach oparta. Na nic się nie przyda utrzymywać dzisiaj, że cesarz Mikołaj miał tylko na myśli oswobodzenie chrześcian w Turcyi, a zamil-

czeć, że chciał wyłącznego protektoratu; — na nic się nie przyda powiedzieć: że miał prawo wkroczyć do Księstw, że to tylko uczynił dla dobra Multan i Wołoszczyzny, że wojny niechciał bo z małym korpusem wszedł do tych prowincyj, że gdyby był chciał wojny, byłby w Konstantynopolu przed przybyciem jeszcze flot zachodnich do Bosforu; a zamilczeć, że nad Dunajem i pod Sylistryą biły się tylko same tureckie wojska, że flota francuzka była w Salaminie zanim książe Menszyków Stambuł opuścił—zgoła wszystko to już należy do historyi, i fakta są tak dalece wiadome, jak dalece czynności ludzkie dokonane pewnemi być mogą. Rekryminacye zaś w polityce są nietylko rzeczą daremną, ale nawet szkodliwą; bo nie powrócą tego co minęło, a zaciemniają sąd o teraźniejszości. Widocznie też owa niewdzięczność względem Rosyi o którą winuje Europę p. Pagodyn, zaślepia go nad teraźniejszym jéj stanem. Przebija to w obrazie jaki kreśli z obecnéj sytuacyi politycznéj...

Zajmującym atoli jest ustęp, w którym p. Pagodyn, przedstawia ową Rosyę wytężającą swe ogromne siły na rozkaz Cara, nużącą swe waleczne wojska olbrzymiemi pochodami, dowożącą wołami żywność i amunicyę dla armii o sto mil bez bitego gościńca, a walczącą z wojskiem dla którego budują kolej żelazną, aby skrócić przestrzeń trzechmilową!.. Rosya chciała utrzymać swą reputacyę europejską, chciała się pokazać jako państwo pierwszego rzędu — i dokazała tego. Ale jakież nie poniosła ofiary? jakież zgryzoty nie dotknęły jéj monarchę? jakież rozczarowania, jakież doświadczenia nie przychodziły zatruwać każdy dzień ostatnich lat cesarza Mikołaja! Przeczuwaliśmy, mówi p. Pagodyn, że cesarz tego znieść nie potrafi. Zgon jego nie zadziwił nikogo, był przewidziany...

Musiały więc nastąpić zmiany w Rosyi. Śmierć cesarza Mikołaja, który może sam jeden w całém państwie, zdolny był utrzymać dawny stan rzeczy w przekazanej nieruchomości, musiała być do owych zmian hasłem. Powie kto może: niema ich dotąd. Prawda, ale przecież nikt nie wątpi że nastąpić muszą. Rozprzężenie jest powszechne. Niema wcale nowych instrukcyj w żadnéj administracyjnéj sferze, a przecież każdy czuje, że dawne instrukcye jeszcze w całéj mocy dzisiaj będące, już są przestarzałe. Zmiany nastąpić muszą, bo świadczy o tém głos publiczny który dawniéj się nie odzywał, a który teraz na nadużycia, przekupstwa, powstaje; świadczą o tém dzienniki, którym wolno pisać jako tako, i przebąkiwać wyraz reformy; świadczy o tém zresztą a może i najlepiéj, ów list cytowany przez nas p. Pagodyna, podpisany przez profesora mieszkającego w Moskwie, a przemawiającego w imieniu stronnictwa staro-rosyjskiego...

Lecz jeżeli nikt nie wątpi że zmiany w Rosyi nastąpić muszą, nikt również dotąd nie odgadnął, jakim się to stanie sposobem i jakie ztąd następstwa. W ostatnich wypadkach Rosya niższą uznać się musiała przed zachodnią cywilizacyą—o niéj téż tylko najwięcéj prawią dzienniki, lubo pokrywają to nazwą ruchu ogólnego, który Europę w tym wieku ogarnął. Zawsze jednak przyznać wypadnie, że popęd tego ruchu wyszedł od zachodu. W odezwie swojéj p. Pagodyn także wspomniał o zmianach jakich sobie życzy, a że przemawiał w imieniu stronnictwa które się mieni czysto-rosyjskiem, można się było spodziewać jakiegoś właściwego rosyjskiemu duchowi programatu. Wszelako, lubo artykuł p. Pagodyna skierowany jest przeciw wpływowi cudzoziemców w Rosyi, czyli przeciw polityce niemieckich poddanych rosyjskich użytych w rządzie (jak się tego domyślić można po zasadzie z żalem w rozprawie postawionéj:

„iż wszystkie narodowości używać mają równych praw z narodowością która je podbiła“ — zasadzie, którą p. Pagodyn za wielki postęp uważa, a która jest wszędzie przyjęta, a nawet w Rosyi więcéj niż gdziekolwiek) nie można się w nim dopatrzeć właściwéj cechy co do zmian jakich się spodziewa. Chce wolności handlowéj, wolności przemysłowéj,—wszystkie jego życzenia zastósowane są do ruchu w dziewiętnastym wieku, ruchu kosmopolitycznego i spekulacyjnego. Szanowny profesor zapominać się zdaje mówiąc tylko o zmianach materyalnych, że wolność jest żywiołem który się rozdzielać nie daje łatwo. Wolność handlowa nie obejdzie się bez innych wolności. Przemysł nie może kwitnąć tam gdzie niema wolności osobistéj. Anglicy to nierównie lepiéj pojęli podnosząc głos przeciw przedsiębiorstwu kolei żelaznych. Widzą oni w téj zmianie acz materyalnéj wątek, z którego wiele bardzo zmian wysnuć się musi koniecznie. Zmiany materyalne pociągną za sobą zmiany w organizmie Rosyi, a rząd państwa zastósować się będzie doń musiał. Ztąd owa trudność w odgadnięciu następstw. Stan chłopa rosyjskiego nie może pozostać w tym składzie w jakim jest dzisiaj, nie tylko w obec wolności handlowéj jakiéj sobie życzy p. Pagodyn, ale nawet zmienić się musi w obec lokomotywy.... Może téż profesor z Moskwy wiedział o tém dobrze, lecz chciał tylko mówić, aby zniesiono cła, rachując że wtedy muszą także znieść i pańszczyznę... Czy na tem zyska stronnictwo czysto rosyjskie? to inna kwestya. Lecz Rosya będzie wówczas rzeczywiście państwem, a tego właśnie życzyła sobie Europa.

Że Europa tego sobie życzyła, żadnéj nie ulega wątpliwości... Ileż to nasłuchać i naczytać się można było o owem barbarzyństwie północném, które już skamieniało, niezdolne już do niczego oprócz do najazdów i napadów na inne państwa; — o owym murze chińskim, który

32

otaczał Rosyę i niedopuszczał do niéj żadnéj idei postępu i cywilizacyi!.... I otoż kiedy owe barbarzyństwo przyjmuje cywilizacyę i to nawet czyniąc w niéj prawie *salto mortale*, budując koléj żelazną tam gdzie dróg żadnych nie ma, kiedy mur chiński zwalił się i usunął tak dalece, że zaprasza do siebie obce kapitały; słowem kiedy Rosya pierwszy krok chce uczynić na owéj drodze cywilizacyi dziewiętnastego wieku, towarzyszy jéj zamiast sympatyi, okrzyk obawy i niechęci z Zachodu. Czy dla tego że krok nieco olbrzymi?...Trudno żądać od Rosyi aby się bawiła zawsze koleją żelazną z Petersburga do Carskiego Sioła!... Żądano po niéj, aby weszła w harmonię państw europejskich; ubolewano ciągle nad rozstrojem jéj polityki w ogólnym systemacie. Dziś gdy Rosya zabiera miejsce w owym „koncercie,“ gdy chce wziąść nutę w owéj ogólnéj harmonii, nutę sobie właściwą i odpowiednią, wywołuje przeciw sobie opozycyę, jakby nadużywać chciała swego obecnego położenia. Miałażby to być obawa, aby nuta ta nie głuszyła w owym koncercie europejskim nakształt tułumbasu? Winaż to Rosyi jeżeli takie wznieca obawy? Czyż dla tego ma zostawać w nieczynności i nie starać się o przyswojenie sobie owych środków cywilizacyjnych, bez których przekonało ją doświadczenie, że państwo dzisiaj obejść się nie może?...

Kongres paryski w roku przeszłym zapisał Turcyę w poczet państw europejskich, a cieszył się oświadczeniem pełnomocników rosyjskich, że Rosya działać zamyśla w kierunku cywilizacyjnym, wspólnie i solidarnie z innemi państwami europejskiemi. Turcya, jako państwo europejskie, nie buduje wprawdzie sama kolei żelaznych, ale rozdaje koncesye zwłaszcza Anglikom. Rosya, wzywa obce kapitały do budowy kolei żelaznych u siebie. Skądże nieukontentowanie?... Pomimo wszelkich form, i wszelkich traktatów, ogólna opinia jest przekonaną,

iź Turcya nie jest państwem tylko o tyle o ile ją inne europejskie państwa utrzymują, Rosya zaś jest potęgą w któréj koleje żelazne mogą mieć dla Europy wielkie i nieprzewidziane następstwa. *Inde irae*.... Lecz zanim zaczęto życzyć sobie zmian w Rosyi, i do nich dopomagać, wypadło Europie obliczyć się z następstwami. Teraz za późno.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w maju.

Season krakowski zamknięty. Kto tylko może i ma za co, ucieka na wieś lub do kąpiel, zostawiając spieczony bruk miastowy tym nieugiętym naturom, które umieją pracować bez wytchnienia, tym strusim żołądkom, co zdolne są karmić się kurzawą, tym sknerom z konieczności, których nigdy lekarz nie wysyła do kąpiel zagranicznych, dla których słońce tę ma największą zasługę, że dozwala obywać się bez węgli..... Ależ nie dla nich to ja piszę. Dla nich książka jest zbytkiem, i nie dziw, skoro bywa ona częstokroć zbytkiem tam nawet, gdzie dla samego już mnóstwa i ogromu potrzeb fizycznych i materyalnych, to wszystko co obręb ich przekracza, słusznie do rzędu zbytków policzonėm być może. A przecież całe grono czytelników do tėj niewielkiėj liczby ogranicza się u nas dotąd. Bo nie pisze się u nas dla publiczności, ale tylko dla owėj, że ją tak nazwać można, kasty czytających. Piszący więc, mimowolnie stósować się musi do smaku, nawyknień, przywidzeń nawet i uprzedzeń tėj szczupłėj publiczności swojėj, albowiem nie może powiedzieć sobie: „nie spodobam się jednym, to się spodobam może drugim"—

gdzież bowiem szukać tych drugich? Książka aby zasłużyła sobie na pomieszczenie między rozrzuconemi illustracyami francuzkiemi i almanakami angielskiemi, a mnóstwem onych drobnostek bez nazwy i przeznaczenia które zapełniają stoły i stoliki, pułeczki i wieszadła, nibyto miniaturowe biblioteki i muzea osobliwości, — książka taka musi tchnąć świeżością chwili, mieć wdzięk potworków chińskich, w miejsce których uwagę przez jeden wieczór ściągnać na siebie powinna. Komu z piszących nie dane jest być olbrzymem wzbudzającym do razu podziw rzesz, temu nie zostaje nic innego, jak służyć na zaspokojenie chwilowéj zachcianki wykwintnych smakoszów, zepsutych na korzennéj kuchni, temu starać się chyba przychodzi o nowe środki dla zadraźnienia zobojętniałych podniebień swoich konsumentów. I czemże im tu służyć z ubogiej spiżarni krakowskiéj?

To co dla tłumu stanowiło zajęcie, dla nich żadnéj nie ma wagi: obojętnie jeśli nie z lekceważeniem patrzą oni na zachwycenie tych, którzy tak łatwo zadowolnić się dają. Wystawa obrazów, koncerta, teatr, sztuki konne, woniejące kwieciem kasztany plantacyj—to wszystko znane im lepsze i okazalsze nie dopiero dziś, ale zawsze i wszędzie, ile razy i gdzie się im spodoba. Czem dla nich wystawa obrazów w Krakowie, skoro na każde zawołanie wysadza ich pociąg kolei w Wiedniu, Berlinie, Dreznie, Paryżu lub Florencyi, gdzie wieki i miliony składały się na zgromadzenie razem arcydzieł całego świata? czem koncerta i teatra naprzeciw tamtych? czém cyrk w szopie naprzeciw hippodromu? czem zapach kasztanów naprzeciw durzącéj woni zimowych ogrodów we własnych ich mieszkaniach lub upajającéj atmosfery pomarańczowych lasów południa? A przecież nic innego im w maju ofiarować nie mogę, prócz tego czém maj w Krakowie mógł się tym razem pochlubić.

Ostatnie dni wystawy Towarzystwa sztuk pięknych w tym jeszcze przypadły miesiącu. Przez trzy dni otwarte były sale jéj bezpłatnie, lecz i tak nie starczyły na pomieszczenie kilku tysięcy cisnących się widzów. Trzeba było przyjrzeć się tym twarzom pełnym podziwu i zachwycenia, nieposkramianego zarozumiałością znawców i wytrawnych krytyków, do jakiéj się poczuwa każdy, kto zapłaciwszy 5 złr. na rok, mieni się człon-

kiem Towarzystwa sztuk pięknych. Radość jaka się malowała w oczach tych widzów gratysowych, była radością tak szczerą i prawdziwą, jaką tylko zdolne się przejąć serce dziecka na widok nowéj zabawki. Niejeden z artystów, których pominął wybredny gust nabywców, albo nawet i względy Dyrekcyi, uczułby się sowicie wynagrodzonym za pracę swoją, patrząc jak tam naiwny sąd tłumu oddawał hołd nieuprzedzony zuchwałemu jego kolorytowi i zuchwalszemu jeszcze rysunkowi. Najmniéj zwracały na siebie uwagę krajobrazy, bo kontemplacya nie jest wrodzoną skłonnością i trzeba już pewnego stopnia wykształcenia, aby się zachwycać pięknym widokiem natury, a w następstwie podziwiać wierność w oddaniu tajemnic jéj. Przed jedną z księgarń krakowskich widujemy często wystawiane ryciny kolorowane, któreby zaledwie czyniły zaszczyt budzie jarmarcznéj na odpuście mogilskim; a jednak trudno się przecisnąć przez chodnik przed tą wystawą sklepową. Trzy dni wystawy sztuk pięknych nie zdołają zatrzeć artystycznego wpływu owéj wystawy sklepowéj na smak ogółu. Myliłby się więc ktoby mniemał, że ta kilkutysięczna rzesza zwiedzająca sale Towarzystwa sztuk pięknych, przybywa oddać bezpłatny hołd sztuce: jest to po prostu ciekawość i nic więcéj; niechaj ich nie uwodzi śród tego tłumu ów krytyk apellesowy, który ośmiela się sąd swój przenieść z buta na kolano. Krytyk ów nie jest bynajmniéj typem bezpłatnego widza, lecz raczéj owego szeregu pseudoznawców, którzy czepiają się wad w malowidle, dla tego że niezdolni odkryć zalet jego.

To wszystko co ma jakikolwiek ze sztuką związek, należy u nas jeszcze do zbytkownych wymysłów, utrzymujących się jedynie pewnem wysileniem, chęcią naśladownictwa innych, ale dotąd nie przeszło to jeszcze w krew i życie narodu, w prawdziwą jego potrzebę. Już i tak wiele, że ten nieliczny a dość oszczędny poczet miłośników sztuki zdoła ją utrzymać przy życiu i nowemi zapomagać siłami. Gdyby też same usiłowania skierowano ku innéj, a większy jeszcze wpływ wywierającéj gałęzi sztuki, to jest ku sztuce dramatycznéj, możebyśmy poszczycić się mogli i teatrem wyższéj niż dziś wartości.

Z dniem zamknięcia zimowego kursu grona aktorów polskich w Krakowie, w chwili wyjazdu ich na „artystyczną“ wędrówkę za ciężkim zarobkiem przez ciąg kilku miesięcy letnich, godziłoby się pomyśleć nad środkami podźwignienia sceny. Nie podzielam ja zdania tych którzy szkołę moralności chcieliby przenieść z ambony na scenę, ale może się ona stać szkołą języka, przybytkiem oświaty, a szlachetniejszą nad inne nastręczając rozrywkę, może i powinna uzacniać serca słuchaczy, podnosić umysł i dzielność obudzać.

Czy tych wszystkich warunków scena nasza dopełnia? czy dopełnia chociaż jednego z nich? i czyja w tém wina? dyrekcyi, aktorów, publiczności, lub niezależnych od nich stosunków? Zaprawdę trudno rozłożyć na każdą z tych stron obwinionych, dokładnie obliczoną cząstkę ogólnego zarzutu — niepodobna stanowczo orzec, ile na ten smutny stan składają się: nieudolność dyrekcyi, zarozumiałość i brak pracy aktorów, obojętność lub niestósowne zachowywanie się publiczności, wreszcie niepewność stanowiska dyrektora i utrata znacznéj części zasiłku publicznego. Wszystkie te okoliczności wpływają na siebie nawzajem, łączą się i składają się razem na upadek sceny.

Nikt po dyrektorze jako człowieku prywatnym, niema prawa wymagać poświęceń materyalnych, ale każdy ma prawo wymagać, aby poświęcił on swoje uprzedzenia, które mogły były w swoim czasie uchodzić za znawstwo, lecz niezgodne są już z dzisiejszym stanem literatury, z kierunkiem sztuki dramatycznéj i wymaganiami téj części publiczności, która jest w stanie zasilać kassę teatralną. Większa liczba tegorocznych przedstawień teatralnych składała się ze sztuk zupełnie już zaniedbanych i dawno wyrzuconych z repertoaru miasteczkowych nawet teatrów. Cała ich nowość polegała na nowym tytule, a cała wziętość na ogromnym czerwonym afiszu. Prawda, że dyrekcya repertoaru nie stwarza, i ma go takim jak go jéj piśmiennictwo użyczy; ależ są sztuki nigdy jeszcze nie przedstawiane, są i arcydzieła nigdy się nie starzejące, są wreszcie inne które wymagają umiejętnego tylko przerobienia, aby je scenicznemi uczynić. Wielki to prawda ciężar na jedną głowę, możeby się jednak znacznie zmniejszył, gdyby dyrekcye zna-

czniejszych teatrów polskich podzieliły go między siebie, a wzajemném wspomaganiem się, wspólnemi kosztami na pomnożenie repertoaru, zapewnieniem autorom stósownych do możności choćby skromnych udziałów w korzyściach, użyczaniem sobie nawzajem aktorów na role gościnne, podniosły wspólnie swe siły, zasoby i środki. Niepewny stan Dyrekcyi teatru polskiego w Krakowie nie małą téż jest dla niéj przeszkodą w ustaleniu się i zagospodarowaniu na przyszłość. Dzierżawy dóbr wypuszczane na krótki przeciąg czasu, nie mogą podnieść gospodarstwa. Dzierżawcy idzie wtedy o to tylko, aby wydawał jak najmniéj a brał jak najwięcéj, nie myśli on ani o uprawie ziemi, ani o nakładach, w następnych dopiero latach mogących przynieść korzyści. Tak się i z teatrem dzieje. To też idzie z roku na rok tym dorywczym trybem.

Niedostatki sceny w wielkiéj części ciężą i na aktorach. Nie samo tylko wyuczenie się roli na pamięć jest warunkiem gry dobréj. Potrzeba do tego jeszcze studyów i historycznych i towarzyskich; potrzeba wewnętrznéj pracy dla przetrawienia tego co się nauczyło; potrzeba pracy i fizycznéj dla przyswojenia sobie pewnych form, dla nauczenia się panowania nad własnym głosem, ruchem i giestami; potrzeba wreszcie zamiłowania stanu i poświęcenia mu wszystkich sił swoich, wszystkiego czasu swego, wszystkich myśli swoich. Praca tylko ciągła wyrobić zdoła wrodzone zdolności i podnieść aktora do wysokości artysty. Żaden malarz, żaden muzyk, żaden aktor nie stanął od razu artystą, bo największa zdolność wrodzona, genialność nawet, potrzebują pewnego mechanizmu do oddania wewnętrznych popędów. Mechanizm ten musi być wypływem wiedzy i umiejętnością praktyczną, a zatém owocem pracy umysłowéj i fizycznéj zarazem.

Muzyk który popisuje się utworami obcego kompozytora, jest tem względem niego, czem aktor względem pisarza dramatycznego. On dopiero nadaje znaczenie i wartość kompozycyi; zanim jednak zdoła być wiernym jéj przedstawicielem, musi poprzednio mechanizm swéj sztuki doprowadzić do téj doskonałości, aby palce jego były najdokładniejszemi narzędziami myśli kompozytora, przelanéj w umysł i czucie wykonawcy.

Wieniawski Henryk zachwycał nas niedawno grą swoją, a był jedynie wiernym tłumaczem wielkich utworów muzycznych, bo nie tylko że pojął i zrozumiał każdą myśl onych, ale miał jeszcze na zawołanie powolny smyczek i gibkość palców, narzędzi ich oddania. Takie narzędzia winien mieć i aktor, jeśli chce zasłużyć na miano artysty dramatycznego. Ażeby je uczynić posłusznemi woli swej, potrzeba mu tyle pracy co skrzypkowi, którego ręka przebiega całą skalę tonów i całą metrykę rytmiczną.

Część odpowiedzialności za stan teatru musi przyjąć na siebie i publiczność. Nie idzie tu o to aby nakładać na nią haracz biletowy i kazać jéj przez wzgląd na kasę teatralną poziewać przez trzy godziny, albo co gorsza, zżymać się na widok krzyczących usterek i drażnić sobie nerwy fałszywą grą aktora, jak się je drażni fałszywem rzempoleniem chybionego wirtuoza. Ale jakże tu żądać dobrych sztuk i gry dobréj, kiedy doświadczenie mówi na przekor rozumowi, że ramota sklecona ze steku głupstwa i wybryku płaskich dowcipów lub rubasznych żartów, stokroć lepsze znajduje powodzenie, niż dzieło, przedmiotem swoim, pomysłem i układem prawdziwie dramatyczne; jakże wdrożyć w aktora przekonanie o potrzebie jego artystycznéj dążności, kiedy źle osłoniony dwuznacznik, skoro mu naciskiem głosu zrozumialsze nadano znaczenie, huczne wywołuje oklaski, a natomiast najlepiéj pojęty i wydany odcień uczucia uchodzi oka i ucha widzów lubujących się tylko w jaskrawości gry. A ponieważ w szopie na plantacyach żarty błaznów były jeszcze jaskrawsze, ponieważ konie w tamecznéj ujeżdżalni daleko były uczeńsze, niżeli w teatrze koń „Napoleona w Hiszpanii“, niedziw przeto, że w oczach publiczności porównanie wypaść musiało na korzyść szopy.

Czyż więc wystawa obrazów, koncerta, teatra, a w ogóle sztuki, nie są jeszcze dotąd zbytkownemi wymysłami, utrzymującemi się jedynie podniecaném ciepłem w téj surowéj strefie naszéj? Przyjąć się one wprawdzie z czasem mogą i przyswoić, ale wymagają poprzednio wielkiego pielęgnowania, zanim wzmogą się w siły. Takie jak dziś są, łatwoby jeszcze przygłuszyć się dały pasożytnym roślinom, które wznosząc się po nich, roz-

winęłyby korony kwiatów swoich po nad wyschłe ich gałęzie.

Nie należy jednak opuszczać rąk w zwątpieniu. Nigdzie sztuka nie była rodzimą, ale dopiero jak kwiat cywilizacyi wybujała skutkiem pracy, usilności i zachodu. Jeszcze w drugiéj połowie zeszłego wieku sztuka dramatyczna w Niemczech na tak niskim stopniu doskonałości stała, że znakomity Iffland przechodzić musiał przez wszystkie role improwizacyjne „hanswurstów", zanim zdołał idee społeczeńskie przenieść na scenę, że daleko późniéj jeszcze, Goethe złożył urząd swój przed „psem Aubrego". Otóż wszystko co mi pozostało z wrażeń zamkniętéj teraz pory miejskich zabaw i zajęć. Woń kwitnących kasztanów na plantacyach dolatująca okien moich, wabi mię i nęci, i każe zapominać o wystawach, teatrach, koncertach. Drzewa tak pięknie zielone, jakich nie ujrzy na pejzażu albo dekoracyi teatralnéj, świergot ptasząt koncertem mi letnim, a w grupach przechadzających się osób napotyka się nieraz tak doskonałych aktorów i aktorki, że gdyby wierzyć słowom, ruchom i spojrzeniu, możnaby zaprawdę zapomnieć, że to tylko wybornie wyuczone role.

Lwów w maju.

Kto z nas nie śpiewał kiedyś piosenki:

.... piękny Maj
Zieleni się błoń i gaj.

Możnaż ją dziś zaśpiewać skoro na plecach cięży surdut watowy lub modniejszy raglan? Nie jest że to ironia i czasu i piosenki. Zaprawdę, ten zimny maj— swoim sybirskim oddechem czy chce wyziębić wszystkie lepsze tradycye o maju w sercach i w pamięci: owe przypomnienia szkolnych majówek, kiedy to niebo było tak wesołe, tak świąteczne, kiedy bory i lasy i pola oddychały wonnem powietrzem wiosny, kiedy piłka lub balon leciały gdzieś w pogodny czysty błękit nieba wraz z sercem i myślą.... Dziś to niebo tak

posępne, te chmurzyska pędzą jedne za drugiemi jak czarownice na górę święto-krzyską. Każdy na ulicy skrzywiony, otulony, z nosem *ex officio* spuszczonym— na kominku ogień milszy niż to słońce, co czasem z za chmur, jak staruszka z zapiecka zęby wyszczérzy. Jestże to maj? Zaiste nie! Mówcie ilekroć wam się podoba, że siwa głowa patrzy zwykle przez okulary zamrożone; ja twierdzę i biorę na świadki nie tylko siwe lecz czarne głowy i białogłowy, że maj jest brzydki i zimny, że nawet czasem w nocy nielada mrozik cichaczem sobie przylazł; że na ś. Zofię trudno było o kwiaty, i że dotąd, jeśli się gdzie zjawią w sklepach ogrodniczych fiołki, lewkonie lub róże, trzeba za nie *po lwowsku* zapłacić. Oddawna słyszę, że odmiany w powietrzu a jeszcze bardziéj wyjątkowe klimatyczne zdarzenia wywierają wpływ na wielu ludzi, szczególnie zaś na tych, których własna natura, lekarz lub moda ochrzciły na nerwowych. Takich ludzi nie rzadko zdarza się widzieć, a w tegorocznym maju widać ich dość gęsto, jak chrząszcze za dawnych naszych majów. — Spotkałem niedawno jednego z takich „*noli me tangere*“ i zarzucił mię zaraz nawałem złych nowin: — złe ceny zboża — dotąd nie pokończone zasiewy — grasująca zaraza bydła — szczupły dochód z własnego domu we Lwowie, bo zaledwie dwa odsetki od kapitału — niesforność sług— wielkie wydatki w mieście — niski kurs akcyj — jakaś wyprawa weselna — termin datku 12 złr. na towarzystwo rolnicze — i tysiąc innych wielkich i małych bied życia domowego i krajowego.

— Trzeba uciekać, trzeba wyjechać gdzie za granicę do kąpiel, bo tu kłopoty zniszczyły już zdrowie moje.

— A dokąd WPan Dobrodz. wyjeżdzasz, zapewne do Karlsbadu lub do Spa?

— Może, może — muszę się zapytać Ziębickiego lub Nowińskiego. *A propos*, wciąż piszą o téj Ristori w Paryżu. Niedawno *Czas* coś wspomniał, że owa sławna Rachel uciekła przed nią do Egiptu — no, to proszę WPana, to przecież warto widzieć, niech mi kto mówi co chce.

— A zapewne, kto ma sposobność...

— No na przykład, ze Spa znowu nie tak daleko do Paryża. Prawda, że do Spa jechać muszę na Wiedeń,

i to też jedna trudność. Ale cóż dziś znaczą przestrzenie, odległości, przy kolejach żelaznych?

— A dla czegóż WPan Dobrodz. nie prościéj, na Wrocław, Drezno?

— Chciałbym być w Wiédniu, już parę lat nie byłem tam. Jest i tam co widzieć — i my postępujemy naprzód z cywilizacyą. — Opowiadał mi mój sąsiad o zakładzie, co to francuzi nazywają *crédit mobilier* — warto bliżéj poznać instytucyę tak potrzebną.

Zrozumiałem.— Zdaje się, że nerwowych takich znajdzie się więcéj, po tym tak nielitościwie zimnym maju. Ha, niech jadą do Spa — byle przecież nie przez *crédit mobilier*, bo to jakoś za daleko z drogi dobrze obliczonéj i rozważonéj.

Dla tych co w domu zostaną, może się przydadzą niektóre wiadomości dotyczące rzeczy krajowych. Niemiałem dotąd sposobności przytaczać takowych w moich korespondencyach. Spełnia ten obowiązek kto inny w dzienniku waszym, mnie przyszło ograniczać się na rzeczach miejscowych. Lecz gdy oblicze naszéj stolicy nieruchliwe i rysy jéj tak nieodmienne, jakby je sobie na wieczystą dzierżawę zamówiła, więc uciekam się do rzeczy krajowych, jako większą publiczność obchodzących.

Są wiadomości z Wiednia, ze źródła bardzo poważnego, że minister sprawiedliwości nakłonił się do przedsięwzięcia stósownych kroków, aby w sporach o zwrócenie rzeczy wydzierżawionych, postępowanie prowizoryczne zastósowane było jak dawniéj.

Rozeszła się téż wiadomość, że w wielu miejscach urzędy powiatowe zażądały od obywateli wiejskich szczegółowych doniesień o kosztach utrzymania czeladzi (parobków i dziewek) po folwarkach. Ile nam wiadomo, żądano tych dat, aby mieć podstawę do oszacowania kosztów robocizny przy gospodarstwach użytéj, które to koszta przy szacunku katastralnym gruntów uwzględnione być mają. Mojém zdaniem, należałoby w podawaniu tych dat postąpić nie z zwykłą nam dorywczością, aby tylko zadosyć uczynić wezwaniu, ale z całą ścisłością rzetelnego i sumiennego rachunku i w zupełnie bezstronnéj prawdzie. Mylne podania mogą w każdym razie obrócić się na szkodę tego, co mylnie rzecz płacy przedstawił. Następstwa te tak są oczywiste, że nie

wiele wymagają zastanowienia. — Jeżli więc ktokolwiek wspomnione koszta, jak mówię dorywczo i niedokładnie już podał, najrostropniéj byłoby, żeby podanie mylne sprostował. — Brak wprawy naszéj w interesach i brak ścisłości w ich dopilnowaniu, wiedzie nieraz za sobą pomyłki i własny nasz uszczerbek. Z tego to względu obawiać się należy, żeby przy następującéj regulacyi czyli reluicyi służebnictw polowych i leśnych ogłoszonéj 24 kwietnia r. b. w *Gazecie lwowskiéj* i w *Czasie* powtórzonych, z terminem podania gotowych operatów na 15 sierpnia r. b. przez niedopatrzenie rzeczy niejeden uszczerbku nie doznał. Termin ten jest tak krótki, że zaledwie dokładnie rozpatrzyć się można w edykcie ogłaszającym reluicyę i, że tak powiem, wyuczyć się tego, co w nim zażądano. Nadto przypadł ten edykt w porę kiedy obywatele ziemscy i ich oficyaliści robotami polnemi zajęci nie znajdą czasu ani na prędce sił odpowiednich do wypracowania operatu żądanego, który jednak nie małe przedstawia trudności. — Najstosowniejszy czas do tego byłby po ukończeniu żniw, lub zima, jako najmniéj zajęte pracą gospodarską. — Jak wiadomo, wystawa wiedeńska ściągała uwagę powszechną krajowych i postronnych. Mamy wiadomość, że obywatele nasi skupili tam dość narzędzi gospodarskich, bydła i cokolwiek jest nowe w zawodzie rolniczym, o ile się to da zastósować do okoliczności klimatycznych i innych w kraju naszym.

Śpiewaczka Tietjens i tenor Walter przybyli z Wiednia do Lwowa na role gościnne. Pierwsza występywała już w operach „Ernani“ i „Norma“. W obu razach teatr był przepełniony, mimo twierdzeń pewnego młodego artysty, że Lwów nie ma zmysłu i pojęcia dla sztuki. Lwów niechce być sędzią w własnéj sprawie, ale w rzeczach sztuki, to jedno wié doskonale, że sztuka równie jak mądrość niema przywileju na niegrzeczność.

Jeszcze coś z pola literatury. Niejaki ksiądz Małyszewicz z Litwy oznajmił za pośrednictwem pism peryodycznych warszawskich, że ma w swéj bibliotece między innemi rękopismami kodeks Kroniki Wincentego Kadłubka nieznany po dziśdzień bibliografom polskim i że gotów jest sprzedać go za cenę trzystu rubli srebr-

nych. Podał też niektóre szczegóły bliższe dotyczące tego rękopismu. Znany miłośnik i znawca podobnych pomników, Wiktor hr. Baworowski, zgłosił się do niego o nabycie tego kodeksu z gotowością złożenia podanéj ceny, jeźli kodeks we wszystkiem zgadzać się będzie z opisem w gazetach umieszczonym. — Wyszły także z pod prasy: *a*) Ustawy zakładu narodowego imienia Ossolińskich w 8ce. Lwów 1857. *b*) Sprawozdanie z czynności zakładu narodowego im. Ossolińskich od 1 lipca 1851 do 12go października 1856 przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego w 8ce Lwów 1857. *c*) Instrukcya dla urzędników kassy i rachuby Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, w 4ce, Lwów 1857.

Wiedeń w maju.

Przyszliśmy nareszcie już nie bez trudności do wiosny, jeżeli wiosną nazwać można upał prawie nie do zniesienia w dzień, i przenikający wiatr wieczorem. Ranki bywają przyjemne. Pomimo tego, świat modny w godzinach tylko popołudniowych i wieczornych daje się widzieć na przechadzkach. Ubiory dam odznaczają się na tych popisach rozmaitego rodzaju smakiem. Moda nie ma tu jak gdzieindziéj wyraźnie ustalonych praw. Ile głów, tyle rozmaitych, co do przyboru przynajmniéj, kapeluszy, a w sukniach, szalach i mantylach jeszcze większa mieszanina. Ogólna pretensya, żeby wszystko to było lekkiem, świeżem i jakby wydmuchanem. Ile zkąd katarów, bólów gardła i piersi, o têm zaświadczą chyba lekarze lub głośny w teatrach kaszel. Na pociechę, lub dla wymówki, każdy sobie powtarza, że w téj porze roku niezwykłe to w Wiedniu choroby. Mniéj im wszakże ulegają mężczyzni, którzy w ogólności trzymają się ubiorów cieplejszych. Surdutów letnich jeszcze prawie nie widać, gdy przeciwnie muszliny, perkale i bareże powiewają szumnie we wszystkich koczach i karetach. Bądź co bądź, przechadzki publiczne, a zwłaszcza *Prater*, pełne życia i ruchu. Znaczna część rodzin bogatych, a osobliwie węgierskich, które towarzyszyły Cesarstwu w podróży do Pesztu, jest z powro-

tem i bierze w tém życiu stolicy świetny udział. W powozach mało zmiany: lecz natomiast w koniach odbywa się pewien rodzaj walki o przepych i pierwszeństwo. Po cesarskich, zaprzęgi Arcyksięcia Wilhelma górują nad wszystkiemi innemi. Wyjeżdża on najczęściej czwórką: zawsze sam woźnicą i w odkrytym powozie. Zaprzęgi angielskie księcia Lichtenstein i księcia Schwarzenberg są piękne. Młodzież tak wojskowa jak i cywilna zwija się w parokonnych faetonach tak wysokich, że damy wstępować w nie muszą po drabinach. Francuzkich kabryoletów i angielskich tenderów o dwóch kołach, Wiedeń dotąd sobie nieprzyswoił. Zdaje się, że spadzistość niektórych ulic i śliskość bruku, są téj ostrożności powodem.

Mieliśmy tu, jak wiecie, w tym miesiącu, ciekawość rzadką, nadzwyczajną, i która przez dni ośm trzymała od rana do wieczora na nogach tłumy ludu. Była to 50letnia wystawa rolnicza. Dzienniki dały jéj ogólny obraz i opisały jéj szczegółową wartość. Znudziłbym mych czytelników bezwątpienia, gdybym poszedł za ich przykładem i powtórzył choć w skróceniu te sążniste rozprawy. Czybym przekonał kogo, że lepiéj korzystać z machin do uprawy roli lub zbierania i czyszczenia zboża, niż narzekać ciągle na drogość i brak rąk? nie wiem. Poprzestaję przeto na doniesieniu ogólném, że machin i narzędzi takowych było na wystawie 1823, i że wszystkie prawie rozkupionemi zostały, po większéj części do Czech i Węgier. Widziałem między niemi bardzo proste i do użycia łatwe, obok innych których olbrzymia postawa i trudny, ale siłą parową poruszany mechanizm, wprawiały uwagę znawców w pewien rodzaj podziwienia. Pytałem się małéj liczby ziomków, których napotkać mogłem, czyby w Galicyi zaprowadzenie i upowszechnienie tych wynalazków było trudniejszém niż w innych prowincyach, i wyznaję, że odpowiedzi zawarte w ogólnych wyrazach jak n. p. „że to tylko kłopot, że lud galicyjski tych rzeczy nierozumie, że zepsutéj machiny niebyłoby ani komu ani gdzie naprawić“ nie trafiły do mojego przekonania *). Tak mówiono przed kilku

*) Od kilku lat zaczynają się w Galicyi rozpowszechniać machiny rolnicze, czego dowodem nie tylko założenie kilku fabryk machin

jeszcze latami w Niemczech, przed kilkudziesięciu we Francyi i Anglii. Lud węgierski, albo nawet czysto niemiecki w Austryi, czyż ma więcéj pojęcia i wykształcenia umysłowego i przemysłowego niż lud galicyjski? Widziałem przykłady na własne oczy o mil kilka od Wiednia, przy Neustadt, w dobrach ogromnych należących do Arcyks. Rajnera, które teraz trzyma w dzierżawie baron Ward, dawniejszy minister i poseł Parmy przy tutejszym dworze. Trzy lata temu Arcyksiąże znudzony nieładem administracyi i szczupłością dochodów, dziwi się teraz ile razy słyszy mówiących o urządzeniach, porządkach i wzorowych sztucznych zakładach, które baronowi Ward obfitym już się wypłacają datkiem. Dyplomata, człowiek polityczny, dworak.... stał się agronomem i miał do czynienia, jak mię zapewniał, z ludem do nieporządku i nałogów przyzwyczajonym; lecz nie lękał się pracy: zrobił pierwsze potrzebne wydatki i urządził w trzech latach całe obszerne gospodarstwo w sposób nie tylko wzorowy, ale pożyteczny. Toż samo zamierza zrobić i pewnie dokaże hr. Karoly w dobrach swoich. W majątkach barona Sina i księcia Koburg Kohary, już ulepszenia podobne są zaprowadzonemi, i książe na wystawie badał pilnie wszystko coby się u niego jeszcze zastósować dało i powiększyć mogło. Początki wszędzie i we wszystkiem trudne, lecz praca i doświadczenie przekonały już świat cały, że tak w rolnictwie, jak w przemyśle, na dawnych drogach pozostać ani można, ani się godzi pod względem nawet własnego dobrze zrozumianego interesu. Wystawa w *Augarten* oddała w téj mierze Austryi niemałą przysługę. Fabrykanci machin i narzędzi rolniczych mogli się przypatrzyć wzorom francuzkim i angielskim, a kupcy mogli śmiało i bez obawy nabywać te lub owe i nowe czynić obstalunki. I to, zdaniem mojem było najważniejszą i najkorzystniejszą stroną téj uroczystości prawdziwie narodowéj. Każdy co chciał i umiał patrzeć na tę massę rozmaitych produktów, które żyzna z natury ziemia tak obficie i w tak pięknych kształtach sama dotąd dawała, mógł się przekonać, że z ulepszeniem uprawy roli i udoskonaleniem

---

w kraju, ale i wystawy gospodarcze, gdzie machiny rolnicze znaczny stanowią oddział. (P. R.)

środków gospodarstwa, Austrya śmiało w krótkim czasie o pierwszeństwo pod wielu przynajmniéj względami, z innemi krajami walczyćby mogła. Ci nadto, którzy rozmawiali z ludźmi praktycznymi i z gospodarzami będącymi już na téj drodze, mogli się przekonać z ich rozmów i zapewnienia, o niezliczonych i niechybnych stąd płynących osobistych korzyściach. Rolnictwo dla Austryi jest i musi być głównem jéj bogactwa i dochodów tak publicznych jak prywatnych, źródłem. Przemysł we właściwym tego wyrazu znaczeniu, o tyle tylko może się rozwinąć, wykształcić i udoskonalić, o ile na téj wesprzeć się potrafi podstawie. Podniesienie więc i ulepszenie gospodarstwa rolniczego należy w Austryi do pierwszych potrzeb i do najważniejszych zadań. Oprócz machin, główną w tym zawodzie grać muszą rolę ludzie i zwierzęta domowe. Edukacya pierwszych i hodowanie drugich, powinny zwrócić pilną uwagę rządu i właścicieli. Podziwiano na wystawie piękny ubiór, zdrową budowę i silny wzrost mieszkańców wiejskich różnych krajów, lecz ręczyć możnaby z pewnością, że liczba między niemi umiejących czytać i pisać niemieckim lub narodowym językiem, była zbyt ograniczoną. Zajmowały wzrok i uwagę bydło tak rogate, jak konie i ptastwo, lecz kto był na wystawie w Paryżu, lub zwiedzał inne kraje, ten czuł, iż pozostaje wielka jeszcze między niemi a Austryą w tej mierze różnica. Ogrodnictwo w ogólności zdaje się być na niskim w niektórych zwłaszcza prowincyach, stopniu. To cośmy widzieli w kwiatach i owocach, podobać się mogło powierzchownością ciekawemu tłumowi, lecz nie zaspokoiło wymagań znawców. Jednem słowem, wystawa teraźniejsza, jakkolwiek chlubna pod względem świadectwa o przeszłości, o tyle będzie miała prawdziwéj wartości, o ile stanie się bodźcem i skazówką na przyszłość. Życzyćby przeto należało, żeby Towarzystwo Gospodarcze, któremu się należy zasługa za urządzenie teraźniejszego popisu, nie czekało lat 50 dla zaspokojenia skierowanéj od dziś dnia w tę stronę ogólnéj ciekawości.

Po wystawie, głównym rozmów i zajęcia dla tutejszéj publiczności przedmiotem, są dwa olbrzymy: Pan Murphy i panna Gossmann. Pierwszy olbrzym fizyczny ledwo się zmieścić może w sali *Musikverein*. Dla drugiéj,

którą uważają za olbrzyma artystycznego, sala teatralna Burgu jest za małą. Pan Murphy ma lat 20; panna Gossmann 18; mogą więc jeszcze rość, każde w swojém przeznaczeniu. Lecz rzecz niezawodna, że tak p. Murphy pod względem wzrostu, jak panna Gossmann pod względem sztuki zasługują istotnie na to podziwienie, które wywołali w Wiedniu. Teatr Burgu potrzebował dobréj artystki, i może się poszczycić zdobyczą. Panna Gossmann ma rzadkie temu powołaniu odpowiednie przymioty i niepospolite już wykształcenie. Dobre wzory, praca i rozsądna krytyka, utorują jéj drogę do ustalenia téj sławy, którą już ją otacza wdzięczna, lecz może nazbyt pochopna publiczność.

Opera włoska przyciąga co wieczór tłumy lubiące muzykę piękną i oddaną z talentem. Pani Medori w „*Normie*“ przypomniała mi niezrównaną dawniéj pannę Grizi. Pani Charton-Demeur zajęła stanowczo pierwsze miejsce w rolach wesołych i kolorowanych. Panna Leśniewska odbiera rzęsiste i zasłużone oklaski za każdem wystąpieniem na scenę. Panie Brambilla i Lotti dalla Santa wzbudzają prócz przyjemności, nieraz podziwienie tak pod względem głosu jak sztuki. Pan Everardi jest niezrównanym barytonem w operach Rossiniego. Prawie wszyscy członkowie téj prawdziwie zadawalniającéj kompanii wrócą do Wiednia na przyszłą wiosnę.

W salonach arystokratycznych, artyści i muzyka włoska znajdują coraz lepsze i względniejsze przyjęcie. Przed kilku dniami panie Medori, Brambilla i pp. Bassini i Rossi śpiewali na koncercie u księcia Schönborn. Dwie wyżéj wymienione artystki i tenor p. Bettini odbierają zaproszenia na obiady do posła neapolitańskiego ks. Petrulli.

W innych teatrach nic nowego. Otwarcie teatru letniego w *Fünfhaus* nastąpiło temi dniami. Publiczność zaczyna przekładać nad teatra przechadzkę po publicznych ogrodach, gdzie jak zwykle, słyszy się zła lub dobra muzyka i pije się jakaś kawa lub piwo.

Berlin w maju.

Przeniewierzyłem ci się, szanowny Redaktorze, nie nadesławszy korespondencyi za miesiąc ubiegły. Wyjazd do Księstwa, dla przepędzenia świąt wielkanocnych, tych prawdziwych panateneów naszych — nieznanych w Atenach nad Sprewą — w kole rodaków, sprawił, żem nie pośpiał na czas dopełnić mego obowiązku. Spodziewasz się zapewne, że niniejszym listem, ściągając dwa miesiące w jeden, zapełnię tę kronikarską próżnię? Nie przypuszczasz, aby miesiąc cały mógł upłynąć, żeby się w mieście takiém jak Berlin nic nie stało. A nużby tak było? Bo, prawdę mówiąc, gdybyś mi nawet zeszrubował głowę neapolitańską maszyną milczenia, nie wiem, czybyś mi dziś, w drugiéj połowie maja, przywołał w pamięci to co się w miesiącu kwietniu zdarzyło w Berlinie. Albo może żądasz, obstając przy swojém, żebym odczytał dzienniki z ubiegłego miesiąca, i z znalezionych w nich ciekawszych szczegółów ułożył zaległą kronikę? To, proszę, byłoby większém jeszcze z twéj strony okrucieństwem. Wolę, żebyś użył do przywrócenia mi pamięci maszyny milczenia, jeżeli żądaniu twemu ma się koniecznie stać zadość. Może się jednak dasz ubłagać i wnijdziesz zemną w układy. Wszak to czas konferencyj. Polak, nie miałbyś iść za duchem czasu? Cóżbyś więc rzekł na to, gdybym ci na zapełnienie zadłużonéj kroniki kwietniowéj proponował n. p. traktat o porze wiosennéj? Zżymasz się na taką propozycyą? Alboż to sam ostatniéj kroniki krakowskiéj nie zacząłeś od stanu kwietniowego powietrza, i nie okazałeś rewolucyjnych skutków jego na tegorocznym jarmarku krakowskim na ś. Wojciecha? Alboż od niego nie zaczął kronikarz lwowski, a za nim kronikarz wiedeński? Za cóż ja miałbym być gorszym lub lepszym od ciebie i drugich? Wszystkim służy równa wolność w doborze przedmiotów opisu przeznaczonych do kroniki. „*Hanc veniam petimusque damusque vicissim*". Miałżebyś instynktem krakowskim przeczuwać, że wiosna berlińska w kwietniu nudniejsza jeszcze jest niż sprawa neufchatelska? Cóż, gdyby i tak było? Nie wypada przecież jeszcze ztąd, aby i opis jéj miał być ta-

ki. Zgodzisz się więc, spodziewam się, na moję propozycyą.

Nie tak łatwo, jak mniemasz, mój wiosno-luby kronikarzu. Najprzód, muszę ci powiedzieć, że zanadto lekko traktujesz mi bieżące wypadki berlińskie, nie zapisując ich, jak drudzy czynią, pojedyńczo i w swoim czasie w kronice miesięcznéj, przez co odbierasz téjże właściwe jéj przeznaczenie. Ale, skoro raz inną poszedłeś drogą, muszę ci, powtóre, z formalnych przyczyn, odmówić prawa odwoływania się do służącéj drugim kronikarzom wolności w doborze zapisujących się wypadków. Ty sam się wolności téj pozbawiłeś. Patrz w kontrakt Mefistofilu. W nim stoi spisany cały plan, według którego przedsięwziąłeś, i przedsięwziąwszy zacząłeś kreślić kronikę berlińską. Skończywszy rozdziały o muzyce, o malarstwie i o rzeźbiarstwie, wypadałoby ci w porządku rzeczy mówić o budownictwie, ostatniéj sztuce pięknéj, zostającéj pod wpływem zmysłu wzroku, którym naznaczyłeś drugą główną część swego kronikarskiego cyklorama stolicy pruskiéj. Masz nadto jeszcze przed sobą trzecią, czwartą i piątą część główną, mające przedstawić świat zmysłów powonienia, smaku i czucia, których się jeszcze nie tknąłeś. A ty przerzucić się chcesz, ni ztąd ni zowąd, w świat szóstego zmysłu, ogarniającego i wyzyskującego w widokach cywilizacyjnych funkcye i skutki wszystkich innych; zmysłu, który nazwałeś wykrętem, i za radą jego chcesz zapełnić pozostawioną próżnią kroniki kwietniowéj jakimś traktatem o wiośnie, któréj dalibóg nie było w Berlinie, skoro jéj nie było w Krakowie, Lwowie i Wiedniu. Jeżeli nie masz lepszéj osnowy na zapełnienie téj próżni, pisz sobie, stosownie do planu twego, o budownictwie. Będzie to w samę porę dla nas, zajętych prawie wyłącznie myślą i projektami budowy domu dla naszego Towarzystwa Naukowego.

Zimną wodą oblewasz wiosenny mój zapał, surowszy nad miarę dobrych chęci moich monitorze! Miałżebyś i majową kronikę pisać siedząc w ciepłym pokoju otulony szlafrokiem, że nie chcesz nic słyszeć o moim traktacie wiosennym? Albo takli mało masz zaufania w mojéj wyobraźni, że się nie spodziewasz, abym w przedmiocie starym jak świat, ośpiewanym i oklepanym przez

tylu poetów i poetastrów, przez tylu wierszopisów i wierszokletów, przez tylu wieszczów zrodzonych i tylu wieszczów zrobionych, zdołał wykryć jednę myśl nową, chociażby to była wiosna berlińska? Czyniłbyś mi krzywdę, tak myśląc.

Najprzód, trzeba ci o tém wiedzieć, że dzisiejszy kronikarz twój był jeszcze małém dziecięciem, a już czuł w sobie żądzę kosztowania powabów i wrażeń wiosennych. Wiedział o najmniejszém gniazdku ptaszém w ogrodzie i w polu; potrafił chrząszcza przepuścić po grzbiecie nosa; wypatrzył i zerwał każdy fiołek, zaledwo z trawki wyskoczył; umiał linić sobie piszczałki wierzbowe, gadając nad niemi, bijąc je pręcikiem lub trzonkiem noża, tajemne słowa zaklęcia, powtarzane w pewnym rytmie, pozostałe dotąd w pamięci:

Uliń mi się piszczałeczko,
Bo jak mi się nie ulinisz,
To cię rzucę przez dwa płoty,
Podzióbią cię dwa kokoty.

i zagrać potem znaną i powtarzaną wszędzie wiosenną nutę ludową. Jeszcze téj wiosny kronikarz twój, wyszedłszy przed kilku dniami za miasto, nie mógł wstrzymać się, zobaczywszy gładką wierzbę, od odcięcia z niej najpiękniejszéj gałązki i zrobienia sobie téj czarownéj fletni, przez którą wiek dziecięcy na ziemi naszéj słyszy i wciąga w siebie pierwsze tajemne tchnienia duszy narodowéj. Ręczę, że na tęskny, przeciągły dźwięk odwiecznéj wiosennéj pieśni mojéj, Słowianie, którzy niegdyś te tu strony dziedziczyli, przebudzili się w grobach swoich; albo jeżeli wolisz, ponieważ także ciała swoje palili — wstrzęsły się ich prochy. Inne liczne zajęcia, rozkosze, wrażenia wiosenne lat dziecięcych, aby nie być zbyt długim, pomijam. Przechodzę do lat dojrzałych.

Oddano mię do szkół. Nauczycielem języka polskiego w klasach niższych gimnazyum poznańskiego był wtedy ś. p. Tomasz Szumski, autor gramatyki francuskiéj, wypisów polskich, tragedyi „Piotr Wielki“, kilku bajek i przypowieści, zbioru zasad moralnych, arytmetyki dla klas niższych, krótkiego zarysu literatury pol-

skiéj, nauki o deklamacyi, dziełka o „toporokopach,“ to jest pewnym rodzaju broni, jego wynalazku, razem z bagnetem, rydlem i toporem, które autor przesyłał do zastósowania z kolei wszystkim rządom europejskim, gdy wezwanemu do Berlina powiedziano, żeby obowiązków swoich pilnował, a nie reformą sztuki wojennéj się trudnił. Dzieł swoich téj i podobnéj treści, między niemi mowy miane z okoliczności uroczystości gimnazyalnych, liczył on sam do dziewięćdziesiąt. O nim to, ilekroć ogłaszał nową jaką pracę, Dmóchowski zwykł mawiać: „Pan Szumski zagraża literaturze polskiéj wydaniem nowego dzieła“. To też w spisie autorów polskich p. Wojcickiego napróżno szukamy tak zacnego imienia.

Był to jednak mąż nader zajmujący i osobliwy. Żołnierz, aktor, księgarz, nauczyciel, pisarz, w każdym zawodzie odznaczał się jakąś oryginalnością zdania i postępowania. Ja tu mam tylko nauczyciela na względzie. Kiedy uczył arytmetyki, to naukę o ułamkach objaśniał zawsze na kiełbasie, co uwagę uczniów niezmiernie obostrzało. „Narody, które kiełbas nie jadają, mawiał, nie są w stanie zrobić rewolucyi“. Kiedy była lekcya polskiego czytania, kazał czytać jednemu uczniowi po drugim z kolei od pierwszego do ostatniego po cztery wiersze, zarówno prozę jak poezyą, w téj czasem po wrotce, i to bez względu na przecinki, punkta, nawet na przedziały wyrazów. Profesor siadał wtedy na katedrę, wspierał głowę na łokciach, a ponieważ to było zwykle popołudniu, więc drzémał. Lecz, ilekroć najmniejsza w czytaniu nastąpiła przerwa, gdy jeden od drugiego nie przejął w okamgnieniu połowy przerwanego wyrazu, lub nie wpadł mu dość szybko w głos, lub przedmiot się skończył; profesor natychmiast się budził, jak młynarz, gdy koło tarkotać przestanie, i zwyczajnym swoim wykrzyknikiem: „uważaj, ślepa baba kura pijana!“ przyprowadzał czytającą machinę do po,rządku. Nie cierpiał on żadnych zbytecznych zakrętów w pisaniu, które nazywał wąsami, i gdy kto na kilkakrotne napomnienie nie zważał, obcinał mu je na palcach trzcinką, którą zwykle miał w ręku. Gdy którego z uczniów chciał surowiéj ukarać, brał go za kołnierz, wyprowadzał z miejsca na środek klasy, głowę

ujął pomiędzy kolana, i wyrznął nieszczęśnemu niemiłosierne basy. Chłopiec dziwił się, że go tak bardzo bolało, myśląc że brał basy trzcinką, a to było porządnym samorodnym kozackim bizunem, który profesor w takich razach chował pod zapiętym do góry surdutem, i wyciągał dopiero, gdy chłopaka trzymał pomiędzy kolanami.

Lecz dość téj charakterystyki, mój mrukliwy redaktorze, abyś wiedział, pod jakim to ja mężem kształciłem moje wiosenne uczucia i zbogacałem przyniesione do szkoły doświadczenia. Z tego co ci daléj powiem, więcéj się jeszcze przekonasz, że nie było z méj strony żadnym wykrętem, proponować ci traktat o wiośnie. Szanowany i kochany profesor nasz był, mimo kiełbas i toporokopów, człowiekiem nader poetycznie usposobionym. Kazać nam się uczyć wierszy na pamięć, kazać je wedle teoryi swojéj deklamować, kazać je przerabiać na prozę, to było największą jego namiętnością, alfą i omegą metody jego uczenia nas po polsku. Wiersze, których się wtedy z wszystkich klasyków na pamięć nauczyłem, mogłyby mi były wystarczyć jako wzory poetyckie na całe następne życie, gdyby się nie byli zaraz potém pojawili romantycy.

Główna tajemnica dobrego deklamowania zależała na średniówce; kto jéj nie zachował, spadł na niego piorunem wykrzyknik: „uważaj, ślepa baba, kura pijana!“ Zależała także na stósowném kładzeniu przycisku na wyrazy. Ważność przycisku stwierdzał profesor praktycznie na przykładzie: „pojedziesz ty dziś do miasta?“ Przycisk położony na pierwszym, drugim, trzeciem lub czwartym wyrazie, zmienia znaczenie pytania, i staje się powodem do czterech różnych odpowiedzi. Przykład ten przekonywał każdego o ważności przycisku nie mniéj dobitnie, jak objaśnienie nauki o ułamkach na kiełbasie.

Cóż dopiero mówić o przerabianiu wierszy na prozę! Ileż to tam było szermierki pomiędzy wyrazami, ile przełożeń i zwrotów, aby uniknąć rymu i zadławić średniówkę! Ile sposobności wtajemniczenia się w natchnienie poety, wgłębienia się w jego myśli, wcielenia się w jego obrazy, wkradzenia się w jego przenośnie! Najpospoliciéj zadawał profesor na podobne wypracowania „Cztery pory roku“, z szczególném zaś upodoba-

niem „Wiosnę“. Od prac przerabianych postępował do zadawania wypracowań wolnych tejże osnowy. Cienie Kochanowskiego, Drużbackiéj, Karpińskiego, Naruszewicza! darujcie mi, żem w wiosennym zapale moim przedsiębrał wtedy biedz w zawody z waszymi duchami. Darujcie, ale zarazem przekonajcie niewiernego Tomasza krakowskiego, żem się pod dyrekcyą ś. p. Tomasza Szumskiego, który wierzył w was jak w bogów, na przerabianiu i sekowaniu nieśmiertelnych utworów waszych mógł usposobić do zagrożenia kronice „Czasu“ opisem wiosny berlińskiéj.

Na tém nie dosyć, szanowny redaktorze! Widzę, że się ponura z początku twarz twoja zaczyna wypogadzać. Pragnę, aby się wypogodziła jak dzień wiosenny, który ci zapewne zagląda w téj chwili do okien, i pozwala zrzucić szlafrok z ciała.

Drugim nauczycielem języka polskiego, przyszedłszy do klas wyższych, miałem ś. p. Józefa Franciszka Królikowskiego, autora dzieł: „Prozodya polska,“ „Rozrywki literackie prozą i wierszem“, „Proste zasady stylu polskiego“, „Wzory estetyczne poezyi polskiej“, „Rys poetyki,“ i kilku innych, oraz wydawcy pisma czasowego: „Mrówka poznańska“. Królikowski powołany był do Poznania z Warszawy. To było w oczach młodzieży wielką jego zaletą. Każdy miał w nim zaufanie, że go nauczy dobrze i poprawnie mówić i pisać po polsku. Jakoż szanowny nauczyciel nie zaniedbał dokładać starania, aby złagodzić i sprostować grubą wymowę wielkopolską, wypędzić z języka giermanizmy, i nadać stylowi tok prosty i naturalny, wedle wzorowéj prozy Krasickiego. Królikowski miał charakter łagodny, uprzejmy, życzliwy, ludzki; sposób obejścia grzeczny i ujmujący; łajał nawet grzecznie, nie obrażając uczucia honoru, lecz je podnosząc; lubił ciastka, cukierki, dobre obiadki, winko, kwiatki, muzykę, poezyą; pojmował więcéj harmonią form, niż głębokość ducha. Był klasykiem. Chociaż sam wierszy nie pisał, zachęcał do ich pisania każdego, w kim cokolwiek zdolności poetyckiéj odkrywał. Wprawiał nawet w prywatném kółku poetyczniejsze umysły do wierszowania. Wypracowanie wierszem, lub przeplatane wierszem napełniało go radością. Nauka o prozodyi, śpiewności i miarach ję-

zyka polskiego, była ulubionym wykładów jego przedmiotem. Wszyscy klasycy wieku złotego, a mianowicie stanisławowskiego, defilowali przed profesorem, jak żołnierze przed jenerałem, w harmonii wzorowych krojów i strojów swoich. Na czele szli sielankopisarze, i przyszły ich ewangielista, omega poezyi, autor Ziemiaństwa. Tu muszę przerwać opowiadanie, bo już i autor Grażyny wmięszał się do szeregów i zaczął je łamać, aby się wysunąć na przodek. A mnie tylko idzie o przekonanie cię, mój redaktorze, że pod klasycznym profesorem, czytając sielanki, mogłem nabyć łatwości do wdrapywania się na szczyty najklasyczniejszych opisów natury we wszystkich jéj, które przywdziewa na siebie, szatach, a zatém i w wiosennéj, kiedy groch sieje. Wątpiéże jeszcze będziesz o usposobieniu mojém do godnego opisania wiosny berlińskiéj, która, gdy ją pójdziesz nawiedzić, rankiem lub wieczorem, południem lub nocą, chmielem i tytóniem pachnie?

Piszże już sobie, skoro ci się tak podoba, a nie chwal się tyle. —

Poczekaj; dobrze, że się wreszcie zgadzasz na moję propozycyą, ale na tém com dotąd powiedział nie koniec. Mam ci jeszcze kilka słów do udzielenia o innéj stronie moich wiosennych studyów, bo pragnę, abyś raz na zawsze wiedział, że masz z poważnym człowiekiem do czynienia, który

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobréj wierze,
A gdy mówi, — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!

A na miłość Boską, nie chwalże się tak, a pisz. —

To nie chwalba, bracie, ale godło, które każdy dziś powinien mieć dla siebie w pamięci, jeżeli dobrze ma być na świecie. Wracając więc do moich wiosennych studyów, o których ci po krótce chciałem nadmienić, pytam cię się wprzód:

Znasz-li ten kraj,
Gdzie dąb rośnie wiek cały,

Gdzie namiot lip
Ocienia gmach zniszczały,
Gdzie brzozy włos
Spada na smętne groby,
Gdzie kwitnie cierń,
Świerk szumi pieśń żałoby?

Znasz-li ten kraj? Jeżeli nie znasz, to chodź ze mną, bracie, do lasku berlińskiego, który się zowie Thiergarten, tam ci resztę studyów moich wiosennych opowiem. Tymczasem zaś, w oddaleniu, poprzestań na takiéj charakterystyce wiosny berlińskiej.

Wiosna berlińska nie jest właściwie wiosną, wedle wyobrażenia, jakie powszechnie o wiośnie mamy. Jest to sobie jakaś piąta pora roku, dla któréj trzebaby znaleść osobne odpowiednie nazwisko. W braku lepszego wyrazu nazwałbym ją „wietrznicą", ponieważ wiatr najwyraźniejszą jest jéj cechą. Nie ma ona ani sędziwéj powagi matrony zimy, ani uśmiechającego się oblicza dziewicy wiosny. Biega pomiędzy jedną a drugą, pędzona nieustannym wiatrem, tłuczona gradem, sieczona deszczem; rozczochrana, zaszargana, zabrudzona od stóp do głów; istna wszetecznica, do któréj się nikt przyznać nie chce, i każdy ją od progu swego odpycha. Z rodu swego zaś, naturalne dziecko podwójnego przeniewierstwa: zimy, oblubienicy Boreasza, i Zefira, kochanka wiosny, spłodzone dorywczo na festynie wielkorządców zodyaku w chwili powszechnego chóru żywiołów przy ostatniém serdeczném uściśnieniu się dnia z nocą — matka wypchnęła je z domu, w obawie gniewu burzliwego swego zalotnika, ojciec lęka się dać mu przytułku, z wstydu przed swą kochanką na owoc miłostek swoich z zgrzybiałą babą. Ale kochanka lepsze ma serce; przyjmuje sierotę pod swoje skrzydła; otula, ogrzewa, osusza, omywa, czesze, odziewa, stroi w najpiękniejsze szaty i kwiaty; wprowadza na swe pałace, na swój tron, zostawia jéj resztę kończącego się swego panowania, a sama, poważniejsza wiekiem, porzuciwszy niewiernego Zefira, idzie objąć królestwo gorętszego i stalszego Feba.

Taką jest w ogólnym zarysie wiosna w Berlinie. Dzień 21 marca jest tylko astronomiczném początku jéj

oznaczeniem, przyjętém wspólnie dla wszystkich krajów strefy umiarkowanéj. Rzeczywiście poczyna się ona w tych stronach dopiero w połowie maja, po uśmierzeniu żywiołów zimowych przez trzech surowych patronów powietrza. Niekiedy poczyna się dopiero w czerwcu, przynajmniéj w tym miesiącu bywa zawsze, czy późniéj czy wcześniéj się pocznie, najpiękniejszą. Raz tylko od czasu, od którego mieszkam w Berlinie, widziałem tu wiosnę zupełną w miesiącu kwietniu. Było to w roku 1848. — Skądże ci więc przyszło na myśl, brać ją za przedmiot opisu do kroniki na ten miesiąc? Jeszcze się nie uspokoiłeś? Oto ztąd, bracie, że ludzie daleko więcéj lubią mówić o tém, czego nie mają, lub co tylko krótko lub rzadko mają, aniżeli o tém, co posiadają stale, na co codziennie patrzą i czego bez przerwy używają. Więcéj powiem, są względem tego, na czém im zbywa, daleko poetyczniéj, aniżeli drudzy, usposobieni. Lapończyk, mojém zdaniem, ma daleko więcéj poetycznego czucia w sobie, gdy po sześciomiesięcznéj nocy widzi znów po raz pierwszy wstępujące na widnokrąg słońce, zwiastujące mu oczekiwaną z utęsknieniem wiosnę, aniżeli Neapolitańczyk, który wiecznie na nią patrzy. Lapończyk, w wiosennym zapale swoim, wcaleby mię nie zadziwił, gdyby powracającemu słońcu pokłonił się jako bogu swemu. Lapończyk i Berlińczyk, liczący na zimę swoję przynajmniéj sześć miesięcy, to nie wielka w punkcie wiosny różnica. Oto przyczyna zapału jego, gdy się wiosna zbliża. Oto przyczyna i niniejszego opisu.

Zresztą łączę kronikę dwóch miesięcy z sobą, stósownie do objawionego na początku życzenia twego, i piszę pod wpływem najzupełniejszéj wiosny, szanowny redaktorze, cieszący się zapewne z niéj podobnie jak ja. Jeszcze kilka wyrazów, będzie kwita z zaległości, i koniec naszéj konferencyi, zamykającéj spór o wiośnie berlińskiéj równocześnie z załatwieniem sprawéj neufchatelskiéj, z któréj nudnością raczyłeś tamtę, jak się teraz przekonywasz, nie bez słuszności porównać. Przyszła ona jednak tego roku trochę wcześniéj jak zwyczajnie, przyszła dnia 8 b. m., tegoż samego dnia, wktórym książe Napoleon zawitał do Berlina. Wzgląd ten, oraz pamięć nader wczesnéj wiosny w roku 1848, prze-

świadczyćby powinny najzaciętszego niedowiarka, których dziś jest tylu pomiędzy badaczami nauk przyrodzonych, o ścisłym związku, który panuje pomiędzy wielkiemi wypadkami historycznemi a zjawiskami natury. Wielka szkoda, że „Monitor“ nie wpadł na tę myśl, on, który tylekroć w ostatnich czasach dawał dynastyi napoleońskiéj władzę nad żywiołami przyrodzenia. Zamiast „niech żyje Cesarz!“ mógłby był z większą prawdą przy wjeździe księcia Napoleona zapisać, że Książę przyniósł Berlinowi w darze — wiosnę.

Przed wyniesieniem na tron dynastyi napoleońskiéj miała Królowa angielska władzę rozrządzania pogodą. Powiedz dziś Anglikowi, że już jéj nie ma, przekonasz się, jakiemi ruchami i słowy na to ci odpowie. Zobaczysz, do jakich to jeszcze na tém polu dojdziemy odkryć. Niczém będzie w porównaniu z niemi wszystko to, co nam o podobnych stósunkach i związkach pozostawiły w księgach swoich średnie wieki i cała europejska i azyatycka starożytność. Wszystkie objawy, ruchy, głosy, tętna, postacie przyrodzenia, staną się przepowiedniami lub wykładnikami spraw ludzkich w ogólności i szczególności, jak niemi już częściowo bywały, i nigdy zupełnie być nie przestały. Cywilizacya naszego wieku płynie coraz szerszemi korytami w ten ocean widoméj i dotykalnéj na każdym punkcie wszechwiedzy. Bóg, stworzenie, człowiek, bliscy są przeniknienia się na wskróś jedną żywiącą duszą. Spełniły się czasy, królestwo Boże wstępuje na ziemię!

Co za szkoda, że trzynasty czerwiec za pasem, na który nowocześni astrolodzy zapowiadali koniec świata. Czemuż raczéj nie zapowiedzieli, że to będzie dzień jego nowego stworzenia? W jednym i drugim razie kronika „Czasu“ nie zaniedba zapisać i przekazać wielkiego wypadku przyszłemu stworzeniu. „*Si fractus illabatur orbis, inpavidum ferient ruinae*“. Ja będę pisał o budownictwie w Atenach nad Sprewą.

Paryż w maju.

Francya utraciła w tym mięsiącu jednego z najznakomitszych swych poetów: Alfred de Musset umarł drugiego maja w tymże samym Paryżu w którym się był urodził 11 listopada 1810 roku — umarł w czterdziestym szóstym roku życia, w wieku w którym horyzont zwykł się wyjaśniać dla pracowników myśli, w którym pisarz zaczyna zbierać owoce prac swoich.

Karawan biednych otoczony poważném gronem sędziwych Akademików, wiózł do grobu najmłodszego członka Instytutu; za karawanem szedł spory zastęp najznakomitszych literatów i długi szereg wielbicieli talentu zmarłego poety. Odprowadzono najprzód zwłoki do kościoła świętego Rocha, gdzie proboszcz miejscowy, nie zgłębiając ortodoxyi autora *Rolli*, przyjął je z niezwykłą wystawą. Obrządek odbył się z dziwną pogodą i spokojem. Obrana starannie ze wszystkich przerażających symbolów msza żałobna, któréj muzyka wzniosła podobniejszą była do hymnu zmartwychwstania niż do rozpacznego psalmu śmierci, nader ukajający wpływ wywarła na obecnych, i niemal w obrządek radosny zmieniła grobową ceremonię. — Po mszy złożono ciało poety w familijnym grobie na cmętarzu Père Lachaise.

Przedwczesna śmierć Musseta zasmuciła cały Paryż. Wszystkie pisma mniéj więcéj gorącemi słowy ubolewały nad strzaskaną lirą autora „Powieści Hiszpańskich“, którego pozorna ironiczna lekkość pokrywała tyle rzeczywistego czucia i głębokich myśli, a odbijała tak mocno od ogólnie przyjętéj zasady starannego chowania egoizmu i niewiary za parawan ulepiony z napuszystych frazesów i czułostkowych obrazków.

W hołdach składanych publicznie zmarłemu poecie, więcéj niż żal powszechny, uderza jedność sądu. Pochodzi ona zapewne ztąd, że Musset do żadnego nie należał obozu, i więcéj niż ktokolwiek niezawisłym był od świata w którym żył; żadne stronnictwo nie stawiało mu pomników za życia, w pochwałach zaś jakie mu oddawali spółcześni, niepowiedziano ani słowa za wiele — dla tego śmierć nic mu téż nie odjęła. — Szczerość, niezawisłość i oryginalność, są najwybitniejszą jego cechą — to bo-

wiem co w jego poezyach mogłoby się wydawać naśladowaniem Byrona, jest prostym wypływem podobieństwa charakteru i usposobień dwóch poetów, które naturalnie podobną myślą objawiać się musiały.

Najlepszym dowodem samoistości Musseta jest oparcie się wpływom jakie na umysł jego mogli wywrzeć spółcześni pisarze francuzcy, których potężna plejada wyrosłszy pod gorącém słońcem lipcowém, jak huragan wionęła na świat, zdmuchnęła zeń pyły i pochłonęła wszystkie mniéj silne indywidualności. Łatwiéj zapewne było oprzeć się przebrzmiałemu urokowi Byrona, niż ogólnemu szałowi, z jakim witano wtedy płomienne dramata Wiktora Hugo i Dumasa, nierymowne poemata Sanda, filozoficzne powieści Balzaka, socyalistyczne romanse Suego it.d. W epoce kiedy Musset pisał pierwsze swoje wiersze, wszystkie te ogniste meteory literackie stały u zenitu swéj sławy. Musset zachwycał się niemi jak drudzy, ale ich nie naśladował; pisał tylko to co czuł, co widział — miał własne serce i własną wyobraźnię, która nie była panią jego lecz sługą — i tém może najwięcéj różni się Musset od innych poetów.

Zwykle poeci czują i sądzą przez imaginacyę — przez imaginacyę śmieją się, płaczą, kochają i nienawidzą — ztąd w dziełach ich owe sztuczne światła bez ognia, i echa bez pieśni, owa bolesna różnica pomiędzy pisarzem a człowiekiem. Otóż przez fawor czy roztargnienie, natura inaczéj uorganizowała Musseta. Wyobraźnia jego nie miała owéj wspólnéj wszystkim artystom elastyczności dającéj się naginać do każdéj roli — aczkolwiek żywa i gorąca, była tylko zwierciadłem czucia; jednocześnie z działaniem czucia ustawało u niego działanie fantazyi — imaginacya nigdy nie przedłużała sztucznie tego czego już nie było w sercu. Słowem, nienależał on do liczby tych poetów którzy opiewają to coby czuć byli mogli, lecz do tych, co dają sam wybór z tego co czuli rzeczywiście.

Na tak szczerą naturę więcéj niż kłamane teorye literatów, musiały działać zdarzenia których był naocznym świadkiem. Jakoż wypadki polityczne przeważnie wpłynęły na umysł Musseta i nadały kierunek jego talentowi.

Dzieckiem będąc, patrzył na promienną chwałę ojczyzny — pierwszy krzyk jego był krzykiem zapału — u stóp Francyi widział zwyciężoną Europę. — Nagle, blask ten uroczy zastąpiły ciemności...zwyciężeni zwyciężyli, i żelazną ręką poczęli dławić zapał narodu. Któż nie pojmie, iż rozwijając się w takiéj chwili, Musset musiał patrzeć z zachwytem w przeszłość a gardzić tem co go otaczało, że musiał protestować całą duszą; któż mu nie wybaczy, że wpadł w ostateczność, że niemogąc rozłączyć religijnego od politycznego wędzidła, gryzł obadwa... niereligijność wydawała mu się także pewnym rodzajem opozycyi — więc choć prawy i szlachetny, udawał bezbożnego.

W takim stanie umysłu zastała go rewolucya lipcowa 1830. — Złota, długo oczekiwana wolność, upoiła do szaleństwa zmęczonych uciskiem Francuzów; w głowach rozpalonych działowym ogniem i żarem słonecznym wylęgły się najpotworniejsze teorye, najdziwaczniejsze twory; mówiono i drukowano wszystko; autorowie, jak stado dzikich koni, hasali po szerokiéj krainie myśli... Wtedy Alfred de Musset pojawił się jako poeta. — Pierwsze wystąpienie jego przed literackim areopagiem Francyi, tak opisuje Dumas w swoich pamiętnikach:

„.... Pod koniec 1830 roku zaprosił nas na wieczór Karol Nodier. Jakiś dwudziestoletni młodzieniec miał czytać wyjątki ze świeżo wydanych swoich poezyj. Nazwisko tego młodzieńca wcale wtedy nieznane w literaturze, po raz pierwszy rzucone być miało publiczności.

„Żaden z nas nie uchybił nigdy wezwaniu naszego kochanego Karola i pięknéj Marylki. Stawiliśmy się więc wszyscy. Przez *wszystkich*, rozumiem nasze zwykłe towarzystwo zbierające się u Nodiego: Lamartine, Wiktor Hugo, de Vigny, Rességuier, Sainte-Beuve, Lefebvre, Taylor, dwóch Johannot'ów, Boulanger, Bixio, Duval, Francis Wey — i mnóstwo młodych dziewcząt, wtedy pączków i kwiatków — dziś zacnych żon i matek.

„Około dziesiątéj, wysmukły młodzieniec średniego wzrostu, jasno i długo-włosy, z rodzącym się wąsikiem, w zielonym opiętym fraku, wszedł, śmiałém obejściem pokrywając rzeczywistą nieśmiałość.

„Był to nasz poeta.

„Żaden z nas nie znał go osobiście — mało który z widzenia. Przygotowano mu stolik, dwie świece i szklankę wody; usiadł, i począł czytać.

„Od pierwszéj chwili całe grono poetów zadrgnęło.. uczuliśmy że mamy do czynienia z poetą. Książkę rozpoczynały te sławne, dziś znane każdemu wiersze:

„*Je n'ai jamais aimé, pour ma part ces bégueules,*
„*Qui ne sauraient aller au Prado toutes seules*..it.d.

„Wiersze wyborne! doskonale pomyślane i zbudowane, suto udrapowane hiszpańskim płaszczem, szły śmiało i hardo, trzymając się pod boki. Nie był to rym ani Lamartina, ani Hugona, ani Vigniego — był to kwiat wprawdzie z tego samego ogrodu, owoc z tego sadu — ale kwiat ten miał własny zapach, owoc ten, smak sobie właściwy.

„Wieczór przeszedł jak jedna chwila. Alfred de Musset zamiast jednéj powieści, przeczytał cały tom: *Don Paez, Porcia, L'Andalouse, Madrid, Balladę do księżyca, Mardoche* — przeszło dwa tysiące wierszy, które witaliśmy z zapałem. Pamiętam tylko, że dziewczęta słuchając téj lektury, wachlowały się częściéj niż zwykle, i częściéj niż zwyczajnie spuszczały oczy..... my byliśmy zachwyceni!“

Takie przyjęcie w gronie pierwszych znakomitości literackich, musiało potroić siły poety. Z nieznanego, na raz sławny i wielbiony, dorzucał co raz nowe brylanty do *włoskich i hiszpańskich powieści,* których ukazywanie się sprawiało zawsze wrażenie meteoru, to jest budziło razem admiracyę i przestrach.

Zjawiły się kolejno *Rolla* — *Namuna* — *La Coupe et les Lèvres* — *Un spectacle dans un fauteuil* — *Les Marrons du feu,* it.d. Wkrótce po ich ogłoszeniu, *Revue des Deux Mondes* poczęła drukować Musseta powiastki prozą, jak: *André del Sarto, Lorenzaccio, la Nuit Venitienne, Fantasio, Carmosine, Bettine, Barberine,* i mnóstwo innych, zawsze ślicznych, delikatnych jak płótno pajęcze, po którém dowcip biega jak ognik błędny haftując najmisterniejsze zygzaki.

Jednocześnie Teatr Francuzki przedstawiał arcydowcipne komedyjki Musseta: *Caprices de Marianne, On*

ne badine pas avec l'amour, Le Chandelier, Il ne faut jurer de rien, Un Caprice, Il faut qu'une porte soit ouverte ou fermée, Louison it.d. it.d.

W roku 1836 wydał może najznakomitszą swoją pracę *Les Confessions d'un enfant du siècle*. Jestto jedno z najrozpaczliwszych dzieł zwątpienia jakie się ukazały kiedy na świecie; potrójny extrakt Manfreda, Fausta i Werthera. Rozczarowanie, pogarda, paląca gorycz i łzy rozpaczy zalewają po brzegi tę księgę którą najwłaściwiéj nazwać można pamiętnikami otrutego serca. Pisząc ją autor miał lat dwadzieścia pięć!

Od téj epoki nic już nie stworzył coby można porównać z poprzedniemi jego dziełami; wszystkie płody późniejsze, komedyjki, powiastki i wierszyki ulotne które od czasu do czasu rzucał publiczności jakby przez dystrakcyę, choć zawsze ładne i miłe, noszą ślad mrozu co zwarzył serce, są jakoby senném marzeniem poety. Po napisaniu *Spowiedzi*, dwudziesto pięcio letni młodzieniec już mógł zawołać z Schillerem:

Des Lebens Mai blüht einmal und nicht wieder:
Mir hat er abgeblüht.
Der stille Gott — o weinet, meine Brüder —
Der stille Gott taucht meine Fakel nieder,
Und die Erscheinung flieht.

A jednak, mimo tak krótką wiosnę, Alfred de Musset nie mniéj jak Wiktor Hugo i George Sand przyczynił się do wyrobienia z prozaicznego języka Franków, płomiennéj mowy która się stała muzyką miłości. Nie napisał wiele, ale wszystko co napisał jest pod względem artystycznym doskonałe. Nadto, wszystkie jego utwory noszą wyraźne piętno umysłowéj arystokracyi którą daje wrodzony smak literacki. Uczucie to zachował Musset nawet wtedy, kiedy otruty życiem, szydził z miłości, nie wierzył w poświęcenie, i błotem malował bliźnich portrety.

Ale i te chwile upadku, i te karty nieczyste których ludzie nie przebaczyli, przebaczy poecie Bóg — bo wiele cierpiał.... Są melancholie skryte, są nieuleczone rozpacze, których tajemnice serce unosi z sobą do grobu, a które wyjaśniłyby wiele rzeczy gdyby były wiadome.

34

Tłum po wierzchu patrzy, nie sięga głębiéj — i sądzi, zapominając, że dopiero na sądzie ostatecznym prawda będzie odkryta. —

. . . .

W Vaudevillu grają teraz mały dramacik Gozlana pod tytułem: *La Famille Lambert.* Sztuka ta we dwóch aktach, która jest jakby wielkim dramatem przedstawionym w skurczu, zaleca się przedewszystkiem nowością pomysłu — mieści kilka sytuacyj efektownych, grzeszących może nadto mocném podcieniowaniem — i jedną scenę wysoko dramatyczną: osądź sam.

Pani Hortensya Lambert, matka dorosłéj córki tegoż imienia, która za parę dni ma zaślubić swego narzeczonego — żegna męża wyjeżdżającego z domu za interesami. Zostawszy sama, wyjmuje z zanadrza list i czyta go chciwie, jakby pożerała owoc zakazany... Jest to list od kochanka — dowodzący jasno występnych związków.... spowiedź namiętności rumieniącéj wstydem, a nienasyconéj, i niezdolnéj zatrzymać się nad przepaścią.

Podczas kiedy ten wątły kawałek papieru zasłania świat cały oczom namiętnéj kobiety, kiedy zatopiona w nim duszą, wzrok i słuch traci — widać przez ogród idącego męża z tłomoczkiem pod pachą. Przeładowany dyliżans którym był jechał, wywrócił się i połamał, z czego korzystając Lambert, powraca uradowany, że sprawi żonie miłą niespodziankę; widząc ją zaczytaną, przystępuje na palcach i wyrywa jéj list z ręki, śmiejąc się do rozpuku z przestrachu jakiego nabawił małżonkę. Hortensya blada jak chusta, konwulsyjnym śmiechem wtóruje szczeréj wesołości męża, i rozpaczliwym wzrokiem ściga ów list fatalny który Lambert machinalnie zwija i rozwija, opowiadając co było w powozie, jak się zatoczył, jak przewrócił, które koło pękło, gdzie się dyszel złamał, kto najprzód wyleciał, kto się potłukł, it.d. it.d. List ciągle towarzyszy gestom opowiadającego, to się podnosi, to zniża, nieraz draśnie w przelocie wyciągniętą ku sobie drżącą rękę, i znów od niéj odbiega daleko....

Nic przykrzejszego jak widok téj kobiety co ledwie dysząc, z przygniecioną piersią, pałającemi oczyma, czycha na ten kawałek papieru który fruwa w około, jak-

by urągał jéj męczarni — który ją zgubi, jeżeli go nie schwyta. — Na chwilę zdaje się że ocalała: mąż kładzie rękę do kieszeni i zostawia w niéj akt oskarżenia; Hortensya oddycha wolniéj, mniema że niebezpieczeństwo minęło — ale mąż nie skończył opowiadania, a kiedy opowiada, musi przedmiot jakiś mieć w ręku; odnajduje więc porzucone bawidełko, i znów mnie je i gniecie.... Czasami rozwija list jakby go miał czytać — wtedy kobieta zamyka oczy i prawie martwa, jak winowajca pod gilotyną, zwiesza głowę którą za chwilę spadający nóż odetnie.... Ale mąż okrutniejszy od kota bawiącego się z myszą zanim ją zębami zadławi, znów zwija pismo i znów daléj rzecz swoją prowadzi. — Jestto tortura niespokojności oddana w najplastyczniejszéj i najdotkliwszéj swéj formie.

Przybycie córki i jéj narzeczonego, zmienia sytuacyę. Roztrzepana dziewczyna powitawszy ojca, wyjmuje mu z ręki ów list i zaczyna czytać głośno pierwsze wyrazy.... które posłyszawszy ojciec, wydziera jéj pismo i przejrzawszy je szybko, porywa pistolet i mierzy do żony — wtedy córka z twarzy matki odgadując tajemnicę, pada na kolana i woła: „Mnie zabij ojcze! ten list do mnie pisany!“

Na téj mistrzowskiéj scenie zakończonéj niespodzianie wielką ofiarą, kończy się akt pierwszy. Drugi jest niższy. — Autor wprowadziwszy jednym tchem na szczyt dramatycznéj pozycyi swych bohaterów, nadużywa ich położenia — postępuje z nimi z nieludzkiem okrucieństwem — sprawiedliwość posuwa do brutalstwa.

Dziewczyna którą widzieliśmy przed chwilą żywą i kolorową jak polnego konika z gazowemi skrzydły, wychodzi bielsza od sukienki kryjącéj dziewicze jéj piersi... blade, zaciśnięte usteczka nie przepuszczają żadnego słowa, bo serce jakby przestraszone swoją ofiarą oniemiało, a myśl czysta nie rozumie występku który na siebie wzięła... więc milczy. Tylko niewinność jak lampa ukryta w alabastrach, przeziera promiennie przez bieluchną twarzyczkę i zadaje fałsz zeznaniu, chociaż oczy nie chcą się podnieść z obawy żeby niemi nie wyjrzała dusza i nie potępiła Matki.

Na badania ojcowskie ma tylko jedną odpowiedź: „nie powiem.“ A jednak prawda odkryć się musi. Dwóch

ludzi zranionych śmiertelnie, ojciec i narzeczony, nad odkryciem jéj pracuje. — Prośby i groźby ojca zniosła odważnie; ale oto kochanek przychodzi ją pożegnać... człowiek którego kocha, z którym połączyć się miała, przychodzi z ostatniem „bądź zdrowa“, i ma ją opuścić na zawsze, unosząc z sobą litość nad upadkiem anioła.. przychodzi, i zastaje ją schyloną nad swym ślubnym welonem i mirtowym wieńcem który miał do ołtarza czystą jéj skroń ozdobić. Kochankowie patrzą na siebie oboje — młodzieniec czuje niewinność kochanki, w oczach jéj czyta zaprzeczenie wyznania, ale usta milczą upornie; chce tylko jednego, jednego słowa — ale jak je wydrzeć? Może upojona miłością, rozwiąże fatalną zagadkę.... więc nie szczędzi najmilszych sercu wyrazów — osłania męczennicę ślubnym woalem, na schyloną główkę wkłada wieniec zielony i mówi jéj o szczęściu które ich czekało, które ich czeka jeszcze, jeżeli ona... W tém, wchodzi ojciec, i klęczącéj córce podobnéj do najbielszych aniołów, brutalną dłonią zrywa z głowy zasłonę i rozdziera na dwoje... nie zaspokojony, chce jeszcze zerwać i podeptać wieniec mirtowy — ale ta ostatnia zniewaga przechodzi miarę poświęcenia dziewicy.... wzdryga się cała, prostuje, ciśnie do czoła niewinności kwiaty, i głosem któryby dzikie zrozumiały zwierzęta, woła: „Wieńca nie tykaj!“

Na ten krzyk niewinnego dziecka, wbiega matka, i — wyznaje wszystko. Mąż każe jéj na klęczkach przepraszać córkę. „Przeproś ją, woła, przeproś w imieniu wszystkich występnych matek! Ja ci przebaczam!“

To ostatnie słowo, chociaż najwyższe w języku ludzkim, nie może zatrzeć przykrego wrażenia jakie pozostawia rozdarcie zasłony i widok matki czołgającéj się na klęczkach przed własną córką. Niech będzie co chce, to się nie godzi — a w każdym razie widzem takich scen, może być tylko Bóg.

Pogrzebem zaczęty list, kończę dramatem — fraszki zostawmy na jutro.

Londyn w maju.

Co tu się znajduje do widzenia? Co naprzód widzieć? Gdzie naprzód iść lub gdzie jechać? Owóż pytania, które naraz cisną się do głowy każdemu za przyjazdem do Londynu i podróżującym nie mało sprawiają kłopotu. Niezbywa wprawdzie na „Przewodnikach“ (*Guides*); przemysł drukarski obficie nas w nie zaopatrzył. Ale któżby chciał czyjeś tam ramoty czytać, będąc sam na miejscu i mogąc na własne oczy każdą rzecz widzieć? Zwiedzając alpejską krainę lub nasze Karpaty, i pojąc się urokiem zachwycających widoków, czyż kto z nas pyta o topograficzne ich opisy? Nie wyszłożby na to samo, jakgdyby kto zostając w obecności jakiego znakomitego męża, mając wszelką sposobność do obcowania i rozmowy z nim, przekładał zamiast niego, czytanie jego biografii? W takim to stósunku do rzeczywistości otaczającéj nas zostają „Przewodniki“, choćby były najlepiéj ułożone i skreślone. Dla tego też przybywający tu, zajrzawszy do nich, po odczytaniu jednéj lub kilku kartek, zazwyczaj zamykają książkę, kładą ją na bok, i jakby zniecierpliwieni, bo niezaspokojeni instrukcyą, dowolnie sami obierają dla siebie przedmioty lub miejsca do zwiedzania, czyli idą, jak to się mówi, gdzie ich oczy poniosą. A czemu to tak? Ot, z braku należytego planu do wycieczek zaraz z samego początku, który gdyby był zrobiony, oszczędziłby podróżnemu wiele czasu. Mówiąc zaś o podróżnym, mówię o takim, dla którego czas drogi i który odbywa podróż dla rozszerzenia zakresu swoich wiadomości a nie dla próżnéj zabawy, a liczba tych ostatnich powinszujmy sobie, coraz bardziéj teraz się zmniejsza. Dla tamtych przeto podaję tę radę, będąc pewien, że znajdą ją pożyteczną.

Zamiast poczynać od zajmowania się Londynem, radziłbym, skoro idzie o pośpiech, pierwszego dnia rano wyjechać z niego — do Sydenham, aby widzieć *Pałac Kryształowy* (Crystal Palace), to nowe cudo przemysłu teraźniejszego wieku. Pośpieszywszy zrana do dworca kolei żelaznéj przy moście londyńskim (London Bridge) podróżny stanie we trzy kwadranse i za niesłychanie małym kosztem, w najcudowniéj zbudowanym gmachu,

o jakim tylko wyobraźnia zamarzyć mogła, a w nim ujrzy pełno przedmiotów, które chcąc napotkać, trzebaby lądy i morza przebywać, i aby je poznać i cośkolwiek o nich wiedzieć, trzebaby tysiące dzieł czytać. Co przyroda w swéj obfitości wydała, na co sztuka i wynalazki zdobyć się dotąd mogły, to wszystko tam znajduje się nagromadzone. Postacie ludzkich ras i plemion, utwory ich geniuszu i przemysłu, zabytki ludzkich pokoleń i wieków, mają tam swój skład i zachowanie. I niedość na nich, i aby je tylko podziwiać — niedość mówię na jestestwach i rzeczach z zakresów naszego historycznego świata, które tam napotykamy skupione, lecz musiano jeszcze zasięgnąć czasów przedhistorycznych, przedpotopowych, przedstawiając, jakiego kształtu wówczas były na powierzchni ziemskiéj zwierzęta, jaka na niéj była wegetacya służąca im za pokarm, jakie rośliny, jakie drzewa. I rośliny i zwierzęta te wygasły; ślady ich jedynie pozostały w ułamkach skieletow znajdywanych w różnych pokładach ziemskich. Z tych tedy ułamków potrafiono za pomocą anatomii porównawczéj utworzyć całkowite ich kształty, pod jakiemi dawniéj istniały. Modele tych ogromnych ziemiopłazów na pół rybich na pół jaszczurczych, najpodobniejszych z kształtu do żab i ropuch, niektóre tylko z przydłuższemi ogonami, ujrzy podróżny w ogrodzie na wyspach wystawione na widok w naturalnych postaciach. Dla większego podobieństwa rzeczy, wysepki te usypano z téj saméj ziemi i zasadzono ją roślinami, w któréj kościotrupy owych przedhistorycznéj epoki zwierząt były wykopane. Imiona greckie jakie im ponadawano, niemniéj są dziwne jak ich kształty, jako to: Pterodactyles, Iguanodony, Ichthyosauri, — więcéj ich niewyliczam, można znaleźć inne w ogólnym katalogu Pałacu Kryształowego. Z tym katalogiem w ręku przebiegłszy cały gmach i wszystkie jego przedziały — na co dnia jednego za mało, — podróżny niejako nabędzie ogólnego pojęcia o tem co się dzieje w naturze i historyi świata, co jest i co było na nim. Zwiedzenie to zbiorów znajdujących się w Pałacu Kryształowym posłuży mu za wstęp do dalszych poszukiwań.

Za powrotem do miasta, Muzeum Brytańskie (*British Muzeum*) jest pierwszą z kolei instytucyą wielką i wartą

zwiedzenia. Co się w powyższym pałacu ogólnie pojęło, to można tu rozprzestrzenić, uzupełnić. I tu nie dnia jednego ale kilku potrzeba, aby przejrzeć bogate gabinety zoologiczne i geologiczne, zabytki starożytności greckich, rzymskich, egipskich, assyryjskich i innych, do których zebrania przeważny Anglii wpływ polityczny we wszystkich częściach świata wiele dopomagał. Nadto Muzeum ma bibliotekę do 500,000 dzieł liczącą i mnóstwo ciekawych rękopismów starożytnych. W połowie bieżącego miesiąca otworzono tam pyszną czytelnię dla chodzących na czytanie; nie ma podobnéj do niéj prócz Watykańskiej, na wzór któréj była urządzona. Jest ona wielką rotundą zajmującą środek Muzeum, ze światłem spadającém przez kopułę z góry. Muzeum to jest codzień otwarte; że zaś jest instytucyą narodową, przeto wstęp do niego bezpłatny. Ta bezpłatność rzadka jest w Anglii, do większéj części instytucyj angielskich trzeba wchodowe płacić. Nic w tem jednak dziwnego. Najważniejsze bowiem zakłady, jako sam Pałac Kryształowy, ogrody botaniczne i zoologiczne w Regent Parku, nienależą do rządu ani do narodu, ale do stowarzyszeń prywatnych, a dochody od wejścia służą na utrzymanie tych kosztownych zakładów. Rząd nie ma z niemi nic do czynienia, ich istnienie jest skutkiem miłośnictwa nauk, tak obszernie rozwiniętego w narodzie. Z pomiędzy takich zakładów, które następnie radziłbym każdemu podróżnemu zwiedzić, a będących jedynie przedsiębiorstwem prywatném, są: Politechniczny Instytut (*Polytechnic Institution*) i Coloseum, oba urządzone podług najnowszego planu i zastósowane do potrzeb i oświaty ludu. Czém Pałac Kryształowy jest za miastem na wielką skalę, w tém oba te zakłady idą z nim w zawody w mieście, i oba licznie bywają przez wszystkie klasy ludności angielskiéj uczęszczane. Naukę łączą z zabawą, a program ich dzienny zwabia do nich bogactwem przedmiotów i rozmaitością przedstawiania ich widzom. I tak, w Instytucie Politechnicznym, oprócz niezliczonych wynalazków nowszych i gabinetu nauk przyrodzonych, dawane są odczyty o fizyce, chemii, mechanice; w laboratoryach odbywają się fizyczne doświadczenia. Niedawno będąc tam, znalazłem w jednéj godzinie brzuchomówcę bawiącego publiczność swą figlar-

ną rozmową. Późniéj nastąpił odczyt profesora Pepper o nowym wynalazku gaszenia ognia podczas pożarów za pomocą bateryi z gazu kwasu węglowego. Po wytłumaczeniu natury tego kwasu i jego palności, kazał w kominie rozniecić wielki ogień z drzewa, a potem skierowawszy nań takową baterye palną, we dwie minut cały ten ogień w naszych oczach zagasił. Jak wybija się klin klinem, tak on ogniem zagasił ogień. Machiny podług téj zasady już wprowadzone w użycie, zowią się niszczycielami ognia (*Fire Annihilator*). Widziałem jednę taką przed Pałacem Kryształowym, dla zachowania go od niebezpieczeństwa *). Po tym odczycie przez prof. Peppera, odbywało się doświadczenie nurka w dzwonie i był koncert węgierskiéj muzyki pod dyrekcyą p. Kalozdy. Koncertem tym zamknięto program rozrywek tego wieczoru. — Podobne przedstawienia politechniczne odbywają się codzień od 12 godziny do 5, a wieczorem od 7 do 10. Cena wejścia 1 szyling. Niepodobna nigdzie mieć tak tanio pożyteczną zabawę z nauką. Tyle jednak jest uczęszczających tam, że i zakład kwitnie i zajmujący się nim dobrze na nim wychodzą, co dowodzi że nauka im bardziéj się w narodzie rozszerza, tém więcéj popłaca.

Podobnym temu zakładem jest *Coloseum*. Służy ono także za bazar ciekawych rzeczy, które się częstokroć w oczach widzów wyrabiają, i przeto uczą manipulacyi tych wyrobów. Za mego tam pobytu, szła jak zegar nakręcona machina elektryczna z korytkiem wody na wierzchu. Wielką ona była zabawą, bo osoby nieznające natury elektryczności, zaproszone były, aby sobie ręce umyć chciały w téj wodzie, za dotknięciem się jéj odbierały niespodziane uderzenie. Śmiech ztąd był i zwiedzionych i zwodzących. I w tym zakładzie zarówno rozłożono zabawy na godziny. W jednej przywoływano do ogrodu, gdzie w cieplarniach rośliny podzwrotnikowe mieściły się; w drugiéj, wprowadzano w podziemne ze stalaktytów groty; w trzeciéj, wzywano, aby

---

*) Narząd tego rodzaju Philippsa zachwalony na wystawie londyńskiéj, sprowadziliśmy do Krakowa, lecz próby z nim wówczas przedsiębrane, okazały się nieodpowiedniemi celowi; być może, że prof. Pepper wydoskonalił ten wynalazek. (Przyp. Red.)

się przypatrzyć kopalniom złota w Australi; w czwartéj, przedstawiono za pomocą obrazów zwanych „*dissolving views*“, okropne przez trzęsienie ziemi zburzenie Libony; a w piątéj i ostatniéj, takież obraz życia angielskiego od najdawniejszych czasów, jak jedne po drugich, przemijając przez wieki aż do teraźniejszego dnia, znikały. Niebyły to jednak obrazy jedynie dla oka; połączone bowiem były z opowiadaniem z dziejów i nawet z muzyką i śpiewem z tamtych epok. Jerzy Buckland, znany z swego talentu, umiał i opowiadaniem i śpiewem nadać urok całemu przedmiotowi. Nie było téż bez sprawienia silnego wrażenia na słuchaczach, kiedy doszedłszy z dziejami angielskiemi do epoki dzisiejszéj, zaintonował: „*God save the Queen!*“ Tak tu uczą lud historyi, tak go oświecają.

Coloseum ma jeszcze to do siebie, że będąc położone na największéj wysokości w Regent Parku, dozwala widzieć ze szczytu swego cały Londyn w panoramie. Wielu mu i z tego względu przybywa widzów.

Com dotąd o instytucyach mówił, ściąga się jedynie do podróżnych chcących nabyć ogólnego o wszystkiem wyobrażenia. Specyalni ludzie i ci, którzy szczególny jaki przedmiot mają na widoku, muszą upatrywać odpowiadające mu instytuta, a których znajduje się mnóstwo. Medyk zwiedzi z zajęciem muzeum Uniwersytetu londyńskiego, wybornie przy nim urządzoną klinikę i szpital, tudzież inne wielkie szpitale, przy których także zwyczajem dawać prelekcye lekarskie dla uczniów. Lubownicy nauk przyrodzonych mają do zwiedzenia ogród zoologiczny i botaniczny, *Royal Society* i Muzeum towarzystwa geologicznego. Malarz znajdzie w galeryi narodowéj (*National Gallery*,) i w Akademii królewskiéj, (*Royal Academy*) arcydzieła pędzla mistrzów dawnych i angielskich; snycerz zaś liczne ich wzory w opactwie Westminsterskiém i w kościele św. Pawła. Obie te świątynie niemniéj mogą ważnemi być dla uczonego budowniczego pod względem swéj architektury, a osobliwie pierwsza razem z domem parlamentowym. Inżynier znajdzie dla siebie urządzenie kolei żelaznych, budowę mostów rzucanych przez rzeki i zatoki morskie, tunele przebijane przez góry i pod rzekami. Agronom i ogrodnik znajdzie swoje towarzystwa jak w stolicy

tak po całym kraju rozgałęzione. Gdziekolwiek stąpi stopa ludzka, wszędzie widać tu wyższą znajomość rzeczy, postęp przemysłu, skutki pracy i niezłomnéj w niéj wytrwałości.

Warszawa w maju.

Ponieważ wiele tu u nas myślą i marzą o reformach jakie w kraju przedsięwziąśćby należało — przeto rozciągnąćby je wypadło i do teatrów naszych, a w tym względzie wieleby powiedzieć można. Chcę więc wam moje o tem udzielić uwagi i zaczynam od choreografii, bo to może najważniejszy u nas oddział widowisk teatralnych, jakkolwiek gdzieindziéj jest on dopełnieniem tylko opery. Balet u nas trochę podupadł, chociaż dyrekcya niby stara się o utrzymanie dawnéj jego świetności; przyczyny wszakże tego upadku nie leżą ani w publiczności ani w artystach, lecz w zasadach administracyi teatralnéj. Nie jestem zwolennikiem baletu, i taniec nie robi na mnie wrażenia innego prócz czysto zmysłowego, plastycznego: bawi oczy, drażni nerwy — ale ani serce ani głowa tam nie pracują, nie uczestniczą, chyba o tyle pośrednio, że zmysłowości ustępują z pola. Balet jak trufle, powidełka imbierowe, lub odurzające napoje, dobry chyba tylko dla starych, odrętwiałych rozkoszników, lub dla młodzieży goniącéj za uciechami zmysłów. Ale i bez tego tyle dzisiaj jest szkodliwych przyczyn tępiących zmysły, głuszących pojęcia prawdziwego piękna i dobra, że możnaby obejść się bez baletu; ponieważ jednak istnieje u nas, wolałbym żeby był dobry niżeli zły, radbym skoki podnieść do godności sztuki. Szkoła baletu winna uledz reformie; zbyt wcześnie uczą u nas skakać, i tem męczą strasznie młode uczennice, które do skoków dość siły nie mają. W Paryżu każą skakać dopiero wtedy, kiedy uczennice doskonale wszystkie *pas* wyrabiają i siły mają już rozwinięte, i temu przypisać powodzenie panny Bogdanow należy, któréj siłę, zręczność i gibkość wszyscy podziwiają.

Solistek mamy dwie: panny Straus i Frejtag: pierwsza ma dużo wdzięku i lekkości, ale od lat kilku pomimo pracy nie posunęła się naprzód i lepiéj już tańczyć nie będzie; druga nie ma tak ujmującéj powierzchowności, ale nogi za to daleko kształtniejsze i w ogóle w tańcu jéj więcéj jest siły i wyrobienia. W tych dniach wyjechała za granicę, i jeżeli tam zechce korzystać, jeżeli zarozumiałość, ta opoka o którą tyle młodocianych rozbiło się talentów, nie skrzywi jéj pojęcia o sztuce, będziemy w niéj mieli kiedyś wyborną tancerkę. Oprócz tych pań, zyskują jeszcze oklaski Stefańska i Kozłowska: pierwsza wybiera się również za granicę dla dalszego kształcenia się, przy pracy zapewne może dużo skorzystać, ale talent jéj nie wielki, a przytém słuchu nie ma, bo zwykle bez taktu tańczy. Zresztą mierność sama. *Corps de ballet* nie długo może wziąść emeryturę całą — dziwnie, że dyrekcya nie postara się o zastąpienie tych pań, których wdzięki olbrzymie od lat 20tu podziwiamy, innemi młodszemi, zręczniejszemi. Prawda, że to ciężki chleb a wynagrodzenie wcale nie odpowiednie, bo najlepsze tancerki z *corps de ballet* biorą po 1200 złp. i z tego muszą sobie jeszcze toalety sprawiać. W ogóle dyrekcya nie zbyt hojnie płaci naszych artystów, ale za to p. Blasis który dopiero dwa balety: „Faust“ i „Dwa dni karnawału w Wenecyi,“ tudzież dwa *divertissements* wystawił, bierze rocznie 40,000 złp. Mógłby przynajmniéj za to uczyć staranniéj, bo do tej pory nie widać jeszcze postępu w jego uczennicach. Tancerzy mamy wybornych: Tarnowscy, Meunier, Popiel, Puchalski bardzo są dobrzy.

W ogóle skład teatrów męzki nic nie pozostawia do życzenia, ale brak nam aktorek i śpiewaczek. — Rychter, Królikowski, Komorowski i niezrównany Żółkowski, Panczykowski mają już ustaloną reputacyę; teraz jeszcze przybył debiutant Piasecki, syn zasłużonego na scenie naszéj aktora. Mamy nadzieję, że kiedyś potrafi zastąpić Komorowskiego, który od kilku miesięcy ciężką zagrożony chorobą piersi i gardła, nie występuje, i niedawno wyjechał za granicę dla kuracyi. — A on jedynym był kochankiem na naszéj scenie. Stolpe już zestarzał się; zresztą zawsze zimny i sztywny; toż samo Świeszewski, któremu zdaje się że przy ujmującéj

powierzchowności, bez dobréj gry, nawet bez talentu obejść się można. Bodurkiewicz również razi na scenie swoją grą w roli kochanków; role złośliwe, ponure, byłyby dla niego odpowiedniejsze. W „Mauprat“ ma bardzo małą rolę tego rodzaju, lecz z niéj wcale dobrze się wywięzuje: kona *à la* Ristori. — Pierwsze wystąpienie Piaseckiego było w „Kominiarzu,“ rola ta nieodpowiednia dla niego; wstrzymaliśmy się więc z naszém zdaniem do drugiego wystąpienia. Niedawno grał Edwina w „Odludki i poeta“ — grał dobrze, choć mało jeszcze rolą swoją był przejęty, za bardzo się może egzaltował w ostatniéj scenie z Astolfem, i za wcześnie, a znać było, że zapał udany; jeszcze nie umie zapomnieć o sobie, o scenie — a stać się tym kogo przedstawia.

Trudno to wprawdzie otrząsnąć się od razu z tych szkolnych tradycyj, a pozbyć ich się trzeba, tego zaś nie dopnie inaczéj jak pracą i zgłębianiem gruntownémroli. Piasecki ma przyjemną powierzchowność, za nizki może tylko dla sceny, organ dźwięczny i sympatyczny, dykcya czysta i bez przesady. Mówi tak jak wszyscy mówić powinni, nie cedzi słów, nie pieści się z niemi jak to Komorowski zwykł czynić, a za jego przykładem Palińska i Ziemińska. Zanim o paniach tych mówić będę, winienem tu jeszcze wspomnieć o trzech artystach, którzy na szczere ocenienie publiczności zasłużyli, i o Chomińskim wybornym komiku, który jedną tylko ma wadę, że twarzy swojéj bardzo wyrazistéj odmienić nie jest w stanie i dla tego we wszystkich rolach prawie jest jednym i tym samym Chomińskim. Chęciński jako aktor podrzędne zajmuje stanowisko, roli nie popsuje ale jéj nie wzniesie; zaczyna wszakże teraz do poetów naszych grona się liczyć. Poetyczne powiastki jego: „Anioł i czart,“ „Jałmużna“ wielu mu zjednały zwolenników; prócz tego nabył sobie zasługi podkładaniem tekstu polskiego do oper włoskich na naszéj przedstawianych scenie.

Co się zaś aktorek tyczy, miejsca Halpertowéj, a nawet Zielińskiéj (Moroz dawniéj), nikt jeszcze godnie zająć nie potrafił. Pani Ziemińska, dawna Ciemska, wyborna w rolach naiwnych i przebiegłych suberetek, nieporównana w „Gapiątko z St. Flour,“ w „Weselu Figara,“drze się do ról wysokiéj komedyi, które wcale jéj

nie przystoją. Zepsuta oklaskami pewnéj partyi, hołdy oddane swym wdziękom i dowcipowi w salonie lub budoarze, wzięła za cześć przynależną talentowi, i dla tego wszystkie bez wyboru przyjmuje role, nie bacząc czy są jéj talentowi odpowiednie. Czy gra panią wielkiego świata, czy skromną panienkę, pozbyć się nie może ruchów, które gryzetkę przypominają, wyszczerza ząbki, mruży oczy, przygląda się paznokciom u białéj rączki, każe podziwiać drobną nóżkę i hafty spodniczki, ale innego wyrazu prócz zalotności rzadko dopatrzyć w jéj twarzy. Wie że ma względy publiczności, nie bardzo więc dba o nią. Kilka strzelistych wejrzeń rzuconych w krzesła, wywoła rzęsiste oklaski. Pani Ziemińska, jak inne jéj towarzyszki milczeć i słuchać na scenie nie umie, myśl jej gdzieindziéj się błąka. Mimo tych przywar wszakże, z przyjemnością widzimy panię Ziemińską w właściwych jéj rolach, i cieszymy się, że porzuciła zamiar jechania do Lwowa, gdzie nawet już była zamówioną. Stan jéj dzisiejszy nie pozwala jéj teraz występować, ale za powrotem jéj na scenę, serdecznem przywitaniem zatrzeć będziemy się starali wrażenie może niemiłe, jakie w niéj te uwagi wywołają. Radzibyśmy jednak, żeby oceniła prawdę i sumienność téj przestrogi.—-Panna Palińska więcéj bez zaprzeczenia ma zdolności do dramatu i salonowéj komedyi; brak jéj tylko wyrobienia, szczególniéj w akcyi i głosie. Powierzchowność ma ujmującą, oczy wielkie, czarne, pełne ognia, zdradzają jéj pochodzenie — usta może nieco za duże, ale sznurem zębów jak pereł przystrojone; pomimo wszakże tych powabów, panna Palińska nie ma jeszcze ustalonego powodzenia. Ruchy jéj znać że studyowane, obok tego często nie właściwe, za gwałtowne może. W głosie za wiele śpiewności i deklamacyi, a za mało cieniowania, i z tąd często wpada w przesadę. Są jednak chwile szczęśliwe, w których Palińska chwyta za serce widza i do żywego wzrusza; wady zaś wytknięte przez nas stawiamy na karb dyrekcyi, która nie daje Palińskiéj sposobności kształcić się, tak rzadko pozwalając jéj występować; a mogłaby szybkie czynić postępy przy wrodzonych zdolnościach i dobrych radach na których jej nie zbywa. Bo jeżeli straciła przewodnika i narzeczonego, w jednym z naszych lepszych akto-

rów, nie wątpimy, że światły współpracownik jednego z pism peryodycznych tutejszych, krytyk z urzędu wszystkich artystów, muzyków, malarzy, aktorów dramatycznych lub śpiewaków, może jéj być w tym względzie dzielniejszą i skuteczniejszą pomocą. Ile bowiem słyszeliśmy, *con amore* zajmuje się jéj kształceniem. Rzadkie wystąpienie panny Palińskiéj przypisać jeszcze możemy zawiści jéj towarzyszek scenicznych: pani Ziemińskiej, która jak wyżéj już mówiliśmy, o wszystkie główne ubiega się role i panny Gwozdeckiéj, któréj jakiś fałszywy przyjaciel podszepnął, że jéj bardzo do twarzy w męzkim kostiumie, choć wychudła jéj postać w opiętym stroju nie bardzo się korzystnie wydaje. — Aby dogodzić temu jéj wszechwładnemu w teatrze życzeniu, raczą nas komedyami: „Vert-Vert,“ „Syn narzeczoną“ „Pułkownik z r. 1789“ i t. d. panna Gwozdecka gra w nich po męzku przebrana. Słyszeliśmy nawet, że wkrótce daną będzie melodrama, w któréj Gwozdecka wystąpi w stroju żokejskim na owym białym koniu obsypanym oklaskami i przywołanym w czasie przedstawienia „Nieméj z Portici.“ Naszém zdaniem, dla Gwozdeckiéj właściwsze role byłyby: Alixy w „Zampie“ lub duchów w „Robercie,“ a najlepiéjby uczyniła rzucając niewdzięczną scenę i zajmując się jedynie obowiązkami familijnemi. Pani Bakałowiczowa córka wsławionego aktora Szymanowskiego a żona zdatnego młodego malarza, to milutka sympatyczna aktorka. Téj nic zarzucić nie możemy, niech pozostaje tylko w właściwych i wdzięcznych rolach naiwnych, rzewnych, a cieszyć się będzie zawsze tém samém co dziś powodzeniem. Jakkolwiek życie domowe artystów powinno być ukryte przed publicznością, nie możemy jednak przemilczeć, że pani Bakałowiczowa przymiotami swemi i cnotami umiała sobie zjednać szacunek i przyjaźń wszystkich tych, co mieli sposobność poznać ją w rodzinném kółku.

Panna Łapińska—protegowana jednego z Senatorów, ma piękną choć zbyt kolosalną powierzchowność; może być, że w téj majestatycznéj piersi kryje się iskierka talentu, dotąd wszakże nie wydobyła się na jaw. Głos ma gruby, przyćmiony, i wyrobić go się nie stara, czego przecież mechaniczną pracą, czytaniem głośnem wierszy choćby parę godzin dziennie, dostąpić nie tak tru-

dno; wykształciwszy organ, łatwiej już nauczyć się nim władać. Dziś Łapińska jeszcze deklamować nie umie: w pierwszych przedstawieniach ładnéj komedyi „*Wieśniak i aktorka*“ była nieznośną; wyjątek z trajedyi mówiła z przesadą, z fałszywą intonacyą. Teraz dopiero w ostatniéj reprezentacyi poprawiła się nieco, ale daleko jeszcze do doskonałości. Pani Kurcyusz, panna Dutkiewiczowna ról poważnych nie psują. Druga szczególniéj w „*Pani Kasztelanowéj*“ lub „*Pociecha Rodziny*“ na szczere oklaski zasługuje doskonałem pojęciem i oddaniem roli. Pani Mazurowska w komicznych starych jest bardzo dobra, w „*Damy i Huzary*“, „*Panny Konopianki*“, „*Pod strychem*“, „*Nad Wisłą*“ zasłużone zbiera oklaski. Obok tych pań zjawiła się niedawno debiutantka, panna Gąsowiczówna, uczennica szkoły naszéj dramatycznéj; występowała dotąd tylko w komedyi „*Chłopiec okrętowy*“. Po pierwszych przedstawieniach, po jednéj roli zwłaszcza, trudno sądzić artystę bezwarunkowo, a wnioski tylko o zdolnościach jego i przyszłem powodzeniu czynić można i to nie ręcząc za ich sprawdzenie. Co do panny Gąsowiczownéj jednak, cieszymy się nadzieją, iż z czasem może być niezłą aktorką. Na scenie jest naturalna, rzewna, bez przesady, mówi dobrze choć niepotrzebnie czasem pieści się z wyrazami, w chwilach jednak patetycznych zapomina o téj przesadzie, a mówi i gra z prawdą i czuciem. Na pierwszém wystąpieniu głos jéj drżał, niknął w piersi, w każdym ruchu znać było obawę; oklaski ośmieliły ją, ale trwożliwość tę za dobry znak przyjmujemy; wolimy ją bowiem drżącą, lękliwą, niż zbyt śmiałą i pewną siebie; zarozumiałość jak to już wyżéj powiedzieliśmy, gubi artystów.

Cóż o polskiéj operze powiemy? Dobrski jedyną jéj perłą, i w maju pożegnać już nas chce. W „*Żydówce*“ cały teatr entuzyazmuje, i wspomnienie nieostygłe tego zapału chce w sercach naszych zostawić. Opuszcza scenę żałowany i upragniony od wszystkich. Składka na laur złoty dla niego postępuje spiesznie i hojnie: wieniec ten będzie mu wręczony w czasie ostatniego przedstawienia, a chce nas pożegnać w roli „*Fra Diavolo*“, w któréj pierwszy raz na scenie naszéj wystąpił. Rivoli, Leśkiewicz, Troschel, to już talenta a raczéj głosy na schyłku, a kto je zastąpi, nie wiemy. Szczepkowski

niefortunny psuje każdą rolę. Jedyni jeszcze śpiewacy co jaką taką przyszłość mają: Ziółkowski i Miller: pierwszy niezmordowaną pracą wyrobił swój głos; o drugim tego powiedzieć nie możemy, bo wiele jeszcze pracować winien, jeśli chce być dobrym śpiewakiem, do czego ma pretensyę. Chóry nasze bardzo są nieliczne i z nieszczególnych złożone głosów, ale czynią co mogą. Orkiestra wielkiego teatru zawsze dobra choć czasem i w niéj czuć się daje brak poczciwego Dobrzyńskiego. Publiczność nasza wszędzie go wita z wielką sympatyą, widzieliśmy to na koncercie w salach redutowych. Orkiestra też pod jego przewodnictwem gra jak nie można lepiéj.— Za to orkiestra teatru Rozmaitości dotąd była zaniedbana i źle obsadzona. Nie dbano ani o wykonanie, ani o wybór sztuk. Teraz dopiero wejście kilku nowych członków ożywiło tę orkiestrę, a gra p. Lewandowskiego kilkokrotne już wywołała oklaski. Brak śpiewaków, muzyków, łatwo wytłumaczyć się daje brakiem szkoły, bo szkoła śpiewu tutejsza, niegodna jest nazwiska szkoły nawet. Obiecują nam za to konserwatoryum muzyki i śpiewu. Mówią że Dyrekcya teatrów przedstawiła już projekt do tego zakładu i przesłała takowy do Petersburga. Wypadałoby również pomyśleć o szkole dramatycznéj, a raczéj o zmianie jéj systematu. Przyjmują do niéj młodych ludzi obojéj płci, po większéj części bez żadnego wykształcenia, przez rok cały. Pan Jasiński dyrektor teatrów i nauczyciel jedyny szkoły, a który sam nigdy wzorowym aktorem nie był, daje przepisywać teoryę sztuki dramatycznéj i uczyć się jéj każe na pamięć. Opowiada, jak się wyraża uczucie gniewu, wzgardy, miłości itp. potém daje się uczyć na pamięć roli, zaczyna od mniejszych a kończy na większych, pokazuje mimikę i po latach 4ch albo 5ciu wypuszcza ucznia na scenę, każe debiutować takiemu który w szkole nigdy nie grał, lecz recytował role jak bajki Krasickiego. Za konieczny warunek przyjęcia do szkoły należałoby pewne położyć wykształcenie, obok tego uczyć historyi, literatury nie tylko krajowéj, lecz i obcéj, a przynajmniéj obznajmiać uczących się z arcydziełami dramatycznemi obcemi, a przekładów ich u nas nie brakuje. Daléj wypadałoby jeżeli nie wszystkim uczniom, to przynajmniéj celującym zapewnić jakie środki utrzymania, bo ci lu-

dzie pracując na kawałek chleba, nie mogą zupełnie poświęcać się obranemu zawodowi, a młode dziewczyny na konieczne zepsucie bywają narażane. Nie zawsze także trzeba wskazywać, w jaki sposób rola ma być oddaną, lecz owszem zostawić uczniowi swobodę oddania jéj tak jak ją pojmuje, a przez to ułatwić rozwijanie się zdolności. Wypada również, żeby uczniowie i uczennice grywali komedye, i tym sposobem oswajali się ze sceną. Możnaby nawet dozwolić im występować publicznie, utworzyć trzeci teatr dla ludu na wzór uprzywilejowanych teatrów amatorskich w Berlinie, z cenami wejścia nizkiemi. Nie jeden co w szynku lub kawiarni całe wieczory spędza, mógłby w teatrze za mniejsze pieniądze czas ten przepędzić i jeszcze umysł swój kształcić. Wreszcie, jeśli nie w Warszawie, to na prowincyi należałoby otworzyć uczniom szkoły dramatycznéj pole dalszego kształcenia się. Dziś grona tak zwanych artystów prowincyonalnych, złożone są z ludzi po większéj części wątpliwego zawodu i prowadzenia, bez talentu, którzy żyją nieraz w nędzy lub na łasce żydów, co na jedno wychodzi. Trzeba wziąść te zgromadzenia w opiekę, związać je z teatrami warszawskiemi, uczynić je szkołami praktycznemi, niby aplikacyą aktorską, zasilać je staremi ubiorami i dekoracyami — po kilku latach wprawy na prowincyi można artystów brać na scenę warszawską, a tym sposobem miasteczka zwolnione byłyby od owych pseudo-artystów, Warszawa zaś od debiutantów.

Co się tyczy wyboru sztuk dawanych u nas, ten jest niefortunny. W bibliotece teatralnéj lata całe spoczywają komedye oryginalne i tłumaczone, zanim świat ujrzą. Grali ostatnio dwie nędzne komedye które upadły zupełnie: „*Skąpiec*“ i „*Próba strzału*“.— Trzeba lepiéj płacić a znajdą się lepsze sztuki, trzeba autora przypuścić do zysku z każdego przedstawienia, a wtedy piszący starać się będą o lepsze utwory. Niewiem czemu literatura nasza dramatyczna tak uboga. Oprócz bowiem Fredry, nie mamy jeszcze dramaturga, chyba żebyśmy dali to miano p. Korzeniowskiemu którego w prowincyonalném naszém uprzedzeniu postawiło pewne tutejsze pismo wyżéj Fredry! Gdyby wszakże Dyrekcya starała się o polskie sztuki, nie jeden może wyrwałby się z jaką

komedyjką. Cóż wam powiedzieć jeszcze, że w teatrze naszym istnieje współzawodnictwo tancerek tak jak w Paryżu Ferraris i Rosati mają swoje stronnnictwa. U nas wielbiciele baletu dzielą się na dwa obozy: czcicieli Straus i Freitag, a obok nich wzniosła się trzecia partya zwolenników panny Bogdanów, z samych wszakże jéj rodaków złożona, którzy w niéj widzą ósmy cud świata, tancerkę lepszą od Taglioni, Grisi, Cerito, Elsler. Partyi przeciwnéj to się nie podobało, na przedostatniém zatém jéj wystąpieniu jakiś dowcipniś między mnóstwem bukietów i wieńców rzucił bransoletkę bronzową w bukiecie z jakimś niesmacznym konceptem. Stronnicy panny Bogdanow obrażeni o to, postanowili zemścić się i zaraz pannie Straus rzucili bukiety, jeden z jajkiem twardem, drugi z pustą flaszeczką. Szczęściem jednak, z tego powodu do zwady w teatrze nie przyszło. O nowéj komedyi Wieniarskiego nic nie mówiemy, bo gazety nasze aż nadto rozpisały się o téj niedorzecznéj elukubracyi, która i wspomnienia nie warta. — Nie p. Wieniarskiego, który jak może goni za popularnością, z tą według miary ćwiercią zdolnostki jaką mu Pan Bóg udzielił, ale Dyrekcyę winić należy, że przyjmuje takie rzeczy i upoważnia do ich pisania. Wydaje się to jakby systematycznem oddziaływaniem na zepsucie smaku publiczności. Nie chcemy w tem dopatrywać złych celów, ale w takim razie najzupełniejsza tylko nieświadomość rzeczy mogłaby tłumaczyć Dyrekcyę, która wdaje się w to czy Renz ma kontramarki do biletów albo nie, i na muzyki kawiarniane i ogródkowe haracz nakłada, miasto myśleć o pożytku sceny i korzyści ogółu.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Z nowych rzeczy nic ważniejszego nie wyszło temi czasy, oprócz *Kazań* i allokucyj X. Hołowińskiego, które mogą epokę stanowić w téj gałęzi wymowy. — Pomniejszych rospraw wyszło kilka, jak: *Wykład prawa o małżeństwie* katolików w Państwie Austryjackiém; rosprawa ta napisąna bardzo jasno i dostępnie wiele ułatwia poznanie się z temi przepisami. — Druga rosprawa: *Rozbiór chemiczny* wody mineralnéj szczawnickiéj p. Alexandrowicza Mag. Far. liczy się do najlepszych prac w analizie chemicznéj — Słychać także iż kilka dzieł illustrowanych przygotowuje się; między innemi X. Biskup Łętowski zamierza wydawać wielkie swoje dzieło i Pomniki katedry krakowskiéj, do którego przygotowane już są rysunki najstaranniéj zdjęte z natury. Ponieważ litografia założona przy wydawnictwie *Czasu* doskonałych zawiera rysowników i preserów którzy złożyli dowód swéj biegłości i dobrego smaku, w illustrowanem chromolitograficznie ogłoszeniu téj litografii, przeto można się spodziewać, że tu na miejscu mogą być równie dobrze i gustownie wykonane illustracyje do pomienionego dzieła, jak za granicą, a w zysku zawsze będzie ta pociecha, że to nie obcy towar, ale rodzinny. — Słychać również że i pan Kraszewski, który ma niepośledni talent malarski zamyśla publikować w tejże litografii *Czasu* Album widoków Wołynia, zdjętych przez siebie. Za tym przykładem niewątpimy, pójdzie wielu, skoro się przekona publiczność, że nowo założona litografia odpowiada godnie swemu zadaniu.

Mamy również nadzieję, że odtąd premia dla Towarzystwa Sztuk pięknych, mogą być wykonywane także w litografii krakowskiéj, bo jeżeli ta na tejże linii stanie co zagraniczne, tedy niebędzie potrzeba szukać już cudzych Bogów. — Z resztą dogodzi to naszéj uczciwéj dumie, gdy utwór artystyczny stworzony pędzlem polskiego artysty, przez litografią krajową w równie ar-

tystycznem powtórzeniu da świadectwo o doskonalących się przyrodzonych zdolnościach rodaków.

—Jan Radwański wydał: Zbiór przygadek, przymówek, przysłów wyjętych z dwóch dziełek dawnych: Facecyje polskie albo żartowne a trefne powieści biesiadne i Co nowego albo dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite. Kraków w druk. Czasu 1857. 8vo. str. 29. — Są to godła zastósowane do powiastek dowcipnych w powyższych dwóch dawnych dziełkach drukowanych; niektóre z nich przez opuszczenie samychże powiastek główny wątek stanowiących, w tém nowém wydaniu mniéj zrozumiałemi się stają.

Lwów. Czyszczenie obrazów zabrudzonych wzorem Restauratorów szkoły francuskiéj (przedruk z Dodatku tygodniowego Gazety Lwowskiéj) Lwów 1857 — Słowo o stosunkach handlowych mieszkańców Scytyi zachodniéj w wiekach przed Chr., ze względem na stanowiska żeglugi na Sanie, a wszczególności Leżajsk przez Jana Konrada hr. Zału kiego (przedruk z Dodatku Tygod. przy Gaz Lwowskiéj) Lwów 1857.

Warszawa. Treść Biblioteki warszawskiéj z miesiąca maja, jest następująca:

Nastanie szlachty i herbów w Polsce, p. Karola Szajnochę,— Stary wojak; rzecz prawdziwa — O klassyfikacyi hipotek, jako też praw hipotecznych w ogólności p. Aug. Heylmana — Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacya, przez Juliana Bartoszewicza. — Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa fotograficzna. Poezye Michała Anioła. Fiammina, komedya w czterech aktach pana Mario Uchard. Wiadomości literackie.— o poezyi włoskiéj w średnich wiekach jako źródle do Boskiéj komedyi Danta przekład z A. Fryderyka Ozanama.— Poezya. Narodowe pieśni serbskie. Przełożył na język polski Edward Brzetysław. — Kronika literacka. Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego, skreślił Józef Przyborowski, nauczyciel przy gimnazum św Maryi Magdaleny w Poznaniu. Poznań 1857. przez K. Wł. Wójcickiego. — Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, przez ks. Lud. Łętowskiego biskupa Joppejskiego, dziekana katedry krakowskiéj. Kraków 1852. Czas, dodatek miesięczny na m. luty. — Starodawne prawa polskiego pomniki poprzedzone wywodem historyczno - krytycznym tak zwanego prawodawstwa Wiślickiego, w texcie ze starych rękopism krytycznie dobranym, wydał Antoni Zygmunt Helcel. Warszawa 1856. — Rozmaitości. Początek ikonografii naszéj, w opisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież śś. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty, przez Ambroz. Grabowskiego. — Korespondencye. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od Juliana Bartoszewicza — List Augusta Bielowskiego do K. Wł. W — Taż Bibl. Wars. przynosi nam następujące wiadomości z pola literatury i umiejętności:

Ciekawą pracę p. F. Sobieszczańskiego wyjaśniającą żywot Piotra Dunina odbito osobno z *Kroniki* warszawskiéj w broszurze pod tytułem: *Kilkanaście dni pobytu w Opoczyńskiem.* Wielce to cenny utwór tak pod względem rzeczy jak i napisania.

—Księgarz M. Frühling ogłosił

poezyję Jerzego Laskarysa pod napisem: *Urywek rozmowy* gdzie autor wprowadza różne osoby dające swe zdania o poezyi. Wiersz jest bardzo gładki, zwroty dowcipne, lecz wydanie pełne krzyczących błędów.

— Równocześnie otrzymamy dwa zbiory portretów królów polskich. Jeden przygotował znany prof. Piwarski i ogłosi w „Kramie malowniczym warszawskim,“ w osobnym oddziale. Zbiór prof. Piwarskiego da nam w wiernym przerysie wizerunki królów polskich podług portretów pędzla Bacciarellego, które zdobiły jeden z pokoi zamku warszawskiego. Wiadomo, jak malował nadworny malarz króla Stanisława Augusta te portrety. Zebrane stare obrazy z różnych miejsc porównywał z sobą wizerunki królów, i zgodnie ze zdaniem Stanisława Poniatowskiego, brał z nich te, które zdawały się mieć cechę największéj wiarogodności: następnie dobierał z żyjących osób postać podobną, i z niéj wlewał życie w martwe wizerunki starych portretów. Takim sposobem powstał zbiór popiersi królów polskich osadzony w ścianach jednego pokoju w zamku warszawskim. Drugi zbiór portretów przygotowywa nasz znany artysta Aleksander Lesser: te odbijać będzie w litografii „Peq'a“ et comp., która je swoim nakładem wyda wraz z tekstem. O wykonaniu artystyczném i odbiciu mamy pewną rękojmią; co do tekstu, musi go bardzo zdolne pióro podjąć, i znające dobrze dzieje narodowe: bo to niełatwe zadanie. Nie wiemy z pewnością, kto się téj pracy podjął i jak ją sumiennie wykona. P. Lesser rysował kilka portretów królów polskich z grobowców na Wawelu, inne zbierał ze starych i autentycznych obrazów i miniatur; najdawniejsze piastowskie postacie są najtrudniejszém zadaniem w tém wydaniu.

— Bibliografii krajowéj wydawanéj staraniem Ignacego Klukowskiego wyszedł zeszyt V. i oprócz katalogu książek polskich wydanych w r. 1856 i 1857, bibliografia starożytna w odcinku. obejmuje: kopię listów dwóch posłanych do cesarza tureckiego i króla perskiego. do króla hiszpańskiego Filipa: wydanie J. Januszowskiego 1586 r. Muzę gór wielickich (wierszem opis kopalń) z 1608 r. Broszurę M. Reja z 1543 r. w ostatku pieśń J. Ł. Olszowskiego bez litery R. Zamyka ten zeszyt: „Statut towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie.“

— Wierna kopia historyi legionów włoskich napisana przez Henryka Dąbrowskiego przepisana za zezwoleniem jego przez jednego z towaszyszów broni, zanim ją złożył w bibliotece b. Towarzystwa Przyjaciół nauk, znalazła się w prywatném zachowaniu. Dzieło to, jak wiadomo, pisane jest w języku francuzkim, a przeplatają je gdzieniegdzie dokumenta po włosku.

— Zeszyt XIII i XIV dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznéj“, wyszły z druku i obejmują: Z pontyfikału Erazma Ciołka: 1. koronacya króla Aleksandra Jagiellończyka. 2. koronacya królowéj. 3. Król ukoronowany siedzący na majestacie w pośród téjże katedry. 4. Hołd królowi składany. „W wieku XV i na początku XVI (pisze E. Rastawiecki w tekscie objaśniającym ryciny) sztuka zdobienia ksiąg rękopiśmiennych pargaminowych malowaniami miniaturowemi, z niepospolitém odznaczeniem uprawianą była w Polsce, a zwłaszcza w stolicy kraju, w Krakowie. Wiele drogocennych tego rodzaju zabytków poszło już w niepowrotną zatratę, czy to

zniszczeniem czasu i niedbałości ludzkiéj, czy zdarzonemi pożarami lub przygodami innemi. Z tych przecie, które pomyślniejszém zrządzeniem dochowały się u nas dotąd, a przeszedłszy do kilku krajowych zamożnych książnic, szczególném stają się dziś onych ubogaceniem, powziąść można niepłonne przeświadczenie, jak dalece dawniéj rodzaj ten sztuki malarskiéj znamienicie był w kraju naszym rozwinięty, świetnego nawet dostąpił udoskonalenia. Tak z czasów krótkiego panowania króla Aleksandra, z samego przeto początku XVI wieku (r. 1501 — 1506) mamy dotąd dwie najwyższéj wartości pargaminowe księgi, miniaturowemi malowaniami okazale przyozdobione. Jedną z nich jest zbiór ustaw i przywilejów cechowych miasta Krakowa, przez pisarza miejskiego Balcera Bema sporządzony, w księgozbiorze uniwersytetu krakowskiego przechowany, z którego wielce ciekawe obrazki poznać tu damy z kolei oddzielnie; drugą, a ze względu na przepyszne jéj malowania szanowniejszą jeszcze księgą jest tak zwany pontyfikał Ciołka z opisem koronacyi króla Aleksandra“.

Rękopism ten był własnością Erazma Ciołka kanonika krakowskiego, potem biskupa płockiego, zmarłego 1522 r. w Rzymie; w następstwie czasów dostał się do biblioteki Załuskich, zkąd przeszedł do zbiorów Tadeusza Czackiego: obecnie znajduje się w jednym z zamożnych zbiorów w Poznańskiém. Jeżeli pod względem sztuki zwracają uwagę cztéry dane ryciny w tych zeszytach wzorów: nierównie zajmuje nas ich ważność pod względem ubiorów dawnych. W dwóch obrazkach szczególniéj koronacyi króla i siedzącego króla na majestacie, mamy najwięcéj uwydatnione różnych stanów ubiory.

— Obywatel ziemski i literat Eustachy Marylski, idąc za danym przykładem dzieła: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą“, zamierza opisać polskie cmentarze za granicą, a przedewszystkiém największą liczbę rodaków pogrzebanych mający: „Cmentarz drezdeński“. Już ryciny są prawie wszystkie przygotowane. Format i druk ma być zachowany taki, jaki jest w „Cmentarzu powązkowskim“, gdyż p. Marylski chce pracą swoją dopełnić niejako pomienione dzieło. Zwracamy uwagę szanownego ziomka, że powziąwszy tak piękną myśl, powinien ją w szerszych rozmiarach uzupełnić, dodaniem wspomnień o tych, co i gdzieindziéj pochowani zostali. Z dwóch takich opisów cmentarzy wspomnianych, złożyłby się tom jeden objętości „Cmentarza powązkowskiego“: bo powątpiewamy, ażeby sam drezdeński wystarczył na księgę in 4to, przeszło stronnic 260 obejmującą. Szesnaście rycin ma zdobić opis cmentarza drezdeńskiego: więcéj znalazłoby się pomników na cmentarzach Paryża. Czy spełni rzuconą tu myśl przez nas p. Marylski, czy ograniczy się tylko opisem cmentarza drezdeńskiego, zawsze równe mieć będzie prawo do naszéj wdzięczności, bo nie wątpimy, że wiele nieznanych postaci z ukrycia zapomnienia wyprowadzi: wiele da nam szczegółów nowych, które zbogacą karty dziejów narodowych. Wszelkiéj pomocy i życzliwego współczucia może się spodziewać zacny obywatel czy to w udzieleniu potrzebnych wiadomości, czy nawet we spół - pracownictwie.

Za przykładem pomienionego dzieła Adam Kirkor w „Przechadzkach swoich po Wilnie, do-

dał opis cmentarzy tego miasta, i podał życiorysy niektórych rodaków spoczywających na nich. Spodziewamy się, że tę pracę następnie uzupełni, bo co udzielił jest bardzo małą cząstką całości, a godnéj pióra troskliwego badacza.

Wydanie „Cmentarza powązkowskiego“ składa się z 850 egzemplarzy: z XII zeszytem kończy się wedle prospektu prenumerata. Obfitość materyałów znagliła wydawcę, że tekst mający obejmować w 2 tomach arkuszy 48, powiększył o 18 arkuszy druku; gdy jednakże ważnych zasobów, rzucających niemało światła na ostatnie czasy, pomimo tego powiększenia, pomieścić nie zdołał, a wielu rodaków, którzy trwale na kartach dziejów naszych zapisali swe imiona, spoczywa i na innych cmentarzach: postanowił dodać tom trzeci, obejmujący dopełnienie Cmentarza powązkowskiego, i uzupełnienie życiorysami tak spoczywających w ziemi jak w katakumbach, a zarazęm dołączyć opisy cmentarzy: Świętokrzyskiego, Pragskiego, przy ulicy Leszno, Willanowa, Czerniakowa, Bielan i innych wyznań. Tym tomem zakończy swoję pracę, któréj lat dziesięć poświęcił. Znajdą się tu nieznane dotąd wiadomości, które głównie czerpał tak z archiwów rządowych jak prywatnych, i z żywego słowa tradycyi. Tom ten wyjdzie równocześnie z XII zeszytem i oddzielnie nabytym być może.

— Księgarz Bernstein przygotowywa dalsze zeszyty: Klejnotów poezyi polskiéj. Nakładem S. H. Merzbacha wyszły „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego od roku 1786 do 1815, ogłoszone przez Henryka hr. Rzewuskiego w 5 tomach. Pierwszy ich ciąg ogłosił drukiem B. M. Wolff księgarz petersburski we 3 tomach: ośm więc tomów składać będzie zupełną całość, lubo i każdy oddział stanowi odrębną całość. Spodziewać się możemy, że nowa ta praca autora „Listopada“ znajdzie pokup. Wiele tu szczegółów pokazuje, że z tych pamiętników czerpał autor zasoby tak do „Soplicy“ jak i do „Listopada“. Pamiętniki B. Michałowskiego, w wielu ustępach mają wartość historyczną, i ta strona ich wartości da im niewątpliwie upowszechnienie.

— J. I. Kraszewski pisze powieść p. n. „Staropolska miłość“, Józef Korzeniowski zabiera się do napisania dramatu historycznego „Jana z Tęczyna“. Przedmiot to godny autora „Górali Karpackich“ i „Andrzeja Batorego“: tym więcéj, gdy w znanéj powieści J. U. Niemcewicz nietrzymając się ściśle historyi co do losów głównego bohatera, zostawił otwarte pole dla talentu dramatycznego. Nie wątpimy, że ze wszystkich najlepiéj podoła J. Korzeniowski temu pięknemu zadaniu.

Poznań. Nakładem L. Merzbacha wyszła rozprawa łacińska Władysława Nehringa o życiu i pismach Reinholda Heidensteina (*De Reinholdi Heidensteinii scriptis historicis. Posnaniae* 1857 8o str. 47) Reinold Heidenstein potomek familii frankońskiéj urodzony w połowie XVI wieku w Gdańsku z ojca Bernarda i matki Anny Krokowskiéj, wykształcony zagranicą pełnił urząd sekretarza najprzód przy Albercie Fryderyku księciu pruskim daléj przy Janie Zamojskiem a następnie od roku 1582 do 1612 przy królach Stefanie Batorym i Zygmuncie III. Otrzymawszy r. 1585 indygenat polski posiadał wioskę Solecin (dziś Załęże zwaną) koło Gdańska, gdzie umarł r. 1620. Zostawił w języku łacińskim:

Opis wesela Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną drukowany 1583 (niesłychanie rzadki). Żywot Jana Zamojskiego dotąd niewydany (znany tylko z przerobienia polskiego przez Bohomolca). Prawo ziemskie pruskie, drukowane w Toruniu 1599 i późniéj kilkokrotnie, O obowiązkach i urzędzie kanclerskim, drukowane w Brunsbergu r. 1610. Najważniejszym Hajdensteina dziełem jest Opis wojny moskiewskiéj przez Stefana Batorego prowadzonéj, wydany w Krakowie r. 1584 z poprawami samego króla i Jana Zamojskiego, tłomaczony r 1590 przez Henryka Raetel na język niemiecki. Pomimo, iż poselstwo moskiewskie domagało się spalenia tegóż dzieła, było ono jednak kilkakrotnie przedrukowane. Sam autor pomnożywszy znacznie swe dzieło, dodawszy oraz nowych sześć ksiąg i dociągnąwszy dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta, aż do r. 1602 zamierzał r. 1617 uskutecznić nowe wydanie, które dopiero r.1672 syn jego Jan Heidenstein kasztelan gdański w Frankfurcie aczkolwiek bardzo niedbale i z wieloma błędami każącemi tok cały i treść rzeczy ogłosił. Krytycznemu rozbiorowi téj historycznéj pracy Heidensteina (która Albertrandemu w dziejach panowania Stefana Batorego za główny wątek służyła i która obecnie w przekładzie polskim nakładem Wolffa w Petersburgu wychodzi) poświęcił p. Nehring główną część swego pisemka starając się przyznać mu wyższość nad rocznikami Solikowskiego.

— Tamże wyszła też rozprawa Leona Czaplickiego o żywocie i poezyach Jana Dantyszka biskupa warmińskiego sławnego poety łacińskiego i posła do dworu hiszpańskiego od króla Zygmunta I (*De vita et carminibus Joannis de Curiis Dantisci*).

— Żupański wydał nową pracę Lelewela: *Cześć Bałwochwalcza Słowian i Polski.* — Sędziwy ten badacz rozbiera krytycznie wszystkie mitologiczne podania historyków, a mianowicie, i to najważniejsza strona téj pracy, zastanawia się nad zabytkami pogaństwa słowiańskiego wydobytemi z ziemi lub przechowującemi się po zbiorach.

Wiedeń. Dr. Ignacy Hanusz wydał w Wiedniu po niemiecku rozprawę in 4o: *Rzecz o runach słowiańskich* ze szczególną uwagą na starożytności runiczne Obotrytów, tudzież na głagolicę i kirylicę. Jestto przedruk z czasopisma wydawanego przez c. k. akademię umiejętności „Archiwum do znajomości historycznych źródeł austryackich“. Rosprawa Dra Hanusza zawiera 4 główne części: 1o Co pisano o runach w nowszych czasach; 2o Istota runów i główne ich rodzaje w starożytności; 3o Stosunek dawnych pogańskich znaków runicznych do późniéjszych alfabetów runicznych; a z drugiéj strony do alfabetów gotycko-kirylicko-głagolickich; 4o Stosunek alfabetu słowiańskiego, osobliwie głagolickiego do innych dawnych alfabetów. Nadmienić tu także można, że 27 kwietnia Dr. Hanusz na posiedzeniu towarzystwa czeskiego umiejętności w Pradze czytał rozprawę aby dowieść, że S. Cyril nie pisał kirylicą jak mniemają dotąd powszechnie, lecz głagolicą.

— Zeszyt 9 i 11 ostatniego tomu 1go „Dziejów powszechnych ułożonych wzorem roczników, kronik i właściwéj historyi z dziejobrazem symboliczno-chronologicznym i geograficznym przez Stanisława Zarańskiego“

(od r, 1—1000 ery chrześć.) Wiedeń 1857 druk. Zamorskiego.
— Jan Radwański wydał w Wiedniu dziełko czeskie Piotra Hubaczka — Kolińskiego: O rzeczach dotyczących się rybactwa, ptasznictwa i sadownictwa podług rękopismu z r 1553 Pomnik ten pismiennictwa czeskiego z XXI. wieku opatrzył przedmową i uwagami oraz podobiznami Józef Irzeczek w Wiedniu.

Lipsk. Nakładem J N Bobrowicza wyszło: Wyjawienie sposobu leczenia cholery bez wzywania lekarza oraz sposobu uchronienia się przed nią przez Marcelego Dłużniewskiego podług instrukcyi Dra Art. Lutze z dodatkiem artykułu L. Marchant przez J. Podwysockiego. Lipsk 1857. 12o str. 80. Podług dziełka powyższego mają być owemi zbawiennemi środkami: Miedź (cuprum) i Ciemiérzyca biała (Varatrum album) w dozach homeopatycznych.

Berlin. Prof. Pietraszewski wydał drugi, gruby zeszyt znakomitéj i mozolnéj swojéj pracy: *Zendavesta* czyli Zendaszta, Zoroastrowa. Wszędzie indziej, dzieło podobne przynoszące zaszczyt całemu narodowi, byłoby wyszło nakładem rządu, towarzystwa uczonego lub prywatnego miłośnika nauki; bo wiadomo że księgarze nielubią nakładać na książki dostępne tylko uczonym; u nas sam autor wziął ten ciężar na barki spodziewając się że znajdzie pomoc o tyle, że przynajmniéj nakład się powróci; pracę wieloletnią nagrodzi własne sumienie, i to najcenniejsza nagroda. — Cena tego zeszytu 10 talarów, jeżeli kto kupuje zeszytami; całe zaś dzieło zapłacone z góry kosztuje tal. 30 sześć grubych zeszytów składa całość Zendaszty.
—Znany z pism swoich publicystycznych w języku francuskim Karol Forster wydaje teraz w Berlinie dziełko, oryginalnie przez siebie po polsku napisane pod tytułem: *Rzut oka* na ostatnie pisma polityczno-filozoficzne Guizota. — Cena pre umeraty za tom talar jeden.

Wrocław. U Wilhelma Bogumiła Korna wyszła powieść jak stoi na tytule: *niezmyślona*, pod napisem *Zawiedzione nadzieje* Autor niewiadomy; rzecz jednak każe się domyślać że przez biegłe pióro skreślona.

Buda. W r. 1856 wyszła w Budzie węgerskiéj historya Prawodawstw słowiańskich W. A. Maciejowskiego w przekładzie serbskim uzupełniona, uwagami tyczącemi się prawodawstwa serbskiego przez Mikołaja Krsztyca nakład Mat cy Serbskiéj.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. — Antoni Czapliński Rząd. Druk.

SPIS PRZEDMIOTOW

w zeszycie majowym zawartych.